



MIKE RESNICK

KŁY

Legenda z przeszłości i przyszłości

Tłumaczył
Marek Rudowski

REBIS
DOM WYDAWNICZY • REBIS •
POZNAŃ 1991

SPIS RZECZY

Rozdział 1

GRACZ (ROK 3042 ERY GALAKTYCZNEJ)

PIERWSZE INTERLUDIUM (ROK 6303 ERY GALAKTYCZ-
NEJ)

Rozdział 2

HIENA CMENTARNA (ROK 4375 ERY GALAKTYCZNEJ)

DRUGIE INTERLUDIUM (ROK 6303 ERY GALAKTYCZNEJ)

Rozdział 3

WOJOWNIK (ROK 5521 ERY GALAKTYCZNEJ)

TRZECIE INTERLUDIUM (ROK 6303 ERY GALAKTYCZ-
NEJ)

ROZDZIAŁ 4

ZŁODZIEJ (ROK 5730 ERY GALAKTYCZNEJ)

CZWARTE INTERLUDIUM (ROK 6303 ERY GALAKTYCZ-
NEJ)

ROZDZIAŁ 5

POLITYK (ROKU PAŃSKIEGO 2057)

PIĄTE INTERLUDIUM (ROK 6303 ERY GALAKTYCZNEJ)

ROZDZIAŁ 6

KURATOR (ROK 16 ERY GALAKTYCZNEJ)

SZÓSTE INTERLUDIUM (ROK 6303 ERY GALAKTYCZNEJ)

ROZDZIAŁ 7

ŁOWCA (ROK 1885 PO NARODZENIU CHRYSYTA)
SIÓDME INTERLUDIUM (ROK 6303 ERY GALAKTYCZNEJ)

ROZDZIAŁ 8
POTENTAT (ROK 882 ERY GALAKTYCZNEJ)
ÓSMIE INTERLUDIUM (ROK 6303 ERY GALAKTYCZNEJ)

ROZDZIAŁ 9
ARTYSTA (ROK 1701 ERY GALAKTYCZNEJ)
DZIEWIĄTE INTERLUDIUM (ROK 6303 ERY GALAKTYCZNEJ)

ROZDZIAŁ 10
OPowieść MANDAKI (ROK 1898 PO NARODZENIU CHRYSYTA)
DZIESIĄTE INTERLUDIUM (ROK 6303 ERY GALAKTYCZNEJ)

ROZDZIAŁ 11
MASAJ (ROK 6304 ERY GALAKTYCZNEJ)
JEDENASTE INTERLUDIUM (ROK 6404 ERY GALAKTYCZNEJ)

ROZDZIAŁ 12
KŁY (ROK 6304 ERY GALAKTYCZNEJ)

OD AUTORA

Jak zawsze dla Carol,
A także dla Perry Masona,
najwspanialszego przewodnika
w Afryce Wschodniej

Rozdział 1

GRACZ (ROK 3042 ERY GALAKTYCZNEJ)

Miałem wiele imion.

Samburu nazywali mnie Malima Temboz - Chodzącą Górą, ponieważ przewyższałem wszystkich z mego plemienia i zawsze wspinałem się na następne wzgórze i pokonywałem następną dolinę, żeby zobaczyć, co się za nimi znajduje.

Kikuyu zwali mnie Mrefu Kulika Twiga - Wyższy Niż Żyrafy, ponieważ mogłem zbierać soczyste przysmaki, które znajdowały się poza zasięgiem największych zwierząt i żaden cień nie był dłuższy od mego cienia.

Lud Makonde znał mnie jako Bwana Mutaro - Pan Bruzda, ponieważ gdziekolwiek szedłem moje kły wyorywały dwie bruzdy w twardej afrykańskiej ziemi i mego tropu nie można było pomylić z żadnym innym.

W kraju Masajów byłem Fezi Nyupi - Białe Złoto, ze względu na prawdziwą fortunę wyrastającą z mej paszczy, fortunę, jakiej żaden z członków mego plemienia nie nosił nigdy.

Obecnie znany jestem jedynie jako Słoń Kilimandżaro, prawdziwe imię rozplynęło się na wietrze, moje ciało uległo procesowi rozkładu, a kości przemieniły się w kurz. Tylko duch mój pozostał niespokojny i niepełny.

* * *

Była to typowa noc na Atenii.

Burza osiągnęła swą największą moc. Ciemne chmury metanu kłębiły się na niebie, podczas gdy fale przyboju gnały przez oceany amoniaku i rozbijały się z hukiem o ostre skały.

Jęzoty błękitnych błyskawic nadawały chmurom niesamowitego blasku, a niekończący się huk grzmotów zdawał się zapowiadać bliski i groźny Dzień Sądu.

Kiedyś, wiele setek lat temu, Demokracja posiadała kolonię górniczą na Atenii, a najwyższy ze szczytów planety, któremu nadano mało oryginalną nazwę Olimp, był podziurawiony sektami mil tuneli i szybów. Później dotarto do innych, bogatszych światów, których zasoby można było łatwiej zrabować i górnicy odeszli, pozostawiając górę i planetę zupełnie opuszczone.

Przez prawie tysiąc lat planeta była pusta, aż pewnego dnia Tembo Laibon uznał ją za swoją. Zbudował kopułę na samym szczycie góry i nazwał ją Domem Błękitnych Świateł w uznaniu dla niekończącej się burzy szalejącej nad głową. Dom Błękitnych Świateł oficjalnie był tawerną, ale oczywiście nikt nie przyjeżdżał na dziewiątą planetę odległej Beta Greco po to, żeby się napić. W rzeczywistości, ze względu na to, że Atenia była tak odległa od obrzeża galaktyki oraz od środków potęgi ludzkości, Dom Błękitnych Świateł rozkwitał nie jako tawerna, lecz jako miejsce spotkań różnych wyrzutków i uciekinierów ze wszystkich ras. Kreboi, o wielu członkach, którzy zamieszkivali Beta Greco III i nie mieli zbyt wiele sympatii dla Demokracji, wydali Tembo Laibonowi pozwolenie na działalność i otoczyli swą ochroną.

W tym momencie ze dwa tuziny ludzi i dziewięciu obcych siedziało w głównej sali tawerny ignorując błękitne rozbłyski i eksplozje oświetlające przestrzeń wokół kopuły. Dwóch mężczyzn siedziało wraz z trzema podłużnymi Kamforytami o karminowej skórze i skośnych oczach, negocjując ceny ukrytego transportem broni laserowej. Wyzywająco ubrany siwowłosy mężczyzna opowiadał swym dwóm nieco znudzonym

towarzyszom fantastyczne opowieści o Bestii ze Snów i inne legendy szlaków międzygwiazdnych. Delikatna, krystaliczna istota z systemu Atriana, w skafandrze chroniącym ją przed potencjalnie niebezpiecznymi dźwiękami, siedziała nieruchomo w kącie, bez żadnego widocznego powodu wpatrzona gniewnym wzrokiem w służbę powietrzną. Dwie eleganckie kobiety o wspaniałych fryzurach oferowały swoje usługi czterem mężczyznom, którzy z pewnością nie musieli targować się o cenę, a czynili to tylko dla zabawy. Dwóch kosmatych, trójnożnych Lodinitów kłóciło się z korpulentnym, obojętnym mężczyzną o cenę doradyjskiej rzeźby stojącej przed nimi na stole.

W kącie czterech mężczyzn, jeszcze jeden Kanforyta i Kreboi grało w dżabob, grę karcianą wynalezioną po przeciwnej stronie galaktyki. Gra trwała już siedem miesięcy i uczestniczyło w niej łącznie 403 graczy. Gdy któryś się spłukał, zmęczył, zgłodniał lub miał jakieś inne sprawy do załatwienia, oddawał miejsce innym chętnym. Przy sąsiednim stole trzech innych mężczyzn czekało już na swoją kolejkę.

Mimo tej całej aktywności każdy wiedział, że jeszcze inna gra toczyła się za zamkniętymi drzwiami w oddzielnym gabinecie Tembo Laibona. To była właśnie ta gra.

Gabinet ten był zawsze przedmiotem plotek, ponieważ każdy wiedział, że tam właśnie Tembo Laibon trzymał swoje osobiste skarby. Nad ręcznie rzeźbionym barem wisały cztery wypchane głowy strasznych, mięsożernych zwierząt z Ziemi, podczas gdy skóry innych zwierząt zdobiły całą tylną ścianę. Dodatkową ozdobą był szereg długich, metalowych dzid oraz małych rzeźb w drewnie, zamkniętych w szklanej gablocie. Wreszcie były tam dwie, lekko zakrzywione na końcach kolumny z kości słoniowej, które dominowały w gabinecie. Były

wyższe niż ktokolwiek, człowiek lub obcy - któremu pozwolono je obejrzeć.

Sam Tembo Laibon był tam również. Wysoki na sześć stóp i dziewięć cali, o skórze czarnej i lśniącej jak heban, odziany w skóry dziwnych zwierząt. Pociągnął łyk zielonego płynu z wysokiej szklanki i tasując karty rozejrzał się wokół stołu.

Zaraz na lewo od niego siedział obcy zwany Gorgonem. Ogromny potwór o purpurowej skórze. Twierdził, że pochodzi z systemu New Roanoke. Każdy wiedział, że system New Roanoke był nie zamieszkany, ale jeden rzut oka na wzdymające się mięśnie i sterczące kły wystarczył, żeby powstrzymać się przed wyrażeniem wątpliwości i dopytywaniem o jego przeszłość. Nikt nie wiedział, ile istot myślących Gorgon uśmiercił, ale plotka twierdziła, że ponad sto.

Gorgon dużo przegrał w ciągu ostatnich dwóch godzin. Z natury nie był gadatliwy, a teraz z minuty na minutę stawał się bardziej milczący.

Odwrotnie wiodło się Żelaznej Księżnej. Bardziej maszy-na niż kobieta układała swymi stalowymi rękami wygrane w zgrabne słupki. Jej tytanowe zęby błyszcząły, odbijając światło błyskawic, jej sztuczne serce pompowało chemicznie wzbogaconą krew, a jej mechaniczny głos wypełniał gabinet dziwną melodią radosnej paplaniny. Tembo Laibon spoglądał na nią kątem oka i zastanawiał się, jaka jej część była właściwie żywa.

Natomiast bezsprzecznie żywą i cieszącą się życiem była istota siedząca po jej prawej stronie. Nikt nie wiedział, czym była ona naprawdę, ale kiedyś, wędrując po drogach i bezdrożach życia, zdecydowała, że chce być po stronie wygrywającej i przeszła szereg operacji, które w efekcie dały niewydarzony

obraz człowieka. Jej oczy były pomarańczowe, dziurki w nosie zbyt odległe od siebie, uszy zbyt płasko przylegały do głowy. Pozostały jeszcze ślady w miejscach, gdzie zbędne palce i kciuki zostały usunięte z obu dłoni. Ciągle poprawiała się na krześle, ponieważ nie zdążyła się jeszcze przyzwyczaić do nowego sposobu zginania ciała.

Mówiła pięknym językiem Ziemi, jak gdyby kształciła się w ekskluzywnej szkole na Deluros VIII lub nawet na samej Ziemi. Odrzucała sztuczne włosy ze zrekonstruowanego czoła, piła koktajle martini, próbując ukryć fakt, że wcale jej nie smakują. Odwracała się, żeby podziwiać swoje odbicie w pancерnej szybie widokowej, którą Tembo Laibon umieścił w jednej ze ścian.

Nazywała siebie Synem Człowieczym i jak dotąd grała tego wieczora tak, jak gdyby ten szanowany i czczony Syn Człowieczy stał u jej boku i przynosił jej szczęście.

Naprzeciwko Tembo Laibona siedział czerwony obcy z Sigma Silani IV. Jego gładka skóra, podobna do jaszczurczej, lśniła w mrocznym świetle padającym przez szybę widokową, a jego twarz, która nie była zdolna czegokolwiek wyrazić, uderzająco przypominała smoki, o których Tembo Laibon czytał, kiedy był dzieckiem. Buko był całkiem nagi, a jego skóra wydzielala zbyt słodki zapach obcych pachnideł. Między jego łopatkami tkwiła nieruchomo mała, podobna do ptaka, bezpióra istota, której przezroczyste szpony i długi kadłub tkwiły głęboko w jego ciele. Istoty te żyły w jakiejś dziwnej symbiozie.

Tembo Laibon położył wreszcie karty na stole i poprawił się na krześle, które unosiło się kilka cali nad podłogą. Statek wiozący dwóch ostatnich graczy właśnie dokował i przerwano grę, dopóki nie zjawią się oni przy stole.

- Chciałbym się napić - powiedział Syn Człowieczy z uśmiechem, który odsłonił garnitur starannie uformowanych, purpurowych zębów.

- To samo? - zapytał Tembo Laibon.

- Oczywiście - odpowiedział. - Napoje obcych są takie... takie wulgarne - zmarszczył swój sztuczny nos z odrazą.

- Czy jeszcze ktoś? - spytał Tembo Laibon, obserwując szczególnie gwałtowną, błękitną eksplozję przez okno widokowe. Zastanawiał się leniwie, czy błyskawice nad rozległymi równinami Serengeti były tak samo groźne, i zdecydował, że to niemożliwe.

- Pytam po raz ostatni.

Nikt się nie odezwał i Tembo wystukał zamówienie na klawiaturze tablicy kontrolnej. Chwilkę później robot wkroczył do pokoju niosąc jedną szklankę na wypolerowanej srebrnej tacy.

- Dziękuję - powiedział Syn Człowieczy, gdy robot ustawił szklankę na stole.

- Bardzo proszę, szanowny panie - odparł, robot z chrypliwą monotonią.

- On wygląda tak absurdalnie - zachichotał Syn Człowieczy, gdy robot oddalił się - metalowy potworek w kształcie człowieka.

- Co pan ma przeciw metalom? - spytała Żelazna Księżna, a jej platynowe paznokcie i tytanowe zęby zaśniły odbitym światłem błyskawicy. - Trwają przecież znacznie dłużej niż ciało.

- Ależ, szanowna pani - odparł Syn Człowieczy. - Nie miałem nic złego na myśli. Proszę mi wierzyć. Naprawdę.

Popatrzyła na niego chłodno. Jej źrenice zwiężyły się lekko w miarę jak maleńkie obwody scalone w jej oczach dopaso-

wywały się do światła błyskawic wybuchających tuż za oknem.

- Przebaczam panu - powiedziała wreszcie.

- Dziękuję i pragnę zapewnić, że...

- Przebaczam panu - powtórzyła - co nie oznacza, że panu wierzę.

- Dość gadania - mruknął Gorgon - czas grać.

- Za chwilę - rzekł Tembo Laibon, powracając z zielonej sawanny afrykańskiej, gdzie przebywał myślami przez większość czasu. - Przybyło jeszcze dwóch uczestników - dodał.

- Czy stać ich na grę?

- Nikt nie wejdzie do tego pokoju bez zaproszenia - zapewnił go Tembo Laibon. - Stać ich na to.

Na chwilę zapadła cisza i wtedy tablica znajdująca się przed Tembo przesłała mu milczący sygnał. Zmarszczył brwi i rozejrzał się.

- Moje roboty sygnalizują, że przybyło ich trzech.

- Kim jest ten trzeci? - spytała Żelazna Księżna.

- Nie są pewne. Wygląda jak kobieta, ale cały odczyt jest pomyłony.

- Mam nadzieję, że jest ładna - rzekł Syn Człowieczy tonem, który według niego oznaczał szorstki, męski entuzjazm.

Tembo Laibon wystukał polecenie na tablicy.

- Wpuść ich i zobaczmy.

Chwilę później drzwi rozsunęły się, dwóch mężczyzn i kobieta weszli do pokoju. Jeden z mężczyzn był potężnie zbudowany, szeroki w barach, krzepki. Był to Ajax Pierwszy. Reprezentował siłę tej dwójki. Jej mózgiem był drobny i żylasty mężczyzna z kędzierzawą, rudą brodą. Był to Ajax Drugi. Ponad dwadzieścia światów wyznaczyło nagrody za ich schwytanie, a jednak poruszali się swobodnie po granicy zewnętrz-

nej i pierścieniu i niejeden łowca nagród, który ich wytropił, pożałował, że nie wybrał łatwiejszej zwierzyny.

Kobieta ubrana w metalicznie lśniącą, błękitną suknię, miała długie, zaczesane wysoko blond włosy i nosiła naszyjnik z lśniących krwawników, pochodzących z kopalni na Altair III.

- Panowie, prosimy przedstawić waszą towarzyszkę - rzekł Tembo Laibon marszcząc brwi.

- Jestem Helen - poinformowała blondynka nie pytana.

- To nasza żona - wyjaśnił Ajax Drugi.

- Wasza żona? - powtórzyła Żelazna Księżna unosząc wysoko brwi.

- Jego i moja.

- I zawarła związek małżeński z wami obydwoma?

- Tak.

- Nie była zaproszona - powiedział Tembo Laibon. - Musi opuścić pokój.

- To tylko android - wyjaśnił Ajax Pierwszy - nikomu nie będzie przeszkadzać.

- Proszę ją wyłączyć - polecił Tembo.

- Chciałabym popatrzeć - powiedziała Helen.

Tembo Laibon przyglądał się jej.

- Ze względu na wysokość stawek w tej grze, nie możemy narazić się na zarzuty, co do niedotrzymania warunków - wyjaśnił. - Musisz zostać wyłączona.

- Jak można mówić o niedotrzymaniu warunków, jeżeli będzie siedziała za mną i przyglądała się? - spytał Ajax Pierwszy.

- Nie ma pojęcia - odparł Tembo Laibon - może widzi na wylot przez kraty, może kalkuluje prawdopodobieństwo i w jakiś sposób będzie ci przekazywać. To ma znaczenie. Nerwy przy takiej grze są napięte i w trosce o ciebie nie chciałbym,

żeby mówiono, że w sposób nieuczciwy wykorzystałeś innych graczy.

- A co z tym małym zwierzątkiem na jego grzbiecie? - spytał Ajax Pierwszy wskazując na Buko. - Skąd mogę wiedzieć, że ono mu nie pomaga?

- Jest to istota żyjąca w symbiozie, która pomaga utleniać się mojej krwi na planetach o małej sile ciężenia - wyjaśnił Buko.

- To nie jest świat o małej sile ciężenia.

- Dla mnie jest.

- Jeżeli już skończyliście się spierać - powiedział Tembo cierpliwie - to może wyłączysz androida.

- Idź do kąta, Helen - rozkazał i Helen szybko odeszła w najdalszy kąt pokoju. Ajax wydał krótki rozkaz w języku, którego Tembo Laibon nie znał. Oczy Helen zamknęły się, a jej głowa opadła na piersi.

- Zadowolony? - Ajax Pierwszy odwrócił się do stołu.

- Skąd mamy wiedzieć, że ona nie działa? - spytał podejrzliwie Gorgon.

- Wymyśl jakiś tekst i sprawdź - rzekł Ajax Drugi.

- Nie trzeba - zdecydował Tembo. - Firma uznaje, że została wyłączona. - Zwrócił się do Ajaxa Drugiego. - Jest nowa - zauważył.

- Zamówiliśmy ją ponad rok temu. Skończono ją w zeszłym miesiącu. Od tego czasu jest z nami.

- Dlaczego ktoś chciałby się ożenić z androidem? - zapytał Syn Człowieczy ciekawie.

- Czemu nie? - odparł Ajax Drugi. - Lubimy trochę uroczyści i pompy od czasu do czasu.

- Ciekawe - odparła istota wyglądająca jak człowiek - ale, ale... nie byliśmy sobie przedstawieni. Jestem Syn Człowieczy.

- Jesteśmy Ajantami - powiedział Ajax Drugi.

- Przepraszam? - rzekł Syn Człowieczy.

Ajax Drugi uśmiechnął się.

- Nie czytałeś Homera, prawda?

- Kto to był Homer?

- Ja czytałam Homera - wtrąciła się Żelazna Księżna - i o ile dobrze pamiętam w Wojnie Trojańskiej uczestniczył tylko jeden Ajax.

- Źle pamiętasz - odparł Ajax Drugi. - Był Ajax syn Telmona, ogromny wojownik walczący ramię przy ramieniu z Odyseuszem. To on. Ale był również Ajax syn Ojleusa, który był mały, drobny i świetnie rzucał oszczepem. To ja. Zwano ich Ajantami.

- Imiona mnie fascynują - powiedział entuzjastycznie Syn Człowieczy. - W jaki sposób wybraliście wasze?

- Atenia daje nam bezpieczne schronienie i dlatego kiedykolwiek tu przyjeżdżamy, z wdzięczności przyjmujemy imiona ateńskie - wyjaśnił Ajax Drugi.

- Ale dlaczego to samo imię dwukrotnie?

- Dlaczego nie?

- To jest bardzo mylące.

- Nie dla nas - odparł Ajax Drugi.

- A jakie imiona nosicie w innych częściach galaktyki? - spytał Syn Człowieczy.

- To nie twoja sprawa.

- Chciałem tylko nawiązać rozmowę - rzekł Syn Człowieczy nieco rozdrażniony. - Nie widzę powodu tej opryskliwości.

- Nie jestem opryskliwy, ale ostrożny - odrzekł Ajax Drugi.

- Jeżeli jesteś tak zainteresowany pochodzeniem imion, dlaczego nie zapytasz innych?

- Nie potrzebuję - odparł Syn Człowieczy. - Buko i Tembo Laibon to imiona własne, a pochodzenie pozostałych jest oczywiste.

Ajax Drugi uśmiechnął się.

- Tutaj nikt nie używa własnego imienia.

Syn Człowieczy zwrócił się do Tembo:

- Czy to prawda?

- Tak.

- A zatem, co oznacza Tembo Laibon? - zapytał Syn Człowieczy.

- W starożytnym dialekcie, zwanym sahili, oznacza Wódz Słoni.

- Co to jest słoń? - dopytywał się Syn Człowieczy.

Tembo Laibon uśmiechnął się.

- Czy widzisz te dwie białe kolumny? - rzekł wskazując na kły.

- Jaki mają związek z tobą? - spytał Syn Człowieczy.

- Należały do największego słonia ze wszystkich - wyjaśnił Tembo Laibon. - Jestem potomkiem plemienia zwanego Masajami. Polowali na słonie za pomocą dzid, które widzisz tam na ścianie... - przerwał na chwilę. - Ostatniego słonia zabił to cztery tysiące lat temu.

Syn Człowieczy wstał i podszedł do kłów.

- Są jak z drewna - powiedział wreszcie.

- Kiedyś były białe. W jasnym świetle lśniły jak srebro.

- Musiało to być bardzo duże zwierzę - ciągnął Syn Człowieczy wyraźnie pod wrażeniem. - Czy to są jego żebra?

- To są jego zęby.

Syn Człowieczy odrzucił w tył głowę i zaśmiał się.

- Masz niezwykle poczucie humoru.

- To są jego zęby - powtórzył Tembo Laibon.

- Żadne zwierzę, które kiedykolwiek żyło, nie miało tak wielkich zębów - zaprotestował Syn Człowieczy. - Żartujesz z mojej niewiedzy.

- Podoba mi się twoja niewiedza - odparł Tembo Laibon. - Ale tym razem mówię prawdę.

- Niezwykłe - mruknął Syn Człowieczy wracając na swoje miejsce.

Przez długi czas wpatrywał się w Tembo swymi pomarańczowymi oczami.

- Dlaczego jesteś wodzem słoni? Twoje zęby nie są dłuższe niż moje.

- Jestem wodzem słoni, bo tak mówię - odrzekł Tembo Laibon zakłopotany. - Czy chcecie spędzić resztę wieczoru podważając moje prawo do używania takiego imienia, jakie mi się podoba, czy też może gotowi już jesteście do gry?

- Oczywiście, jesteśmy gotowi - rzekł Syn Człowieczy. Mam więcej szczęścia w kartach niż w skłanianiu ciebie do odpowiedzi na grzeczne pytania.

- Te same zasady, co zawsze? - spytał Ajax Drugi.

Laibon przytaknął.

- Żadna waluta używana przez Demokrację nie będzie akceptowana.

- Nawet stalinowskie ruble?

- Nie.

- Akceptowałeś je przecież ostatnim razem - narzekał Ajax Drugi.

- Ostatnim razem nie miałeś nic. innego - odparł Tembo. - Powiedziałem ci wtedy, że nie przyjmę ich następnym razem.

Ajax Drugi zmarszczył brwi.

- A talary Marii Teresy?

- Tylko według zawartości złota.

Ajax Drugi mamrotał coś pod nosem.

- To będzie krótki wieczór - powiedział nieco głośniej.

- Ponieważ nie stawiam, a jedynie rozdaję karty - powiedział Tembo Laibon - ustąpię, jeżeli inni gracze zaakceptują twoje pieniądze. - Rozejrzał się wokół stołu.

- Nie ma mowy - powiedziała Żelazna Księżna - Spędzam większość czasu na unikaniu Demokracji.

- Wszyscy to robimy - przyłączył się Buko.

- A niektórzy z nas - zamruczał Gorgon niskim, gardłowym głosem - mają wątpliwości co do trwałości Demokracji, a zatem nie wierzymy w wartość jej waluty.

- Nie lubię występować przeciw ludziom - stwierdził Syn Człowieczy - ale pieniądze można zbyt łatwo wyśledzić.

Tembo Laibon popatrzył na Ajaxa Drugiego.

- No, to masz odpowiedź - powiedział.

Mały mężczyzna pokiwał głową.

- W porządku - powiedział - punkt dla ciebie.

- Buko - powiedział Tembo Laibon. - Jaką grę wybierasz, jaką stawkę?

Buko zanurzył rękę w woreczku, który był zrobiony ze skóry, uderzając przypominającej skórę ludzką, i wydobyl z niego niewielki, lśniący klejnot. Popatrzył nań przez chwilę, a następnie przesunął na środek stołu.

- Krinjaat - oznajmił.

- Proszę odświeżyć moją pamięć - poprosiła Żelazna Księżna.

Buko wyjaśnił pokrótce zasady krinjaat, gry wywodzącej się z Bindera X, położonego przy granicy wewnętrznej w sercu Galaktyki. Kiedy skończył, wydawała się zupełnie zagubiona i nie zdecydowała się zgłosić stawki.

Syn Człowieczy rozejrzał się wśród swoich wygranych i wydobył przepiękną, złotą figurkę. Podniósł ją, aby Buko mógł ją obejrzeć i umieścić ją na środku stołu obok klejnotu, skoro tylko czerwony obcy wyraził zgodę. Gorgon i Ajanci przyłączyli się wkrótce. Gorgon postawił nieoszlifowany diament, a Ajanci delikatną kryształową rzeźbę. Tembo Laibon rozdał każdemu po sześć kart, trzy odkryte, trzy zakryte. Nastąpiły dalsze zakłady i wymiana kart, i w końcu Gorgon zgarnął wygraną.

Tembo Laibon wybrał mały, kryształowy wisiołek z wygranej jako prowizję dla firmy. Następnie spojrział przez stół na Żelazną Księżną.

- Pani gra i stawka.

- Poker - powiedziała rzucając diamentową bransoletkę na stół.

Gra trwała przez dalsze dziewięćdziesiąt minut. Gorgon i Syn Człowieczy wygrywali najczęściej. Żelazna Księżna uniknęła większej przegranej, natomiast Ajanci przegrali tak dużo, że w końcu obstawiali jedynie gry wymyślone przez ludzi.

Gdy burza szalała nadal za oknem oświetlając pokój seriami martwych, błękitnych rozbłysków, Tembo Laibon ogłosił dziesięciominutową przerwę.

Gorgon natychmiast wstał i ruszył ciężko przez drzwi do głównej sali tawerny.

- Przecież dopiero przyjechaliśmy - zaprotestował Ajax Pierwszy.

- Niektórzy z nas nie ruszyli się od stołu od czterech godzin - rzekł Buko wstając zza stołu i rozprostowując swe gądzie odnóży.

- Słusznie - przyłączyła się Żelazna Księżna. - Gdyby Tembo Laibon nie ogłosił przerwy, zrobiłbym to ja.

Zaczęła gimnastykować swoje palce jeden po drugim, badając je z zainteresowaniem mechanika.

- Sam bym się napił - powiedział Ajax Drugi. - Myślę, że złożę wizytę w barze.

- Co u diabła - powiedział jego partner. - Idę z tobą.

Ajantowie podeszli do drzwi, które otworzyły się na chwilę, tak że zdążyli przejść.

- Nic się nie poprawili od ostatniego razu - zauważył Buko z uśmiechem.

- Grałeś już z nimi? - spytała Żelazna Księżna.

- Dwa razy - rzekł Buko. - Można było się spodziewać, że już zdążyli poznać swoje możliwości.

- Duży Ajax jest gorszym graczem - dodał Syn Człowieczy.

- Błefuje, gdy powinien się wycofać, a wycofuje się, kiedy powinien blefować.

- Może powinienem zapraszać jedynie graczy, którzy są lepsi od was - zauważył kwaśno Tembo Laibon.

- To nie jest konieczne - powiedziała Żelazna Księżna. - Muszą być głupi i bogaci, a świetnie damy sobie radę.

- Gdy przegrają jeszcze dwa albo trzy rozdania, będą splukani - zauważył Syn Człowieczy wstając i podchodząc do kłów, żeby je lepiej obejrzeć.

- Wtedy ograbią następny bank, żeby uzupełnić zasoby - powiedział Buko.

- To tym się zajmują? - zapytał Syn Człowieczy.

- Tak, kiedy nie przegrywają w karty - odparł Tembo Laibon.

- Uważam, że nie ma takiego prawa, które by mówiło, że dobry przestępca musi być dobrym graczem - stwierdził Syn Człowieczy w zamyśleniu. - Czy dlatego tylko rozdajesz i nigdy nie grasz? - zwrócił się do Tembo.

- Pobieram dziesięć procent od każdej wygranej - odparł Tembo Laibon. - Po co miałbym grać?

- Oczywiście dla przyjemności - rzekł Syn Człowieczy.

- Znam większe przyjemności.

Syn Człowieczy wskazał na cztery wypchane głowy.

- Na przykład zabijanie zwierząt?

- Jeżeli robi się to honorowo... - odparł Tembo.

- Wierzę, że zabijanie ma w sobie więcej honoru niż twoje przesadzone opowieści - powiedział Syn Człowieczy. - Czyż można wyobrazić sobie polowanie na coś z takimi zębami - tu wskazał na kły - i to tylko z dzidą?

- Zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, jakie szkody można wyrządzić dzidą - odparł spokojnie Tembo Laibon.

- Czy polowałeś kiedykolwiek z dzidą?

- Nie.

- A zatem skąd wiesz? - dopytywał się Syn Człowieczy.

- To moja spuścizna.

- I te kły są także częścią twojej spuścizny?

- Tak.

Syn Człowieczy patrzył na kły.

- Gdzie można było spotkać słonie?

- W Afryce.

- Ach, Afryka! - powiedział Syn Człowieczy z łaskawym uśmiechem. - Tajemniczy Czarny Ląd, zajmujący dwadzieścia procent powierzchni Ziemi. Tam, gdzie jest Kilimandżaro i Sahara.

- Dobrze się przygotowałeś - zauważył Tembo Laibon.

- Oczywiście - przyznał Syn Człowieczy - to również i moja spuścizna.

- Afryka?

- Ziemia.

- Byłeś tam? - spytał Tembo.

- Oczywiście - odrzekł Syn Człowieczy. - A Ty?

Tembo Laibon potrząsnął głową.

- Niewiele tam do oglądania.

- Ależ mój drogi! Mylisz się całkowicie! Ziemia jest prawdziwym rajem!

- Dlaczego, w takim razie, prawie wszyscy ją opuścili? - zapytał Tembo.

- Ponieważ człowiek zawsze reaguje na wyzwanie - odrzekł Syn Człowieczy. - Nie może być innego wytłumaczenia.

- I ja tak myślę.

- Musisz tam kiedyś pojechać.

- Chyba nie - odparł Tembo. - Tam, gdzie żyło moje plemię, zbudowano wielkie miasto.

- A gdzie to było?

- U stóp Kilimandżaro.

- Ach, tak - Syn Człowieczy popisywał się swoją wiedzą. - Miasto Nyerere wspinające się na pół drogi ku szczytowi; ludność - dwa miliony; cztery porty lotnicze; jeden port kosmiczny. Jest tam również wspaniała rzeźba Wayrossa. Chyba chciałbyś zobaczyć to чудо?

- Nie.

- Ależ, dlaczego?

Ciemne oczy Tembo Laibona zabłyśły nagle zadawnioną nienawiścią.

- Ponieważ Julius Nyerere należał do plemienia Zanake, a miasto noszące jego imię zbudowano na ziemi Masajów.

- Miasto Nyerere zbudowano ponad trzy tysiące lat temu - odparł Syn Człowieczy. - Jakąż różnicę może stanowić to dziś, szczególnie dla kogoś, kto nigdy nie był na Ziemi?

- Jestem Masajem - powiedział Tembo Laibon twardo - i stanowi to dla mnie różnicę.

- Jesteś człowiekiem, a wszyscy ludzie są braćmi - rzekł Syn Człowieczy. - Musimy martwić się o obcych, a nie o siebie samych.

- Powiedziane ze znajomością rzeczy - odparł Laibon z pewną ironią.

Gorgon wrócił do pokoju i doczłapał się do krzesła. W chwilę później wróciło dwóch wzmocnionych alkoholem Ajan-tów.

- Czy jesteśmy gotowi? - spytała Żelazna Księżna, która wreszcie skończyła badać swe sztuczne kości i mechaniczne złącza.

Tembo Laibon skinął głową i zajął swoje miejsce.

- Jesteśmy gotowi - przytaknął zwracając się do Ajaxa Pierwszego. - Jaka jest twoja gra i stawka?

- Poker pięciokartowy - oznajmił Ajax Pierwszy zdejmując z palca pierścień z diamentem i kładąc go na środku stołu.

Tembo rozdał karty, a następnie rozsiadł się na krześle i obserwował graczy.

Uznał, że Gorgon był jak dawno wymarły nosorożec, zapalczywy, podatny na nagłe napady wściekłości, ale zbyt głupi, żeby przeżyć wśród takich wojowników jak Syn Człowieczy i Żelazna Księżna. Był zabytkiem minionych dni, kiedy atak bezpośredni był najbardziej skuteczny. Nigdy nie blefował, nigdy nie starał się ograniczać przegranych. Po prostu parł do przodu. Jeżeli miał szczęście. Jeżeli słońce świeciło w oczy wojownikom lub nie mogli przed nim umknąć w wysokich trawach, wówczas wygrywał potyczkę, tak jak to miało miejsce tego wieczora. Ale wojny nigdy nie mógł wygrać.

Ajax Drugi analizował karty, następnie kręcił głową i wycofywał się z gry. To srebrnogrzywy szakał - pomyślał Tembo Laibon. Konfrontacja po prostu nie leży w jego charakterze. Krąży, ukrywa się, mami, pochlebia... ale nigdy nie stanie oko w oko z większym drapieżnikiem, gdy czeka na swoją kolej, by zabić. Czasami jednak przebiegłość to nie wszystko, a dziś szakał pozostanie głodny.

Syn Człowieczy tylko z trudem mógł ukryć szyderstwo na swej prawie ludzkiej twarzy, kładąc duży szafir na środku stołu. Tembo Laibon spojrzał na stos piętrzących się przed nim wygranych i zdecydował, że był on hieną w tej małej menażerii Domu Błękitnych Świąteł. Hiena chichocząca, szczerząca szyderczo kły, siedlisko duchów zmarłych, była najskuteczniejszym z drapieżników. Ale jej przenikliwy, irytujący śmiech i potwornie zniekształcone ciało powodowały, że była pogardzana i znienawidzona przez inne zwierzęta. Podobnie jak Syn Człowieczy był pogardzany i znienawidzony przez ludzi i obcych. Ta rzecz, która wyglądała jak człowiek, chichotała radośnie, gdy Buko wyrównał jej stawkę, a następnie odwróciła się i mrugnęła do Tembo Laibona. Tak - pomyślał Tembo z niechęcią - prawdziwa hiena.

Zwrócił wzrok na Buko o gadzim wyglądzie. Wąż, może mamba? Nie, wąż był zbyt przebiegły i nieszczerzy. Buko był krokodylem,

szybkim i zwinnym. Jego pokryta łuskami skóra lśniła w słońcu tak, jak lśniła skóra Buko w świetle wyładowań w atmosferze Atenii. Ukryty pod mroczną powierzchnią, krokodyl zbliżał się niewidoczny i wtedy uderzał, tak właśnie jak Buko postępował przez cały wieczór z Ajantami - pozostawał w cieniu, nigdy nie ujawniał się, wciągając ich głębiej i głębiej w

rzekę zatracenia i otwierając swą przerażającą paszczę dopiero wtedy, kiedy byli zbyt daleko od brzegu, by uciekać.

Ajax Pierwszy jeszcze raz popatrzył na swoje karty, zmarszczył brwi, a następnie zdjął z szyi platynowy, ozdobiony drogimi kamieniami wisior i rzucił go na rosnący stos na środku stołu. Tembo Laibon przyglądał mu się uważnie. Lew - zadecydował. To jednak nie wielki patriarcha z czarną grzywą, taki, jakie wojownicy Masajów zbrojni jedynie w tarcze i dzidy spotykali w śmiertelnej walce w czasie ceremonii wkraczania w wiek męski, ale młody samiec, który jeszcze nie opanował sztuki polowania, który podchodził swój łup idąc z wiatrem, który następował na suche gałęzie, który pozwalał pomrukowi nadziei wymknąć się z gardła. To właśnie on przegrał większość niewielkiego majątku Ajantów, to on w dwójnasób utrudnił łowy Ajaxowi Drugiemu i zawsze dawał zwierzynie szansę ucieczki, demonstrując swoją siłę zbyt wcześnie. Tak - zadecydował Tembo - młody lew, który podobnie jak szakal będzie głodny dziś wieczór.

Na koniec oczy jego zatrzymały się na Żelaznej Księżnej. To był lampart: mały, zwinny, dziki, inteligentny, o wiele bardziej niebezpieczny niż zwierzęta dwukrotnie większe. Tak jak lampart umiała przystosować się do terenu. Potrafiła zmylić łatwo poddającego się sugestii Syna Człowieczego i ostrożnego Ajaxą Drugiego. Cofała się przed szarżującym Gorgonem i głodnym Ajaxem Pierwszym. Tego wieczora nie miała dobrej karty - nawet lamparty nie zawsze łowią tłuste, soczyste antylopy. Ale mimo to wygrywała, bo lamparty zawsze wygrywają.

Tembo Laibon westchnął i rozparł się w krześle patrząc na swoje odbicie w oknie wśród wyładowań.

A jakim zwierzęciem jesteś ty, Królu Słoni, który nigdy nie byłeś bliżej niż o pięćdziesiąt lat świetlnych od sawanny, mat-

ki twojego plemienia? Czy wypełniasz obowiązek, jaki nadało ci twoje imię najsilniejszego i najmądrszego wśród wszystkich żyjących?

Patrzył na swoje odbicie przez dłuższą chwilę. Nie - zdecydował - nie jestem ani słoniem, ani żadnym innym zwierzęciem. Jestem strażnikiem spuścizny Masajów, jestem strażnikiem dwóch płomieni naszej dawnej wielkości, który je podtrzymuje do dnia, kiedy wróżby spełniają się, bogowie zaczną chodzić po ziemi, a wyschnięte drzewo Masajów znowu zakwitnie. Wyrośliśmy nadzy i dzicy na rozległych równinach Serengeti, wyruszyliśmy jak szarańcza ku gwiazdom i będziemy szli tropem przeznaczenia, dokądkolwiek ono nas zaprowadzi, i w końcu musi zaprowadzić nas do domu.

Tymczasem bezpiecznie jest siedzieć tu, osłonięty przed szalejącymi burzami Atenii, bogacić się na szaleństwie innych ludzi i marzyć o gorącym słońcu Afryki grzejącym w plecy i o ostrym zapachu zwierzyny w nozdrzach.

Spojrzał jeszcze raz na kły. Muszę was wypolerować i oczyścić, muszę was przemienić jeszcze raz w białe złoto, przygotować na dzień, który wciąż jeszcze jest przed nami, ale kiedy nastąpi - nikt nie wie. Zacznę jutro.

Wtedy jednak Tembo Laibon uprzytomnił sobie, że nie może zacząć jutro, ponieważ jutro rozpocznie się następna gra, a pojutrze jeszcze kolejna. On będzie rozdawał karty i będzie starał się nie myśleć o wyglądzie i zapachu graczy, i będzie gromadził udziały w każdej rozgrywce z przeznaczeniem na dzień, kiedy stanie się prawdziwym Tembo Laibonem Masajów.

- Rozdajesz, czy będziesz cały wieczór gapić się w okno? - zapytał Ajax Pierwszy i Tembo zorientował się nagle, że roz-

grywka zakończyła się. Zebrał natychmiast karty i zaczął tasować. Zwrócił się do Ajaxa Drugiego.

- Twoja gra, twoja stawka.

- Poker dobierany - oznajmił Ajax Drugi. Zaczął zaniepokojony szukać po kieszeniach i wydobył w końcu złoty zegarek.

- Za mało - mruknął Gorgon.

- Chcę zobaczyć - odezwał się Tembo Laibon.

Badał zegarek przez chwilę, a następnie zwrócił go Ajaxowi.

- Firma uznaje, że stawka jest za mała.

- Musicie zatem przyjąć to - rzekł Ajax Pierwszy, rzucając na stół garść złotych monet.

Tembo rzucił okiem na grających, a następnie skinął głową.

- Firma przyjmuje je, ale tylko do obecnego rozdania.

Ajax Pierwszy miał właśnie dołożyć nieoszlifowany diament do puli, ale Ajax Drugi schwycił go za rękę.

- To rozdanie pazujesz - powiedział.

- Dlaczego?

- Będę go potrzebował, jeżeli będę stawiał.

- To może ty będziesz pazował, a ja zagram?

- Takie są zasady gry firmy - wtrącił Tembo Laibon. - Ten, kto wybiera grę, ten rozgrywa.

- Rób, co mówię - polecił Ajax Drugi, a jego partner wzruszył ramionami i schował diament do kieszeni.

Buko, Gorgon, Syn Człowieczy i Żelazna Księżna umieścili swoje stawki na środku stołu i Tembo zaczął rozdawać karty.

- Otwarcie? - zwrócił się do grających, gdy już mieli możliwość ocenić swoje karty.

- Dorzuć diament - powiedział Ajax Drugi, a Ajax Pierwszy położył nieoszlifowany diament na stole.

- Masz coś jeszcze?

Ajax Pierwszy pogrzebał w kieszeniach i wyciągnął następny nieoszlifowany diament.

- Dołoż go - rzucił Ajax Drugi.

Buko studiował swoje karty, następnie pokręcił głową i rzucił na stół. Inni grali dalej.

- Karty? - spytał Tembo.

- Trzy - mruknął Gorgon.

- Dwie - powiedziała Żelazna Księżna.

- Nie dobieram - dodał Syn Człowieczy.

Wszyscy popatrzyli przez chwilę na Syna Człowieczego. On uśmiechał się z zadowoleniem.

- Stawki? - spytał Tembo Laibon.

- Czy coś jeszcze mamy? - zapytał mniejszy Ajax.

- Nie - nagle Ajax Pierwszy odwrócił się do wyłączzonego androida. - Chwileczkę, mamy jeszcze jej naszyjnik.

- Przynieś go i dołoż do puli.

- Na pewno? - spytał Ajax Pierwszy.

- Na pewno.

Większy Ajax wstał, zdjął naszyjnik Helen i położył na środku stołu.

Gorgon coś mruknął i nie wyrównał stawki.

Żelazna Księżna uniosła duży rubin w oprawie ze szmaragdów i szafirów oprawionych w platynę. Ajax Drugi skinął głową, a ona dołączyła go do rosnącego stosu stawek.

- Wyrównuję i przebijam - powiedział Syn Człowieczy, obojętnie przesuwając po stole duży szmaragd. Następnie zaczął grzebać w stosie wygranych i wydobył delikatną rzeźbę w

kryształe pochodzącą z Systemu Atriana i ostrożnie postawił ją koło szmaragdu.

- Nic już nie mam - powiedział Ajax Drugi.

- Wymyśl coś - wtrącił się Tembo Laibon.

- Masz żonę - zauważył obojętnie Syn Człowieczy.

- Jej nie stawiam! - odparł Ajax Drugi opryskliwie.

- Musisz wyrównać stawkę albo zrezygnować z gry - przypomniał Tembo.

- Nie zrezygnuję z gry z tymi kartami! Dajcie mi minutę, żeby się zastanowić - skinął na Ajaxa Pierwszego, który obszedł stół, wziął jego karty, rozłożył na tyle, żeby je zobaczyć i natychmiast je zwrócił. Naradzali się szeptem przez chwilę, aż wreszcie Ajax Pierwszy skinął głową.

- Dobrze - powiedział Ajax Drugi. - Wyrównuję i podnoszę.

- Czym? - zapytał Syn Człowieczy.

- Stawiam nasz statek. Jeżeli przegram, przekażę dokumenty.

- A jak opuścisz Atenię? - spytał Laibon.

- Nie przegram.

- Jaka jest wartość statku? - spytała Żelazna Księżna.

- Myślę, że około ośmiuset tysięcy kredytów.

Żelazna Księżna uśmiechnęła się.

- Obawiam się, że nie możemy przyjąć oceny właściciela.

Tembo Laibon włączył swoją konsolę i zadał pytanie. Po kilku sekundach na niewielkim ekranie pojawiła się odpowiedź.

- Pięćset pięćdziesiąt tysięcy kredytów - oznajmił.

- Twoja maszyna oszalała - warknął Ajax Drugi. - Statek jest wart co najmniej siedemset tysięcy.

- Nie w tej grze - odparł spokojnie Tembo i po chwili dodał: - Stawiasz czy pasujesz?

- Stawiam - mruknął gniewnie Ajax Drugi.

Żelazna Księżna położyła na stole jeszcze trzy kamienie szlachetne.

- Musisz dać więcej - zdecydował Tembo po ich obejrzeniu.

Z westchnieniem wybrała małą, złotą figurkę, przytknęła ją na chwilę do ust, a potem położyła na stosie stawek.

- Wyrównuję - powiedział Syn Człowieczy, przesuwając poważną część wcześniejszych wygranych do puli - i przebijam.

- Cholera! - wykrzyknął Ajax Drugi - wiesz przecież, że nic już mi nie zostało.

- To nie moja sprawa - odparł Syn Człowieczy wyniośle.

Tembo Laibon czekał, aż Ajax Drugi uspokoi się.

- Stawiasz czy pasujesz? - spytał wreszcie.

- Nie pasuję. Będziecie musieli przyjąć weksel.

- Weksle nie są dozwolone.

- Nasze weksle są dobre. Każdy o tym wie.

Tembo zwrócił się do Żelaznej Księżnej.

- Czy przyjmiesz weksel?

- Ja go przecież nie znam - odparła.

- A ty? - zwrócił się do Syna Człowieczego.

- Nie chciałbym być pesymistą - odpowiedział - ale jaką wartość mają weksle wystawione przez kogoś, kto jest poszukiwany przez policję i może być złapany zanim je wykupi?

Tembo Laibon zwrócił się do Ajaxa Drugiego.

- Widzisz?

Ajax Drugi raz jeszcze obejrzał swoje karty.

- Wspominaliście coś o Helen - powiedział wreszcie.

- To był tylko żart, mój dobry człowieku - odpowiedział Syn Człowieczy.

- A ja wcale o niej nie wspominałam - dorzuciła Żelazna Księżna z niesmakiem.

- Ale ja nie pasuję - upierał się Ajax Drugi: - Ile mam czasu na zebranie odpowiedniej sumy?

- Nie możesz wyjść z tego pokoju - odparł Tembo Laibon.
- To jest zasada firmy, którą i tak już naruszyłem, pozwalając ci postawić statek, podczas gdy nie masz przy sobie dokumentów rejestracyjnych. Stawiasz to, co przyniosłeś tu, a gdy już nic ci nie zostanie - kończysz grę.

Ajax Drugi popatrzył na niego przez chwilę.

- Sam zebrałeś sporo. Użycz mi pożyczki.

- Nie udzielam pożyczek.

- Znasz mnie od ośmiu lat - nalegał Ajax Drugi. - Wiesz, że jestem wypłacalny.

- To nie ma znaczenia.

- Potrzebuję pożyczki na dziesięć minut. Zapłacę dwadzieścia procent odsetek.

- Nie masz nic pod zastaw.

Ajax Drugi podał Laibonowi karty.

- To jest mój zastaw.

- Zgłaszam sprzeciw - powiedział Syn Człowieczy.

- Nikt mi się nie sprzeciwia w mojej firmie - uciął Tembo podnosząc i oglądając karty. Ajax Drugi miał kierowego strita od siódemki do waleta.

- No, i co? - dopytywał się młodszy Ajax.

Tembo Laibon popatrzył w zamyśleniu na niego i podjął decyzję. Masajowie ostatecznie nie wchodzą w układy z szakalem. Zabijają go lub rzucają mu kość w geście dobroczynnym.

- Nie pożyczę ci pieniędzy - powiedział Tembo Laibon.

- Ale...

- Jeszcze nie skończyłem - przerwał mu Laibon. - Nie pożyczę ci pieniędzy, ale kupię twoje karty.

- Za ile?

- Za połowę tego, co tu przede mną leży.

- Zgódź się - namawiał Ajax Pierwszy. - To najlepsze wyjście.

- A co ze statkiem?

- Jeżeli wygram, to go wam sprzedam.

- Według wyceny księgowej?

Tembo Laibon skinął głową.

- Dobrze - powiedział Ajax Drugi z goryczą. - Zgadzam się.

- Sprzeciwiam się! - zawołał Syn Człowieczy.

- Na jakiej podstawie?

- Sam powiedziałeś - że ten, kto wybrał grę, musi ją rozgrywać.

- I rozgrywał ją tak długo jak mógł - odparł Tembo Laibon. - Jeżeli nie odkupię jego kart, i tak przestanie grać.

- A co ty na to? - Syn Człowieczy zwrócił się do Żelaznej Księżnej.

- Mnie to nie robi różnicy - odparła obojętnie. - Tylko gra-cze się zmieniają, karty nie.

Syn Człowieczy zastanawiał się przez chwilę nad jej od-powiedzią, a następnie skinął głową.

- Cofam swój sprzeciw - powiedział.

Tembo Laibon podzielił stos swoich skarbów na połowy i jedną z nich podsunął Ajaxowi Drugiemu.

- Skończyłeś grę na dziś - powiedział. - Twoje pieniądze i inne skarby nie będą akceptowane przy tym stole dopóki ich nie uzupełnisz.

- Zgadzam się - powiedział Ajax Drugi. - Skończcie to rozdanie, żeby można było wyjść.

Tembo zastanowił się, co wybrać, żeby wyrównać stawkę Syna Człowieczego, a następnie położył kilka klejnotów, wisiorów i rzeźb na stole stawek.

- Sprawdzam - oznajmił.

I wtedy zaatakował lampart.

- A ja przebijam - powiedziała Żelazna Księżna. Syn Człowieczy spojrział na nią zaskoczony, a Tembo Laibon usiłował przypomnieć sobie, ile kart dobrała. Syn Człowieczy znów podniósł stawkę, a Tembo oceniwszy wysokość stawek umieścił resztę swych skarbów w puli.

- I przebijam - powiedziała Żelazna Księżna stawiając błękitnobiały diament pierwszej wody.

Syn Człowieczy tracąc pewność siebie tylko wyrównał stawkę, a następnie spojrział z ciekawością na Tembo.

- Sprawdzam - oznajmił gospodarz.

- Czym? - spytała Żelazna Księżna.

Skinął ręką ku ścianom.

- Każda z tych rzeczy to rzadki okaz muzealny wart setki tysięcy kredytów. Wybierz jakiegokolwiek dwie rzeczy z wyjątkiem kłów.

- Wybieram kły - powiedziała Żelazna Księżna z każdą chwilą wyglądająca bardziej jak urządzenie, a mniej jak istota żywa.

Tembo Laibon potrząsnął głową.

- Inne przedmioty są bardziej wartościowe.

- Nie dla ciebie - powiedziała. - Chcę kły.

- Jestem ich strażnikiem. Nie mogę się z nimi rozstać.

- Jestem strażniczką błękitnego diamentu - odparła Żelazna Księżna. - Wybieram kły, Tembo Laibonie.

- Nie będziesz ich mogła unieść. Co z nimi zrobisz?

- Coś wymyślę.

- Wybierz jakiegokolwiek trzy inne przedmioty - zaproponował Tembo.

Potrząsnęła głową.

- Jeżeli chcesz się z nimi rozstać, to znaczy, że nie są warte mojego diamentu.

- Uznaję, że są.

- Straciłeś prawo do podejmowania takich decyzji, kiedy kupiłeś karty od Ajaxa Drugiego - odparła. - Zgodnie z twoją poprzednią decyzją nie możesz opuścić pokoju, żeby przynieść więcej skarbów.

- Z przykrością głosuję przeciwko gospodarzowi - powiedział Syn Człowieczy. - Ale wiesz, ona ma rację.

Tembo Laibon oparł się na krzesło i jeszcze raz obejrzał karty zagubiony w myślach. Następnie skinął głową. Masajowie nie uciekali przed niebezpieczeństwem.

- Kły - zgodził się.

- W porządku - powiedział Ajax Drugi. - A teraz zobaczymy karty.

Syn Człowieczy pierwszy położył swoje karty. Cztery asy i trójka trefl.

- Za mało - powiedział Tembo wykładając strita.

Wszystkie oczy zwróciły się na Żelazną Księżną.

Uśmiech rozwarł jej plastikowe wargi, ukazując tytanowe zęby. Układała karty na stole jedna po drugiej - dziewiątka pik, dziesiątka pik, walet pik, dama pik, król pik.

Tembo Laibon oszołomiony milczał przez całą minutę. Żelazna Księżna zbierała swoje wygrane.

- Odkupię od ciebie kły - powiedział.

- Nie są na sprzedaż - odparła.

- Dla ciebie są nieprzydatne.

- To wspaniałe trofeum.

- Po co ci trofea? - dopytywał się Tembo Laibon. - Nigdy nie podchodziłaś słoni na równinach Afryki.

- Ale podeszłam ciebie, Tembo Laibonie, w twojej kryjówce i pokonałam w uczciwej i honorowej walce - odparła z uśmiechem. - Kiedykolwiek na nie spojrzę, będę to pamiętała.

Wstała.

- Przyjdę jutro z dwoma pomocnikami. Proszę przygotować kły do wysyłki.

- A co z moim statkiem? - zapytał Ajax.

- Sprzedam ci go z przyjemnością - powiedziała Żelazna Księżna.

- Według wartości księgowej?

- Plus pięćdziesiąt tysięcy kredytów - odparła uśmiechając się.

- To rozbój! - wykrzyknął Ajax Drugi.

- Nie - poprawiła go. - To interes.

- Wiesz, że nie mam przy sobie pieniędzy.

- Za następne pięćdziesiąt tysięcy kredytów zawiozę cię tam, gdzie przechowujesz pieniądze, a następnie przywiozę cię tu po statek.

Mruczał coś pod nosem, a następnie zwrócił się do Tembo Laibona:

- Pożycz mi sześćset tysięcy kredytów. Oddam ci w ciągu dwudziestu czterech godzin.

- Idź do diabła - rzucił Laibon.

- Nie mogę - odparł rozczarowany Ajax Drugi. - Potrzebuję statku.

- Idź do diabła - powtórzył Masaj bezbarwnym głosem. - Ja straciłem znacznie więcej niż statek.

Ajanci zgodzili się ostatecznie na propozycję Żelaznej Księżnej i wyjechali wraz z nią. Zgodnie z obietnicą wróciła następnego ranka i po raz pierwszy od ponad tysiąca lat kły wymknęły się z rąk Masajów.

Czternaście dni później ogromny meteoryt przebił się przez pole siłowe otaczające Olimp i uderzył w Dom Błękitnych Świąteł, zabijając wszystkich obecnych. Tembo Laibon był zaskoczony, że bóg jego przodków potrzebował aż dwóch tygodni, żeby go odnaleźć.

PIERWSZE INTERLUDIUM (ROK 6303 ERY GALAKTYCZNEJ)

Siedziałem za biurkiem, badając hologram autentyczności niemal rekordowego Horndemona z Ansarda IV, kiedy nagle zdałem sobie sprawę, że nie jestem sam.

Potężny, wysoki, dobrze umięśniony mężczyzna stał w drzwiach i patrzył na mnie. Miał czarną skórę i krótko ostrzyżone włosy oraz modne i dobrze skrojone ubranie. Ponieważ prawie nikt mnie nie odwiedza - z wyjątkiem starszych wydawców - pomyślałem, że człowiek ten trafił do niewłaściwego biura.

- Dobry wieczór - powiedziałem. - Czy pan zabłądził?

- Chyba nie - odpowiedział niskim, głosem. - To jest Departament Badań, prawda?

- Tak.

- A czy pan jest Duncanem Rojas?

- Tak - odparłem, przyglądając mu się ciekawie. - Czyśmy się kiedyś spotkali?

- Nie. Nazywam się Bukoba Mandaka.

Wyciągnął rękę, a ja podałem mu swoją. Jego uścisk był mocny i zdecydowany.

- Miło mi pana poznać, panie Mandaka - powiedziałem. -
Co mogę dla pana zrobić?

- W recepcji powiedziano mi, że zajmuje się pan badaniami. Czy to prawda?

- Badaniami i sprawdzaniem autentyczności - odparłem.

- Właśnie o to mi chodziło. Czy mogę usiąść?

- Proszę bardzo - odrzekłem, wskazując na krzesło stojące tuż pod starym hologramem przedstawiającym legendarnego łowcę, Nicobara Lane, pozującego przy ogromnym Bafflediverze, którego właśnie zabił.

Polecił krzesłu zbliżyć się, poczekał aż do niego podpłynęło, odwrócił je tak, żeby siedzieć do mnie przodem i usiadł.

- Potrzebuję pańskiej pomocy, panie Rojas - powiedział spokojnie. - Jestem gotów odpowiednio pana wynagrodzić.

- Jestem całkowicie zadowolony z mojej pracy u Wilforda Braxtona, panie Mandaka - odparłem.

- Wiem o tym. Dlatego właśnie pana poszukiwałem.

- Obawiam się, że pan mnie nie zrozumiał - powiedziałem.

- Jestem całkowicie zadowolony z mojej pracy i mojego stanowiska i nie mam zamiaru tej pracy zmieniać.

- Gdyby pan zmienił pracę, całkowicie straciłby pan dla mnie jakąkolwiek wartość - zapewnił mnie. - To niezmiernie ważne, żeby miał pan dostęp do wszystkich danych Braxtona.

Nachylił się do mnie z przejęciem.

- Chciałbym, żeby pan pracował dla mnie właśnie tu, w tym biurze, po godzinach i w czasie dni wolnych. Przy odrobienie szczęścia wystarczy kilka wieczorów.

- Nie mógłbym się podjąć tego zadania bez zgody firmy.

- Już ją uzyskałem - powiedział Mandaka.

- Ach, tak - powiedziałem zaskoczony.

- Tak.

- A co chciałby pan, żebym zrobił?

- Chciałbym, żeby pan coś dla mnie znalazł, panie Rojas - odparł poważnie. - Coś, co zaginęło przed wielu, wielu laty.

- Jak dawno? - spytałem.

- Ponad trzy tysiące lat temu.

- Trzy tysiące lat - powtórzyłem z niedowierzaniem. - Pan chyba żartuje. Ale jeżeli to prawda, to proszę pamiętać, że mam mnóstwo pracy i...

Położył holograficzne poświadczenie na dwadzieścia tysięcy kredytów na biurku.

- Wystawione jest na pańskie nazwisko i może być zrealizowane w każdym oddziale mojego banku, po zweryfikowaniu wzoru pańskiej siatkówki, struktury kostnej i odcisku kciuka. Czy to wygląda na żarty?

Podniosłem poświadczenie i przyjrzałem mu się. Wyglądało autentycznie.

- Nie - przyznałem. - To nie wygląda na żarty Proszę, niech pan mówi dalej.

- To jest tylko zaliczka - powiedział. - Kiedy znajdzie pan to, czego szukam, przekażę kolejne trzydzieści tysięcy kredytów na wskazany przez pana rachunek.

Usiłowałem ukryć zaskoczenie. Przez długą chwilą patrzyłem w zamyśleniu na moje splecione palce i zacząłem się zastanawiać, jakież to usługi można wyświadczyć w ciągu dwóch czy trzech wieczorów, które przedstawiałyby tak wysoką wartość.

- Czego pan szuka, panie Mandaka? - spytałem wreszcie. - I w jaki sposób mogę panu pomóc?

- Poszukuję kłów słonia Kilimandżaro - odparł.

- Widziałem zdjęcia słoni w książkach i w muzeach - powiedziałem. - Ale nic nie wiem o jakimkolwiek zwierzęciu, które nazywałoby się słoń Kilimandżaro.

- Ależ wie pan.

- Wiem? - powiedziałem zaskoczony.

- Powiedzmy raczej, że wiadomo o nim z Records o Big Game Wilforda Braxtona - poprawił się. - Wyda liście czterysta dziewięć wydań: osiemdziesiąt dwa pod firmą Rowland Ward i trzysta dwadzieścia siedem od czasu nabycia firmy Ward przez Braxtona, a w każdym z nich, poczynając od wydania trzeciego, wymienia się słonia Kilimandżaro.

- Tak... i tu mamy problem, panie Mandaka - powiedziałem. - Nasze ostatnie wydanie ziemskie zostało opublikowane prawie siedemset lat temu, kiedy zabito ostatniego ptaka. Ponieważ od tego czasu nie było możliwości ustanowienia nowych rekordów, żadne nowe wydanie nie było potrzebne. Obecnie koncentrujemy się na Quinellusie i Gwiazdozbiorze Albionu.

- Jednak muzea i kolekcjonerzy w całej Wspólnocie używają Braxtona dla sprawdzenia autentyczności swoich zbiorów.

- Tak - przyznałem. - Ale informacje na temat tych kłów będą przestarzałe o siedemset lat.

- W rzeczywistości informacje Wilforda Braxtona są przestarzałe o ponad trzy tysiące lat. Jeżeli istniałyby jakiegokolwiek aktualne informacje, nie proponowałbym panu pięćdziesięciu tysięcy kredytów za ich zlokalizowanie.

Przerwał i wpatrywał się we mnie intensywnie.

- Czy przyjmie pan moje zlecenie? Oczywiście gotów jestem pokryć wszystkie koszty pracy komputerów i opłaty związane z dostępem do informacji.

- Przeanalizujemy szczegółowo, co trzeba będzie zrobić, i zobaczymy, czy będziemy nadal zainteresowani sprawą - zaproponowałem ostrożnie.

- Zgoda - powiedział. - Ale chciałbym powiedzieć, że jeżeli nie zgodzi się pan pracować dla mnie, to zaangażuję któregoś z pańskich asystentów.

Jego oczy zapłonęły nagle gniewnym ogniem.

- Nikt mi nie przeszkodzi w moim przedsięwzięciu, panie Rojas.

- Rozumiem - powiedziałem, chociaż naprawdę niczego nie rozumiałem. - Będę potrzebował pewnych informacji podstawowych - dodałem uspokajająco. - Zaczniemy od tego, że w katalogu podajemy dwieście najwspanialszych trofeów z każdego gatunku. Jak poznamy, które z nich należą do pańskiego słonia Kilimandżaro?

- Był największy z nich wszystkich.

- Było to największe trofeum?

Mandaka skinał głową.

- O ile dobrze pamiętam, były dwa zasadniczo różne podgatunki słoni. A pański był jaki?

- Afrykański.

- Chwileczkę - powiedziałem zwracając się do małego, lśniącego kryształu na moim biurku - komputer?

- Gotów - odpowiedział kryształ.

- Sprawdzić czterysta dziewięć wydanie ziemskie: tytuł - słoń, podtytuł - afrykański.

- Wykonane.

- Jakie są dane o największym trofeum?

- Lewy kiel: dwieście dwadzieścia sześć funtów, prawy kiel: dwieście czternaście funtów. - Następnie komputer podał dane na temat długości i obwodu każdego z kłów.

- Czy to pański słoń, panie Mandaka?

- Tak.

- Komputer... Kto był właścicielem trofeum w momencie ukazania się czterysta dziewiątego wydania?

- Nie wiadomo.

- Czy jacyś kolekcjonerzy lub muzea zwracali się do nas o sprawdzenie autentyczności identycznych lub podobnych okazów od czasu ukazania się czterysta dziewiątego wydania ziemskiego?

- Sprawdzenie... nie.

- Sprawdzić w poprzednich wydaniach, kto był ostatnim właścicielem kłów.

- Sprawdzenie... Ostatnim zanotowanym właścicielem był Tembo Laibon z Beta Greco IX zwanej też Atenią. Informacja pochodzi z trzysta dwudziestego drugiego wydania z 3042 roku Ery Galaktycznej. Trzysta dwudzieste trzecie wydanie z 3057 roku nie podaje właściciela.

- Dziękuję, komputer. Dezaktywacja... - Odwróciłem się do Mandaki. - Doceniam pańską ofertę - powiedziałem - ale nie chciałbym brać pańskich pieniędzy nie uświadomiwszy panu, że szanse sukcesu są minimalne. Mówimy ostatecznie o parze kłów, które zniknęły ponad trzy tysiące lat temu.

- Wyczerpałem wszelkie inne możliwości - odpowiedział.
- Gdzieś w pańskich aktach, w pamięci komputera lub w korespondencji musi być jakiś ślad, jakiś trop, za którym można będzie pójść, żeby trafić na kły.

- Nie wiem, czy dobrze pana rozumiem - powiedziałem. - Zaproponował mi pan dwadzieścia tysięcy kredytów za próbę zlokalizowania kłów. A jeżeli mi się nie uda, czy mam pieniądze zwrócić?

- Nie, jeżeli pan się rzeczywiście postara.

- A następne trzydzieści tysięcy otrzymam, jeżeli je znajdę?

Skinął głową.

- Ale zdaje pan sobie sprawę, że będę zajmował się tym zagadnieniem tylko wieczorami i w czasie wolnym?

- Tak.

- W takim razie - powiedziałem odchylając się na krześle - zgadzam się pracować dla pana. Będę potrzebował wszelkich informacji, jakich może mi pan udzielić. Komputer... zapisać tę część rozmowy.

- Zapis gotów - zgłosił się komputer.

- Panie Mandaka - powiedziałem - co może mi pan o nich powiedzieć?

- Niewiele więcej niż pański komputer - odparł. - Wiem, że Tembo Laibon stracił je przy grze w karty z cyborgiem zwanym Żelazną Księżną, a ona z kolei zniknęła z pola widzenia w roku 3043 Ery Galaktycznej.

- Czy nie ma informacji, co się z nią stało?

- Była kryminalistką - powiedział Mandaka wzruszając ramionami - miała na pewno wrogów... - przerwał. - Jeżeli kły nie są w jakimś muzeum, a pański komputer zdaje się to sugerować, mogły setki razy zmienić właściciela od czasu, gdy wygrała je Żelazna Księżna. Myślę, że usiłowanie sprawdzenia, co stało się z każdym kolejnym właścicielem będzie bezowocne, szczególnie, że wielu z nich żyło na obszarach granicy zewnętrznej i wewnętrznej, gdzie zapisy są w najlepszym przypadku niepełne. Poza tym - dodał - oni wszyscy już nie żyją, natomiast kły istnieją. Poszukiwanie samych kłów jest najśluszniejszym sposobem działania.

- Czemu jest pan pewien, że kły nadal istnieją?

- Wiedziałbym, gdyby nie istniały - odparł z absolutną pewnością.

- W jaki sposób?

- Wiedziałbym - powtórzył tonem wykluczającym wszelką dalszą dyskusję na ten temat.

- Moje następne pytanie nie ma nic wspólnego z poszukiwaniem, ale nie mogę powstrzymać swej ciekawości. Co pan ma zamiar zrobić, gdy już znajdę kły?

- Kupić je - odparł natychmiast.

- A jeżeli właściciel nie będzie chciał ich sprzedać?

- Będzie chciał - powiedział Mandaka z taką pewnością, że nie uważałem za słuszne pytać, skąd to przekonanie.

- Jaka jest ich przybliżona wartość? - spytałem.

- Myślałem, że to pan jest ekspertem.

- Wilford Braxton jest jedynie Organizacją rejestrującą okazy, ale nimi nie handluje - wyjaśniłem.

- Nie mam pojęcia, jaką mogą przedstawiać wartość dla muzeum lub dla zbieracza, ale ja osobiście jestem gotów zapłacić za nie dwa miliony kredytów.

- To dużo pieniędzy - stwierdziłem zaszokowany.

- Są dla mnie niezmiernie ważne.

- I ostatnie pytanie. Sam słoń nie żyje od prawie siedmiu tysięcy lat. Kły zaginęły niemal trzy tysiące lat temu. Dlaczego pan tak się nimi interesuje? Co one mają w sobie takiego, że chce pan poświęcić fortunę dla ich zdobycia?

- Nie przypuszczam, żeby mi pan uwierzył, gdy panu powiem - powiedział Mandaka.

- To możliwe - odparłem. - Ale czemu pan mi nie powie i nie pozwoli samemu zdecydować?

- Gdy się lepiej poznamy, panie Rojas.

- Czy to w tej chwili jedyna odpowiedź?

- W tej chwili - powiedział wstając i odsyłając krzesło na dawne miejsce. - Nie chciałbym dłużej panu przeszkadzać, panie Rojas. Chciałbym, żeby pan był wypoczęty) gdy zaczniesz pan poszukiwania kłów dziś wieczorem.

- Jak mam się z panem skontaktować, kiedy je znajdę?

- Ja się z panem skontaktuję - odpowiedział. Podeszedł do drzwi i odwrócił się do mnie. - Nie umiem wyrazić w pełni, jak ogromne znaczenie ma ich odnalezienie. Jest pan może ostatnią nadzieją dla mojego plemienia.

- Dla plemienia? - powtórzyłem nie rozumiejąc. - Przecież jest pan człowiekiem.

- Jestem także Masajem - odpowiedział równocześnie z dumą i ze smutkiem - a dokładniej ostatnim z Masajów.

Wyszedł.

Dużo czasu upłynęło zanim ponownie zająłem się analizowaniem hologramu Horndemona.

* * *

Wróciłem do biura po obiedzie, zamknąłem drzwi, poleciłem leżance przybrać kształt klubowego fotela i wygodnie się na nim rozłożyłem.

- Proszę o delikatną wibrację - poleciłem.

- Tak jest - odpowiedziała leżanka i miłe drzenie wypełniło moje ciało.

- Trochę ciepła na kark.

- Tak jest.

- Chciałbym zobaczyć jakiś widok.

Ściana biura stała się nagle przejrzysta i światła miasta wypełniły pokój. Moja odzież natychmiast dopasowała się kolorystycznie, tracąc barwne odcienie noszone wewnątrz budynków i przybierając stateczną, brązową barwę.

- Dziękuję - powiedziałem. - Komputer?

Kryształ na moim biurku zapłonął jasnym światłem.

- Gotów. - odpowiedział.

- Proszę wydobyć z pamięci rozmowę z Bukoba Mandaką.

- Wydobyta.

- Czy rozumiesz, jakie otrzymałem zadanie?

- Otrzymał pan zadanie zlokalizowania kłów zwierzęcia, zwanego słoń Kilimandżaro.

- Tak. Żeby mi pomóc będziesz musiał sięgnąć do innego źródła, ponieważ twoje dane kończą się na czterysta dziewięćtych wydaniu. Znając istotę problemu, jakie źródła zaproponujesz?

- Jeżeli kły zostały ostatnio skatalogowane, to będzie można je znaleźć w Centralnym Rejestrze Podatków od Własności na Delurosie VIII - odpowiedział komputer.

- Nawet jeżeli są w posiadaniu organizacji nie płacącej podatków, takiej jak muzeum?

- Prawo wymaga nawet od instytucji nie płacących podatków zgłoszenia stanu posiadania.

Zastanawiałem się przez chwilę, a następnie pokręciłem głową.

- Mandaka powiedział, że jestem jego ostatnią nadzieją. Jeżeli zlokalizowanie kłów byłoby tak łatwe, sam by je już znalazł.

- Mogę to sprawdzić w czasie krótszym niż dwie minuty - powiedział komputer.

- Sprawdź, ale myślę, że to strata czasu.

- Sprawdzam...

- Myślę, że tymczasem warto sprawdzić dokładnie, jak te kły wyglądają, żebym mógł je rozpoznać, gdy już je zobaczę. Czy masz w pamięci jakieś hologramy?

- Nie, ale mam dwie fotografie zrobione jeszcze przed początkiem Ery Galaktycznej.

- Chcę zobaczyć.

Obraz niewielkiej, czarno-białej fotografii pojawił się nagle przede mną w powietrzu.

- Proszę dopasować kąt.

Oparcie mego fotela podniosło się powoli do pionu.

- Potrzebuję powiększenia.

Fotografia stała się trzykrotnie większa. Przedstawiała dwóch biało odzianych mężczyzn. Każdy podtrzymywał jeden kiel, który wznosił się mu ponad głowę. Fotografia zniknęła i została zastąpiona przez inną, przedstawiającą kły wystawione w muzeum.

- To musiał być potwór - powiedziałem zdumiony proporcjami kłów.

- To był słoń - powiedział mój bardzo dokładny komputer.

- Miałem na myśli to, że musiał być olbrzymi - wyjaśniłem.

- Brak informacji.

- Brak informacji? - powtórzyłem zaskoczony. - Jak to możliwe?

- Dane są niekompletne - odpowiedział komputer.

Druga fotografia zniknęła i została zastąpiona stroną z hasłem „Słoń afrykański” z czterysta dziewiątego wydania ziemskiego Records of Big Game.

- Proszę zwrócić uwagę - kontynuował komputer - że ani data śmierci, ani nazwisko łowcy nie są ujawnione. Ponadto, wszystkie inne wymienione słonie mają zmierzoną wysokość w karku i długość ciała od czubka trąby do końca ogona. Nie ma natomiast wymiarów słonia Kilimandżaro.

- A we wcześniejszych wydaniach?
- Brak danych we wszystkich wydaniach.
- Nawet w tym, które było współczesne zwierzęciu?
- Tak.

Przez chwilę zastanawiałem się nad informacjami komputera.

- A zatem nikt nic nie wiedział o zwierzęciu, nawet kiedy byliśmy jeszcze uwięzieni na Ziemi. Kły zaś zniknęły zupełnie trzy tysiące lat temu - powiedziałem z westchnieniem. - Mam nadzieję, że dość mi płacą za tę sprawę.

- Informacja... Centralny Rejestr Podatków od Własności na Delurosie VIII nie ma adnotacji o kłach słonia Kilimandżaro.

- Nie liczyłem na to, że tam będzie - powiedziałem.

Prywatny samochód powietrzny błysnął światłami do wnętrza biura na pół oślepiając mnie i ściana zmieniła się natchmiast z przezroczystej w matową. Kolor mego ubrania także uległ zmianie.

- W porządku - powiedziałem w końcu. - Zacznijmy ód tego, co wiemy o kłach. Proszę podać mi ich historię od pierwszej wzmianki.

- Kły zostały zakupione przez amerykańską spółkę na aukcji przeprowadzonej na wyspie zwanej Zanzibar w roku 1898 po narodzeniu Chrystusa. Zostały wysłane do Anglii, gdzie British Museum zakupiło większy kieł w 1899 roku. Mniejszy był wielokrotnie kupowany i sprzedawany, zanim British Museum nabyło go w 1932 roku. Pozostawały tam do 2057 roku, kiedy to zostały ofiarowane Republice Kenii i umieszczone w National Museum w Nairobi. W 2845 roku zostały zabrane z Ziemi i umieszczone w Natural History Museum na Nowej Kenii. Zniknęły w 16 roku Ery Galaktycznej. Pojawiły się na krótko na Alpha Bednari w 882 roku EG, i zniknęły na następne osiem

stuleci, by znów pojawić się w 1701 roku EG na Granicy Zewnętrznej w prywatnej kolekcji Masaja o nazwisku Laibon. Pozostawały własnością spadkobierców Masaja Laibona aż do roku 3042, kiedy to Tembo Laibon stracił je, i tu wszystkie informacje się kończą. Zgodnie z informacjami Bukoba Mandaki, Tembo Laibon przegrał je w karty z kobietą zwaną Żelazną Księżną, ale tego już nie można sprawdzić.

- To ciekawe - zastanawiałem się - ciekawe, czy jest tu jakiś związek.

- Nie rozumiem - powiedział komputer.

- Czy Bukoba Mandaka nie powiedział, że jest Masajem?

— Sprawdzam... tak jest.

- A jednym z właścicieli kłów był Masaj o nazwisku Laibon. Czy mogą być spokrewnieni?

- Dla sprawdzenia muszę skorzystać z zewnętrznego źródła.

- Sprawdź i dowiedz się przy okazji, co to takiego Masaj.

- Sprawdzam... - przerwą trwała prawie dwie minuty - brak danych powoduje, że nie można mieć całkowitej pewności. Istnieje jednak 98,37 procentu prawdopodobieństwa, że Bukoba Mandaka jest potomkiem Masaja Laibona.

- Proszę wyjaśnić.

- W okresie życia Masaja Laibona istniało mniej niż dwa i pół tysiąca Masajów, a liczba ich zmniejszyła się gwałtownie w czasie minionych czterech tysiącleci. Ponieważ Masajowie ściśle przestrzegają zwyczaju zawierania związków małżeńskich tylko z członkiem swojego plemienia, prawdopodobieństwo pokrewieństwa pomiędzy Masajem Laibonem, a Bukoba Mandaką wynosi 98,37 procentu.

- Co to jest Masaj? - spytałem.

- Przed nastaniem Ery Galaktycznej ludzkość dzieliła się na liczne grupy społeczne i polityczne, a każda z tych grup miała własne zwyczaje i cechy charakterystyczne. Masajowie byli jedną z dwóch tysięcy stu trzech takich grup zamieszkujących kontynent afrykański.

- Widzę również, że Masaj Laibon i Tembo Laibon noszą to samo nazwisko rodowe, ale Bukoba Mandaka ma inne - zauważyłem.

- Laibon, to nie nazwisko, a raczej tytuł. W martwym języku ziemskim, zwanym suahili, Masaj Laibon znaczy król lub wódz Masajów, zaś Tembo Laibon znaczy król lub wódz słoni.

- Czy Bukoba Mandaka też coś znaczy w języku suahili?

- Nie.

- A zatem, jeżeli Bukoba Mandaka jest potomkiem Masaja Laibona i Tembo Laibona możemy wnioskować, że Masajowie byli zainteresowani kłami przez ponad cztery tysiące pięćset lat?

- Nie - odpowiedział komputer. - Taki wniosek można wyciągnąć tylko w odniesieniu do Masajów, którzy posiadali kły w okresie 1701-3042 EG.

- Wskazałeś na niewielką ich liczbę. Czy nie ma to większego znaczenia, że Masajowie są tak ściśle związani z historią kłów?

- Niekoniecznie. Nie wiemy dlaczego i w jaki sposób Masaj Laibon wszedł w ich posiadanie, ale warte są dużo pieniędzy. Istnieje

możliwość, że rodzina przetrzymywała kły oczekując na wzrost ich wartości.

- Nie zgadzam się - powiedziałem. - Mandaka nie chce ich sprzedać, tylko kupić... Chciałbym wiedzieć dlaczego.

- Brak danych do udzielenia odpowiedzi.

- Wiem - powiedziałem z westchnieniem. - To wszystko jest bardzo interesujące, ale nie przybliży nas do kłów. Lepiej zabierzmy się do pracy. Chciałbym posłuchać muzyki. Może pomoże mi myśleć.

- Czy masz jakieś preferencje?

- Poproszę o Greddharz.

Pokój wypełnił się nagle atonalnymi rytmami i skomplikowanymi kompozycjami świetlnymi niewłaściwie nazwanej Czternastej Symfonii Greddharz - jej dwanaście wcześniejszych symfonii nigdy nie doczekało się wykonania. Poleciałem fotelowi jeszcze raz dopasować się do mego ciała. Zazwyczaj nie lubię muzyki obcych, szczególnie z systemu Canphor, ale ten utwór był wyjątkiem. Nieustający rytm perkusji i starannie kontrolowane dysonanse zdawały się stymulować wydzielanie adrenaliny i zawsze wybierałem ten utwór, kiedy przygotowywałem plan rozwiązania niezwyklego problemu badawczego.

Siedziałam bez ruchu może przez pięć minut, analizując wszystkie możliwe formy podejścia, a następnie poleciałem, aby fotel przesunął się na łagodnie falujący dywan.

- Stop - powiedziałem, a muzyka i światła natychmiast ustały. - Ile z twojej ogólnej zdolności obliczeniowej będzie do mojej dyspozycji do rana?

- W tej chwili 83,97 procentu. Gdy skończę weryfikację danych do trzydziestego szóstego wydania dla Sigma Draconis, co będzie trwało jeszcze przez pięćdziesiąt trzy minuty, 85,22 procentu mojej zdolności obliczeniowej będzie do twojej dyspozycji do jutra, do dziewiątej rano.

- Dobrze - powiedziałem. - Potrzebna nam będzie cała zdolność. Przede wszystkim chcę, abyś uzyskał dostęp do głównego komputera biblioteki na Delurosie VIII.

- W pamięci głównego komputera biblioteki jest sto dwaście siedem miliardów tomów - zauważył komputer. - Będę potrzebował siedemnastu dni dla zbadania całego zbioru.

- Wiem - odparłem - ale nie mamy żadnych wskazówek i w związku z tym musimy zacząć od źródła o charakterze ogólnym. Kły mogą być wspomniane w pamiętnikach, katalogach aukcyjnych, katalogach muzealnych...

- Sprawdziłem dziś po południu, że żadne muzeum nie występowało o sprawdzenie autentyczności kłów od czasu ukazania się czterysta dziewiątego wydania - przerwał komputer.

- Nie każde muzeum występuje o sprawdzenie autentyczności swoich eksponatów. Nie wszystkie obce planety dokonują rejestracji w Centralnym Rejestrze Podatków od Własności. Biuro Podatków od Własności zostało zlokalizowane na Delurosie VIII dopiero czterysta lat temu, a zatem nawet muzea ludzi nie zgłaszały posiadania kłów w tym biurze przed rokiem 5900 EG.

- Zakodowane.

- Chciałbym, żebyś zaczął od analizy wszystkich zbiorów sztuki i okazów fauny w ciągu ostatniego tysiąclecia, a następnie wszystkich katalogów aukcyjnych, wszystkich opracowań historycznych i studiów na temat Masajów, Afryki i fauny Ziemi. Jeżeli nie znajdziesz nic z tego, czego szukamy, badaj te same tematy cofając się okresami pięciuset letnimi, aż do roku 3042 EG. Chciałbym, żebyś równocześnie zajął się poszukiwaniem wzmianek o Tembo Laibonie i Żelaznej Księżnej, co oznacza, że będziesz musiał zbadać dokumenty dotyczące Granicy Zewnętrznej poczynając od roku, powiedzmy, 3030 EG. Jeżeli badania nie zostaną uwiecznione sukcesem, rozpocznij bardziej ogólne poszukiwania w głównym komputerze

biblioteki z wykluczeniem literatury pięknej... Chcę również, żebyś zbadał informacje przekazywane ostatnio przez środki masowego przekazu, które wspominają cokolwiek o kłach lub kości słoniowej.

- Proszę zdefiniować „ostatnio”.

- W ciągu ostatnich trzech lat - odparłem. - Wszystkie wcześniejsze wzmianki odnotowane są już w głównym komputerze biblioteki.

- Czy są jeszcze jakieś instrukcje, czy mogę już zacząć?

- Jeszcze nie. Omówiliśmy dopiero podejście ogólne. Zastanówmy się teraz nad możliwością podejścia bardziej szczegółowego... -

przerwałem na chwilę, żeby zebrać myśli. - Wiemy, że kły znajdowały się w rejonie Zewnętrznego Pogranicza w roku 3042 EG. Nie wiemy, jak wiele osób weszło w ich posiadanie w okresie ostatnich trzech tysiącleci, ale myślę, że możemy spokojnie przyjąć, że prędzej czy później dostały się w ręce kogoś, kto zdawał sobie sprawę z ich prawdziwej wartości. Chciałbym zatem, żebyś przeanalizował akta ubezpieczeniowe, poczynając od roku 3042. Ktoś kiedyś musiał je ubezpieczyć. A ponadto - dodałem - kły to szczególny przedmiot. Poszukiwanie zatem należy rozpocząć od tych firm ubezpieczeniowych, które świadczą tego rodzaju usługi. Jeżeli nic nie znajdziesz, sprawdź akta pozostałych firm ubezpieczeniowych.

- Nie mam dostępu do wszystkich akt ubezpieczeniowych.

- Wszystko z okresu Demokracji i Oligarchii powinno być udostępnione - powiedziałem. - Jak dojdiesz do Monarchii nie osiągając wyniku, powiadom mnie, a postaram się załatwić dostęp.

- Poprawka.

- Tak.

- Użył pan słowa Monarchia. Należało powiedzieć Wspólnota.

- Uznaję poprawkę - powiedziałem. - Jednakże pragnę zwrócić uwagę na fakt, że słowo Monarchia jest pojęciem często używanym w elektronicznych środkach przekazu i praktycznie jest synonimem Wspólnoty.

- Zarejestrowałem.

- To wszystko. Proszę badać wskazane źródła równocześnie.

- Przedłuży to znacznie czas analizowania poszczególnych źródeł.

- Na to nic nie poradzimy. Wykonać.

- Wykonuję...

Kryształ pociemniał i komputer zajął się dostępem do poszczególnych źródeł, ja zaś wyszedłem z biura i udałem się do bufetu w hallu, gdzie wypilem filiżankę herbaty i przejrzałem wieczorne gazety. Wróciłem prawie po dwóch godzinach. Stwierdziłem, że kryształ jest nadal ciemny i zdecydowałem się na drzemkę.

Komputer obudził mnie o piątej rano.

- Duncan Rojas - powtarzał kilkakrotnie, za każdym razem mniej delikatnym tonem.

Usiadłem, przetrąłem oczy i zobaczyłem, że kryształ znowu pojaśniał.

- Tak?

- Znalazłem kły w 4375 roku E.G.

- W jakim źródle?

- Były objęte składką ubezpieczeniową zapłaconą przez Euphratesa Pyma z Szandora II na rzecz Agencji Blessbull.

- Szandor II? Czyli jest na Wewnętrznym Pograniczu?

- Tak.

- W jaki sposób kły trafiły z Zewnętrznego Pogranicza aż do serca galaktyki?

- Brak danych dla udzielenia odpowiedzi.

- Uzyskaj wszystkie dane Biblioteki Głównej na temat Euphratesa Pyma - poleciłem. - Chcę wiedzieć, kto to był, gdzie mieszkał i w jaki sposób wszedł w posiadanie kłów.

- Wykonuję...

Rozdział 2

HIENA CMENTARNA (ROK 4375 ERY GALAKTYCZNEJ)

W trakcie mego długiego życia byłem w wielu miejscach i robiłem wiele rzeczy. Widziałem Wodospady Wiktorii, które ludzie nazywali Mosi-o-Tunya, czyli Dym który Grzmi, i pa-słem się na stokach Góry Kenya, gdzie mieszkają bogowie. Zszedłem do krateru Ngorongoro i przekroczyłem Góry Księ-życowe. Zawsze trzymałem się z dala od miejsc, gdzie miesz-kali ludzie i rzadko zdarzyło się, że byłem głodny lub sprag-niony.

Przeżyłem sześć okresów suszy i gdy pora deszczowa nie nadchodziła, smakowałem wiatr przez dziesięć dni nie od-czuwając w nim ani śladu wilgoci. Wiedziałem, choć nie wie-działy tego inne zwierzęta, że trawa wyschnie i umrze, podob-nie jak rzeka Ussao Nyiro, zanim znów nadejdą deszcze, i dla-tego zwróciłem się na południe, i uciekłem przed gniewem afrykańskiego słońca.

* * *

Ekran holograficzny zamigotał i ożył.

- Czy na pewno chce pan to zobaczyć? - zapytał Fletcher.

- Na pewno nie chcę - mruknął Boris Jabłoński poiryto-wany.

- W takim razie...

- Przecież muszę wiedzieć, nad czym pracuje.

- Trzech naszych szpiegów jest u niego zatrudnionych - tłumaczył cierpliwie Fletcher. - Wiemy o wszystkim, co robi i co planuje.

- Ale nie wiem, co powie o mnie przed audytorium składającym się z dwustu milionów ludzi.

- A co cię to obchodzi.

- Cholera - warknął Jabłoński. - Jeżeli nie możesz się uspokoić i dać mi posłuchać, to wyjdź z pokoju.

Fletcher westchnął i skoncentrował się na obrazie przed sobą.

Drobny, zgrabny mężczyzna ze starannie przystrzyżoną brodą i gęstą czupryną siwych włosów siedział wygodnie na lśniącem krześle na wprost poważnie wyglądającej młodej kobiety.

- A teraz - powiedział głos niewidocznego spikera - w części naukowej programu nasza wysłanniczka, Elizabeth Keene, która wyruszyła na odległą Bellini VI w celu uzyskania wyłączonego wywiadu ze sławnym archeologiem teoretycznym, panem Euphratesem Pymem.

- To rzeczywiście niezwykła przyjemność, doktorze Pym - zaczęła z entuzjazmem Elizabeth Keene. - Wiem, jak rzadko zgadza się pan na spotkanie z prasą.

- Nie częściej niż raz na tydzień - mruknął Jabłoński, wpatrując się w obraz przed sobą.

- To prawda, że jestem zajęty - powiedział Pym swobodnie. - Ale ponieważ pracuję dla ludzkości, wiem, że moim obowiązkiem jest poinformować opinię publiczną o moich osiągnięciach.

- Pan zajmuje się wciąż badaniami Imperium Rhise, prawda?

Skinął głową.

- To prawda. To fascynująca kultura. Zaczynamy ją dopiero rozumieć i wydaje mi się, że jesteśmy u progu poważnego odkrycia.

- Czy był pan na ich rodzinnej planecie?

- Rhise Prime? Oczywiście. Właśnie stamtąd wracam.

- Nie chciałabym być napastliwa - powiedziała pospiesznie Elizabeth Keene. - Ale prawie wszyscy wiedzą, w jaki sposób pan ją odkrył.

- W jaki sposób pan ją ukradł - mruknął Jabłoński.

- Miałem wielkie szczęście - powiedział Pym. - Dużo podstawowej pracy zrobiono za mnie.

- Ale to pan powiązał te wszystkie dane i dokonał czynu, który może być uznany za największe odkrycie archeologiczne od świtu Ery Galaktycznej - powiedziała Elizabeth Keene.

Słyszając to Jabłoński zaklął.

- Jak ważne jest to odkrycie, to dopiero zobaczymy - protestował Pym, chociaż jego mina nie pozostawiała widzom wątpliwości, że w pełni się z nią zgadza.

- Czy może opowiedziałby pan widzom, w jaki sposób wydedukował istnienie i lokalizację Rhise Prime?

- Z przyjemnością - powiedział Pym uśmiechając się. - Około dziesięciu lat temu przeczytałem opracowanie, które wzbudziło moją ciekawość. Wygląda na to, że profesor Boris Jabłoński ze Spectry III strawił prawie ćwierć wieku badając różne kultury tej części spirali galaktycznej, w której znajduje się również Ziemia, i dokonał kilku ciekawych, chociaż wstępnych i fragmentarycznych odkryć.

- One wcale nie były fragmentaryczne - zaprotestował Jabłoński do obrazu Pyma.

- Odkrył, że osiem różnych kultur planetarnych w Spiralnym Ramieniu Galaktyki miało około piętnastu wspólnych

słów - kontynuował Pym. - Nie wszystkie piętnaście słów występowało na wszystkich planetach, ale każda planeta miała co najmniej cztery słowa wspólne z sześcioma, lub nawet więcej, innymi planetami.

- Czy te słowa brzmiały podobnie?

- Zgodnie ze zdolnościami poszczególnych ras do reprodukcji podobnych dźwięków, ale co ważniejsze, oznaczały one tę samą rzecz na każdej planecie. Była to wspaniała praca wstępna, za którą gratulacje należą się profesorowi Jablonskiemu.

- Dziękuję bardzo! - mruknął Jablonski.

- Nic nie wiedziałem o pracach profesora Jablonskiego, dopóki nie przeczytałem artykułu. Stwierdził on w nim, że słowa te, te kombinacje dźwięków powstały równocześnie i że mogą być wynikiem pewnej instynktownej reakcji na różne przedmioty, która powoduje, że istoty myślące opisując je, produkują podobne dźwięki.

- To była tylko sugestia - krzyknął Jablonski. - Podałem ją jako jedną z wielu możliwości.

- Znałem jedną z kultur, o których wspominał Jablonski - ciągnął Pym. - Byli to Boroni z Beta Kosmos IV i wiedziałem, że ich mechanizm głosowy na tyle różnił się od mechanizmu ras bardziej humanoidalnych opisywanych przez profesora Jablonskiego, że odtworzenie niektórych z tych dźwięków sprawiłoby im dosłownie ból.

- To ja to zauważyłem - warknął Jablonski wrywając rękę, którą Fletcher delikatnie przytrzymał.

- Im więcej o tym myślałem - kontynuował Pym - tym bardziej stawałem się przekonany, że słowa te pochodziły spoza kultury Boroni. Skłoniło mnie to do przeprowadzenia badań nad innymi rasami i wielu egzobiologów zgodziło się ze

mną, że wargi rasy Ptree z Phoenixa II były tak zbudowane, iż przynajmniej jeden z tych dźwięków nie mógłby powstać w ich kulturze i musiał być zapożyczony. Posiadając te informacje spotkałem się z Borisem Jablonskim na jego rodzinnej planecie i opracowaliśmy wspólny referat, w którym doszliśmy do wniosku, że rasa, o której nic, jak dotąd, nie wiemy, musiała utworzyć kiedyś imperium na Spiralnym Ramieniu Galaktyki i to było powodem, że badanych słów używano na tak wielu planetach.

- A pan był powszechnie potępiony przez kolegów za zbyt pospieszną konkluzję - zauważyła Elizabeth Keene.

- Ludzie mówią, że naukowcy są gotowi pierwsi przyjąć nowe idee - powiedział Pym z uśmiechem wyższości. - Czy pani w to nie wierzy?

- I co było dalej?

- Profesor Jablonski kontynuował pracę w terenie, a ja wróciłem do domu, żeby sprawę przemyśleć.

- I trafił pan na właściwe rozwiązanie - powiedziała Elizabeth Keene.

- Nie należy pomniejszać udziału profesora Jablonskiego - zaznaczył Pym. - Działał on zgodnie z przyjętą procedurą.

- Cóż za łaskawość - oburzył się Jablonski. - Najbardziej nienawidzę u niego tej łaskawości.

- Zdecydowałem, że nie przyłączę się do profesora Jablonskiego uznając, że już udowodniliśmy istnienie rasy odbywającej podróże międzygwiazdne w ramieniu galaktyki.

- Ale wasi koledzy tego nie uznali - przerwała Elizabeth Keene.

- Ja uznałem - odparł Pym. - Przede wszystkim należy zadowolnić siebie.

- Cholerny egocentryk - mruknął Jablonski.

- W każdym razie wróciłem do domu. Komputer przygotował dla mnie mapę Spiralnego Ramienia Galaktyki. Zaznaczyłem na niej te planety, na których pojawiły się wspólne słowa, i starałem się wyciągnąć jakieś wnioski - tu przerwałem dla osiągnięcia efektu dramatycznego. - Im dłużej ją analizowałem, tym bardziej stawałem się przekonany - patrząc na trasy ekspansji i możliwe trasy zaopatrzeniowe w przypadku opozycji militarnej, oraz w oparciu o fakt, że musieli oddychać tlenem, ponieważ wszystkie planety, jakie wchodziły w grę, były zamieszkałe przez rasy, których budowa chemiczna oparta była na węglu i które oddychały tlenem - że coś tu było nie w porządku. Widzi pani, tylko pewien typ gwiazd może wytworzyć planetę z atmosferą tlenową, na której może rozwinąć się życie wywodzące się ze związków węgla. Ale takiej gwiazdy nie mogłem znaleźć nigdzie tam, gdzie zgodnie z logiką powinna się była znajdować. Najbliżej położona planeta z atmosferą tlenową była na takim poziomie napromieniowania, że żadne utrzymać się tam nie mogło, a najbliższa planeta, na której powstało życie, była oddalona o ponad osiemset lat świetlnych.

- To była Principia, prawda?

- Tak.

- I tych kilku naukowców, którzy opowiedzieli się po pańskiej stronie, zakładało, że to właśnie Principia była rodzinną planetą tej rasy, która ruszyła ku gwiazdom i której poszukiwaliście.

- Tak, szczególnie po tym, jak odkryta tam zabytki starej cywilizacji rasy humoidalnej, która wyginęła w wyniku niszczycielskich wojen prowadzonych prawie sześćdziesiąt tysięcy lat temu. - Wzruszył ramionami. - Odrzuciłem tę koncepcję niemal natychmiast.

- Dlaczego?

- Po pierwsze dlatego, że w odległości dwustu lat świetlnych od Principii znajdowało się sześć zamieszkałych planet o atmosferze tlenowej. Jeśli mieszkańcy Principii pragnęli utworzyć imperium, dlaczego zignorowali je i poprowadzili swoją ekspansję w znacznie trudniejszym kierunku? Nawet jeżeli w ich planach leżała całkowita kontrola Ramienia Spiralnego, prosta logika nakazywała najpierw podbić i umocnić się na planetach najbliższych, przed rozpoczęciem ekspansji na odległość ośmiuset, a w efekcie i tysiąca czterystu lat świetlnych w głąb ramienia galaktyki. Drugi powód był jeszcze bardziej znaczący. Na żadnej z planet badanych przez profesora Jablonskiego nie było śladu cywilizacji Principii. Nie wierzę w to, że nagle wszyscy wyruszyli do domu, żeby tam zginąć w tej potwornej wojnie.

- Ale przecież na żadnej z tych planet nie ma śladu żadnej obcej rasy - zauważyła Elizabeth.

- To był główny powód, dla którego koledzy odrzucili naszą hipotezę - odparł - ale stał się równocześnie kluczem do zagadki.

- W jaki sposób?

- Studiowałem tę mapę, usiłując zrozumieć sytuację. Poleciłem komputerowi dokonanie szeregu symulacji militarnych i w końcu stwierdziłem, że Principię można by uznać za rodzinną planetę poszukiwanej rasy tylko w jednym przypadku, gdyby znajdowała się w pobliżu Adhary, ale tak oczywiście nie było. Adhara jest bardzo młodą, bardzo dużą, błękitną gwiazdą, która zakończy swój żywot jako czarna dziura. Ma tylko jedną planetę, której atmosfera składa się prawie w 85 procentach z helu. Życie oparte na związkach węgla nie mogłoby prawdopodobnie na niej się utrzymać. Nie utrzymałyby się na

niej również rasy oddychające chlorem lub metanem. Była poza tym zbyt młoda, żeby powstały na niej znane nam formy życia.

Patrzył w zamyśleniu w kierunku kamery, jak gdyby jeszcze raz analizował te wszystkie tak zróżnicowane elementy problemu.

- Zawsze w tym miejscu robi przerwę - narzekał Jablonski. - Tak, aby widzowie mieli czas docenić wielkość jego błahego odkrycia.

- Jeszcze przez miesiąc usiłowałem coś zrozumieć na podstawie posiadanych danych - kontynuował opowieść Pym - i im głębiej analizowałem problem, tym bardziej wszystko wskazywało na Adharę. Logistycznie było to bezsprzecznie najbardziej prawdopodobne miejsce pochodzenia rasy, która podbiła owe planety, i nagle zrozumiałem, dlaczego nie znaleźliśmy żadnych jej śladów. Jeżeli nie oddychali tlenem, to planety zbadane przez Jablonskiego były prawdopodobnie jedynie placówkami, dogodnymi stacjami uzupełniania paliwa, a główna ekspansja była skierowana na planety o atmosferze zawierającej hel. Na planetach badanych przez Jablonskiego stacjonowały prawdopodobnie jedynie niewielkie grupy techników, a gdy imperium zaczęło się kruszyć z jakiegoś powodu, były to pierwsze planety, które opuszczono.

Pym uśmiechnął się kwaśno.

- Musicie sobie państwo zdawać sprawę z tego, że nigdy dotąd nie natknęliśmy się na rasę, która rozwinęłaby się na planecie o atmosferze zawierającej hel, ani też na planetę będącą na orbicie błękitnego olbrzyma, która by zrodziła jakiegokolwiek życie. Uznawano to za niemożliwe - znów przerwał. - Gdy wysunąłem tę hipotezę, usunięto mnie z uniwersytetu.

- I co się wówczas stało?

- Miałem przed sobą tylko jedną drogę. Wykorzystałem wszystkie moje oszczędności oraz wszelkie kredyty i pożyczki, jakie udało mi się uzyskać, i wysłałem ekspedycję na planetę Adhary. Miałem tylko tyle pieniędzy, żeby wyposażyć sześćo-osobową grupę na dwadzieścia trzy dni, a ponieważ niedawno złamałem nogę, sam pozostałem w domu. Zasugerowałem, gdzie prowadzić należy poszukiwania, i utrzymywałem z nimi stały kontakt poprzez promień kierunkowy w podprzestrzeni. Reszta to już historia. Dziewiętnaście dni później natrafili mii pierwsze ślady cywilizacji Rhise i planetę nazwano oficjalnie Rhise Prime. Tak jak wydedukowałem, imperium obejmowało głównie planety o atmosferze zawierającej hel. Planety, między którymi powiązania odkrył profesor Jablonski, były jedynie logistycznymi posterunkami, niczym więcej.

- I w ten sposób został pan archeologiem teoretycznym - podsumowała Elizabeth z zachwytem.

- I w ten sposób wykorzystał moją pracę i zebrał wszystkie pochwały - mruknął Jablonski.

- To miano nadała mi prasa - odpowiedział Pym. - W rzeczywistości, jak tylko mogę, udaję się w teren.

- Ponieważ jest pan uznanym autorytetem w dziedzinie Rhise Prime i jej imperium, czy mógłby nam pan powiedzieć, czego dowiedziano się o tych istotach?

- W dalszym ciągu niewiele o nich wiemy - przyznał Pym.
- Oczywiście byli bardzo niezwykłą formą życia, a analizując ich linie ekspansji, stwierdziliśmy, że były co najmniej jeszcze trzy rasy oddychające helem.

Przypuszczam, że możemy odkryć w końcu około tuzina takich ras na terenie Ramienia Spiralnego. Niestety, żaden potomek tej rasy nie przetrwał, a ponieważ przedstawiciele kultury Rhise prowadzili raczej eksterminację, a nie podboje,

prawie nic nie mogliśmy dowiedzieć się także o ich ofiarach. Przypuszczam, że przedstawiciele? kultury Rhise, zdając sobie sprawę, że Adhara stanie się wkrótce supernową i zniszczy ich planetę, bardziej poszukiwali przestrzeni życiowej niż możliwości utworzenia imperium w tradycyjnym tego słowa znaczeniu, i eliminowali rasy, jakie znaleźli na planetach, które postanowili skolonizować. Z tego też prawdopodobnie powodu nie zniszczyli mieszkańców planet o atmosferze zawierającej tlen, gdyż zajmowali miejsca dla nich po prostu nieprzydatne.

- To jest sprawa elementarna - powiedział Jablonski. - Wskazywałem już na to pięć lat temu.

- A co się stało z przedstawicielami cywilizacji Rhise? - spytała Elizabeth Keene.

- Nie wiemy - przyznał Pym. - Ale ponieważ wszystkie planety o atmosferze zawierającej hel zostały opuszczone, wszystko wskazuje na to, że znaleźli gdzieś swoją utopię i żyją tam, czekając aż ich odkryjemy.

- Czy to jest naprawdę możliwe? - spytała.

- Oczywiście. Ekspansja człowieka zawsze zmierzała w kierunku centrum galaktyki. Granicę wewnętrzną stale przesuwano, natomiast było stosunkowo mało wypraw badawczych w kierunku Ramienia Spiralnego.

- Czy to wszystko, czego dowiedzieliśmy się o cywilizacji Rhise?

- Proszę pamiętać, że wydedukowaliśmy ich istnienie dopiero pięć lat temu - powiedział Pym ze skromnym uśmiechem. - Mieliśmy szczęście odkryć dokument Rhise dopiero dwa lata temu.

- Dokument Rhise? - powtórzyła.

- Można by to nazwać odpowiednikiem kamienia z Rosetty, ale - dodał ze smutkiem - nasi językoznawcy jak dotąd nie osiągnęli większego postępu.

- Krążą pogłoski, że wkrótce złoży pan oświadczenie o jeszcze większym znaczeniu niż wiadomość o odkryciu Dokumentu Rhise - powiedziała Elizabeth Kenne. - Czy może pan już coś ujawnić telewizjom?

- Wydaje się, że przedstawiciele kultury Rhise odwiedzili Ziemię kilka tysięcy lat przed pierwszymi lotami kosmicznymi człowieka.

- Czy znaleziono ślady Imperium Rhise na Ziemi? - spytała podniecona. - Czy byli to owi dawni astronauty, którzy przetrwali jeszcze w legendach?

Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Odpowiedź na oba pytania brzmi: nie. Jak dotąd nie znaleźliśmy dowodów, że przedstawiciele cywilizacji Rhise, lub jacyś inni obcy, odwiedzili Ziemię.

- To czemu uważa pan, że jednak odwiedzili?

- Są pewne okresy w przeszłości Ziemi, pewne wydarzenia, pewne przedmioty, które mogą być wytłumaczone wizytą obcych, a Ziemia znajdowała się na terenie ekspansji Imperium Rhise.

- I to pan chciał ogłosić? - powiedziała z triumfem. - Wydaje mi się, że właśnie pan to ogłosił, doktorze Pym.

- Istnieje różnica pomiędzy powiedzeniem „wydaje się”, a przedstawieniem niepodważalnych dowodów - odparł. - Jak już wspomniałem, poczyniliśmy jedynie niewielkie postępy w tłumaczeniu Dokumentu Rhise, ale to czego już dowiedzieliśmy się, pozwala przypuszczać, że resztki dużej budowli, odkrytej na Rhise Prime, mogły być kiedyś muzeum. Jeżeli rzeczywiście tak jest, i jeżeli będziemy mogli znaleźć jakiegokolwiek

przedmioty pochodzące z Ziemi, moja teoria potwierdzi się tak Kamo, jak byśmy znaleźli przedmiot pochodzący z kultury Rhise na Ziemi.

- I archeolog teoretyczny doda jeszcze jeden wspaniały tryumf do swojej kariery - dodała z admiracją.

- Jeżeli tak się stanie, będę musiał podzielić tryumf z pracownikami w terenie - powiedział Pym wielkodusznie. - No i nie należy zapominać o profesorze Jablonskim, który cały ten proces zapoczątkował.

- Boże! - mruknął Jablonski. - Najbardziej go nienawidzę, kiedy mi dziękuje.

- A jaką radę miałyby pan dla młodych ludzi, którzy nas w tej chwili słuchają i którzy chcieliby zrobić karierę...

- Dość! - wrzasnął Jablonski. Fletcher wyłączył komputer.

Jablonski zerwał się i zaczął wściekle krążyć po gabinecie.

- Tupet tego człowieka! - wściekał się. - Zajmuje Katedrę Archeologii na Selica II, katedrę, która powinna być moja! Przekonuje fundacje, które zawsze mnie finansowały, aby stały się jego dobroczyńcami. I dlaczego? Dlatego, że raz udało mu się trafnie zgadnąć!

- Pan się zbyt denerwuje - powiedział Fletcher łagodnie. - Dlaczego pan nie usiądzie i nie odpręży się trochę?

- Gdzie mam usiąść? - zagrmiał Jablonski. - Przecież on zajmuje wszystkie miejsca!

- Profesorze, proszę.

- Ten zadowolony z siebie, pompatyczny sukinsyn! - ciągnął Jablonski. - Przecież on nawet nie umie napisać poprawnie referatu naukowego.

- Wiem, profesorze.

- I co się dzieje? Jakiś wydawca płaci mu pięć milionów kredytów za zupełnie niedokładny, zupełnie nienaukowy opis

cywilizacji Rhise, a prace bardziej poważnych, lepszych autorów tkwią nie przeczytane w pamięciach komputerów!

- To było dawno - powiedział Fletcher - a od tego czasu kroczy pan od sukcesu do sukcesu.

- Wszystko przysłonięte przez jeden trafny pomysł - warknął Jablonski. - I nadal zbija na nim kapitał. Popatrz, co się dzieje, kiedy nadają program popularnonaukowy. Czy zapraszają Wanamakera, którego praca na skraju galaktyki przewyższyła nawet osiągnięcia Rosescheiga? Czy zapraszają Haykawę, który pracuje na Ziemi i odkrył prawie nienaruszoną świątynię Inków? Czy zapraszają mnie? Nie! Zapraszają tego zwariowanego zgadywacza!

Zasapał się, podszedł do fotela, który uniósł mu się na spotkanie, padł na niego i wpatrzył się w punkt, w którym przed chwilą znajdował się obraz Pyma.

- Proszę - powiedział Fletcher - nie może się pan tak znęcać nad sobą. Wie pan przecież, co zalecał lekarz.

- Mój lekarz nie musi oglądać raz na tydzień w holowizji człowieka, który zniszczył jego karierę.

- No, to stwierdzenie nie jest całkiem prawdziwe - powiedział Fletcher. - Pańska kariera obfitowała w sukcesy. Jest pan jednym z najbardziej cenionych archeologów w Oligarchii. Prace pańskie są podstawową lekturą w prawie każdej instytucji naukowej.

Jablonski potrząsnął głową.

- To nie ma znaczenia. Ten człowiek mnie zniszczył. Spędziłem osiemnaście lat na Ramieniu, dokonując wstępnych odkryć, uzupełniając dane, sprawdzając wnioski. Od udowodnienia, że przedstawiciele kultury Rhise oddychali helem, dzieliło mnie nie więcej niż pięć lat. Od udowodnienia z żelazną, naukową logiką, a nie poprzez jakieś zgadywanie, bo jest się

zbyt leniwym, żeby pobrudzić sobie ręce w terenie. I wtedy zjawił się on. Zmusił mnie do publikacji, zanim byłem przygotowany, i zrobił z nas obu pośmiewisko wśród kolegów, a później, kiedy wykonał swoją zgadywanę, kiedy okazało się, że mieliśmy rację, uratował tylko swoją reputację.

Jablonski przerwał, aby nabrać oddechu.

Gdybym nie odkrył śladów kultury Korbb w systemie Wisny, jeszcze do tej pory rozglądałbym się za uczelnią, która chciałaby mi powierzyć katedrę archeologii.

Ale przecież to pan ją odkrył - powiedział Fletcher uspokajająco. - Czemu więc pozwala pan na to, aby Euphratesa Pym tak bardzo pana denerwował?

- Ponieważ wszyscy nadal myślą, że on wie, co robi! - wykrzyknął Jablonski. - Ponieważ wszyscy nadal myślą, że intuicja może zastąpić ciężką pracę!

- Nie wszyscy tak myślą.

Jablonski znowu wstał i podszedł do kryształowej półki unoszącej się nad podłogą w pobliżu biurka.

- Spójrz na to - powiedział, wskazując na osiem grubych, oprawnych w skórę tomów spoczywających na półce. - One reprezentują czterdzieści trzy lata starannej, metodycznej pracy. Są wynikiem pracy w terenie i samodzielnego prowadzenia badań, a nie siedzenia w domu i teoretyzowania. One są podsumowaniem mojego życia. Pym sprzedaje więcej książek i płyt w ciągu tygodnia niż ja sprzedałem przez pół wieku.

- Popularność jeszcze nie świadczy o zasługach - odparł Fletcher. - Doktor Pym wie, jak wykorzystywać środki masowego przekazu, a zatem wielkość sprzedaży jego publikacji odzwierciedla jego popularność. Nie oznacza to jeszcze, że dokonał trwałego wkładu w archeologię.

- Idiota - mruknął Jablonski. - Podszedł do kopuły widokowej, z której widać było zabudowania uniwersytetu ze szkła i stali, patrzył na przechodzących studentów.

- Ty nic nie rozumiesz.

- Przepraszam?

- Przecież, on dokonał odkrycia - powiedział Jablonski z rozczarowaniem w głosie. - Odkrycie Rhise Prime i Dokumentu Rhise to najważniejsze wydarzenie archeologiczne w tym stuleciu. Dlatego właśnie ten człowiek jest tak niebezpieczny.

- Nie jestem pewien, czy rozumiem.

- On praktycznie zdyskredytował metodę naukową - wyjaśnił Jablonski zwracając się do swego asystenta. - Stoimy wobec niebezpieczeństwa, że zostaniemy pokonani przez tłum samozwańców archeologów intuicyjnych - Jablonski skrzywił się. - To jest znacznie czystsze niż grzebanie się w błocie na planecie o chlorowej atmosferze, to jest znacznie łatwiejsze niż ślęczenie latami nad analizą i rekonstrukcją przedmiotu wytworzonego przez obcą cywilizację. Pym tak właśnie postępuje i tak właśnie odkrył Rhise Prime, a zatem musi to być metoda najbardziej skuteczna - wściekłość wykrzywiła mu twarz. - Musimy zdyskredytować tego człowieka, nim będzie za późno!

- Naprawdę myślę, że przecenia pan jego znaczenie - powiedział Fletcher.

- Nie! - krzyknął Jablonski. Jego twarz poczerwieniała, oddech stał się chrapliwy i wysilony i Fletcher musiał pomóc mu usiąść w fotelu.

- Czy dobrze się pan czuje?

- Wszystko jest w porządku - powiedział Jablonski słabym głosem. - Widzisz, Fletcher, on nie tylko zniszczył moją reputację, ale zrujnował mi zdrowie.

- Czy wezwać lekarza?

Jablonski potrząsnął głową.

- Muszę się po prostu uspokoić - zaczerpnął głęboko powietrza i wydychał je powoli.

- Wiem, że myślisz, iż jest to prywatna wendetta - powiedział wreszcie. - Ale to coś znacznie ważniejszego. Jeżeli Euphrates Pym nie zostanie zdyskredytowany, tym samym zdyskredytuje wszystko, co robią inni archeolodzy.

- Będzie zdyskredytowany, jeżeli w Muzeum Rhise nie znajdzie się żadnych przedmiotów pochodzących z Ziemi - orzekł Fletcher.

- Nie - powiedział Jablonski. - Jego stwierdzenie było sformułowane bardzo ostrożnie. Miał nadzieję, że będzie mógł udowodnić, że przedstawiciele kultury Rhise odwiedzili Ziemię. Nie powiedział wcale, że ma konkretne dowody.

- Ale będzie to pierwszy raz, kiedy jego domysły okażą się niesłuszne - powiedział Fletcher - i wtedy jego obraz zostanie przyćmiony.

- Jeżeli się myli.

- Sprawdziłem dziś rano wszystkie dane na komputerze, tak jak mi pan polecił, i komputer daje mu tylko 2,3 procentu szans.

- Miał jeszcze mniej szans, że zlokalizuje Rhise Prime.

- Chyba pan nie zmienił zdania?

- Że Ziemi nigdy nikt nie odwiedził? Oczywiście, że nie zmieniłem. Pięć tysięcy lat badań na pewno coś by ujawniło, gdyby Ziemia była placówką Rhise.

- I wtedy udowodnimy, że nie ma racji - powiedział Fletcher z przekonaniem.

- Jakoś się wykręci - odparł Jablonski z równym przekonaniem. - Uśmiechnie się, powie coś o błędach bezpodstawne-

go teoretyzowania i przedstawi podobnie bezpodstawną teorię wyjaśniającą, dlaczego przedstawiciele kultury Rhise nigdy na Ziemi nie wylądowali. Wtedy obdarzą go dalszymi zaszczytami i dostanie stypendium Manesco, które mnie obiecano, i wykorzysta je, żeby podkupić mojego kierownika robót. Pewnie i tobie niedługo złoży ofertę - parsknął pogardliwie.

- Może pan liczyć na moją całkowitą lojalność - powiedział Fletcher natychmiast.

- Tak długo, jak liczysz na moje stanowisko - odparł Jablonski. - Nie zaprzeczaj. Człowiek powinien zabiegać o swoje sprawy, a ty jesteś najlepszym asystentem, jakiego kiedykolwiek miałem. Należy ci się moje miejsce.

- Dziękuję, to bardzo miło, że pan tak myśli.

- Mam po prostu nadzieję, że ta katedra będzie nadal miała znaczenie, kiedy ją będziesz obejmować. W naszej branży istnieje określona suma do wydatkowania na prace terenowe, a im więcej dostanie Pym, tym mniej dostanie reszta.

Przerwał na chwilę.

- Do diabła, żebym tylko miał pewność!

- Jaką pewność?

- Pewność, że Pym myli się w sprawie Ziemi.

- Ale, jak pan wskazał, nie robi to żadnej różnicy. W rzeczywistości nie stwierdził, że przedstawiciele kultury Rhise odwiedzili Ziemię. On tylko zasugerował.

- Ale gdybym ja wiedział na pewno... - głos Jablonskiego przycichł.

Fletcher przyglądał mu się niepewnie, nie będąc w stanie nadążyć za jego rozumowaniem.

Nagle Jablonski poderwał się, jak gdyby ukryta nienawiść do rywala dodała mu nagle sił.

- Powiedz Modellowi, że chcę z nim mówić.

- Możemy go nie złapać - zauważył Fletcher.

- Nie płacę mu za to, że go nie można złapać - warknął Jablonski.

- Czy mam zakodować rozmowę?

- Nieważne. Tylko mnie z nim skontaktuj.

Fletcher włączył jeden z komputerów.

- Kod błękitny cztery - powiedział. - Niech Modeli skontaktuje się z bazą.

- Szpiegowskie gierki - mruknął Jablonski. - Powiedz mu po prostu, że chcę z nim mówić.

- To rzeczywiście są szpiegowskie gierki, bo Modeli jest szpiegiem - odparł Fletcher cierpliwie - i jeżeli nasza wiadomość zostanie przechwycona, ekspedycja Pyma dowie się, kto ją nadał.

- I tak będą wiedzieć.

- Niemniej jednak ostrożność jest uzasadniona.

Jablonski mruknął coś pod nosem i siedział czekając na połączenie. Dwadzieścia minut później obraz pomarszczonej, nie ogolonej twarzy pojawił się w powietrzu nad komputerem.

- Tu Modeli.

- Tu mówi... - zaczął Jablonski - ...wiesz, kto mówi.

- Proszę powiększyć moc - powiedział Modeli. - Jestem w kapsule jakieś pięćdziesiąt stóp pod powierzchnią gruntu. Na powierzchni szaleje burza i jest silna statyka.

- Jak daleko zaszliście? - spytał Jablonski po udzieleniu instrukcji komputerowi, żeby zwiększył moc nadawania.

- Za tydzień lub dziesięć dni wejdziemy do budynku.

- Ile drzwi?

- Sześć. Wszystkie zapieczętowane - a pieczęcie są zupełnie niezwykle. Nic podobnego wcześniej nie widziałem. Może i tydzień nie wystarczy, żeby zerwać jedną z nich.

Jablonski zachmurzył się.

- Czy ściany są nietknięte?

Modeli pokręcił głową.

- To nie są ściany w normalnym znaczeniu tego słowa.

- A co to jest?

- Nie jestem pewien, czy potrafię to wyjaśnić - Modeli wyglądał niepewnie.

- Spróbuj. Przecież płacę ci za to.

- To wygląda jak czterowymiarowa mozaika, jeżeli to ma jakiś sens.

- Mozaika? - powtórzył Jablonski.

- Hipotetyczna struktura czterowymiarowa.

- Wiem, co to jest - warknął Jablonski - chcę sobie tylko wyobrazić.

- To jest bardzo dziwne - zaryzykował swoją opinię Modeli.

- Czy budynek jest nie naruszony? - spytał Jablonski.

- Tak.

- I to na pewno jest muzeum?

- Wydaje się to prawie pewne.

- Myślę, że Pym będzie tam z prasą, gdy zaczniecie zdejmować pieczęcie.

- Tak mi mówiono.

- I nikt nie wejdzie tam przed nim?

- To jest jego ekspedycja - mruknął Modeli wzruszając ramionami.

- Czy jest jeszcze inne wejście niż przez drzwi?

- Nie ma innych otworów, jeżeli o to panu chodzi. Nie ma okien, nie ma doków dostawczych, nic w tym rodzaju. Kilka osób myśli, że można dostać się do środka nie zrywając pie-

części, ale wykorzystując samą strukturę mozaiki. Tylko nie mogą wykombinować jak.

- Dlaczego nie pytają komputera?

- O ile wiem, już pytali - odpowiedział Modeli - ale albo nie potrafił dać odpowiedzi, albo odpowiedź, jaką otrzymali, nie zadowolila ich. To i tak nie robi żadnej różnicy - dodał po chwili przerwy. - Mówi się, że Pym zamierza zerwać pieczęcie i wejść przez drzwi. Myślę, że będą robili dokumentalny hologram.

- Proszę o natychmiastowe przekazanie do mnie hologramu konstrukcji - powiedział Jablonski. - Czy może pan to zrobić?

- Tak.

- Dobrze - powiedział Jablonski, przerwał połączenie i zwrócił się do Fletchera:

- Czy możesz być jutro gotów do podróży?

- Dokąd?

- Oczywiście na Rhise Prime.

- Myślę, że tak - odparł Fletcher zaskoczony.

- Dobrze.

- Czy może mi pan powiedzieć, o co chodzi?

- Chodzi o zdyskredytowanie tego pompatycznego osła - warknął Jablonski. - Czy nie słuchałeś, co mówiłem? Komputer! - zachrypiał.

- Tak - odezwał się komputer.

- Rano, w oparciu o dane dostarczone przez Fletchera, oceniłeś prawdopodobieństwo pobytu przedstawicieli kultury Rhise na Ziemi na 2,3 procentu, prawda?

- 2,302 procentu.

- W jaki sposób zmieni się ten wskaźnik, jeżeli w muzeum na Rhise Prime nie będzie żadnej wzmianki o Ziemi ani żadnego przedmiotu pochodzącego z Ziemi?

- Wskaźnik spadnie do 0,738 procentu - odpowiedział komputer.

- Dobrze. Czy dostałeś hologram z Rhise Prime w ciągu ostatnich sześćdziesięciu sekund?

- Odbieram hologram właśnie w tej chwili.

- Zapewnić dostęp do biblioteki matematycznej.

- Dostęp... zapewniony.

- Czy hologram przedstawia budynek w formie cztero-wymiarowej mozaiki?

- Tak jest.

- Proszę stwierdzić, jaka instytucja jest najbardziej zaawansowana w pracach teoretycznych na temat takiej mozaiki. Następnie uzyskaj dostęp do jej biblioteki matematycznej i fizycznej oraz do jakiegokolwiek nie zastrzeżonego materiału naukowego i określ, czy jest możliwość wejścia do budynku przedstawionego na hologramie bez zerwania pieczęci na drzwiach.

- Pracuję... mam dostęp...

Komputer umilkł prawie na dziewięćdziesiąt sekund.

- Jest teoretyczny sposób przeniknięcia do środka.

- Proszę wyjaśnić znaczenie słowa „teoretyczny” w tym kontekście.

- Oznacza, że w teorii przeniknięcie jest możliwe. W praktyce jednak nie można mieć pewności, czy takie przeniknięcie nie będzie fatalne dla żywej tkanki ze względu na przejście między wymiarowe.

- Czy robot może przeniknąć i pozostać zdalny do użytku?

- Pracuję... to prawdopodobne.

- Jakie jest prawdopodobieństwo, że taki robot będzie nadal funkcjonował?

- 86,241 procentu.

- A prawdopodobieństwo, że wróci nie uszkodzony?

- 86,241 procentu - powtórzył komputer. - Jeżeli wejście do budynku go nie uszkodzi, nie uszkodzi go też wyjście tym samym sposobem.

- Wyłącz się - powiedział Jablonski, a następnie zwrócił się do Fletchera. W jego oczach płonęło dzikie podniecenie.

- Na Boga, mam go! Nareszcie mam tego sukinsyna!

Jablonski i Fletcher weszli do magazynów kompleksu muzealnego, w których panował zwykły ruch. Starszy mężczyzna prowadził swego asystenta, mijając magazyny poświęcone kulturom Zewnętrznego i Wewnętrznego Pogranicza. Ominął labirynt połączonych ze sobą pomieszczeń, które były przeznaczone do badań gęściej zaludnionych rejonów, i w końcu wprowadził go do dużego pomieszczenia, w którym znajdowały się dostarczone ostatnio przedmioty ze Spiralnego Ramienia.

Jablonski zaczął natychmiast krążyć wśród obiektów, witając się z pracownikami, którzy odkurzali, czyścili, rekonstruowali i zajmowali się setkami nie skatalogowanych jeszcze przez uniwersytet przedmiotów.

Minęli mistyczną wazę z Valerium VII, która była przyczyną trzech wielkich wojen z zamierzchłej starożytności tej planety i okrążyli pięć kamieni, które muzeum otrzymało z Meczetu Czcigodnych zmarłych na Nowym Paragwaju. Jablonski zatrzymał się, by obejrzeć niewielki wyrób ceramiczny. Przysunął go do nosa i głęboko wciągnął powietrze. Lubił zapach i dotyk starych przedmiotów i przeżycia towarzyszące spójnej całości obcej cywilizacji na podstawie drobnych okru-

chów, cieszył go widok przedmiotów rozrzuconych po stołach, oczekujących na klasyfikację. Słusznie dumny był z wystaw organizowanych przez muzeum, ale właśnie tu dokonywała się prawdziwa praca, będąca jego żywiołem.

- Czego właściwie szukamy? - spytał Fletcher, gdy Jablonski zatrzymał się, aby obejrzeć niewielką cylindryczną rzeźbę z Aldebarana XIII.

- Czegoś z Ziemi - odpowiedział Jablonski.

- Mamy maskę gazową z pierwszej wojny światowej na wystawie we Wschodnim Skrzydle - zasugerował Fletcher - oraz przybranie głowy Indian amerykańskich, a także...

Jablonski pokręcił głową.

- Wiemy, co mamy - powiedział szorstko.

- Czy mógłby pan w takim razie dokładniej... - odezwał się Fletcher.

- Chcę coś stąd.

- Stąd? - powtórzył Fletcher wskazując ręką na salę.

- Coś, co jeszcze nie zostało skatalogowane.

- Co pan ma na myśli?

- Wszystko jedno co. Chodzi o to, żeby było z Ziemi i żeby nie było odnotowane w komputerze.

Oczy Fletchera rozszerzyły się nagle.

- Teraz rozumiem! - krzyknął.

- Zajął ci to wiele czasu - rzekł Jablonski poirytowany. - A teraz ucisz się.

- Pan chce to podrzucić na Rhise Prime - wyszeptał Fletcher podekscytowany.

- Nie na planetę - odparł Jablonski - ale do muzeum.

- Nigdy się to panu nie uda.

- Mnie nie, ale tobie.

- Mnie? - powiedział Fletcher zaskoczony.

- Tak - ciągnął Jablonski zniecierpliwiony - a teraz wracajmy do pracy. Jutro wyjeżdżasz.

Nie czekając na odpowiedź Jablonski zaczął znów przetrząsać pojemniki w poszukiwaniu odpowiedniego przedmiotu. Po upływie pół godziny nadal nic nie znalazł.

- Cholera - mruknął - przecież wiem, że dwa tygodnie temu dostaliśmy rzeźbę aztecką.

- Została wystawiona na początku tego tygodnia - wyjaśnił Fletcher.

Jablonski zaśmiał się ironicznie.

- Gdybym chciał, żeby się pospieszyli, jeszcze wciąż osiadałby na niej kurz. Chyba nic tu nie znajdziemy. Chodźmy do piwnicy.

Podszedł do szybu zjazdowego, zaktywizował poduszkę powietrzną, wszedł na jej środek, zaczekał na Fletchera, a następnie polecił mechanizmowi, aby przeniósł ich na poziom piwnicy. Opuszczali się powoli, w miarę jak opadała poduszka powietrzna, wreszcie znaleźli się w ogromnej piwnicy-składzie, wypełniającej przestrzeń pod całym muzeum.

Piwnica była oświetlona dyfuzyjnym światłem, które emanowało z niewielkiego źródła, a wydłużone cienie, jakie tworzyło, nadawały piwnicy tajemniczego wyglądu. Nieznane duchy zdawały się ukrywać za każdym przedmiotem, gotowe rzucić się na tych, którzy zbeczcęścili ich

starożytne domostwa, i podczas gdy pracownicy utrzymywali to ogromne pomieszczenie w nienagannej czystości, wciąż wydawało się, że były pokryte warstwami kurzu, nagromadzonymi od tysiącleci.

Prawnie jedną czwartą pomieszczenia zajmowała kompletna kaplica Krobb, którą Jablonski przywiózł z systemu Wizny. Najdalsza ściana była zdominowana przez Wielkiego Wę-

ża z Dorillion, rzeźbę w kształcie węża, długą na dziewięćdziesiąt stóp, na której cała historia starożytnej rasy Dorillion została przedstawiona w postaci wyrzeźbionych obrazów tak maleńkich, że wiele z nich można było oglądać jedynie w powiększeniu i po sztucznym udoskonaleniu.

Były tam posągi i inne przedmioty, które zajęłyby zbyt wiele miejsca w pomieszczeniach przeznaczonych do konserwacji. Składowano je tu do czasu, aż zostaną przygotowane na wystawę.

Jablonski przechodził od posągu do posągu, od gabloty do gabloty, poszukując przedmiotów pochodzących z Ziemi. W końcu zatrzymał się nagle przed długim stołem.

- A co to jest? - zapytał. - Tego nie pamiętam.

Fletcher spojrzał na dwie kolumny z kości słoniowej.

- Nie jestem całkiem pewien. Zostały odkryte przez Bromhelda Sherrinforda na obrzeżu Galaktyki. Przywieziono je tu niecały tydzień temu.

- Sherrinford? - zastanawiał się Jablonski. - Nie znam tego nazwiska.

- Jego ekspedycja została sfinansowana przez dwadzieścia instytucji naukowych, w tym i naszą. Badał kulturę Guavere na Melimie IV, kiedy trafił na coś, co wyglądało jak kryjówka jakiegoś przestępcy, który żył w tamtym rejonie ponad tysiąc lat temu. Zgodnie z legendami, które zebrał Sherrinford, przestępca był ogromnym cyborgiem zwanym Żelaznym Hrabią, czy Żelaznym Księciem. Nie leżało to jednak w sferze zainteresowań Sherrinforda i kiedy stwierdził, że w kryjówce nie znajdowało się nic pochodzącego z kultury Guavere, podzielił po prostu znalezisko na dwadzieścia części o równej wartości i wysłał je do każdej instytucji. - Tu Fletcher wskazał na kły. - Te są nasze.

- Co to jest?

Fletcher wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia.

- To poleć komuś przeprowadzić badanie molekularne, niech stwierdzi, co to jest i skąd pochodzi - powiedział Jablonski poirytowany.

Fletcher opuścił piwnicę i powrócił po chwili, niosąc pod pachą skomplikowany instrument.

- Pomyślałem, że będzie lepiej, jeżeli sam przeprowadzę próbę - wyjaśnił. - Lepiej nie wtajemniczać nikogo w nasze plany.

- Słusznie - powiedział Jablonski opryskliwie. - Bierz się do roboty.

- Chyba mamy szczęście - oznajmił Fletcher po chwili. - Wygląda na to, że pochodzą z Ziemi.

- Organiczne?

Fletcher popatrzył na wskaźniki i skinął głową.

- Na pewno zawiera węgiel.

- Weź wycinek i przeprowadź dokładniejsze badanie. Muszę mieć pewność.

Fletcher wykonał polecenie i pięć minut później przedstawił kompletny odczyt molekularny.

- Z pewnością pochodzenia ziemskiego - potwierdził Fletcher. - Nie ma wątpliwości.

- Przeanalizuj strukturę DNA w komputerze laboratorium biologicznego i sprawdź, co to jest.

Fletcher uruchomił znajdujący się w pobliżu terminal komputerowy, zlecił połączenie z komputerem laboratoryjnym i czekał na wynik.

- Wygląda na to, że są to kły słonia - powiedział Fletcher analizując otrzymane dane.

- Słoń? - zdziwił się Jablonski. - Czy nie jest to zwierzę lądowe, które wyginęło?

- Tak - odpowiedział Fletcher patrząc w zamyśleniu na kły. - Zastanawiam się, skąd się wzięły na obrzeżu Galaktyki?

- Najważniejsze, że teraz są tutaj - powiedział Jablonski.

Rozejrzał się po mrocznych zakątkach piwnicy i zniżył konspiracyjnie głos.

- Dziś po południu zaprogramuj komputerowo jednego z naszych robotów AG-203 tak, żeby mógł wejść i wyjść z czterowymiarowej mozaiki. Następnie późnym wieczorem wrócisz tu i zabierzesz kły na statek.

- Ale ja nie mogę tak po prostu wylądować na Rhise Prime!

- Uspokój się i słuchaj! - warknął Jablonski. - Polecę Modellowi, żeby pod jakimś pretekstem opuścił planetę na kilka dni. Spotkasz się z nim w systemie Peritane i przekażesz kły i robota na jego statek. Powiedz mu, żeby się upewnił, że robot umieści kły we właściwy sposób. Nie można dopuścić, żeby je znaleziono leżące na samym środku białe i czystutkie, kiedy wszystko będzie przykryte kurzem.

On będzie wiedział, co zrobić.

- A ja wracam tutaj?

- Tak.

- A co z robotem? Nie możemy go zostawić błądzącego po Prime Rhise.

- Powiedz Modellowi, żeby rozkazał mu, aby oddalił się na pięćset mil i uległ samozniszczeniu.

- Znajdą go prędzej czy później.

- Nie obchodzi mnie, co będzie później - warknął Jablonski. - Moim zadaniem jest zdyskredytować Pyma. To jest jedyna rzecz, jaka ma znaczenie.

Minęły cztery miesiące. Euphrates Pym został przedstawiony na hologramach, sfotografowany, sfilmowany i uwieczniony na inne sposoby w czasie otwierania drzwi do Muzeum Rhise. Powrócił po tygodniu do domu, i natychmiast zamknął się w swej samotni, by przeanalizować dane i wyciągnąć wnioski.

W końcu zwołał konferencję prasową i Jablonski skwapliwie wniósł opłatę za transmisję holograficzną, żeby móc ją osobiście obserwować. Nie chciał zadowolić się okrojona wersją, która miała być nadana jakiś czas później.

Pym, jak zawsze wytworny i pewien siebie, stanął przed całą armią kamer, odchrząknął i zaczął mówić.

- Panie i panowie, chciałbym złożyć krótkie oświadczenie, a następnie jestem gotów odpowiadać na pytania.

Patrzył prosto w największą kamerę holograficzną.

- Ci z państwa, którzy śledzili nasze postępy w rozszyfrowaniu tajemnic cywilizacji Rhise, wiedzą o tym, iż. sugerowałem niedawno, że w jakimś momencie odległej przeszłości Ziemia mogła być placówką Imperium Rhise. Teoria ta - dodał - wywołała furię wśród moich kolegów, z których większość zdecydowanie nie zgodziła się ze mną.

Przerwał na chwilę, a następnie ciągnął dalej:

- Muszę oświadczyć, że w tym przypadku moi koledzy mieli rację. W oparciu o odkrycia dokonane w muzeum na Rhise Prime mogę kategorycznie stwierdzić, że na Ziemi nie było placówki Imperium Rhise.

- Co? - ryknął Jablonski.

- Naukowcy szukają wyłącznie prawdy i jestem szczęśliwy, że moja praca pomogła rozwiązać wszystkie wątpliwości na ten temat, i zastąpić je faktami. - Pym przerwał, gdy wybuchła burza oklasków, a następnie kontynuował:

- Jeżeli chodzi o bieżące studia nad cywilizacją Rhise, to z przyjemnością powierzę je Hilbertowi Nieswandowi, mojemu głównemu asystentowi. Chciałbym skorzystać z kilku miesięcy wakacji, żeby odpocząć po trudach, a następnie przyjmę niezmiernie hojną ofertę Fundacji Moltona i spędzę następnych kilka lat na Szandorze II kierując grupą ich ekspertów, której zadaniem jest rozszyfrowanie bardzo dziwnej cywilizacji. Z przyjemnością oczekuję tej pracy. A teraz, czy macie państwo pytania?

- Co się stało? - mruzczał Jablonski nic nie rozumiejąc. - Wiem, że znalazłeś kły, ty sukinsynu!

Nagle obraz Pyma zaczął migać.

- Co to jest? - spytał Jablonski.

- Przed chwilą otrzymał pan prywatną wiadomość od Euphratesa Pyma - oznajmił komputer. - Czy mam wyświetlić hologram, czy zaczeka pan na zakończenie audycji?

- Już skończona! - warknął Jablonski. - Proszę wyświetlić wiadomość.

Twarz Pyma pojawiła się ponownie, ale ubrany był w inne odzienie i siedział w wygodnie urządzonej biurze.

- Hello, Boris - powiedział. - Wiadomość ta była nagrana wcześniej, więc nie wdawaj się w rozmowę ze mną. Po prostu usiądź i słuchaj.

Przerwał na chwilę, by zapalić duże auterreańskie cygaro.

- Jestem ci niezmiernie wdzięczny, stary przyjacielu. Oszczędziłeś mi wiele lat bardzo nużącej pracy w terenie.

Tu Pym pozwolił sobie na triumfalny uśmiezek.

- Oczywiście nie było to twoim zamiarem, ale niej byle kogo usiłowałeś oszukać. Ja jestem Ephrates Pym!

Jablonski zaklął, a obraz Pyma patrzył nań z samozadowoleniem.

- Nie wiem, gdzie znalazłeś kły, Borysie, ale jak zwykle twoja metodologia przewyższyła intuicję. Udało ci się umieścić je w muzeum mimo przedsięwziętych środków ostrożności i za to muszę ci pogratulować, ale podejrzewam, że raz sprawdzisz, iż pochodzą z Ziemi zaniechałeś dalszej analizy. My zaś przepuściliśmy je przez analizator subnuklearny i stwierdziliśmy, że pochodzą z dziewiętnastego wieku po narodzeniu Chrystusa. Nie do pomyślenia jest, żeby przedstawiciele kultury Rhise wylądowali w tym okresie na Ziemi nie zauważeni.

Pym zaciągnął się głęboko cygarem i wypuścił chmurę błękitnego dymu, która zaczęła unosić się nad jego głową.

- Cała ta operacja była wyraźnie w twoim stylu - kontynuował. - Szczegółowe planowanie, całkowity brak wyobraźni i przewidywania. Wiedziałem, że byłeś za to odpowiedzialny od momentu, w którym udało mi się datować kły, ale ponieważ nauczyłem się trochę od ciebie o metodach, zdecydowałem się zdobyć pozytywny dowód przed skontaktowaniem się z tobą. Zdecydowałem, że każdy członek mojej ekspedycji odpowie na kilka pytań będąc podłączony do maszyny Neverliego.

Tu Pym przerwał wyraźnie zadowolony z siebie.

- Okazuje się, że twój człowiek, Modeli, wiedział, co dzieje się, gdy się kłamie przy tej maszynie i przyznał się do uczestnictwa, zanim go w ogóle podłączono. A przy okazji, teraz Modeli jest moim człowiekiem.

Jeszcze raz Pym zaciągnął się cygarem i wypuścił chmurę dymu.

- W każdym razie to, że byłeś gotów rozstać się z tak wartościowymi przedmiotami tylko po to, żeby przekonać mnie, iż na Ziemi była placówka Imperium Rhise, wystarczyło mi za dowód, że Imperium Rhise nigdy nie dotarło do naszej rodzin-

nej planety. Może nie jesteś błyskotliwy i nie masz intuicji, jesteś jednak dokładny, i dlatego z przyjemnością odrzucam moje wcześniejsze założenie. - Tu Pym roześmiał się nagle. - Przyszło mi właśnie do głowy, czy nie byłoby to zabawne, gdybyśmy znaleźli prawdziwy przedmiot z Ziemi teraz, kiedy już ogłosiłem oficjalnie, że te dwie rasy nigdy się nie spotkały - znów przerwał na chwilę. - Myślę, że będę musiał oznajmić, że biedny Boris Jablonski znów się pomylił.

Pym śmiał się jeszcze przez chwilę, a potem ciągnął dalej:

- Na koniec, stary przyjacielu, chciałbym ci podziękować za prezent w postaci kłów. Zabiorę je ze sobą na Szandora II, gdzie umieszczę je na honorowym miejscu wśród moich eksponatów pochodzących z Ziemi. A przy okazji, nie martw się, że ujawnię twój postępek na uniwersytecie. Znacznie większą przyjemność będę miał, gdy wykorzystam go jako anegdotę po kolacji.

Transmisja skończyła się. Jablonski wolno wstał, poszedł do toalety i przeciął sobie żyły w obu nadgarstkach.

Gdy Fletcher znalazł go, nie żył już od dwóch godzin.

DRUGIE INTERLUDIUM (ROK 6303 ERY GALAKTYCZNEJ)

Spałem w biurze i kiedy obudziłem się następnego dnia, natychmiast sprawdziłem, czy komputer dokonał dalszego postępu w poszukiwaniu kłów. Postępu nie było, a ponieważ komputer miał wykorzystać do zbadania tego problemu tylko niewielką część swej mocy obliczeniowej, jeszcze przez dłuższy czas postanowiłem mu nie przeszkadzać. Poleciałem mu tylko dostarczyć trwałe kopie obu fotografii i kilka następnych minut spędziłem patrząc na nie bezmyślnie. Usiłowałem wyobrazić sobie rozmiary zwierzęcia, które owe kły posiadało, a następnie odłożyłem kopie na bok i powróciłem z pewnym ociąganiem do zadań czekających mnie tego poranka. Miałem

sprawdzić autentyczność horndemona z Ansarda IV. Rozstaw jego rogów wynosił

108,3 centymetra, co dawało mu 193 miejsce na liście. Powstał jednak pewien spór odnośnie do metody konserwacji, która mogła spowodować powiększenie rozmiaru o 4-5 centymetrów, a niestety jedyny dostępny hologram eksponatu był nieostry.

Poddałem hologram analizie komputerowej, ale nie dała konkretnych wyników, czego się zresztą spodziewałem. Następnie zapoznałem się z zaprzysiężonymi oświadczeniami myśliwego i konserwatora, usiłowałem skontaktować się z przewodnikiem wyprawy - bezskutecznie, bo prowadził wyprawę w poszukiwaniu dzwoneczników na Daedalisue VII, i wreszcie zdecydowałem skierować sprawę do naszego eksperta od konserwacji w systemie Ansarda, prosząc go o decyzję przed końcem tygodnia.

Sprawdziłem czas. Miałem niecałą godzinę do spotkania w Muzeum Historii Naturalnej i zamiast rozpocząć prace nad nowym problemem, znowu wziąłem do ręki obie fotografie. Zacząłem je oglądać, dziwiąc się rozmiarowi kłów i zastanawiając się, jak zabijało się zwierzę o takich kłach w czasach, kiedy myśliwi nie mieli laserów, broni dźwiękowej lub imploderów molekularnych.

Nie wiem, jak długo przyglądałem się fotografiom, kiedy nagle krysztal komputera rozjaśnił się i przede mną pojawił się hologram twarzy Hildy Dorian.

- Wygląda na to, że szykuje się pracowite popołudnie - powiedziała. - Czy możemy przesunąć lunch u godzinę wcześniej?

- Przepraszam? - powiedziałem zaskoczony.

- Lunch, Duncan - wyjaśniła cierpliwie. - Wiesz, posiłek, który między śniadaniem a kolacją. Przecież jemy lunch razem w każdą środę od dziewięciu lat.

- I co z tym lunchem?

- O Boże, czy znowu cię naszło?

- Co?

- Znowu cię trafiło - powiedziała ponuro.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- To jeden z objawów - odpowiedziała. - Widzę, że mogę się spodziewać miesiąca nic nie widzących spojrzeń, zdań, które Urywają się w połowie i nie dotrzymany terminów. Ostatni raz byłeś taki dwa lata temu, kiedy strawiłeś kilka miesięcy udowadniając, że skystalkery wyginęły i że ten myśliwy z obrzeża Galaktyki zgłosił fałszywe roszczenie - westchnęła. - Teraz ktoś zadał ci nową zagadkę i będziesz nie do zniesienia, dopóki Jej nie rozwiążesz.

- Nonsens - powiedziałem niepewnie, starając się skoncentrować na obrazie przede mną.

- Jakie zadanie wymyślił dla ciebie tajemniczy pan Mandaka? - nalegała.

- Co wiesz o Mandace? - spytałem.

- Zajmuję się ochroną. To znaczy, że wiem, kto tu wchodzi, kto stąd wychodzi i kogo odwiedza. Wiem również, że spędziłeś noc w biurze i że komputer pracował dla ciebie przez całą noc - uśmiechnęła się. - Wiem, też, że puszczałeś tę straszną, obcą muzykę, której zawsze słuchasz, kiedy pracujesz nad jakimś problemem.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

- Jakie pytanie?

- Co wiesz o Mandace?

- Wiem, że odwiedził cię wczoraj, a kiedy wyszedł, dowiedzieliśmy się, że uzyskałeś pozwolenie na korzystanie z komputera nocami i w czasie weekendów.

Wzruszyłem ramionami.

- To nie jest żaden sekret, ponieważ Mandaka załatwił to z firmą. Poszukuję rekordowego okazu kłów słoniowych.

- Kłów z Ziemi?

- Tak.

- Będzie rozczarowany.

- Nie, nie będzie - odpowiedziałem zdecydowanie. - Znajdę je dla niego.

- Popraw mnie, jeżeli się mylę - powiedziała Hilda. - Ale słonie wyginęły, kiedy jeszcze ludzkość nie oderwała się od Ziemi.

- On poszukuje kompletu kłów, który istnieje.

- Rozumiem - powiedziała. - Ponieważ i tak niewiele więcej się od ciebie dowiem, to zejdź do stołówki i tam mi o wszystkim opowiedz.

- Nie mogę - powiedziałem. - Jestem umówiony na oficjalne pomiary w Muzeum Historii Naturalnej.

- Och - powiedziała i twarz jej się rozjaśniła. - Czy Prudence Ashe też tam będzie?

- Tak.

- Nie widziałam jej od czasu, kiedy wyjechała z Braxton. Czy mogę do ciebie dołączyć?

- Jeżeli chcesz.

- Dżentelmen jak zawsze - powiedziała sardonicznie. - Spotkam się z tobą w hallu za piętnaście minut.

Była punktualnie, jak zawsze. Gdy zszedłem do hallu, czekała już na mnie świeżo umalowana, w płaszczyku mieniącym

się wszystkimi kolorami, narzuconym na szary mundur służby bezpieczeństwa.

- Musimy przestać spotykać się w ten sposób - powiedziała z uśmiechem. - Harold zaczyna się robić podejrzliwy.

- Doprawdy?

Prychnęła pogardliwie.

- Oczywiście, że nie! On wie dokładnie, że jedyną rzeczą, w której możesz się zakochać, to nie rozwiązane równanie.

- Nie jestem matematykiem.

- No, to nie rozwiązany problem.

Główne drzwi budynku rozwarły się, żeby nas przepuścić i wyszliśmy na chodnik, sunący w kierunku północnym.

- Dlaczego mi o nim nie opowiesz? - spytała.

- O kim?

- O twoim problemie - odpowiedziała cierpliwie, jakby rozmawiała z małym, niezbyt pojętnym dzieckiem. - Cóż takiego jest w tych kłach słonowych, że rozbudziły twoją wyobraźnię?

- Szereg rzeczy - odparłem. - Po pierwsze, nikt Jeszcze nie prosił mnie o znalezienie zaginionego trofeum.

- I to cię podnieca?

- W każdym razie interesuje. O! To trofeum byłoby jednym ze starszych w Galaktyce, może nawet najstarszym.

- Rozumiem - powiedziała niezobowiązująco.

- Ale tu chodzi o coś więcej - ciągnąłem dalej, kiedy zbliżyliśmy się do skrzyżowania i chodnik zaczął się wznosić, żeby ominąć drugi, poruszający się doń prostopadle.

- Tego się spodziewałam.

- Próbowałem je wysledzić: przepadły na kilkaset lat, żeby pojawić się nagle w miejscu oddalonym o tysiące lat świetlnych.

- Czy nie jest to normalne w przypadku wartościowych trofeów myśliwskich?

- Nie, im bardziej są wartościowe, tym wcześniej wracają do muzeów.

- Ale kły, oczywiście, nie są w muzeum?

- O ile wiem, nie - powiedziałem z westchnieniem. - Były stawką w grze w karty. Stały się łupem cyborga-przestępcy i odegrały pewną rolę w rozgrywce między pozbawionymi etyki naukowcami - były wszystkim, tylko nie eksponatami w muzeum. No, może to nie całkowita prawda. Zaczęły od muzeum, ale później trafiły w jakiś sposób w prywatne ręce. Właśnie odwrotnie niż w normalnej sytuacji.

- Ciekawe - powiedziała - ale niewystarczające.

- Nie rozumiem.

- Musi być w tym coś więcej. To, co mi opowiedziałeś, nie wystarcza, żeby patrzeć martwym wzrokiem w przestrzeń i zapomnieć pójść do domu - powiedziała Hilda. - Co jeszcze takiego fascynującego jest w tych kłach?

- Dobrze - powiedziałem zwracając się ku niej. - Dlaczego prywatny kolekcjoner gotów jest za nie zapłacić dwa miliony kredytów?

- Ile? - spytała zaskoczona.

- Dwa miliony kredytów.

- Czy rzeczywiście są tyle warte?

- Żadne muzeum tyle nie zapłaci - powiedziałem - i dlaczego właśnie chodzi o ten komplet kłów? Mandaka wyraźnie to powiedział. To nie mogą być żadne inne kły. To muszą być właśnie te.

- Czy wiesz dlaczego? - spytała mimo woli zainteresowana.

Potrząsnąłem głową.

- Mam jedynie niejasne skojarzenia. Kły były własnością członków jakiegoś klanu.

- Pamiątka rodzinna? - zasugerowała.

- Mało prawdopodobne - odparłem. - Nikt nie zna okoliczności śmierci słonia, ale kły zostały natychmiast sprzedane na aukcji. Na początku nie były własnością Masajów i minęły prawie dwa tysiące lat od czasu, kiedy ostatni raz je mieli.

- Co to są Masajowie?

- Grupa społeczna Mandaki.

- Mówisz, dwa miliony kredytów?

- Plus to, co już stracił na poszukiwania. Odniosłem ponadto wyraźne wrażenie, że jeżeli obecny właściciel kłów nie będzie się chciał z nimi rozstać, Mandaka będzie gotów złamać tyle przepisów prawnych, ile będzie trzeba, żeby wejść w ich posiadanie.

- Nawet morderstwo? - spytała ciekawie.

- Przypomniałem sobie fantastyczne błyski w oczach Mandaki, kiedy mi mówił, że nic go nie powstrzyma od osiągnięcia celu.

- Wcale bym się nie zdziwił.

- Ciekawe - to był jedyny komentarz Hildy.

Chodnik zatrzymał się przy czteropoziomowym skrzyżowaniu i zeszliśmy na platformę, która spłynęła na poziom ulicy, a następnie weszliśmy na chodnik ekspresowy i ustawiliśmy się za przejrzystym wiatrochronem, z umocowując stopy. Czekaliśmy na ostatniego niezdecydowanego pasażera, który opóźnił nas prawie o minutę, zastanawiając się, za którym wiatrochronem się ustawić. Wreszcie zaczęliśmy przyspieszać, a budynki i inni przechodnie stali się jedynie zamazanym tłem, gdy pędziliśmy przez śródmieście. Ominęliśmy Wielki Zakręt i dzielnice handlowe i osiągnęliśmy maksymalną szybkość nu

Prostej wiodącej ku przedmieściu. Po przejechaniu Jakichś siedmiu mil zaczęliśmy zwalniać i w chwilę później chodnik ekspresowy zatrzymał się w Kompleksie Gmachów Publicznych. Zeszliśmy na chodnik, minęliśmy Obserwatorium, Kompleks Naukowy, Instytut Sztuk Obcych, akwarium, ZOO tlenowców i chlorowców i w końcu dotarliśmy do Muzeum Historii Naturalnej.

- Razem dziewięć minut - powiedziała Hilda patrząc na zegarek. - Nieźle, jak na tę porę dnia. Chciałabym jednak, żeby zmienili mi trasę. Ilekroć mijam Wielki Zakręt, uświadamiam sobie, że nie jestem już taka młoda, jak byłam.

- Och.

Popatrzyła na mnie.

- Duncan, nie lubię, kiedy jesteś taki. Zazwyczaj Jesteś stosunkowo uprzejmy.

- A co ja takiego powiedziałem?

- Ważne jest to, czego nie powiedziałeś - wyjaśniła. - Mógłbyś powiedzieć, że jestem zgrabną kobietą i nie wyglądam na więcej niż trzydzieści.

- Jesteś zgrabną kobietą i nie wyglądasz na więcej niż trzydzieści - powiedziałem mechanicznie.

- Dziękuję - powiedziała kwaśno. - Nie wiem, czym się przejmuję.

Spojrzałem przed siebie i zobaczyłem dużą grupę dzieci idącą do muzeum. Chciałem je ominąć i wybrałem windę grawitacyjną, a nie ogromne schody ruchome, które były zaprojektowane tak, że wyglądały jak kamienne, i w chwilę później byliśmy przed głównym wejściem.

Weszliśmy do sali wejściowej. Było to ogromne pomieszczenie zdominowane przez prawdziwie imponujący, obracający się hologram, przedstawiający Galaktykę, w której każdy

świat opanowany przez Monarchię płonął jasno w porównaniu ze światami nie opanowanymi jeszcze przez człowieka. Inny hologram zawieszony tuż nad wewnętrznym ramieniem spiralnym podawał godziny, w których będą odtwarzane sławniejsze bitwy z naszej historii - oblężenie Beta Santori, bitwa o Spicę, wojna Settów, bitwa o Zewnętrzne Pogranicze i trzy bitwy stoczone przeciwko Caphor VI i VII, czyli Bliźniętom Caphor.

Szliśmy wokół tego wielkiego eksponatu, aż trafiliśmy do centrum Informacji.

- Czym mogę służyć? - zapytał komputer.

- Nazywam się Duncan Rojas. Jestem kierownikiem departamentu badań w Wilford Braxton.

Komputer zarejestrował mój wzór siatkówki i strukturę kostną w czasie krótszym niż sekunda.

- Proszę kontynuować.

- Mam umówione spotkanie z Prudence Ashe na nowej wystawie.

Komputer zamilkł na chwilę, a następnie rozświetlił się znowu.

- Potwierdzone. Wystawa jest w Skrzydle Centivarusa, w budynku Gwiazdozbioru Albionu.

- Jak tam trafić?

- Proszę iść za czerwonym światłem. Doprowadzi pana na wystawę. Centivarus jest zamknięty dla publiczności, ponieważ wystawa jest dopiero w przygotowaniu. Będzie pan musiał zatem przejść przez ochronną kontrolę.

- Wiem. Towarzyszy mi Hilda Dorian, która również pracuje u Braxtona. Proszę i ją upoważnić do wejścia do Skrzydła Centivarusa.

- Upoważniona.

- Dziękuję.

Ruszyliśmy, śledząc płataninę kolorowych światełek na podłodze, dopóki jedno z nich nie zaczęło migać jasno czerwonym blaskiem. Szliśmy za nim. Prowadziło nas przez Salę Istot Myślących, w której przedstawiono około dwustu gatunków tych istot zamieszkujących Galaktykę, a następnie skręciliśmy w lewo i okrążyliśmy holograficzną wystawę z Serengeti, planety zoologicznej założonej w pobliżu Wewnętrznego Pogranicza. W miarę juk przechodziliśmy z jednej sali do drugiej, trafiliśmy na szereg trójwymiarowych obrazów, które podawały na bieżąco uaktualnienia dotyczące nie tylko eksponatów w muzeum, ale również ponad tuzin ekspedycji badawczych.

Inne obrazy zapowiadały planowane wykłady, informowały o dotacjach od sponsorów, wydawnictwach finansowanych przez muzeum, a nawet nowościach w sklepach z upominkami.

Doszliśmy wreszcie do budynku Gwiazdozbioru Albionu, ominęliśmy salę poświęconą prehistorii planety Darbeena i dotarliśmy do zamkniętych drzwi, wiodących do Skrzydła Centivarusa. Czekaliśmy dopóki komputer nie sprawdził wzorów naszych siatkówek, a następnie drzwi uchyliły się na tyle, że mogliśmy wejść.

Była to imponująca wystawa. Olbrzymie dioramy przedstawiały niezmierną różnorodność form życia, jakie można znaleźć na Centivarusie III. Cała północna część sali przedstawiała oślepiająco białą scenę ze strefy podbiegunowej, a lód i śnieg były tak naturalne, że aż wiało od nich chłodem.

Dwie sceny wyobrażały rejony tropikalne. Jedna - wodopój w samo południe. W dali widać było szczyt góry i rzadki las migotliwych, błękitno-zielonych drzew powykręcanych w

przedziwne, kanciaste kształty, oraz płaską, wyżynną sawannę.

Około tuzina pracowników rozmieszczało na sawannie zwierzęta i rośliny. W końcu zobaczyłem Prudence Ashe. Siedziała okrakiem na ogromnym drapieżniku i dokonywała ostatnich poprawek futra za uchem.

- Hello, Duncan - zawołała zeskakując z bestii ze zręcznością przeczącą jej metryce. Jej wzrok padł na Hildę.

- O! Przyprowadziłeś również Hildę! Co za miła niespodzianka! Jak się ma Harold?

- Świetnie. A ja twoje dzieci? - zapytała Hilda.

- Geoffrey wrócił do szkoły, a dziewczyny nadal służą w marynarce. Diedre jest gdzieś w okolicach systemu Bindera. Oficjalnie nie powinnam wiedzieć, gdzie jest Carolyn, ale wydaje mi się, że gdzieś w okolicach Lodin - uśmiechnęła się Prudence. - Przysłała mi hologram miejscowego kwiatu. Pokazałam go w sekcji botanicznej.

- Wygląda na to, że masz mnóstwo pracy - powiedziała Hilda rozglądając się po sali.

- Nie mogę narzekać - odparła Prudence z satysfakcją. - Kieruję całą wystawą z Centivarusa. - Zwróciła się do mnie - Chciałabym jeszcze raz podziękować ci za rekomendację.

- Jeszcze mi nie dziękuj - powiedziałem. - Masz tu kilka błędów ekologicznych.

- Myślisz o błękitnej gazeli Andersena? - spytała.

- Ona pasie się nocą, a ty ustawiłaś ją w słońcu.

- Wiem - przyznała. - Ale nie mieliśmy dość zwierząt nocnych, żeby stworzyć kolejną dioramę. Jest na ten temat notatka w informacji komputerowej. Czy zauważyłeś coś jeszcze?

- Tak - przyznałem. - Lepiej zdejmij tego żółto purpurowego awiana ze sceny leśnej. Tego z zakrzywionym dziobem -

tu wskazałem na małe, ptakopodobne zwierzątko uczone na gałęzi tuż nad dużym czerwonym zwierzęciem roślinożernym.

- Co masz mu do zarzucenia?

- Nie pochodzi z Centivarusa III.

- A skąd? - spytała Hilda.

- Nie mam pojęcia.

- Jeżeli nie wiesz, skąd pochodzi, to dlaczego ta pewność, że nie z

Centivarusa III - nalegała Hilda.

- Ma cztery palce u nóg, a wszystkie awiany z Centivarusa mają trzy.

Prudence podeszła do dioramy i zatrzymała się z rękami na biodrach.

- Muszę sprawdzić, kto nad nim pracował i kto skierował go na wystawę z Centivarusa.

Popatrzyła jeszcze chwilę na awiana, pokręciła głową i westchnęła głęboko.

- Dziękuję ci, Duncan. Poproszę któregoś z asystentów, żeby go usunął.

Odwróciła się do mnie.

- Aż boję się zapytać, ale czy widziałeś coś jeszcze?

- Nie zauważyłem nic więcej, ale zupełnie nie znam się na florze. Na twoim miejscu poprosiłbym jednego z ekspertów muzeum o sprawdzenie.

- Zrobię to - obiecała. - Chciałbyś obejrzeć teraz arrowhorna?

- Jeśli nie sprawi ci to kłopotu.

- Oczywiście, że nie. Przecież po to przyszedłeś - poprowadziła mnie do części wystawy przedstawiającej sawannę i wezwała ruchomą drabinę.

- Wspaniały okaz, prawda?

Spojrzałem na arrowhorna, groteskowe zwierzę, którego główną obronę przed drapieżnikami stanowiły trujące rogi. Potrafił je z niezmierną siłą i celnością wystrzeliwać na odległość do czterdziestu stóp. Czytałem o tym zwierzęciu kilka dni wcześniej i dowiedziałem się, że potrzeba było prawie sześciu tygodni, żeby wystrzelone rogi odrosły. Po wystrzeleniu rogów w ciągu doby pojawiały się pseudo-rogi uformowane z ciała, co było skuteczną obroną przed drapieżnikami, które widząc zwierzę pozbawione rogów natychmiast by je zaatakowały.

- Wspaniały - powiedziałem. - Kto go zabił?

- Myśliwy o nazwisku Demostenes.

Pokręciłem głową.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- On dopiero zaczyna.

- Czy przedstawił arbitra? - spytałem.

- Nie. Zastrzelił go na zlecenie muzeum.

- A muzeum ma arbitra?

- Nie.

- Wiesz, że nie będziesz mogła podważyć mojej decyzji, jeżeli nie masz arbitra, który ciebie reprezentuje?

- Chcielibyśmy mieć arrowhorna. Jeżeli jest rekordowy, a myślę, że jest, to tym lepiej.

- No - powiedziałem widząc zbliżającą się drabinę. - Chyba muszę się wziąć do roboty.

Prudence pokazywała Hildzie resztę wystawy i kierowała usunięciem awiana z dioramy. Ja natomiast spędziłem dwadzieścia minut obmierzając arrowhorna i dokładnie go badając, żeby upewnić się, czy Prudence mimowolnie nie zawyżyła wymiarów zwierzęcia. W końcu sprawdziłem dane i wywoła-

łem bieżące wydanie] Braxtona na moim kieszonkowym komputerze.

- Wysokość w barku dziewięć stóp i cztery cale - powiedziałem - to daje mu sto osiemnaste miejsce.

- Dobrze - powiedziała Prudence, a twarz jej się rozjaśniła. - Trafiliśmy do księgi. A co z rogami?

- Sto pięćdziesiąty piąty co do długości i sto osiemdziesiąty trzeci pod względem rozstawu - odparłem. - Ten wasz myśliwy mógł poczekać jeszcze tydzień lub dwa z odstrzałem.

- Sto osiemdziesiąty trzeci pod względem rozstawu? - powtórzyła Prudence zaskoczona. - Myślałam, że będzie nieco lepiej. Jak wypadł twój pomiar?

- 67,2 cala - powiedziałem.

- Mnie wypadło 68,1 cala.

- Prawdopodobnie mierzyłaś pomiędzy najdalej rozstawionymi punktami - wyjaśniłem. - Podczas, gdy u arrowhorna rozstaw mierzy się od czubka do czubka, a jak widzisz prawy czubek nachyla się lekko ku środkowi.

Popatrzyła na punkt, który wskazałem, a następnie skinęła głową.

Po krótkiej przerwie ciągnąłem dalej:

- Długość od czubka nosa do końca ogona - trzynaście stóp i trzy

cale. To nie wystarczy. Twój arrowhorn znajdzie się na trzech z czterech list.

- No, myślę, że to nie jest źle - powiedziała Prudence - szczególnie, że zwierzęta te zostały poważnie przetrzebione w ciągu ostatnich czterdziestu lat.

- Chciałbym dodać, że pięknie go zakonserwowałaś.

- Dziękuję.

- Czy mogę ci zadać pytanie?

- Na temat arrowhorna?

- Nie.

- Może o słoniu? - uśmiechnęła się.

- Dlaczego tak myślisz?

- Hilda opowiedziała mi o twojej najnowszej obsesji.

- Moim najnowszym zleceniu - poprawiłem. - Myślę, że Mandaka odwiedził i ciebie?

- Tak - odparła Prudence. - Ale nic mu nie pomogłam.

- A co o nim myślisz?

- Nie wiem. Jest bardzo grzeczny, ale jest w nim coś dziwnego*.

- Zgadza się.

Prudence milczała przez chwilę, jak gdyby przypominając sobie spotkanie z Mandaką. W końcu spojrzała na mnie.

- A o co chciałeś spytać?

- Pytanie jest dość proste - powiedziałem. - Wiesz czego szukam. Czy one w dalszym ciągu wyglądają jak kły?

- Nie rozumiem - przerwała Hilda. - Myślałam, tak jak wszyscy, że szukasz pary słoniowych kłów.

- Ale kły to kość słoniowa, a w ciągu tysiącleci kość słoniowa była wykorzystywana do różnych celów - odparłem. - W 4400 roku Ery Galaktycznej były nienaruszone, ale od tego czasu mogły być do czegoś wykorzystane.

- Wątpię - odrzekła Prudence w zamyśleniu. - I tyły prawdopodobnie konserwowane, może nawet kilka razy. Nie rzeźbiona kość słoniowa traci wilgotność i wtedy zaczyna pękać. - Zamilkła na chwilę. - Czy właściciel... no, ten, który je miał w roku 4400 E.G., znał ich wartość?

- Ich dokładną wartość? - odpowiedziałem. - Nie umiem tego powiedzieć. W każdym razie orientował się na tyle, że je ubezpieczył.

Uśmiechnęła się.

- A zatem masz odpowiedź. Żadne towarzystwo ubezpieczeniowe nie tknęłoby ich, gdyby nie były zakonserwowane, a kość słoniową konserwujemy za pomocą stabilizacji molekularnej od roku 3100 E.G.

- Więc wyglądają jak kły? - spytała Hilda.

- Jeżeli były stabilizowane, to nie ma takiego tnącego narzędzia, które mogłoby je choć zarysować - odparła Prudence.

- No, to mi trochę ułatwi życie - powiedziałem.

- Czy mogę jeszcze jakoś pomóc? - spytała Prudence.

- Nie, chyba że możesz wyjaśnić, dlaczego dobrze sytuowany, nowoczesny człowiek ma obsesję na temat zwierzęcia, które zmarło ponad siedem tysięcy lat temu.

- To dobre pytanie - stwierdziła.

- Mam takich więcej.

- Na przykład?

- Dlaczego tylko słoń Kilimandżaro? Skąd Mandaka wie, że kły wciąż istnieją? To znaczy, że on wie więcej niż ja, pomimo że mój komputer pracował przez całą noc.

- Myślałam, że właśnie powiedziałeś, że nie można ich rzeźbić - powiedziała Hilda.

- To, że nie można ich rzeźbić nie znaczy wcale, że nie można ich zniszczyć - odparłem. - Skąd u niego ta pewność, że nie zostały zniszczone? To prowadzi mnie znowu do mojego pierwszego pytania: czego człowiek żyjący w sześćdziesiątym czwartym wieku E.G. może chcieć od zwierzęcia, które zabito na prawie tysiąc lat przed nastaniem E.G.?

- Myślałam, że najważniejszym pytaniem było: gdzie są kły? - zauważyła Hilda.

- To nie problem. Znajdę je w ciągu kilku dni. To rutynowa praca.

- Poszukuje przedmiotu, który zaginął ponad trzy tysiące lat temu i może się znajdować w każdym miejscu Galaktyki, i twierdzi, że to praca rutynowa - powiedziała Prudence niedowierzająco.

- Mówiłaś z nim - odparłem. - Odniosłaś to samo wrażenie co ja, że gotów jest na wszystko, żeby zdobyć kły. Czy to cię nie zaniepokoiło?

- Spowodowało, że chcę się trzymać od niego z daleka.

- Ty, ale nie on - powiedziała Hilda. - Mandaka jest iksem w jego równaniu.

- Jeśli chodzi o Mandakę - powiedziałem zwracając się do Hildy - czy możesz coś dla mnie zrobić?

- Wydaje mi się, że nie powinnam tego słyszeć - powiedziała Prudence odchodząc. - Zobaczymy się za chwilę.

- Możesz zostać - powiedziała Hilda. - On i tak na nic mnie nie namówi.

- Muszę wracać do pracy - odrzekła Prudence powracając do ekspozycji przedstawiającej sawannę. Przywołała drabinę i zabrała się do pracy nad uchem drapieźnika.

- No? - powiedziała Hilda.

- No? - odpowiedziałem. - Wiesz, o co mi chodzi.

- Obydwoje używamy tego samego komputera - powiedziała. - Możesz sam sprawdzić.

Pokręciłem głową niechętnie.

- Nie mogę - powiedziałem. - Jestem pracownikiem badawczym. Zanim komputer udzieli mi potrzebnych informacji, będę musiał uzyskać różne pozwolenia od Rady Wykonawczej, a to może trwać całymi dniami. Mogą nawet anulować zlecenie, jeżeli uznają, że coś nie jest w porządku.

- Dobrze - powiedziała Hilda z emfazą. - Z tego, co mówicie, ty i Prudence, wynika, że dużo rzeczy nie jest w porządku.

- Obydwoje wiemy, że zdobędę konieczne informacje prędzej czy później - wyjaśniłem cierpliwie. - A ty jesteś w służbie bezpieczeństwa i możesz znaleźć wszystko, co chcę wiedzieć o Mandace, w ciągu dzisiejszego popołudnia.

- Dziś po południu nie mogę. Mówiłam ci, że będę bardzo zajęta.

- Nie zrobisz tego dla mnie?

- Dlaczego zawsze, kiedy wciągnie cię jakiś problem, muszę zrobić coś dla ciebie? A czy ja prosiłam cię kiedykolwiek, żebyś coś zrobił dla mnie?

- Zaproszę ciebie i Harolda, dokąd będziecie chcieli, jak tylko

skończymy z tą sprawą - powiedziałem.

- Do diabła, nie proszę cię o łapówkę - odparła zagniewana.

- To nie łapówka, tylko podziękowanie - wyjaśniłem.

- Subtelna różnica, szczególnie w twoim wydaniu.

- Naprawdę potrzebuję tych informacji - nalegałem. - Zostań pięć minut dłużej i zdobądź jego biografię. To zajmie ci tylko pięć minut.

- Idę dziś z Haroldem na kolację.

- To oszczędzisz pięć minut na czytaniu menu.

Zamyśliła się na chwilę, a następnie potrząsnęła głową.

- Jeżeli będę, to robić po godzinach, ktoś będzie chciał dowiedzieć się dlaczego. Zrobię to jutro rano i będzie wyglądało jak rutynowy wywiad.

- Jutro rano? Obiecujesz?

- Obiecuję, obiecuję - powiedziała zrezygnowana.

- Dobrze. Coś musi być w jego aktach, co mi wyjaśni, dlaczego on chce zdobyć właśnie te kły.

- Może jest po prostu impulsywny?

- Nikt nie jest tak impulsywny.

- Oj, nie wiem - odpowiedziała znacząco patrząc wprost na mnie.

Wracaliśmy do biura chodnikiem ekspresowym w milczeniu. Usiłowałem poskładać kawałki łamigłówek w logiczną całość. Gdy już nadchodziła noc, mój komputer ożywił się nagle i powiadomił mnie, że odkrył dla mnie dalsze informacje.

Rozdział 3

WOJOWNIK (ROK 5521 ERY GALAKTYCZNEJ)

Lwy uciekały przede mną, a kilku Samburu, których spotkałem na swej drodze, patrzyło na mnie z podziwem.

Szedłem na południe nigdy się nie spiesząc, pozostając w pobliżu wody, bezpieczny w swojej sile i znajomości kraju. Nigdy nie byłem głodny, gdyż potrafiłem zerwać najmniejszą jagodę lub obalić największe drzewo. Wielokroć obsypywałem sobie grzbiet piachem, by ochronić skórę przed pasożytami i palącymi promieniami słońca, a byłem tak potężny, że chmury kurzu pozostawały w powietrzu długo po tym, jak poszedłem już dalej.

Od czasu do czasu spotykałem innych z mojego plemienia, ale rozpoznawali, że różnię się od nich nieco, i zawsze usuwali się z drogi trąbiąc na trwogę.

Bycie królem świata oznaczało także samotność, ale całe życie spędziłem w samotności i niosłem swoją królewskość z godnością, a ziemia drżała pod moimi stopami.

* * *

Jego oficjalne imię brzmiało Alexander Korindus Kragen Gamma Sigma Philobus Nelson Nimbus Radilex Procyon Alioth Baaskarda Brakke Asterion New Holland Delta Hydra Galaheen Zeta Piscium, i rozrastało się wraz z każdym podbitym systemem.

W księgach historycznych i w swych licznych biografjach stosował mniej formalne imię Thengis Marcus Alexander Augustus Rex.

Jego armie i flota nazywały go po prostu „Wojownik”.

Miał żonę, której nie widział od lat dziewięciu; dwie konkubiny, których towarzystwa nie mógł już znieść; majordomusa, któremu nie ufał; doradcę politycznego, którego zesłał na obszary opanowane przez

Oligarchię i najwyższego kapłana, który domagał się jego śmierci.

Miał skarbiec zawierający więcej pieniędzy niż mógł zliczyć, a tym bardziej wydać przez całe życie. Rządził ludźmi zamieszkującymi kilka systemów planetarnych, które płaciły mu daninę i żyły lub umierały na jego rozkaz. Posiadał luksusowy pałac na Asterionie V, zbudowany dokładnie według jego wskazówek, a w głębi pałacu miał swój ponury pokój trofeów, w którym przechowywał głowy swych siedmiu rywali.

Obecnie siedział w ogromnej sali tronowej swojego pałacu, otoczony przez elitę specjalnie dobranej ochrony osobistej. Sam tron był olbrzymim fotelem zbudowanym z białych kości ogromnych polarnych bestii, które polowały na północnych krańcach Asterionu.

Skóra dustdemonia z New Holland, którego sam zabił na wyprawie myśliwskiej, leżała przerzucona z wystudiowaną swobodą przez oparcie fotela. Po obu stronach tronu wznosiły się dwie ogromne kolumny z kości słoniowej. Były to kły legendarnego słonia (tak przynajmniej mówiono), które zdobył podczas wyprawy w rejon wewnętrznego pogranicza. Tuż przed tronem stała groźnie wyglądająca wypchana jaszczurka, wysoka na około dwanaście cali i służąca jako podnózek. Na ścianach rozmieszczono dzieła sztuki i przedmioty pochodzące z różnych okresów istnienia Galaktyki, a wszystko zgrabione podczas podbojów.

Sam wojownik pogardzał lśniącymi, błękitnymi uniformami swoich oddziałów. Otulał się futrami zwierząt, które

sam zabił w walce na śmierć i życie. Jedynie jego ręce były odkryte aż do ramion. Na twarzy widać było dwie wielkie blizny, które nosił z dumą. Jego kręcone, czarne włosy zdradzały pierwsze ślady siwizny. Błękitne oczy patrzyły śmiało na świat, uważnie i bezlitośnie, nie pomijając żadnego szczegółu.

Po jego lewej stronie stał szczupły, młody mężczyzna odziany w oficjalny, ciemnoszary, jednoczęściowy strój. Zawsze przygarbiony, wydawał się niższy niż był w rzeczywistości.

Po prawej stronie Wojownika stał mężczyzna w eleganckim mundurze kapitana gwardii przybocznej. Stał na baczność już prawie pół godziny, a teraz właśnie szepnął: - On tu jest - i wpatrzył się w drzwi.

Przy wejściu do sali tronowej ukazał się wysoki, gładko ogolony mężczyzna odziany w barwny, jedwabny strój dawnych piratów. Nie wykazywał żadnych oznak skrępowania lub niepokoju. Pierścienie lśniły na jego długich, szczupłych palcach, jego kaftan mienił się różnymi kolorami, jak gdyby żył własnym życiem, a buty lśniły w blasku lamp sali tronowej.

Demonstracyjnie pokazał puste kabury pistoletów, a następnie rozpiął kaftan i z uśmiechem podał go Wojownikowi do sprawdzenia. Potem rozłożył ręce i obrócił Mię powoli.

- To nie jest potrzebne - powiedział Wojownik znużonym tonem. - Nie dotarłbyś tu, gdybyś był uzbrojony.

- Dla zachowania formy - odparł tamten gładko. - Chcę, żebyś wiedział, że przybywam w pokoju.

- W rzeczywistości przybywasz w biedzie - powiedział Wojownik.

- Jeżeli tak uważasz - odparł mężczyzna z niezachwianym spokojem. - Czy inni już przybyli?

- Tylko obcy.

Mężczyzna zmarszczył czoło.

- Błękitnej Księżniczki też nie ma?

- Jej też nie ma.

- Kiedy się ich spodziewasz?

- Nie spodziewam się - powiedział Wojownik.

- Przecież ich powiadomiłem.

- Widocznie mają do mnie mniej zaufania niż ty, Bellano.

- To nie jest kwestia zaufania - odparł Bellano. - Mam do przekazania informację nie przeznaczoną dla osób postronnych, a sygnał, który może być zakodowany, może być również rozszyfrowany.

- Może moja pomoc nie jest im tak potrzebna, jak wydaje się być potrzebna tobie.

- To szaleńcy i lepiej dajmy sobie radę bez nich - powiedział Bellano, wykluczając ich z dalszych rozważań wymownym wzruszeniem ramion. - Gdy już wszystkiego dokonamy, jedyną osobą, której będziemy naprawdę potrzebować, będzie obcy.

- Mam go zaraz wezwać, czy chciałbyś chwilę odpocząć? - zapytał Wojownik.

- Może napijmy się, jak dwaj starzy przyjaciele, zanim przystąpimy do rzeczy - zaproponował Bellano.

Wojownik skinął na swego syna, który poszedł do ukrytego baru i napełnił dwie szklanki.

- Zanim się zbyt zagalopujesz, chciałbym ci przypomnieć, że nie jesteśmy starymi przyjaciółmi, ani nawet nowymi.

- Zatem zaprzyjaźnieni rywale.

- Nawet nie - powiedział Wojownik. - Zniszczyłeś w zeszłym tygodniu dwa moje statki.

- Proste nieporozumienie - odparł Bellano gładko. - Rozumiem, że zgadzasz się ze mną pod tym względem. W innym przypadku nie zagwarantowałbyś mi bezpieczeństwa.

- Tamto były sprawy zawodowe, podobnie jak i ta, ale nie miejmy złudzeń co do przyjaźni. Jestem pewien, że dość będzie jeszcze kłamstw w przyszłości. Nie zaczynajmy zatem już teraz.

Młody człowiek podszedł do nich niosąc szklanki na tacy. Bellano wziął jedną z nich i zwrócił się do Wojownika.

- Twoje zdrowie - powiedział.

- Dziękuję.

- I za pożyteczny, choć tymczasowy sojusz.

- Za sojusz - powtórzył Wojownik, patrząc nań z rozbiawieniem.

- Czy coś ci nie odpowiada?

- Widzę, że nie pijesz - zauważył Wojownik. - A myślałem, że chciało ci się pić.

- Nieuprzejmie jest pić, dopóki nie napije się gospodarz - odparł Bellano.

- No i niebezpiecznie - zgodził się Wojownik. Podniósł szklankę do ust i wypił duszkiem. - Zadowolony?

Bellano uklonił się dwornie, następnie wypróżnił swoją szklankę.

- Twój syn? - zapytał wskazując na młodego człowieka.

- Tak.

- Zauważyłem podobieństwo.

- Naprawdę? - powiedział Wojownik sucho. - Ja nie zauważam żadnego podobieństwa. Justinie, poznaj Bellano, króla systemu Wintergreen.

- To wielka przyjemność pana poznać - powiedział Bellano patrząc nań ciekawie.

- To możliwe - odparł Justin. - Byłem na Margate IV, zaraz po tym, jak zatknął pan tam swoją flagę.

- Powinieneś być się przedstawić.

- Pańskie siły właśnie wymordowały jedną czwartą ludności planety. Czas wydawał się nieodpowiedni.

Bellano zaśmiał się głośno.

- Podziwiam dobór słów, młody człowieku.

Justin lekko skłonił głowę.

- Dziękuję.

- Niech uczestniczy w naradzie - powiedział Bellano do Wojownika.

- Czy jest po temu jakiś specjalny powód? - spytał Wojownik.

- Lubię go, a poza tym mogę pewnego dnia mieć z nim do czynienia, a nie z tobą.

- Jeszcze długo nie - obiecał Wojownik. - Ale nie mam przed nim żadnych sekretów, a zatem nie mam nic przeciwko jego uczestnictwu w naradzie - tu spojrzał ostro na syna. - Jeżeli będzie pamiętać, że jest obserwatorem, a nie uczestnikiem.

Justin skinął głową.

- Świetnie - powiedział Bellano. - A teraz możesz wezwać obcego.

- A może przedtem zjemy?

- Nie możemy równocześnie jeść i rozmawiać?

- Straciłbyś szybko apetyt jedząc z obcym przy tym samym stole - stwierdził Wojownik.

- Tak? A co on jada?

- Lepiej, żebyś nie wiedział - zapewnił go Wojownik.

- Może i lepiej - przyznał Bellano. - Czy to jest żywy pokarm?

- Pod koniec uczytu już nie.

Bellano skrzywił się.

- To może najpierw porozmawiajmy. Jak zobaczę go jedzącego, mogę nie chcieć z nim w ogóle rozmawiać.

Wojownik skinął głową kapitanowi gwardii, który podszedł do dwóch strażników i powiedział im coś ściszym głosem. Natychmiast wyszli z sali tronowej.

- Ponieważ wiesz, że jestem nie uzbrojony, zakładam, że nie zatrzymasz innych strażników w czasie naszej dyskusji - zauważył Bellano.

Wojownik skinął głową.

- To żaden problem. Wyjdę zanim zaczniemy.

- Zapewniam, że cię nie zaatakuję - dodał Bellano z uśmiechem.

- Tylko spróbuj - zaproponował Wojownik.

- Kiedy indziej - odparł Bellano. Obszedł wokół salę tronową z rękami na biodrach, podziwiając okazy i malarstwo.

- Nieźle sobie radzisz - powiedział wreszcie.

- Rabunek to zyskowny zawód - odparł Wojownik z uśmiechem.

- Tak, to prawda - przyznał Bellano, oglądając niewielki kryształ danebijski w kształcie drapieżnego ptaka. - Nie przypuszczam, żebyś chciał coś sprzedać?

- Niespecjalnie - odpowiedział Wojownik. - Jestem zdobywcą, a nie handlarzem. Jeśli chcesz ten drobiazg, jest twój - dodał po chwili.

- Naprawdę?

- Dla uczczenia rozejmu między nami - powiedział Wojownik - no i oszczędzi ci to wysiłku, gdybyś miał zamiar go ukraść - dodał kwaśno.

- To brzydko tak mówić o przyszłym sojuszniku - zauważył Bellano rozbawionym tonem. - Jestem wojownikiem, a nie złodziejem.

Wojownik wzruszył ramionami.

- Więc go odłóż.

Bellano pokręcił głową i włożył kryształ do skórzanego woreczka wiszącego u pasa.

- Zatrzymam go jako pamiątkę po tobie.

- Wiedziałem, że tak zrobisz.

- Czy masz coś przeciw temu, żebym obejrzał jeszcze twoją kolekcję? - zapytał Bellano.

- Ale już żadnych prezentów.

- Popatrzę mimo to.

- Jak chcesz - powiedział Wojownik.

- A przy okazji, co to jest tam, za twoim tronem?

- Kły słonia.

- Prawdziwe? - spytał Bellano podchodząc bliżej, żeby się przyjrzeć.

Wojownik skinął głową.

- Robią wrażenie - powiedział Bellano. - Kiedy zabito ostatniego słonia?

- Pięć czy sześć tysięcy lat temu.

- Gdzie je zdobyłeś? - spytał wskazując na kły.

- Na jednej z wycieczek na wewnętrzne pogranicze.

Bellano poklepał pieszczotliwie jeden z kłów, skinął głową i z uznaniem wrócił do oglądania innych dzieł sztuki.

- A przy okazji - powiedział przechylając głowę i usiłując rozszyfrować abstrakcyjny, niebiesko-zielony hologram. - Zakładam, że jeżeli odrzucisz moją propozycję, nie będziesz próbował mi przeszkadzać.

- Nie będę musiał - odrzekł Wojownik spokojnie. - Gdybyś myślał, że uda ci się osiągnąć cel bez mojej pomocy, nie byłoby cię tutaj.

- ...albo ze mną konkurować.

- Poczekajmy, aż usłyszę twoją propozycję i wtedy będę się martwić, co zrobię, a czego nie zrobię - podsumował Wojownik.

- Panie... - powiedział strażnik stojący przy drzwiach sali tronowej.

Wojownik odwrócił się w porę, żeby zobaczyć zwinny, ciemną postać, zbliżoną kształtem do humanoidalnej, o skórze przypominającej kolorem i wyglądem spalone mięso, wskakującą zręcznie na parapet okna umieszczonego jakieś dwanaście stóp nad podłogą. Osobnik usadowił się tam pod kątem 45 stopni.

- Czy będzie ci tam wygodnie? - spytał Wojownik.

- Tu jest mi dobrze - odparł obcy - i tu zostanę.

- Ty jesteś Mylarr? - zapytał Bellano patrząc w górę na niego.

- Mylarr, to ja.

- Dziękuję za przybycie.

- Oczekuję czegoś więcej niż „dziękuję” - powiedział obcy ukazując żółte kły w pełnym uśmiechu.

- I będziesz miał coś więcej, nie bój się - powiedział Bellano. - Czy możemy zacząć?

- Zacznijmy, startujmy i rozpoczynajmy - zgodził się Mylarr mruczając, jak jakiś ogromny kot.

Bellano zwrócił się do Wojownika:

- Wiem, że jesteśmy podsłuchiwanie i obserwowani, ale osobiście czułbym się znacznie pewniej, gdybyś zamknął drzwi.

Wojownik skinął na Justina i młody człowiek podszedł do głównego wejścia, polecił strażnikom opuścić salę i zamknąć masywne drzwi, a następnie sam zaczął zamykać inne drzwi wiodące do sali tronowej.

- Czy na pewno nie zejdziesz do nas? - zasugerował Bellano.

- Zadowolony, bezpieczny, zabezpieczony i szczęśliwy - odpowiedział obcy poprawiając się nieco tak, że jego kulista głowa zwieszała się w dół i Bellano mógł zobaczyć, że obcy miał parę szczątkowych skrzydeł, zbyt słabych, by służyły do latania, ale pomocnych w utrzymaniu równowagi.

- Czy napijesz się czegoś, zanim zaczniemy? - zapytał Bellano.

- Nocni Lotnicy nigdy nie pijają ludzkich oszałamiających napojów - odpowiedział Mylarr.

- Jak sobie życzysz - zgodził się Bellano.

- Chciałbym zacząć i rozpocząć.

- My też - powiedział Bellano, zrobił małą przerwę i oznajmił: - Mam wiadomość z niepodważalnego źródła, że Oligarchia wysłała za dziesięć dni na Denivarusa II ładunek złota w sztabkach.

Nocny Lotnik wydał cienki pisk, który zabrzmiał jak gwizdek parowy.

- Złoto jest dobre - powiedział - złoto jest szacowne, złoto jest wartościowe, złoto jest śliczne, złoto jest kowalne, złoto jest...

- Dobrze strzeżone - wtrącił Wojownik.

- Nie tym razem - powiedział Bellano z pewnością siebie.

- Więc po co ci moja pomoc?

- Będzie to konwój marynarki wojennej składający się z trzystu statków.

- I uważasz, że złoto nie będzie strzeżone? - zapytał Wojownik z uśmiechem.

- Połączeni mamy znacznie większą siłę ognia. To wystarczy na konwój.

- Chyba że zauważą nas dwa dni wcześniej i wezwą pomoc dwunastej i czternastej floty.

Bellano uśmiechnął się triumfalnie.

- Nie będzie żadnych posiłków, niezależnie od tego, co by się stało.

Wojownik przyglądał mu się bacznie.

- Dlaczego tak myślisz?

- Nie wszyscy o tym wiedzą, ale dwunasta flota w najbliższej przyszłości będzie zaangażowana w Gwiazdozbiórze Andersona. Powstało konsorcjum trzydziestu dziewięciu bogatych w surowce planet, które pragną oderwać się od Oligarchii i dwunasta flota ma temu zapobiec.

- A czemu uważasz, że nie będą mogli wysłać posiłków?

- Ponieważ te trzydzieści dziewięć planet więcej znaczy dla Oligarchii niż ładunek złota - wyjaśnił Bellano. Tu zniżył głos konfidencjonalnie: - Planety te są lepiej uzbrojone niż Oligarchia przypuszcza. W rzeczywistości dwunasta flota sama oczekuje posiłków. Planety górnicze właśnie ją przepędziły.

- A czternasta flota? - zapytał Wojownik.

- Jej siły zmniejszyły się o połowę po wojnie valoriańskiej. Nikomu nie będzie w stanie pomóc przez następne cztery miesiące.

Nocny Lotnik wydał kolejny przenikliwy świst.

- Myślisz, że wiesz. Nie wiesz. Najwyżej przez trzy miesiące. Może dwa i dziewięć dziesiątych. Może dwa i osiemdziesiąt pięć setnych. Może dwa i osiemdziesiąt osiem setnych. Nie wiesz.

Bellano spojrział ku górze na obcego.

- Skąd wiesz?

Mylarrr uśmiechnął się.

- Czyż nie jestem najpiękniejszy i najbardziej inteligentny z istot rozumnych? Czyż nie wiem, kiedy świta i kiedy się zmierzcha?

- A co to ma wspólnego z czternastą flotą? - zapytał Bellano.

- To jest po prostu kolejna rzecz, jaką wiem - odpowiedział Nocny Lotnik zdecydowanie. - Trzy miesiące. Może dwa i dziewięć dziesiątych.

Bellano zwrócił się ponownie do Wojownika:

- Trzy miesiące, cztery miesiące, cóż to za różnica? Wystarczy, że on potwierdza moje informacje. Flota nic będzie gotowa przez przynajmniej trzy miesiące, a my planujemy atak za osiem dni.

- Myślałem, że powiedziałaś „dziesięć”.

- Powiedziałem, że ma przybyć na Denivarusa II za dziesięć dni. Nie możemy dopuścić, żeby skorzystali z uzbrojenia Denivariusu i jego statków policyjnych. Co o tym myślisz?

Wojownik pokręcił głową.

- Zbyt proste.

- Czasami dobre rzeczy są proste.

- Złoto, to dobra rzecz - włączył się Mylarrr.

- A jak zdobędę potwierdzenie, że dwunasta flota ugrzęzła w Gwiazdozbiorze Andersona? - zapytał Wojownik.

- Masz przecież swoje źródła informacji. Skorzystaj z nich.

- Wolałbym poznać twoje źródła.

- Wiem, że wolałbyś - uśmiechnął się Bellano.

- Jeżeli nie będę miał potwierdzenia, nie przyłączę się do was - ostrzegł Wojownik. - Czy na pewno nie powiesz mi, z kim się kontaktować?

Bellano pokręcił głową.

- Zaprzysięgłem dyskrecję.

- Czy cię to kiedykolwiek powstrzymało?

- Touché - przyznał Bellano. - Powiedzmy zatem, że twoja analiza danych będzie wypaczona faktem, że ja podałem nazwiska informatorów. Wiem, że ty też masz informatorów w Oligarchii. Będziesz musiał z nich skorzystać albo nigdy nie uwierzysz moim informacjom.

- A czternasta flota?

- To łatwe - powiedział Bellano wskazując na Nocnego Lotnika. - Jego źródła informacji muszą być inne niż moje, a informacja jest ta sama.

- Dlaczego Oligarchia wysyła złoto w sztabach na Denivarsusa II? - pytał dalej Wojownik. - Zazwyczaj wysyłki dokonywane są w przeciwną stronę, od brzegów Galaktyki do centrum. Dlaczego tym razem jest Inaczej?

- Myślę, że znam odpowiedź, ojcze - powiedział Justin.

- Myślę, że i ja ją znam - powiedział Wojownik zły, że mu przerwano - ale chciałbym poznać jego odpowiedź.

- Flota jest przeciążona - wyjaśnił Bellano. - Ludzkość osiągnęła może przywództwo w Galaktyce, ale Oligarchia musi stale patrolować miliony światów plus wszystkie szlaki przewozowe. Przypuszczam, że dwunasta flota będzie werbować niezależnych najemników przez najbliższych kilka lat i płacić im złotem.

Wojownik przytaknął.

- To prawda, i wydaje mi się, że... właśnie tam znajdziemy Błękitną Księżniczkę.

Myślisz, że sprzedała się im?

W każdym razie wynajęła się. Wie, że w pobliżu będzie wiele złota. To jest jej sposób dotarcia do niego.

No, to popełniła duży błąd - odparł szybko Bellano. - Wszystko wskazuje na to, że Denivarus II będzie ich bankiem. Nawet jeśli wykombinuje jakiś sposób ukradzenia złota w czasie jego przewozu z Denivarusa do płatnika, zdobędzie tylko tyle, ile flota będzie gotowa zapłacić za przeprowadzenie danej akcji. My zaś zabierzemy się, mówiąc obrazowo, za cały bank.

Wojownik popatrzył nań w zamyśleniu.

- Kto, twoim zdaniem, powinien dowodzić naszymi siłami? - zapytał w końcu.

- Jesteś największym wojownikiem na całym pograniczu - powiedział Bellano z dwornym ukłonem. - Poddam się pod twoje rozkazy.

- Twoja flota przeprowadzi atak - powiedział Wojownik.

- To tylko ludzie i statki łatwe do zastąpienia, szczególnie ludzie - przerwał na chwilę. - Zdobycz podzielimy pomiędzy nas trzech. Jak wynagrodzimy nasze oddziały, to nasza sprawa.

- Zgoda - powiedział Wojownik. - Chciałbym ci również powiedzieć, że pod żadnym warunkiem moje statki nie będą występować w moich barwach w czasie walki.

- Właśnie sobie pomyślałem, że nie będziemy używać naszych

barw.

- Jeżeli zdecyduję się na tę akcję, wystąpimy w barwach Błękitnej Księżniczki. Flota będzie chciała mieć nieprzyjaciela, za którym wyruszy w pościg, jeżeli nie od razu, to po nabraniu sił. Możemy im takiego podsunąć.

- Wspaniale - powiedział Bellano z uśmiechem.

- Następane pytanie. Nocni Lotnicy nie mają swojej floty. Po co nam potrzebni?

- Będziemy musieli szybko pozbyć się dwudziestu siedmiu ton złota - powiedział Bellano. - Oni rozumieją jego wartość. Gdzie znajdziesz lepsze miejsce na ukrycie złota, niż jedenaście obcych planet nie mających powiązań z Oligarchią? Dziewięć dziesiątych złota pozostanie w ich skarbcu, a reszta trafi na rynek w postaci biżuterii i dzieł sztuki w ciągu najbliższych dziesięciu lat.

- Może tylko jedna dwunasta, prawdopodobnie, możliwe - potwierdził Mylarr bujając się tam i z powrotem nad ich głowami.

- A za co je kupię?

- Za kredyty.

- Sprawdzalne?

Bellano potrząsnął głową.

- Papierowe, a my nie będziemy pytać, skąd je mają.

- Kurs? - zapytał Wojownik znacząco.

- Dwadzieścia procent rynkowego.

Wojownik spojrzał w górę na obcego. - Spotkanie ukończone. Możesz tam sobie wisieć przez całą wieczność, jeżeli o mnie chodzi.

- Dwadzieścia sześć, przecinek, dwa tysiące dwieście trzydzieści jeden dziesięciotysięcznych - powiedział Mylarr.

Wojownik uśmiechnął się mimo woli.

- W jaki sposób wyliczyłeś sobie tę liczbę tak szybko?

- Ani szybko, ani bystro, ani pośpiesznie - zapewnił go Mylarr. - To jest nasza absolutnie ostatnia, finalna i ostateczna oferta i to jest pewne.

- Trzydzieści procent, albo natychmiast kończymy.

- Dobrze, trzydzieści - zgodził się łatwo Mylarr. Przeskoczył na sąsiedni parapet i wykonał idealną stójkę na rękach.

- Ile statków możesz dać na naszą wyprawę? - zwrócił się Wojownik do Bellano.

- Sto trzydzieści pięć. Może sto czterdzieści.

- Sto siedemdziesiąt pięć - uśmiechnął się Wojownik.

- Nie mam tyle.

- Powiedziałem ci, że na kłamstwa będzie czas później.

- Nie mogę zostawić swojego terytorium zupełnie bez obrony - zaprotestował Bellano.

- Nie zostawisz - powiedział Wojownik. - Jeżeli dasz sto siedemdziesiąt pięć statków zostanie ci jeszcze dwadzieścia siedem w rezerwie.

- Dwadzieścia dziewięć - powiedział Bellano bez zakłopotania.

- Muszę porozumieć się z moimi szpiegami - powiedział Wojownik, a wyraz rozbawienia przemknął po jego twarzy.

Na chwilę zapadła cisza.

- No dobrze, myślę, że powinniśmy opracować szczegóły ataku - powiedział w końcu Bellano.

- Nie spieszmy się - powstrzymał go Wojownik. Jeszcze nie zdecydowałem się na tę wyprawę.

- Tak?

- Właśnie tak - powiedział Wojownik. - Nie uzgodniliśmy, na przykład, jak dzielimy się złotem.

- Myślę, że po połowie.

- Czy dajesz połowę siły ogniowej?

- Dostarczam potrzebnych informacji.

- Które będą musiał potwierdzić z własnych źródeł.

- Możemy zatem podzielić się proporcjonalnie do liczby statków.

- Możemy, ale tak nie zrobimy.
- Czemu nie?
- Ponieważ nie daję trzech czwartych statków.
- Chcesz dostać siedemdziesiąt pięć procent złota? - zaprotestował Bellano. - Na pewno nie!
- Jak sobie chcesz.
- Sześćdziesiąt - czterdzieści.
- Nie będę dyskutować na temat procentów.
- Z obcym dyskutowałeś.
- Jeśli zdecyduję się na tę operację, będę go potrzebował, żeby pozbyć się złota. Ale nie zdecyduję się za sześćdziesiąt procent.
- Sześćdziesiąt procent od dwudziestu siedmiu ton złota, to więcej niż siedemdziesiąt pięć procent niczego - powiedział Bellano.
- Ja ciebie nie szukałem - odparł Wojownik. - To ty potrzebujesz mnie na tę wyprawę, ale jeśli nie osiągniemy zadowalającego porozumienia, ja ciebie potrzebować nie będę. Jest mnóstwo drobnych partnerów, którzy byliby szczęśliwi, gdyby mogli przyłączyć się do mnie na tę wyprawę - uśmiechnął się.
- Jeżeli mnie pominiesz, ostrzegę flotę.
- Jeżeli twoja informacja się sprawdzi - a nic nie będę robił, dopóki się nie sprawdzi - ostrzeżenie floty niewiele da - powiedział Wojownik. - Da natomiast jedną rzecz - wystawi nas obu na niebezpieczeństwo i nie przypuszczam, żeby nam na tym zależało, a mnie uda się uniknąć tego niebezpieczeństwa znacznie łatwiej niż tobie. Chciałbym teraz mieć twoją odpowiedź. Zgadzasz się na dwadzieścia pięć procent czy kończymy spotkanie?

Bellano patrzył na niego przez długą chwilę.

Muszę się zastanowić. Odpowiem ci, zanim skończymy.

Odpowiedz mi natychmiast, bo inaczej zaraz kończymy.
Bellano westchnął i skinął głową.

- Zgoda.

Dobrze. Wiedziałem, że jesteś rozsądny.

- Co musimy jeszcze zrobić przed zaplanowaniem ataku?

- Teraz muszę sprawdzić twoje informacje, a także to, czy Nocni Lotnicy mogą przyjąć taką ilość złota bez pozostawienia zbyt wyraźnych śladów. Wtedy dopiero zdecyduję, czy przeprowadzimy tę operację.

Skinął na syna, który przeszedł przez salę i otworzył wielkie drzwi.

- Zostaniecie zaprowadzeni do swoich kwater, gdzie będziecie mogli coś zjeść i odpocząć. Spotkamy się tu ponownie za trzy godziny.

Gdzie byłeś, u diabła - zapytał Wojownik, gdy Justin wszedł do jego prywatnych pomieszczeń.

Rozmawiałem z Nocnym Lotnikiem - odparł Justin przechodząc po lśniącej podłodze i siadając na ręcznie rzeźbionym krześle z doradusjańskiego drewna.

- Czyżbyś miał ochotę na karę? - powiedział Wojownik. Obrócił się wraz z krzesłem przodem do syna i polecił drzwiom, aby się zamknęły.

- Łatwo można go zrozumieć, kiedy znajdzie coś, czego chce.

- O, a czegoż on chce?

- Chce kły.

- One stanowią tylko trofeum - powiedział Wojownik - i nie mają wartości rynkowej. Po co mu one?

Justin wzruszył ramionami.

- Myślę, że Nocni Lotnicy praktykują jakąś formę religii animistycznej. Wielbią wielkość i potęgę, a to są największe

zęby, jakie kiedykolwiek widział. Myśli, że uczynią go wszechpotężnym.

Wojownik zachichotał.

- Do tego potrzeba o wiele więcej niż kompletu kłów.

- Wiem - ciągnął Justin - ale on zaproponował czterdzieści procent wartości rynkowej złota, jeżeli damy mu kły.

- Interesujące - powiedział Wojownik.

Co mu powiemy?

- Oczywiście, nie. To jest jego pierwsza oferta. Zobaczymy, jak daleko zajdzie. Mamy poza tym ważniejsze sprawy do omówienia. Kiedy spędzałeś czas z Nocnym Lotnikiem, ja sprawdzałem informacje dostarczone przez Bellano - tu wskazał na swój komputer, opatrzony osobistą pieczęcią. - Wszystko się zgadza.

- Czy to cię zaskoczyło? - zapytał Justin. - W końcu jest on właściwie naszym zakładnikiem. Musiał przecież wiedzieć, że będziesz sprawdzał jego informację, zanim podejmiesz decyzję.

- A jakie jest twoje zdanie?

- O czym, ojcze?

- O Bellano. Co powinienem twoim zdaniem zrobić?

- Nigdy dotąd nie pytałeś o moją opinię - powiedział Justin.

- I teraz także nie będę się nią kierował. Byłe! jednak na całym spotkaniu. Chciałbym dowiedzieć się, czego się nauczyłeś. Co ty byś zrobił?

- Posłałbym go do domu i zapomniał o całej sprawie - powiedział Justin.

- Dlaczego?

- Nie potrzebujemy tego.

- Myślałem, że każdy potrzebuje dwudziestu siedmiu ton złota w sztabach - powiedział sardonicznie Wojownik.

- Ale nie potrzebujemy się odsłaniać - upierał się Justin.

- Wytlumacz jaśniej - powiedział Wojownik, wyjmując grube cygaro z pudełka zdobionego drogimi kamieniami i zapalając je.

- Myślę, że flota dała nam spokój przez tak długi czas dlatego, że znajdujemy się daleko na pograniczu. Jest tu tak mało planet należących do Oligarchii, że po prostu zniszczenie nas oznaczałoby więcej kłopotu niż to warte. Jeżeli zaatakujemy konwój prowadzony przez flotę, spowodujemy, że zniszczenie nas może zacząć się opłacać.

- Taka możliwość istnieje - powiedział Wojownik bez zaangażowania.

- Ale w nią nie wierzysz.

Wojownik potrząsnął głową.

- Informacje podane przez Bellano potwierdzają coś, co podejrzewałem od kilku lat. Flota jest zbyt obciążona innymi zadaniami, żeby przejmować się tym, co się tutaj dzieje. Oligarchia musi się martwić ponad milionem własnych planet. W rzeczywistości może nawet są zadowoleni, że tu działamy - dodał po chwili przerwy. - Udało nam się spacyfikować ponad sto systemów i wprowadzić u nich ekonomię kredytową. Pewnego dnia, za dwieście lub trzysta lat wejdą tu i zbiorą owoce naszych wysiłków.

- Dlaczego więc wyznaczili nagrodę za twoją głowę? - zaprotestował Justin.

- Och, nie rozplączą się, jeżeli jakiś łowca nagród mnie upoluje - odparł Wojownik. - Ale pozwolą, aby inni wojownicy działali tu, zanim Oligarchia wkroczy i ich wchłonie.

- Czy jesteś gotów ryzykować życie - dopytywał się Justin.

Wojownik wyglądał na rozbawionego.

- Oczywiście, że nie, ale jestem gotów zaryzykować życie Bellano.

- Nie jestem pewien, czy cię dobrze rozumiem.

- To musisz zrozumieć - powiedział Wojownik ostro. - Pewnego dnia to wszystko będzie twoje i do tego czasu musisz nauczyć się myśleć.

- Nie musisz mnie obrażać, ojciec.

- Nad tym można się zastanowić - powiedział Wojownik nadal zagniewany. Wzruszył ramionami. - I No, dobrze - powiedział. - Zgadza się, że flota nie będzie zachwycona utratą trzystu statków. Jeżeli zdecydujemy się na tę imprezę, będziemy musieli wskazać im złoczyńcę, bo inaczej sami go poszukają.

- A tym złoczyńcą będzie Bellano?

- Musi być - powiedział Wojownik. - Nigdy by nie uwierzyli, że to Nocni Lotnicy - tu spojrzał bystro na syna. - A ty?

- Nie wiem - odparł Justin. - Może, gdybym ich lepiej rozumiał...

- Oligarchia nie stara się zrozumieć obcych. Chce nimi rządzić albo ich zniszczyć. Będą szukali wroga wśród ludzi, a wystąpienie pod sztandarem Błękitnej Księżniczki nie zmyli ich na więcej niż dziesięć sekund.

- A jak ich przekonasz, że Bellano jest tym, którego poszukują?

- Zanim konwój zostanie całkowicie zdziętkowany, pozwolę im przechwycić zakodowaną wiadomość od Bellano do któregoś z jego podwładnych. Prześlą ją do sekcji szyfrów dwunastej floty i w ciągu kilku godzin dowiedzą się, kogo trzeba szukać.

- A jak zagwarantujesz, że Bellano nie obciąży ciebie, gdy już go będą mieli?

- Znajdą tylko jego resztki. Z żalem muszę stwierdzić, że jego statek zostanie zniszczony w czasie walki. Biedak utraci prawie całą swoją flotę.

Wojownik uśmiechnął się.

- On stanowi zagrożenie dla naszego bezpieczeństwa. Nie widzę powodu, dla którego nie należałoby zachęcać floty do wyeliminowania go.

- A czy Bellano nie będzie podejrzewać, że go zdradzisz? Może podejmie jakieś kroki, żeby się zabezpieczyć - sugerował Justin.

- O, zabezpieczy się - zapewnił go Wojownik. - Podejmie wszystkie środki ostrożności, jakie tylko można sobie wyobrazić, ale to nic nie da.

Przechylił się w tył na krześle. Mocne palce splótł na kręku odchylając masywną głowę i wpatrując się w powiększony hologram swojej najnowszej konkubiny, który wypełniał przeciwległą ścianę sali, tuż nad konsolą urządzeń zabezpieczających, pozwalającą obserwować wszystkie pomieszczenia pałacu.

- Statki Bellano będą wystawione na skoncentrowany ogień floty. Kiedy już konwój zostanie zniszczony, nietrudno będzie przeprowadzić operację oczyszczającą, używając naszych statków zaangażowanych w wyprawę, które - jak poinformujemy - są zatrudnione gdzie indziej. Cztery czy pięć ton złota złożymy wokół szczątków jego statku flagowego. Ostatecznie po co flota ma tracić czas przeczesując pogranicze w poszukiwaniu złota. Zostawimy im tyle, żeby domyślili się, że reszta uległa zniszczeniu.

- Myślisz, że w to uwierzą? - zapytał Justin z powątpiewaniem.

- Wszystko wskazuje, że tak, chociaż planuję przedsięwzięć pewne środki ostrożności na wypadek, gdyby nic uwierzyli. W każdym razie, kiedy operacja zostanie zakończona, pozostanie około pięćdziesięciu statków do obrony siedemnastu systemów. Myślę, że w ciągu roku będziemy w stanie przejąć wszystkie osiemnaście.

Przerwał na chwilę, a potem w zamyśleniu ciągnął dalej:

- O ile moje informacje o Błękitnej Księżniczce są prawdziwe, nie pozostawiła ona zbyt wielu statków dla obrony własnego terytorium. Ta sytuacja może nam przynieść wiele korzyści - dodał z uśmiechem.

- A zatem złoto nie jest tu najważniejsze?

- To oczywiście dodatkowy bodziec - odpowiedział Wojownik, zaciągając się cygarem. - Ale eliminacja konkurencji, to mój główny cel.

- Nie wyobrażam sobie, że będzie to tak łatwe, jak to przedstawiasz - powiedział Justin.

- Nie ma w tym nic łatwego - odparł Wojownik. - Wielu dobrych ludzi straci życie w tej akcji.

- Wiesz, co mam na myśli.

- Nie stałbym się Ghengis Marcus Alexander Augustus Rexem będąc małego serca - powiedział Wojownik. - Statki i planety są jak ludzie. Najlepiej reagują na zdecydowane działania swoich przywódców - tu popatrzył na syna. - Tego musisz się nauczyć, zanim spróbujesz

utrzymać to, co stworzyłem. Gdy raz podejmiesz decyzję, nie możesz stosować półśrodków. Nie można zrabować flocie tylko części złota, nie można tylko trochę oszukać Bellano, nie można odebrać Błękitnej Księżniczce tylko połowy terytorium.

Musisz chwycić od razu za gardło, a jak już chwycisz, nie puszczać. - Pokręcił głową. - W tobie jest zbyt wiele z twojej matki - znów przerwał, żeby zebrać myśli. - Musisz chcieć więcej i musisz rozwinąć przebiegłość, żeby to zdobyć.

- Więcej czego, ojciec?

- Po prostu więcej.

- Postaram się o tym pamiętać, ojciec.

- Musisz również pamiętać, że wojownik nie ma przyjaciół ani sojuszników. Ma tylko podwładnych i wrogów, a każdy z tych pierwszych może stać się jednym z tych drugich.

- To już mi mówiłeś.

- I będę ci to powtarzał, dopóki nie zapamiętasz tego tak dobrze, jak własnego imienia.

Pochylił się do przodu i wpatrywał intensywnie w syna.

- A jeśli chodzi o Nocnych Lotników to... trzydzieści procent wartości rynkowej jest śmieszne.

- Czy zatem damy mu kły i weźmiemy czterdzieści procent?

- Nie.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie rozumiem, po co on chce je mieć, a nie ufam temu, czego nie rozumiem. Sprzedamy im pięć ton, nie więcej - dodał po chwili przerwy.

- Jeżeli nie odpowiada ci cena, to czemu sprzedajesz im cokolwiek? - spytał Justin. - Zostanie nam w ten sposób tylko szesnaście czy siedemnaście ton.

Ponieważ złoto jest tylko środkiem do osiągnięcia celu. Zawsze istnieje możliwość, że flota przejrzy nasze małe oszustwo. Jeżeli uznają, że Bellano nie miał całego złota i zaczną przeczesywać pogranicze w poszukiwaniu reszty, chcę, żeby wiedzieli, gdzie mają szukać. Jeżeli warto poświęcić pięć ton,

żeby obciążyć Bellano, warto poświęcić dalsze pięć ton, żeby zapewnić, że flota nigdy się nie dowie, co się rzeczywiście stało.

- Ale Nocni Lotnicy powiedzą flocie, że to my mamy resztę.

- A ja temu zaprzeczę. Oligarchia jest skłonna wierzyć ludziom i nie ufać obcym. Poza tym pozbędziemy się naszej części złota na długo przed tym, jak zaczną się o nie dopytywać.

Tu Wojownik przerwał.

- Czy masz jeszcze jakieś wątpliwości?

- Ja osobiście obawiałbym się zdradzić rasę, której nie rozumiem.

- Ale ja ich rozumiem - mruknął Wojownik. - Dlatego właśnie jestem wojownikiem.

- Tak, ojczu - powiedział Justin znużonym głosem.

Minęło jedenaście dni. Atak na konwój odbył się zgodnie z planem. Bellano nie żył. Flota była przekonana, przynajmniej oficjalnie, że odzyskała tę część złota, która nie uległa zniszczeniu. Wojownik stracił jedynie sześćdziesiąt trzy statki. Oligarchia była przekonana, że to Bellano zorganizował napad.

Wojownik siedział na swoim tronie z kryształowym kielichem w ręku, z nogą opartą na wypchanej jaszczurce i cieszył się zwycięstwem. Justin stał w pobliżu również popijając wino, a Mylarr siedział w karkołomnej pozycji na parapecie, dwaście stóp nad podłogą.

- Wszystko poszło dobrze - powiedział Wojownik. - A nie byłem pewny, czy pozostawienie części złota na statku Bellano wprowadzi ich w błąd.

- Należą ci się gratulacje, ojczu - powiedział Justin. - Czy nalać ci jeszcze wina?

Wojownik skinął i podsunął kielich.

Dziękuję, zapytaj swego przyjaciela, czy chce się napić.

- Nie, nie, nie, nie, nie - odpowiedział szybko Mylarr - nigdy nie piję żadnych napojów odurzających.

- Czy możemy ci coś dać? - zapytał Wojownik.

- O tak, o tak! - wykrzyknął Nocny Lotnik, zeskakując na podłogę i podchodząc do kłów. - To jest prawdziwe odurzenie!

- powiedział i oparł się zakończoną szponami dłonią na większym kle.

- Lubisz je dotykać? - spytał Wojownik ubawiony.

- Lśni mocą, płonie i iskrzy - wyjaśnił Mylarr.

- I myślisz, że przekazuje ci tę moc?

- Kiedy dotykam, jestem nieśmiertelny - uśmiechnął się obcy.

- Jeżeli ci to sprawia przyjemność - powiedział Wojownik wzruszając ramionami.

- Kość słoniowa czyni mnie szczęśliwym i zadowolonym oraz nieśmiertelnym.

- To dobrze.

- Pięćdziesiąt procent - powiedział Mylarr.

- Nie.

- Może, prawdopodobnie, przypuszczalnie pięćdziesiąt jeden.

- Pomyślę o tym.

- Dobrze! Pomyśl, zastanów się, przeanalizuj, rozważ, obejmij rozumem, a później będziemy omawiać, targować się, handlować i zawierać transakcje.

Wojownik wychylił do dna kielich.

- Tymczasem zmienmy temat. Czy ustaliłeś rozmieszczenie pozostałych statków Bellano?

Justin skinął głową.

- Tak, ojcie. Pozostało wszystkiego pięćdziesiąt trzy statki. Współrzędne każdego są w komputerze.

- Przegrupujemy się w ciągu kilku dni, a następnie zaatakujemy, zanim nowy przywódca zdąży skonsolidować władzę - Wojownik podał synowi kielich. - To świetne wino. Napiję się jeszcze.

Justin pokręcił głową w zamyśleniu.

- Myślę, że nie trzeba ci więcej, ojcie.

- Od kiedy to decydujesz, ile mam wypić? - zaprotestował Wojownik usiłując wstać. Stwierdził, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa.

- Już wypileś zupełnie dość, żeby umrzeć - powiedział Justin spokojnie.

- Oszalałeś! - krzyknął Wojownik. - Czy ty wiesz, co mówisz? - Zapewniam cię, że to będzie zupełnie bezbolesne - powiedział Justin. - Utrata czucia w stopach i dłoniach, poczucie zimna, a później już nic.

- Straż! - krzyknął Wojownik.

- Nie przyjdą, ojcie - powiedział łagodnie Justin. - Pracują teraz dla mnie.

- Ale dlaczego? - zapytał Wojownik usiłując zrozumieć.

- Nadszedł twój czas, ojcie. Dni wojowników mijają. Sam fakt, że uwierzyłeś we wszystkie fałszywe informacje, które przekazałem Bellano i innym twoim źródłom informacji, oznacza, że twoje dni są policzone. Czy rzeczywiście uwierzyłeś, że najsilniejsza potęga militarna w Galaktyce pozwoli, aby wojownik rządził całymi systemami planetarnymi i pobierał od nich daninę? Czy można uwierzyć, że flota nie będzie strzegła swojego ładunku złota siłami wystarczającymi, żeby odeprzeć atak?

- Ale przecież wygraliśmy! - zaprotestował Wojownik. - Zniszczyliśmy ich!

Justin pokręcił przecząco głową.

- Zniszczyłeś przetrzebioną flotę, która spełniła swoje jedyne zadanie, pokonać siły Bellano przed kapitulacją. Zastanawiałem się, czy nie zezwolić flocie na wysłanie tysiąca statków na pomoc, ale oznaczałoby to zdziesiątkowanie naszej floty, a mam dla niej jeszcze pewne zadania, zanim zostanie rozwiązana.

- Rozwiązana? Co ty...

- Oszczędzaj siły, ojcze. Dużo ich ci już nie zostało. Kiedy ty starałeś się zostać pierwszym wojownikiem pogranicza, ja swoimi kanałami upewniłem się, że flota będzie wolała mieć do czynienia z jednym gubernatorem niż tuzinem wojowników.

- Ty? - zachrypiał Wojownik.

- Oczywiście - powiedział Justin. - Czyż nie mówiłeś mi zawsze, że bym wykazywał inicjatywę? Jako gest dobrej woli wydałem im Bellano i jego statki, a za dzień lub dwa zaarrestują Błękitną Księżniczkę. No, i oczywiście pozostajesz ty, ojcze. Myślę, że to właśnie przekonało ich do pertraktacji ze mną. Ciebie najbardziej chcieli dostać.

- Wszystko zniszczyłeś - wyszeptał Wojownik.

- Nonsens - odparł Justin swobodnie. - Utraciłbyś w końcu swoje imperium na rzecz silniejszego wojownika... albo ja bym je utracił. Nigdy nie chciałem być generałem. Nie jestem w tym dobry i czuję, że funkcja taka mnie ogranicza. Nigdy nie posiadałem więcej niż trzydzieści systemów. Jutro będę gubernatorem stu sześćdziesięciu siedmiu.

Oczywiście będziemy musieli pozbyć się kilku pomniejszych wojowników, ale flota uczyni to z przyjemnością, a zatem nie będę miał z tym problemów.

- A złoto?

- Za swoje usługi dostaję tonę. Reszta wraca na planetoidę, gdzie znajduje się skarbiec w systemie Delurosa. Nigdy oczywiście tego złota tutaj nie potrzebowali. Prawie nie używają najemników, a ci, którzy są, otrzymują wynagrodzenie w kredytach. Zorganizowaliśmy przesyłkę tylko po to, żeby skłonić Bellano do przymierza z tobą.

- Bardzo sprytnie - wyszeptał prawie niedosłyszalnie Wojownik.

- Tak też myślałem - zgodził się Justin. - Za jednym posunięciem powiększyłem twoje imperium więcej niż pięciokrotnie, a przy okazji zyskałem poparcie Oligarchii. Czy dobrze zrobiłem, ojcze? Czy wreszcie mnie zaakceptujesz?

- Zrobiłeś błąd.

- Co? Jaki? - zapytał Justin.

- Powinieneś był zabić obcego. Nie masz dla niego złota.

- Mylarr? - odparł Justin. - On nie stanowi problemu. Zadowolili się kłami.

- Jesteś głupi - wyszeptał Wojownik i skonał.

Justin wstał i zwrócił się do Nocnego Lotnika.

- Nie żyje.

- Smutne i tragiczne, rozpaczliwe i nieuniknione. - powiedział obcy wciąż gładząc większy kieł. - Teraz pomówmy o złocie, które jest lśniące, dobre i dochodowe.

- Nie będzie żadnego złota - odparł Justin.

- Nie będzie złota? Nie będzie złota? Przecież widziałem złoto!

- Tylko jedną tonę, a ona mnie przypada.

- Ale ja tu jestem.

- Wiem, że przyjechałeś tu po złoto, ale myślę, że dojdziemy do porozumienia.

- Do rozsądnego, słusznego i mądrego - powiedział Mylarr z emfazą. - Ty proponujesz, ja decyduję.

- Jako gest dobrej woli daję ci kły.

- Kły! - krzyknął Mylarr skacząc do góry i siadając na czubku większego z nich. - Jestem nieśmiertelny i niezwyciężony!

- Tak jest.

Mylarr odwrócił się gwałtownie do Justina.

- A teraz złoto.

- Nie mam dla ciebie złota.

- Wiem, gdzie ono jest złożone - powiedział Nocny Lotnik.

- To je przyniosę, jak tylko wyjedziesz.

- Zabiorę je ze sobą.

- Tego nie zrobisz - odpowiedział Justin gniewnie. Zwrócił się do drzwi. - Straż!

- Niestety i z żalem, oni nie przyjdą!

- Czemu nie? - spytał Justin.

- Bo ich zabiłem.

- Ty? Jak?

- Ja. Właśnie tak.

Mylarr wyciągnął błyskawicznie swą zbrojną w szpony rękę i uderzył. Justin padł na kolana. Jego palce obejmowały zranioną szyję.

- Mam kły - powtórzył Mylarr spokojnie. - Jestem nieśmiertelny. - Nie mogę być pokonany. Będę rządził przez wieczność i nieskończoność. Nawet Oligarchia nic mi nie zrobi.

- Jesteś szalony! Znajdą moje ciało i będą cię ścigać! - groził Justin. Wzrok zaczął mu mętnieć.

- Nie mogą mnie doścignąć - zapewnił go Mylarrr. - Jestem największym z wojowników. Mam kły.

- Mój ojciec je miał i nie uczyniły go nieśmiertelnym - wychrapał Justin.

- Jest różnica - powiedział Myllar z pewnością siebie, zeskakując zgrabnie na podłogę.

- Jaka? - spytał Justin ostatnim tchem.

- Nie mam syna.

TRZECIE INTERLUDIUM (ROK 6303 ERY GALAKTYCZNEJ)

- Duncan?

Mruknąłem coś niezrozumiałego i przekręciłem się na bok.

- Duncan!

Tym razem głos był bardziej zdecydowany i po chwili czyjaś ręka zaczęła szarpać mnie gwałtownie za ramię.

- Co się stało? - spytałem siadając nagle i prawie zderzając się z głową Hildy Dorian.

- Czy zasnąłem?

- Nie.

- Och - byłem zupełnie zdezorientowany, a serce waliło mi tak gwałtownie, że aż dziwiło mnie, że Hilda tego nie słyszy.

- Która godzina?

- Siódma - Hilda wyglądała ponuro.

- Wieczorem czy rano?

- Rano. Widzę, że znowu spędziłeś noc w biurze - dodała po chwili przerwy.

Mój mózg zaczął w końcu funkcjonować.

- Znowu znalazłem kły, prawie dwanaście wieków po ich ostatnim zniknięciu.

- Naprawdę? Kiedy i gdzie?
- W roku 5521 E.G. na pograniczu.
- To mniej niż osiem wieków temu - zauważyła z uznaniem.
- Ale jest kłopot.
- Jest więcej kłopotów niż myślisz - odparła.
- Tak?
- Powiedz najpierw o swoim.
- Obcy wszedł w posiadanie kłów. W związku z tym musiałem polecić komputerowi zmianę kierunku poszukiwań. Nie ma sensu sprawdzać archiwów ludzkich, kiedy kły znajdują się prawdopodobnie w społeczeństwie obcych.
- Przesunąłem ręką po włosach usiłując je wygładzić.
- Musiałem zasnąć w trakcie zbierania danych.
- Chciałbyś kawy? - spytała Hilda trochę zbyt troskliwie.
- Nie w tej chwili.
- Na pewno? - nalegała.
- Na pewno - odparłem. - Czemu stałaś się nagle taka opiekuńcza?
- Ponieważ masz większy kłopot niż jakaś tam obca rasa, która jest lub nie jest w posiadaniu kłów. Chciałam, żebyś się całkiem rozbudził i przedyskutował to ze mną.
- Już się rozbudziłem - powiedziałem wstając i udając, że wykonuję jakieś ćwiczenia rozluźniające. - Co chcesz mi powiedzieć?
- Przyszłam dziś wcześniej, żeby sprawdzić dossier Bukoba Mandaki.
- I?
- Patrzyła na mnie przez długą chwilę, jakby starając się upewnić, czy już zupełnie oprzytomniałem.
- On nie istnieje.

Zmarszczyłem brwi.

- Co to znaczy „nie istnieje”? Był tu w moim biurze. Wpłacił pieniądze na mój rachunek. Pracuję dla niego.

- Wiem - powiedziała z powagą. - Ale nie ma o nim oficjalnych danych.

- Komputer - wezwałem - przedstawić hologram Bukoba Mandaki.

Obraz Mandaki pojawił się i znieruchomiał ponad komputerem.

- To jest zapis prywatny - powiedziała Hilda. - Wspólnota nie ma żadnych danych na jego temat.

- Sprawdziłaś zapis jego głosu i wzór siatkówki? - spytałem. - Może Mandaka to pseudonim?

- Zleciłam to zadanie komputerowi. Jak dotąd nie mam rezultatu.

- To duża galaktyka - powiedziałem. - Znajdziemy, go prędzej czy później.

Przez chwilę zastanawiałem się nad innymi możliwymi sposobami poszukiwań.

- Czego jeszcze się dowiedziałas?

- Jego numer identyfikacyjny jest fałszywy, paszport jest sfalszowany, a program genealogiczny milczy o jego rodzicach.

- To szaleństwo - stwierdziłem. - Czy sprawdziliśmy jego wypłacalność, zanim zezwolono mi na przyjęcie zamówienia?

- Sprawdziliśmy - powiedziała z zastanowieniem. - Dysponuje ponad pięcioma milionami kredytów w dwóch bankach i może wystawić czek klasy III. Tyle mogłam sprawdzić, ale nie mogę sprawdzić źródła pochodzenia jego pieniędzy.

- A co z adresem?

- Terminal komputerowy przyjmuje wiadomości w Ośrodku Miejskim.

- Czy płaci podatki?
- Nie mam prawa dostępu do komputera władz skarbowych.
- Czy możesz je uzyskać?
- Nie bez zainteresowania wielu ludzi faktem, że sprawdzam Mandakę. Dlatego wolałam najpierw porozmawiać z tobą.
- Słusznie, gdybyś powiedziała komukolwiek na górze to, co powiedziałaś mnie, zażądałoby, żebym zrezygnował ze zlecenia.
- A nie sądzisz, że powinienes? Przynajmniej do czasu, dopóki czegoś więcej się nie dowiemy.
- Co się z tobą dzieje? Sama przecież powiedziałaś, że jego pieniądze są w porządku.
- Ale nic o nim nie wiesz. To może być przestępca.
- Ale może być również tym, za kogo się podaje, i a zresztą powiedział, że wróci. Jeżeli nie znajdę kłów, nigdy nie dowiemy się, kim on jest. Po prostu zniknie i wynajmie do poszukiwań kogo innego.
- Powinnam domyśleć się, że tak zareagujesz - powiedziała Hilda. - Znaleźć kły, oto na czym ci jedynie zależy.
- Jak tylko je zlokalizuję, będę nalegać, żeby powiedział mi, kim jest i dlaczego ich poszukuje. - Dodałem uspokajająco.
- Bez kłów nie mam żadnych argumentów.
- Ale z tą wiedzą możesz być wystawiony na niebezpieczeństwo - wskazała Hilda.
- Nikt mnie nie zabije tak długo, jak długo mój komputer monitoruje wszystko, co się dzieje.
- Człowiek, który nie ma przeszłości oraz którego nie można zidentyfikować, może uznać, że nic mu nie stoi na przeszkodzie, aby cię zabić.

- Ma twarz, strukturę kostną, odciski palców i siatkówki. Nawet jeżeli policja nie zna jego imienia, będą wiedzieli, kogo szukać. Dziękuję za twoją troskę - dodałem z uśmiechem - ale chyba nie jest konieczna. Znajdę kły za jakieś dwa, trzy dni. Sprawdziłem już dwa i pół tysiącleci ich historii przez dwa wieczory i brakuje mi tylko osiemset lat do zlokalizowania ich na dziś. Gdy je zlokalizuję, dowiemy się dokładnie, kto to jest pan Mandaka i dlaczego tak gwałtownie pragnie dostać w ręce to trofeum, o którym nikt inny nic nie wie i które nikogo nie obchodzi.

- A jeżeli nie będzie chciał powiedzieć?

- Powie mi - powiedziałem z pewnością siebie.

- Skąd ta pewność?

- Nie widziałaś jego twarzy, kiedy mówił o kłach. Ja widziałem. Zrobi wszystko, co trzeba, żeby je zdobyć.

- Nawet popełni morderstwo?

- Raz już to powiedziałem. Ale w tym szczególnym przypadku morderstwo nie pomoże mu zdobyć kłów. Pomoże prawda.

Hilda patrzyła na mnie w zamyśleniu przez długą chwilę.

- Rozumiem, że nie chcesz, aby moje informacje wyszły poza obręb tego biura?

- Oczywiście.

- Włączyć - poleciłem.

- Jeżeli zgodzę się na milczenie - powiedziała Hilda wpatrując się we mnie intensywnie - czy zgodzisz się na moje dwa warunki?

- Jakie?

- Po pierwsze, będę osobiście obserwować wszystkie twoje spotkania i kontakty z Mandaką.

- Zgadzam się, jeżeli nie będziesz przeszkadzać, a on nie będzie wiedzieć, że jest obserwowany.

- Po drugie, jeżeli sprawa nie doczeka się rozwiązania w ciągu trzech dni, zgłaszam się z moimi informacjami do rady nadzorczej i na policję.

- Przecież nic nie masz - wskazałem rozczarowany.

- Mam człowieka, który praktycznie nie istnieje, ale który ma do dyspozycji pięć milionów kredytów. Mam człowieka bez tożsamości żyjącego w społeczeństwie, w którym jego tożsamość powinna się znajdować w pięćdziesięciu milionach banków pamięci. Mam człowieka, którego uznajesz za zdolnego do popełnienia morderstwa. Czy nie myślisz, że ktoś może uznać moje informacje za interesujące?

- A co się stanie, jeżeli znajdę kły dopiero po pięciu dniach? Albo po siedmiu dniach? A co będzie, jeżeli obcy nie mają żadnych spisanych dokumentów. Nigdy nie przystąpili do Oligarchii ani do Wspólnoty. Może nawet już nie istnieją? Nie możesz ograniczyć mnie do trzech dni!

Przez chwilę zastanawiała się nad tym, co powiedziałem.

- Dobrze - odpowiedziała ostrożnie. - Jeżeli nie znajdziesz kłów w ciągu trzech dni, przedyskutujemy sprawę ponownie, ale nic nie obiecuję.

- To jest nie do przyjęcia!

- To mogę opublikować moje informacje już teraz!

Patrzyłem na nią ze złością, podobnie jak ona na mnie.

- Dobrze - mruknąłem. - Zgoda.

Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale zawahała się i bez słowa wyszła z gabinetu.

Wstałem, poleciłem drzwicom, żeby nikogo nie wpuszczaly, zdjąłem pogniecione ubranie i wszedłem do kabiny z suchym prysznicem, usytuowanej tuż koło szafy.

- Tak jest.

- Komputer?!

- Tak?

- Czy trafiłeś na dalsze informacje o kłach?

- Nie. Istnieje bardzo mało danych o rasie obcych zwanych Nocnymi Lotnikami.

- Ile mamy jeszcze czasu, zanim Braxton rozpocznie pracę?

- Godzinę pięćdziesiąt jeden minut i dziewiętnaście sekund.

- Ile mocy obliczeniowej jest do mojej dyspozycji?

- 63,278 procentu.

- To wszystko?

- Przygotowuję budynek na przyjęcie pracowników i pracuję dla kilku osób, które przyszły wcześniej.

- Bardzo dobrze. Chcę, żebyś wykorzystał połowę tego, co mamy do zebrania wiadomości o Nocnych Lotnikach, a może uda się stwierdzić, co stało się z kłami po tym, jak Mylarr wszedł w ich posiadanie.

- Zrozumiałem. Pracuję...

- Zmień okno na nieprzejryste, dopóki się nie ubiorę.

- Tak jest.

Wyszedłem spod suchego prysznicza i stanąłem przed lśniącem kryształem.

- Chcę, żebyś wykorzystał pozostałą moc na znalezienie wszystkiego, co możesz o Bukoba Mandace.

- Nie ma oficjalnych danych o Bukoba Mandace.

- Wiem. Sprawdzaleś właśnie jego tożsamość w aktach Monarchii. Są jednak inne źródła, gdzie można szukać.

- Czekam...

- Zaczynij od wszystkich danych na temat Masajów, o ile takie są.

- Zrozumiałem, wykonuję...

- Następnie sprawdź, czy słowa „Bukoba Mandaka” mają jakiś inny sens w języku Masajów.

- Zrozumiałem, wykonuję...

- Chciałbym posłuchać jakiejś muzyki.

- Czy jakieś specjalne życzenie?

- Koncert B-moll Barjeenana.

- Tak jest - powiedział komputer i atonalna muzyka obcych wypełniła gabinet.

- No, teraz lepiej - powiedziałem siadając wciąż nagi na fotelu - proszę o niewielką wibrację.

- Tak jest - odpowiedział fotel.

- Proszę podgrzać trochę plecy. Wciąż jestem trochę zesztywniały.

- Podgrzewam - powiedział fotel.

- Dziękuję - zwróciłem się znów do lśniącego kryształu. - Niezależnie od tego, czy Mandaka oficjalnie istnieje czy nie musiał zrobić czegoś, co pozwoli nam na znalezienie go. Wiemy, że złożył wizytę Prudence Ashe w Muzeum Historii Naturalnej, zanim spotkał się ze mną. Trzeba zatem sprawdzić inne muzea i kolekcje prywatne posiadające duże zbiory dotyczące fauny Ziemi. Zaczynij sprawdzanie w tym systemie. Następnie sprawdź sąsiednie systemy, a później cały gwiazdozbiór. Chciałbym wiedzieć, czy składał tam wizyty.

- Zrozumiałem, wykonuję...

Przerwałem na chwilę pogrążając się w muzyce Barjeenana i starając się dopasować rytm moich myśli do egzotycznych rytmów muzyki.

- Chciałbym następnie, żebyś uzyskał dostęp do akt Agencji Nieruchomości i sprawdził, czy Bukoba Mandaka, lub ktoś odpowiadający jego rysopisowi, wynajął ostatnio lub kupił mieszkanie na tej planecie.

- Zrozumiałem. Wykonuję... Sprawdziłem wszystkie słowniki Masajów w moim banku pamięci i w banku lingwistycznym na Delurosie VIII. Bukoba to tradycyjne imię Masajów. Mandaka jest tradycyjnym imieniem wschodnioafrykańskim i było używane wśród Masajów, Kikuju, Luo, Wakamba, Samburu. Żadne z tych imion nie ma specjalnego znaczenia.

- No, tak. To był tylko pomysł - powiedziałem z westchnieniem.

- Czy są dalsze instrukcje?

- Tak - powiedziałem. - Sprawdźmy, czy jest dobrze zorganizowany. Chciałbym, żebyś opracował ogłoszenie, informujące, że autor ogłoszenia otrzymał kolekcję trofeów myśliwskich, która go nie interesuje i gotów jest ją sprzedać najlepszemu oferentowi. Chcę, żeby w kolekcji wymienić bafflediwera, demoncata, szereg drobniejszych, wypchanych drapieżników i parę kłów słoniowych.

- Gdzie to ogłoszenie ulokować?

- Co najmniej trzydzieści tysięcy lat świetlnych stąd.

Wycinek galaktyki pojawił się ponad kryształem. Siedem planet pulsowało jasną, niebieską barwą.

- Pulsujące planety należą do Oligarchii. Położone są w odległości 30 346-31 112 lat świetlnych.

- Która jest najbliższa?

- Nelson XXIII.

- Ludzie żyją na dwudziestej trzeciej planecie od słońca? - spytałem zdziwiony.

- Nie. W tym systemie jest tylko jedna planeta.

- To skąd ta nazwa?

- Była to dwudziesta trzecia planeta, na której stworzono warunki zbliżone do ziemskich. Dokonał tego członek Korpusu Pionierów o nazwisku Nelson, który żył i umarł w drugim wieku E.G. Mieszkańcy nazywają planetę Zieloną Łąką.

- Ludność?

- 72 349.

- W porządku - powiedziałem. - Umieść to ogłoszenie gdziekolwiek je przyjmą. Skieruj wszystkie oferty do naszego biura na Genovaith II, a następnie do mnie.

- Wykonuję...

Zacząłem się ubierać. Przez chwilę zastanawiałem się nad pójściem do domu po świeże ubranie, ale nie chciałem tracić czasu. Poleciałem zatem, aby mój strój zmienił wzór na brązo-pomarańczowy, wijący się wokół ciała.

- Chcę zobaczyć swój pełny obraz - poleciałem.

Moja holograficzna replika pojawiła się nagle przede mną na wyciągnięcie ręki i obróciła się wolno wokół swojej osi. Przyjrzałem się jej dokładnie i zdecydowałem, że Hilda najprawdopodobniej nie zauważy, iż jest to ten sam strój, jaki miałem wczoraj. A nawet gdyby przejrzała mój niewielki szwindelek, to miała tak wiele spraw na głowie, że chyba ominię mnie jej zwykłe pouczenie na temat wyglądu kierowników działów.

- Dziękuję - powiedziałem i hologram zniknął.

- Czy jeszcze coś? - zapytał komputer.

- Tak - odrzekłem. - Jeszcze jedna rzecz.

- Czekam...

- Chciałbym, żebyś uzyskał dostęp do komputera policyjnego i sprawdził, czy ktoś odpowiadający opisowi Mandaki był

aresztowany w ciągu ostatnich dwudziestu lat pod jakimkolwiek zarzutem.

- Wynik będzie negatywny - odpowiedział komputer. - Jeżeli byłby aresztowany, Wspólnota posiadałaby w aktach zapis jego głosu i siatkówki.

- Słusznie - powiedziałem. - Żadnych nowych poleceń.

- Wykonuję.

Wróciłem na fotel i poleciłem mu dostosować się do mojej pozycji. Było mi jednak nadal niewygodnie. W końcu przypomniałem sobie, że poleciłem fotelowi, aby podgrzewał mi plecy. Wróciłem więc do normalnej temperatury.

Zastanawiałem się nad zamówieniem śniadania, ale zdecydowałem się raczej jeszcze na godzinę drzemki przed rozpoczęciem pracy. Wydawało mi się, że dopiero przed chwilą zamknąłem oczy, kiedy sygnał komputera wyrwał mnie ze snu.

- Duncan Rojas?

- Tak? - powiedziałem już całkiem rozbudzony.

- Stwierdziłem, co stało się z kłami po tym, jak weszły w posiadanie Mylarrra.

- Wspaniale!

Komputer nic nie odpowiedział.

- No?

- Chciałbym zaznaczyć, że Wilford Braxton rozpoczyna pracę za dwie minuty i siedem sekund - powiedział komputer - a nie będę w stanie przekazać następnego etapu historii w tak krótkim czasie.

- To zacznę pracować nieco później.

- Jestem zaprogramowany pomagać w poszukiwaniu kłów w czasie, kiedy nie pracuje pan dla Braxtona.

- Zawsze robię przerwę w pierwszej połowie dnia - przypomniałem komputerowi. Kryształ błysnął intensywną czerwienią, a następnie ustabilizował się.

- To mi wystarczy.

Pochyliłem się do przodu, z uwagą słuchając, jak komputer relacjonuje kolejny etap niezwyklej odysei kłów.

ROZDZIAŁ 4

ZŁODZIEJ (ROK 5730 ERY GALAKTYCZNEJ)

Był wczesny ranek, gdy schodziłem w dół stoku do Doliny Wielkiego Rowu, i Jezioro Bogaria skryte było pod warstwą mgły. Napilem się do syta nie zwracając uwagi na parę bawołów, które patrzyły na mnie z niechęcią.

Od czasu do czasu marzyło mi się mieć swoich askarysów - młode samce wygnane ze swoich stad żeby nauczyć ich wszystkiego, co widziałem, ponieważ w ten sposób przekazujemy mądrość życiową z pokolenia na pokolenie. Choć jednak wielu z nich mnie widziało, żaden nie śmiał podejść bliżej, taki byłem wielki i straszny.

Chociaż mój brzuch był pełen, a jezioro w pobliżu, czułem potrzebę wędrowania dalej tym kolistym szlakiem, który wybrałem dziesiątki lat temu. Gdy wachlowałem się uszami, chłodząc swoje ciało, tysiące ptaków zerwało się z krzykiem z pobliskich krzaków. Patrzyłem na nie przez chwilę, a potem znowu zwróciłem wzrok ku południu.

* * *

Tahiti Benoit nalała sobie brandy z Alpharda, rozsiadła się na krześle i wpatrzyła w hologram przedstawiający dwa ogromne kły słonia zawieszony w czasie i przestrzeni nad jej komputerem.

- Proszę obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni - poleciała i obraz powoli obrócił się.

- Podaj jeszcze raz wagę.

- 237 i 255 funtów przy pierwszej aukcji w 1898 roku po narodzeniu Chrystusa; 226 i 214 funtów przy oficjalnym wa-

żeniu w 1932 roku; 487,22 i 459,55 standardowych kilogramów galaktycznych przy ważeniu tuż przed stabilizacją molekularną w 3218 roku E.G.

Patrzyła na kły i wypłała następny łyk brandy.

- Pokaż mi właściciela.

Kły zniknęły, a na ich miejsce pojawił się obraz szczupłego, sprężystego Nocnego Lotnika.

- To jest Maglahnn - oznajmił komputer. - Twierdzi, że jest oficjalnie wybranym premierem Winoxa IV, ale w rzeczywistości jest niższym oficerem, który przejął władzę jedenaście standardowych lat temu.

- Jedenaście lat - zdziwiła się. - Czy były próby jego obalenia?

- Trzy. Bez powodzenia.

- Co się stało z zamachowcami?

- Zostali skazani na śmierć.

- Jak dobrze jest strzeżony?

- Ma ochronę osobistą składającą się z pięćdziesięciu siedmiu Nocnych Lotników. Pracują na zmianę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nigdy nie towarzyszy mu mniej niż dziewięciu członków ochrony. Nawet kiedy jest w prywatnym mieszkaniu.

- A gdzie przechowuje kły?

- Są wystawione w Budynku Zasobów Rządowych.

- Co to jest? Czy to jakieś muzeum?

- To jest centrum administracyjne na Vinox IV.

- Rozumiem, że są pod stałą strażą?

- Cały budynek jest pod ochroną. Nie wiem nic o kłach.

- Czy Budynek Zasobów Rządowych zatrudnia ludzi?

- Sprawdzam... nie.

- Czy mają jakiś program wymiany z Oligarchią?

- Nie.

Przerwała na chwilę.

- Dobrze. Pokaż mi teraz grupę konserwatorów, którzy zostali wezwani do usunięcia pęknięcia w większym kle.

Grupa obcych - wszyscy bardzo wysocy, bardzo błękitni i bardzo łysi - pojawiła się ponad komputerem.

- Nigdy nie korzystają z ludzi w tym zespole?

- Nigdy - odpowiedział komputer.

- Kto nimi kieruje?

Zespół zniknął, a jego obraz został zastąpiony wizerunkiem wysokiej, błękitnej kobiety.

- To jest Tsavos Tvisir, wiek: sto sześć lat galaktycznych. Posiada stopnie naukowe z zakresu konserwacji zabytków z Lodin XI i Canphor VI i prowadzi własną firmę od ponad sześćdziesięciu lat.

- Czy posiada własny statek?

- Tak - odpowiedział komputer.

- W porządku - powiedziała Tahiti. - Jak dotąd brak słabych punktów. Idziemy dalej. Kto jest ambasadorem Oligarchii na Winox IV?

Obraz obcego zniknął i został zastąpiony podobizną nieco przyciężkiego mężczyzny w średnim wieku.

- To jest Ambrose Seaton, lat 47, były ambasador na Goldenie, były adiutant admirała Isaaca Kindlemeiera.

- Golden - powtórzyła. - Czy nie jest to jeden z głównych ośrodków handlowych Wewnętrznego Pogranicza?

- Tak jest.

- A system Winx nie jest nawet członkiem Oligarchii - zastanawiała się na głos. - To stanowisko nie, oznacza promocji.

Patrzyła w zamyśleniu na hologram.

- Dlaczego odszedł ze służby u Kindlemeiera?

- Ta informacja jest poufna. Nie mam do niej dostępu.
- Czy przeniesienie tu oznaczałoby degradację?
- Płaca będzie ta sama.
- Ale władza i autorytet?
- W tym przypadku tak.

Pozwoliła sobie na uśmiech.

- Myślę, że znaleźliśmy słaby punkt. Komputer, przejść na pracę subiektywną.

- Wykonane.

- Proszę o subiektywną analizę charakteru Ambrose Sea-
tona.

- Jest dobrze wykształconym urzędnikiem państwowym, ale bez wyobraźni. Absolutnie lojalny wobec Oligarchii. Z jego licznych zapytań płynących z Delurosa VIII z prośbami o instrukcje z dziedziny protokołu wnioskuje, że czuje się bardzo niepewnie. Brakuje mu prawdopodobnie tych ludzkich cech charakteru, jak samodzielność, intuicja i wyobraźnia, które są tak ważne dla ambasadora na tak daleko

wysuniętej placówce na obrzeżu galaktyki, gdzie decyzje często muszą być podejmowane bez akceptacji Oligarchii.

- Co takiego zrobił, że go dwukrotnie przeniesiono?

- Ta informacja jest poufna.

- Czy jest zadowolony z obecnego stanowiska?

- Składał dwukrotnie wnioski o przeniesienie na inne planety należące do Oligarchii. Wnioskuje zatem, że nie jest zadowolony z obecnego stanowiska.

- Coraz lepiej - powiedziała Thaiti. - Odwołuję pracę subiektywną.

- Odwołana.

- Wiesz, oczywiście, dlaczego zadaję te pytania?

- Zostałaś wynajęta przez kolekcjonera Leeyo Neliona żeby ukraść kły Nocnym Lotnikom z Winox IV.

- Zaproponowano mi tę pracę - poprawiła Thaiti. -Jeszcze jej nie przyjąłam; Chcę jeszcze raz zobaczyć kły.

Hologram pojawił się natychmiast.

- Ile są warte na wolnym rynku?

- Kość słoniowa nie jest już obecnie używana do celów handlowych i artystycznych. Ma zatem wartość tylko dla kolekcjonerów i muzeów, a wartość jej zależy wyłącznie od tego, ile dany kolekcjoner lub muzeum gotowi są zapłacić. Ostatnia transakcja handlowa osiągnęła czterysta dwadzieścia pięć kredytów za standardowy kilogram w roku 5409 E.G. Od tego czasu jedynie dwa komplety kłów zostały darowane muzeom.

- Dobrze - powiedziała - przeanalizujemy szczegóły jeszcze raz.

- Czekam...

- Przez całe lata Nelion poszukiwał kłów bez sukcesów. Udało mu się w końcu dowiedzieć ze źródeł prywatnych, że Nocni Lotnicy wezwali zespół konserwatorów do naprawy kłów, na których pojawiło się pęknięcie. Przeprowadził konieczne badania i stwierdził, że kieł należał do pary, której poszukiwał. To, jak dotąd wygląda rozsądnie.

- Czy masz powód wątpić w jego informacje?

- Powód najważniejszy - własne bezpieczeństwo, Zanim podejmę się roboty, chcę się upewnić, że zadanie jest dokładnie takie, na jakie wygląda. Ostatecznie on nie pójdzie do więzienia, jeżeli coś się nie uda.

Przerwała na chwilę.

- Jeżeli kłamie, to jaki miałby w tym cel? Nie dostanie kłów, dopóki bezpiecznie nie znikną z planety - przez dłuższą

chwile przyglądała się kłom. - Musi ich niezmiernie pożądać. Daje za nie mnóstwo pieniędzy.

Znowu wypija łyk brandy obmyślając i odrzucając różne scenariusze, aż w końcu skoncentrowała się na tym, który jej najbardziej odpowiadał. Przeanalizowała go. Zdecydowała, że powinien się sprawdzić i zaczęła rozpracowywać szczegóły. W końcu, w godzinę później znowu włączyła komputer.

- Wyślij wiadomość do Neliona - poleciła. - Powiedz, że zgadzam się na jego warunki. Jak tylko mój bank na Binderze X potwierdzi, że połowa pieniędzy została zdeponowana na moim koncie, wykonam swoją część kontraktu.

Tahiti, ubrana w skromnie skrojony strój, zjawiała się w niewielkim, raczej surowym biurze ambasadora Seaton i natychmiast usiadła naprzeciw niego. Wykładane boazerią ściany pokryte były hologramami przedstawiającymi Seaton w towarzystwie znaczących osobistości spośród ludzi i obcych, i wszyscy uśmiechali się do kamery.

Seaton ubrany w mundur galowy, na którym zawieszony był budzący szacunek zbiór odznaczeń, wstał na jej powitanie. Wydawał się wyższy niż wynikałoby to z opisu komputerowego i doszła do wniosku, że miał jakieś urządzenie podwyższające, ukryte w lśniących butach. Jego włosy lśniły atrakcyjną, choć niezbyt naturalną siwizną, a gęste wąsy były mocno wypomadowane.

- Mam nadzieję, że wybaczy mi pani to otoczenie, moja droga - rzekł wskazując gestem ręki swój gabinet.

- Wydaje mi się całkiem eleganckie - odparła.

- Tak - zgodził się. - Ale w ambasadzie potrzeba nie tyle elegancji, co przepychu - skrzywił się, by dać wyraz swemu niezadowoleniu. - Na tubylcach należy wywierać wrażenie, bo inaczej nie można pracować, ale rząd nie zamierza dokonać

koniecznych wydatków, dopóki Winox IV nie przyłączy się do Oligarchii. W ten sposób jednak staje się prawie pewne, że nie przyłączy się nigdy.

- Zjedналиśmy już bardziej odporne światy - powiedziała Thaiti. -

Jestem pewna, że nam się znowu uda.

- To prawda - zgodził się splatając różowe, pulchne palce na blacie biurka. - Ale były to światy, które miały coś, czego Oligarchia potrzebowała: minerały, ziemie uprawne, pierwiastki promieniotwórcze, czy coś innego. Winox IV jest zbyt ubogi i zbyt daleko położony, żeby ktokolwiek znaczący na De-lurosie VIII był nim zainteresowany.

- Przecież pana tu przysłali, prawda? - powiedziała.

- Jestem dyplomatą - odpowiedział z fałszywą skromnością. - Jadę tam, gdzie mnie posyłają.

- Pan jest zbyt skromny - zaprotestowała. - Jeden z pańskich pracowników powiedział mi, że służył pan pod generałem Kindlemeierem.

- To prawda - przyznał - wspaniały dowódca. brak mi tych popołudni spędzonych razem na popijaniu porto i grze w szachy.

Uśmiechnął się.

- Tak się denerwowałem, kiedy przegrywałem...

- Był pan również ambasadorem na Golden - ciągnęła Thaiti. - Przecież Oligarchia nie wysyłałaby człowieka z takim doświadczeniem tutaj, gdyby nie była zainteresowana Winox IV.

- Pani jest bardzo przenikliwa - powiedział zadufanym tonem - oczywiście interesują się Winox. Denerwuje mnie tylko czasami, i to nie bez powodu, tu powolność biurokracji.

- Ja, w każdym razie, jestem pod wrażeniem, że człowiek o takim statusie jak pan pozostał wciąż przystępny. Nie może pan sobie wyobrazić, jak wysoce cenię sobie tę audiencję, panie ambasadorze.

- Pomoc ludziom odwiedzającym tę planetę należy do moich obowiązków - odparł gładko. - W jaki sposób mogę pani pomóc, panno Benoit?

- Proszę, niech pan mi mówi Thaiti.

- No, dobrze, Thaiti - poprawił się. - Jak długo planujesz pozostać na Winox?

- Nie jestem pewna. Może tydzień, może dwa...

- Według informacji mojego asystenta przyjechałaś tu budować więzienie?

Uśmiechnęła się.

- Gdyby tak było rzeczywiście, musiałabym tu spędzić cały rok. Moim zadaniem jest jedynie przeprowadzenie badań celowościowych.

- Zupełnie nie rozumiem, kogo mielibyśmy tu więzić - powiedział Seaton zakłopotany. - Nasza władza nie rozciąga się poza teren ambasady.

- Rozpoczęliśmy tu, na pograniczu, ciekawy eksperyment - powiedziała Thaiti. - Stwierdziliśmy mianowicie, że można osiągnąć maksymalne bezpieczeństwo budując więzienia chlorowe w środowisku tlenowym, i odwrotnie. To prawie zupełnie eliminuje możliwość ucieczki więźniów, ponieważ nie mogliby oddychać atmosferą poza murami więzienia. Nie powoduje również obaw miejscowej ludności, co do niebezpieczeństwa wywołanego budową zakładu karnego w okolicy.

- Nigdy o tym nie słyszałem! - wykrzyknął Seaton To wspaniały pomysł!

- Dziękuję - powiedziała skromnie. - Po części to był mój pomysł.

- Jesteś bardzo interesującą młodą osobą.

- A ty - odparła z uśmiechem - jesteś prawdziwym dyplomata.

Seaton zaśmiał się.

- Zgadza się, ale nawet dyplomaci nie kłamią bez przerwy, moja droga.

- Jeżeli już przekonałeś mnie, że jesteś szczerzy, to czy mogę prosić cię o przysługę?

- Słucham.

- Chciałabym zwiedzić miasto. Czy mógłbyś oddelegować kogoś z pracowników, żeby mi towarzyszył?

- Z przyjemnością sam cię oprowadzę.

- Ależ to nie jest konieczne - zaprotestowała. - Jestem pewna, że masz wiele pracy.

- Zawsze mogę poświęcić czas innym ludziom - zapewnił ją - szczególnie tak pięknym jak ty.

- W takim razie, dziękuję.

- Musisz jednak pamiętać, że nie ma tu wiele do układanania. To nie jest rodzima planeta Nocnych Lotników. Była to początkowo planeta górnicza, zaopatrująca ich imperium w metale i materiały rozszczepialne. Jest tu tylko jedno miasto i na pewno nie tak wspaniałe jak miasto Oligarchii.

- Zawsze jestem zainteresowana obejrzeniem nowej planety.

- Zapraszam cię zatem na popołudnie.

- Dziękuję, ambasadorze. Jestem zobowiązana.

- Jeżeli tak, czyja mogę z kolei prosić o przysługę?

- Oczywiście. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Mów do mnie Ambrose.

- Z przyjemnością, Ambrose.

- To wspaniale się składa, że tu jesteś! - powiedział Seaton. - Nie masz pojęcia, jakie to nudne rozmawiać stale z dyplomatami i wojskowymi.

- Prawdę powiedziawszy, to wahałam się trochę, czy można ci się narzucać od pierwszego dnia pobytu na planecie.

- Nonsens - skarcił ją Seaton. - Miałaś listy polecające od admirała Nakashimy i ambasadora Craiga Czyż można mieć lepsze referencje?

Thaiti nagle się zasępiła.

- O co chodzi, moja droga? - spytał Seaton.

- Mój list od ambasadora Craiga - odparła. - Czy mogłabym go dostać z powrotem? Chciałabym wysłać mu krótkie osobiste podziękowanie i będę potrzebowała adres.

- Oczywiście - powiedział Seaton wstając. - Jest na pewno w twoim dossier w biurze. Zaraz go przyniosę.

- Nie trzeba - powiedziała unosząc się z fotela. Sama odbiorę wychodząc.

- Żaden kłopot - odparł. - Poza tym nie będziesz wiedziała kogo o list poprosić.

- Dziękuję bardzo - powiedziała patrząc za wychodzącym.

Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, Thaiti wstała i podeszła do komputera. Obrzuciła go spojrzeniem specjalisty i dokonała maleńkiej, prawie niezauważalnej poprawki. Usiadła z powrotem w fotelu na jakieś dwadzieścia sekund, zanim Seaton wrócił i oddał jej list.

- Nalegam, żebyś zgodziła się zjeść ze mną lunch, a potem zwiedzimy miasto.

- Nie chciałabym się narzucać - powiedziała z wahaniem - mogę zjeść w hotelu i wrócić.

- Nonsens - odparł z udaną surowością. - Potraktuj to jako rozkaz.

- W takim razie... - uśmiechnęła się.

Półtorej godziny później, odcięci od rzadkiego, suchego powietrza planety w prowadzonym przez kierowcę pojeździe ambasady, zapuścili się powoli w plątaninę uliczek miasta omijając grzędy, na których Nocni Lotnicy siadali tysiącami, i strzeliste domy, które zdawały się mieć więcej mieszkańców na ścianach zewnętrznych niż wewnątrz.

- Fascynujące - wykrzyknęła Thaiti. - Czy wszystkie budynki stawiane są pod tak dziwnym kątem?

- Większość - odparł Seaton. - Wydaje mi się, że Nocni Lotnicy źle się czują w pozycji wyprostowanej. Uwielbiają zwieszać się, a im niebezpieczniejsze miejsce, tym lepiej.

- Widzę, że nie ma tu oświetlenia ulic. Czy to są istoty nocne?

- Nie mam pojęcia. O ile się orientuję, nikt nigdy nie widział ich śpiących. Mieliśmy tu parę miesięcy temu egzobiologa dla zbadania Nocnych Lotników. Uznał, że zwieszając się głową w dół regenerują energię, a ich reakcje mięśniowe są takie, że w ten sposób odpoczywają, chociaż mam co do tego wątpliwości.

- Tak? Czemu?

- Ponieważ byłem przy podpisaniu porozumienia handlowego pomiędzy Winoxem IV, a Rooseveltem III i wtedy premier Maglannn zwisał głową w dół w czasie całej uroczystości, a mimo to udało mu się przeprowadzić pięć czy sześć zmian sformułowań.

- Słyszałam o Maglannnie - powiedziała Thaiti. - Jak on wygląda?

- Zimny i bezlitosny, jak tylko potrafią być obcy - powiedział Seaton. - Czuję się niepewnie przebywając z nim w tym samym pokoju, chociaż, oczywiście, nie dają tego po sobie poznać. Nigdy nie można dopuścić do tego, żeby któryś z nich pomyślał, że ma przewagę. Nie mam pojęcia, dlaczego wybrał Winox na mieszkanie, zamiast któryś z bardziej zaludnionych światów Nocnych Lotników - dodał po chwili przerwy.

- Może boi się morderców? - zasugerowała Thaiti.

- Może, ale najprawdopodobniej odpowiada mu klimat lub inne udogodnienia. Musisz pamiętać, że obcy nie zawsze kierują się logiką, a czasami są bardzo wojowniczy. Podejrzewam, że Maglannn zabił dziesiątki Nocnych Lotników dochodząc do władzy, a od kiedy wszedł w posiadanie kłów, stał się jeszcze bardziej agresywny.

- Kły? - zapytała. - Jakie kły?

- Kły słoniowe.

- Z Ziemi?

- Wiem, że to zabawne, ale Nocni Lotnicy posiadali je od stuleci. Zgodnie z tradycją ich właściciel jest nieśmiertelny i niezwyciężony.

- Czy fakt, że Maglannn zabrał je poprzedniemu właścicielowi nie przeczy temu?

- Według mnie przeczy - uśmiechnął się Seaton. Ale trudno mi zastanawiać się nad zawiłościami umysłów obcych.

- A nie należy to do pańskich obowiązków?

- Obowiązkiem każdego ambasadora jest trzymać się, tu, na pograniczu, dopóki nie wkroczy Oligarchia.

Wciąż jechali przez miasto, mijając czasami innych obcych, przechadzających się wśród Nocnych Lotników, Zboczyli z głównej trasy, żeby rzucić okiem na nowe budynki ambasad

Capphor i Lodin, i w końcu zatrzymali się przed budowlą, która była znacznie większa od innych.

- Gdzie jesteśmy? - spytała Thaiti, gdy drzwi otworzyły się i dziwny, niemal stęchły zapach obcego miastu uderzył w jej nozdrza.

- To Budynek Zasobów Rządowych - odpowiedział Seaton wysiadając z pojazdu i pomagając jej zejść tu chodnik. - Straszliwy zapach, prawda? Tutaj właśnie Nocni Lotnicy wykonują te trochę pracy, na jaką w ogóle ich stać.

Polecił kierowcy pozostać w pojeździe, wziął ją pod rękę i poprowadził w kierunku drzwi frontowych.

Znalazła się w siedmiokątym hallu wejściowym o suficie wyższym z jednej strony o jakieś sześć stóp.

Na ścianach znajdowały się liczne tabliczki pokryte obcym pismem i kilka niezbyt reprezentacyjnych dzieł sztuki utrzymanych w błękitach i fioletach, które skłoniły ją do zastanowienia się, czy Nocni Lotnicy mogli widzieć w podczewieni tak daleko jak ludzie. W hallu dominowała złocista figura Nocnego Lotnika płci żeńskiej.

- To Myresss - wyjaśnił Seaton. - Powiedziano mi, że była jednym z ich największych wojowników.

- Czy to złote, czy tylko pozłacane? - spytała Thaiti z zawodową ciekawością.

- Nie mam pojęcia - odparł Seaton. - Ale mogę się dla ciebie dowiedzieć.

- Nie trzeba - potrząsnęła głową. - Tak się tylko zastanawiałam.

Poprowadził ją przez labirynt pokoi o różnorodnych kształtach, pełnych Nocnych Lotników uczepionych ścian i sufitów; w końcu weszli do dużego, dobrze oświetlonego pomieszczenia.

- O, właśnie - powiedział Seaton skręcając w lewo. - Na tej ścianie umieszczone jest to, co możemy nazwać klejnotami koronnymi, chociaż, jak sama widzisz, to wszystko kwarc, ale niektóre z nich są całkiem unikalne.

- Unikalne, to właściwe słowo - powiedziała Thaiti oglądając wystawę. - Widzę kilka rzeczy, które mogłyby uchodzić za naszyjniki, a tam, na prawo, to chyba korona, ale nie mogę sobie wyobrazić, do czego służy reszta.

- Nie mogę ci w niczym pomóc.

- Jak ubiera się Maglann na uroczyste okazje?

- Może pojawić się tak samo dobrze nagi, jak i odziany - powiedział Seaton z niesmakiem. - Jeden jedyny raz, kiedy widziałem go w pełnym stroju galowym, żonglował tymi kamieniami prawie przez dziesięć minut - tu wskazał na zaokrąglone okruchy kwarcu - a następnie oddał je jednemu z podwładnych, jak gdyby były to zwykłe śmieci.

- Czy żonglowanie ma jakieś znaczenie rasowe lub religijne?

- Naprawdę nie mam pojęcia - powiedział Seaton znudzonym głosem. - Ale myślę, że to możliwe.

Poprowadził ją do kolejnej gabloty.

- To uważa się za największe osiągnięcie sztuki religijnej Nocnych Lotników.

Znajdowało się tam około czterdziestu rzeźb w drewnu i kamieniu. Każda przypominała kolczaste, podwodne zwierzę, chociaż poza wyrostkami nie było widać żadnych innych szczegółów.

- Czy to ma przedstawiać jakąś formę życia? - zapytała w końcu.

- W pewnym sensie - odparł. - To jest ich bóstwo.

- Ich bóg wygląda jak kolczasta kula?

- Oni tak myślą - odpowiedział z pobłażaniem.

- Rzeźby wydają się zupełnie prymitywne.

- Uważa się je za najlepsze, jakie rasa ta stworzyła w ciągu tysięcy lat - wzruszył ramionami. - Nic świadczy to pochlebnie o gustach artystycznych Nocnych Lotników.

- A to - odwróciła się wskazując na dwie potężne kolumny z kości słoniowej - muszą być te kły. - Przyglądała się im przez chwilę. - Zastanawiam się, w jaki sposób wpadły w ręce Nocnych Lotników.

- Nie znam ich historii - odparł Seaton. - Słyszałem, że są tu ze dwieście lat.

Obejrzała z bliska mniejszy kieł, potem podeszła do większego.

- Czego szukasz? - zapytał.

- Nigdy przedtem nie widziałam kłów słoniowych, Jestem ciekawa - nagle wskazała na podstawę jednego z kłów. - Tam jest pęknięcie.

- Tak, rzeczywiście - zgodził się. - Jest takie małe, że aż dziwne, że je zauważyłaś.

- Kiedy przyjeżdża zespół konserwatorów?

- Jaki zespół? - spytał ostro.

- Zakładam, że jeżeli kły mają tak wielkie znaczenie dla Nocnych Lotników, będą chcieli to pęknięcie załatać, a jeżeli nie zostało to dotąd zrobione, to znaczy, że Nocni Lotnicy nie potrafią tego naprawić, a zatem wezwą zespół konserwatorów.

- Dlaczego zespół? - nalegał. - Dlaczego nie jedną osobę?

- Nie wiem - odparła wzruszając ramionami. - Myślę, że to może być jeden człowiek albo obcy.

Pochylił się i oglądał większy kieł nie mogąc dostrzec pęknięcia. Wyprostował się. Patrzył na nią przez dłuższą chw-

łę, następnie szybko poprowadził ją przez resztę ekspozycji i odwiózł do hotelu.

- Kolacja dziś wieczór? - spytał.

- Z przyjemnością - odparła.

Thaiti westchnęła, gdy jeszcze jedna zakodowana wiadomość z biura Seatona trafiła do jej komputera bez wiedzy nadawcy. Ta dotyczyła dostawy dla ludzi podstawowych produktów żywnościowych zamieszkałych na Winox IV.

- Wysłać do adresata - zleciła komputerowi przez zminiaturyzowany komunikator.

- Wykonane.

- Co się z nim dzieje? - mruknęła, opadając w tył na ogromnym fotelu dla gości hotelowych o budowie humanoidalnej (ale niekoniecznie ludzi) i wpatrzyła się w niezbyt czystą ścianę pokoju. Jak można mu dać do zrozumienia?

- Przyjmuję następną wiadomość - zawiadomił komputer.

Ta wiadomość dotyczyła dwóch egzemplarzy uszkodzonej broni ręcznej.

- Do diabła. Jeżeli nie stał się podejrzliwy, to może okazać się za głupi, żeby załatwić z nim sprawy.

- Co zrobić z wiadomością?

- Wysłać do adresata.

Siedziała milcząc w pokoju, wpatrując się w komunikator przez dalsze dziesięć minut i zaczęła analizować plany alternatywne, ale żaden z nich specjalnie jej nie odpowiadał.

- Przyjmuję następną wiadomość - zawiadomił komputer - to jest w kodzie osobistym ambasadora Seatona.

- Na co czekasz? - zawołała. - Zatrzymaj ją!

- Wykonane.

- O czym jest wiadomość.

- Osobista prośba od ambasadora Seaton do Pietra Kobernykova, szefa wywiadu Oligarchii w tym sektorze.

- Ambrose, chyba cię ucałuję - powiedziała uszczęśliwiona. - Wiedziałam, że nie możesz być głupi! Co on chce wiedzieć?

- Chce twoje dossier i prosi Kobernykova o rutynowe sprawdzenie twojej osoby. Prosi o wiadomość w ciągu trzech godzin, o ile to możliwe.

- Tak, żeby mógł mnie zaaresztować w ciągu kolacji - powiedziała kiwając głową. - Przygotuj odpowiedź w standardowym kodzie wojskowym, że pracuję bezpośrednio dla Kobernykova, a moja misja i dossier są poufne, ale ambasador Seaton ma mi udzielić wszelkiej koniecznej pomocy.

- Jak mam podpisać? - zapytał komputer.

Zamyśliła się na chwilę.

- Nie używaj żadnego nazwiska. Użyj numeru służbowego Kobernykova.

- Chciałbym zwrócić uwagę, że jest to wielce nietypowe nie podpisywać kodowanych informacji - zauważył komputer.

- Wiem, ale dopóki nie dowiem się, czy są przyjaciółmi, nie mogę przewidzieć, czy Kobernykov podpisuje wiadomości formalnie czy nieformalnie. Wyślij z nagłówkiem „do rąk własnych” i nadrukiem „ściśle tajne” W ten sposób będzie to pachniało intrygą, a znudzony biurokracina na małej, beznadziejnej planecie poczuje po raz pierwszy, że stał się częścią ważnej sprawy.

- A co zrobić z wiadomością ambasadora?

- Zniszczyć!

- Świetne wino - zauważyła Thaiti. Pociągnęła jeszcze jeden łyk, postawiła kieliszek na stole i uśmiechnęła się do Sea-

tona, który siedział na wprost niej w prywatnej jadalni ambasady.

- Importowane z Kalimera II.

- Kalimer II - powtórzyła - nigdy o nim nie słyszałam.

- To rolnicza planeta na Zewnętrzny Pograniczu.

- Muszę tam kiedyś pojechać - powiedziała Thaiti. - Wyobraź sobie, jaką bym miała zabawę - dodała z uśmiechem - odwiedzając ich winnice i poszukując miejsca na więzienie chlorowe.

- Nigdy żadnego nie widziałeś - powiedział Seaton z pewnym siebie uśmiechem.

- Czego, winnicy?

- Chlorowego więzienia - odparł. - Zgadza się, że jest to wspaniały pomysł i, o ile wiem, Oligarchia zaczyna je budować, ale ty nie masz z nimi do czynienia, prawda, moja droga?

- Mówiłam ci już, że jest to powód mojego przyjazdu nu Winox.

- Wiem, co mi mówiłaś.

- To jaki masz problem, Ambrose?

- Nie jesteś tą osobą, za którą się podajesz, prawda? - powiedział Seaton.

- Widziałeś moje pełnomocnictwa i referencje.

- Wiem, ale miałem również dziś po południu wiadomość od Pietra Kobernykova.

- Do diabła - warknęła ze złością - mówiłam mu, że sama potrafię dać sobie radę.

- Pracujesz zatem dla wywiadu - powiedział z triumfem.

- Tego nie powiedziałam.

- Nie musisz.

Przyglądała mu się uważnie przez dłuższą chwilę.

- Dobrze - powiedziała w końcu. - Jestem tu z bardzo delikatną i potencjalnie niebezpieczną misją. Teraz, kiedy już wiesz, musisz pomóc mi zachować moją historyjkę. Może zależeć od tego moje życie. - Możliwe - powiedziała ponuro. - Czy obiecujesz mi?

- Oczywiście - odparł. - Ale mam pytanie. Jeżeli istnieje niebezpieczna sytuacja, dlaczego mnie o tym nie poinformowano? Ostatecznie ja tu jestem ambasadorem.

- Ponieważ wykonuję misję, która nie dotyczy ani ludzi, ani Nocnych Lotników na Winox IV.

- A zatem czego dotyczy?

- Powiem ci, kiedy to będzie konieczne - powiedziała nakazując gestem obsługującemu ich robotowi napełnić kieliszek.

- Myślę, że i tak już wiem.

- Bardzo wątpię - odparła Thaiti.

- To jest w jakiś sposób związane z kłami, prawda?

- Czemu tak myślisz?

- Ty masz swoje sekrety, ja mam swoje.

- Jesteś w błędzie - powiedziała niepewnie.

- Nie, nie jestem - odparł ze wzrastającą pewnością;| siebie - ale możesz być pewna, że będę milczał. Chcę ci tylko pomóc. Twoja misja dotyczy kłów, prawda?

Milczała.

- No dobrze, moja droga, skoro nie możesz zaufać swojemu ambasadorowi, to komu możesz ufać?

W końcu skinęła głową i westchnęła.

- Miałaś rację.

- Tak myślałem.

Nastała dłuższa chwila ciszy.

- Czy nie masz nic więcej do powiedzenia? - zapytał Seaton.

- Zastanawiam się, czy mogę ci zaufać.

- Jesteśmy po tej samej stronie. Pomogę ci, jak tylko będę mógł.

- To mnie właśnie niepokoi - powiedziała. - Wiesz już, że moja misja może być niebezpieczna i że nie dotyczy bezpośrednio ludzi zamieszkujących na Winox IV. Dlaczego tak ci zależy na tym, żeby mi pomagać?

Uśmiechnął się krzywo.

- Jeżeli nam się uda, to może wyjadę w końcu z tej nudnej, małej planety. W mojej karierze nie wszystko układało się dobrze - ciągnął po chwili przerwy. - Ale należy mi się coś więcej niż Winox IV. Potrafię robić znacznie poważniejsze rzeczy. Chciałbym otrzymać placówkę zgodną z moimi możliwościami - ambasador wydał się nagle zakłopotany. - Zdaję sobie sprawę, jak to musi wyglądać w twoich oczach. Ale przecież należy mi się coś lepszego. Możesz mi pomóc, pozwalając sobie pomóc.

Patrzyła na niego przez chwilę.

- W porządku - powiedziała w końcu. - Dobrze!

Obsługujący ich robot przyniósł następny kieliszek wina stawiając go ostrożnie na stole. Kieliszek zachwiał się lekko, ale robot go podtrzymał, zanim Thaiti zdążyła po niego sięgnąć.

- Otrzymaliśmy w zeszłym tygodniu w wywiadzie informację, że ma być dokonana próba kradzieży kłów przez członków innej rasy, podających się za zespół konserwatorów.

- Po co mieliby to robić - zapytał Seaton. - Przecież to nie ma żadnej wartości. To jest po prostu stare trofeum myśliwskie z Ziemi.

- Może, ale Maglannn wierzy w nie, podobnie jak jego zwolennicy. Jeżeli obcy je ukradną, będą mogli żądać bardzo wysokiego okupu.

- Maglannn to barbarzyńca. Dlaczego Oligarchia miałyby przejmować się tym, co się stanie z kłami?

- Barbarzyńca, czy nie, ale jest przywódcą Nocnych Lotników, a my usiłowaliśmy bez sukcesu skłonić ich do przystąpienia do Oligarchii przez ostatnie pięćset lat. Jeżeli uda się nam zapobiec kradzieży, może

zyskamy nowy, decydujący argument.

- W takim razie zaaranżuję z nim jutro spotkanie. Grupa konserwatorów przybędzie dopiero za tydzień. Możemy ostrzec go z wystarczającym uprzedzeniem.

- Nie - powiedziała Thaiti zdecydowanym głosem.

- Dlaczego?

- Chcemy to załatwić tak, żebyśmy mogli przyłapać ich na akcie kradzieży. Jeżeli kły zostałyby odzyskane przez oddziały Meglannna, nie doceniłby aż tak naszych zabiegów, a poza tym, jeżeli ich po prostu wystraszymy, znajdą inny sposób i całe nasze planowanie pójdzie na marne.

- A jak zamierzasz ich zatrzymać? Mam tu tylko trzydziestu sześciu wojskowych i pięćdziesięciu trzech pracowników cywilnych. Nie jesteśmy zupełnie przygotowani do podjęcia walki.

- Obserwujemy Winox IV. Gdy tylko poinformuję naszych, że kły skradziono, wkroczą do akcji.

- A jeżeli uda im się uciec mimo wszystko? Jeżeli osiągną szybkość światła, zanim ich zatrzymamy, uciekną. A jeżeli statek z kłami na pokładzie ulegnie zniszczeniu?

Thaiti uśmiechnęła się.

- Mam na statku kopię kłów, prawie identyczną pod każdym względem. Jeden nawet ma to maleńkie pęknięcie u podstawy. Moim zadaniem jest podmiana kłów, a następnie zawiadomienie naszych statków w momencie, gdy kły zostaną skradzione.

- Rozumiem - powiedział Seaton w zamyśleniu. A co zrobisz tymczasem z oryginałem?

- Muszę znaleźć dla nich bezpieczne miejsce. Tutaj przyda mi się twoja pomoc.

- Ja nie mam gdzie ich schować. Nocni Lotnicy zawsze mogli swobodnie wchodzić do ambasady. Mogą zacząć coś podejrzewać, jeżeli nagle przestaniemy ich wpuszczać. Czy nie mógłby ich zabrać na tydzień jeden z waszych statków? - dodał po chwili zastanowienia.

- Nie - zaprotestowała kręcąc głową.

- Ale dlaczego?

- Po pierwsze dlatego, że nie chcielibyśmy, żeby ktokolwiek

widział, iż nasze statki są w pobliżu. A co ważniejsze, Nocni Lotnicy nigdy na to nie pozwolą. Oni uważają nas za wrogów.

- To co zrobimy?

- Wzruszyła ramionami.

- Nie jestem pewna. Mamy pięć dni, żeby coś wymyślić. Wygląda na to, że będziemy musieli sami ukraść kły, żeby tamci ukradli falsyfikaty.

- To intrygujący pomysł.

- I niebezpieczny - odparła z powagą. - Jeżeli Nocni Lotnicy mnie złapią, wykończą mnie od razu i nawet ty nie będziesz mógł mi pomóc.

- Tak, rozumiem - powiedział w zadumie. - Co zrobisz z nimi, jeśli ci się uda?

- Liczyłam na to, że będę je mogła przetrzymać w ambasadzie przez ten tydzień.

- Powiedziałem ci już, że ambasada nie jest bezpieczna.

- Będę musiała wymyślić coś innego.

- Dlaczego nie ukryć ich na twoim statku?

- Nie jestem upoważniona do wywiezienia ich z planety.

- To nie problem. Trzeba uzyskać zgodę Kobernykova.

Pokręciła głową.

- Nie wolno mi kontaktować się z nim, dopóki nie wypełnię zadania. Nie wiemy, jak sprawne są urządzenia do złamania kodu stosowane przez obcych. Szkoda - westchnęła - jestem pewna, że dałby mi upoważnienie, gdybym mogła się z nim skontaktować.

- A może komputer ambasady? - zaproponował Seaton.

- Nie możemy ryzykować - potrząsnęła głową. Seaton spuścił głowę i myślał przez chwilę. Spojrzał na nią przez stół.

- To chyba nie jest problem. Ty może nie masz prawa ich zabrać, ale ja mogę ci dać na to pozwolenie.

- Jesteś zupełnie pewien?

- Będąc w randze gubernatora mam prawo działać w interesie społeczności planety, a moim zdaniem ochronie kłów leży zarówno w interesie ludzi, jak i Nocnych Lotników. Mogę ci wydać pisemne pozwolenie.

- Tak zatem zrobimy - zdecydowała. - Cieszę się, że dopuściłam cię do sekretu. Teraz pozostaje tylko problem, jak dostarczyć kły z Budynku Zasobów Rządowych na statek.

- I zastąpić je fałszywymi - dodał Seaton.

- Czy masz jakiś pomysł? - spytała.

- Pomyślę dziś wieczorem i zobaczymy, co da się zrobić.

- W porządku - powiedział Seaton, polecając komputerowi wywołać obraz nad biurkiem. - To jest plan parteru Budynku Zasobów Rządowych.

- Jak go zdobyłeś? - spytała Thaiti, która miała identyczny plan w swoim komputerze.

- Mam swoje sposoby, moja droga - odparł ze spokojem. - O, tutaj właśnie przechowują kły - wskazał na jedno z pomieszczeń - a tu jest najbliższe wyjście.

- Ilu strażników?

- Dwóch przy wejściu. W samym pomieszczeniu strażników nie ma, a w każdym razie nie ma ich tam na stałe. W korytarzach i w okolicy może być od piętnastu do trzydziestu pięciu.

- Czy jacyś ludzie pracują w budynku?

- Nie.

Przyglądała się planom, jak gdyby widziała je po raz pierwszy.

- Będzie trudno - powiedziała w końcu. - Jestem pewna, że nie mogłabym ich unieść, a nawet gdybym mogła użyć transportera powietrznego, to na pewno ktoś mnie zobaczy albo usłyszy.

- Sztuka zatem będzie polegała na usunięciu strażników z budynku - zasugerował Seaton.

Thaiti odetchnęła z ulgą, zadowolona, że nie musiała podsuwać mu szczegółu za szczegółem. Im bardziej ten plan będzie wyglądać na jego własny, tym chętniej go przeprowadzi.

- To rzeczywiście może ułatwić sprawę, ale jak spowodować, żeby opuścili swoje stanowiska?

- Nalot? - zastanawiał się Seaton. - Nie, to niepraktyczne. Nie prowadzą z nikim wojny. Zastanawiam się, czy istnieje

możliwość przekonania ich, że budynek jest niebezpieczny - dodał po chwili.

- Jeszcze się nie zawalił, więc pewnie zabiorą wszystko przed jego opuszczeniem.

- Słusznie.

- Poza tym, musimy nie tylko skłonić ich do opuszczenia budynku, ale musimy również przekonać ich, że ja mam prawo być w środku.

- Będziesz potrzebowała pomocy.

- Nie w tej części zadania. Wystarczy mi tylko twoje pozwolenie na zabranie prawdziwych kłów z planety.

- Moja droga, przyznałaś, że nie będziesz w stanie unieść kłów - tłumaczył Seaton cierpliwie. - Myślę, że będę musiał wysłać kilku moich ludzi, by upewnić się, że wszystko idzie gładko.

- Jak możemy wyjaśnić konieczność wprowadzenia wojskowych z Ziemi? - zapytała w nadziei, że udzieli odpowiedzi, zanim sama mu ją podsunie.

Nagle Seaton uśmiechnął się triumfalnie.

- Mam!

- Co takiego? - zapytała podniecona.

- O ile mi wiadomo, Nocni Lotnicy poinformowani są, że twoją specjalnością jest środowisko chlorowe, prawda?

- Tak zadeklarowałam przy odprawie celnej - po twierdziła.

- No, to mamy rozwiązanie - entuzjasmował się Seaton. - Powiadomimy Nocnych Lotników, że nastąpił przeciek chloru i że będą musieli opuścić budynek dopóki nie zlokalizujemy źródła przecieku i nie dokonamy napraw.

- Świetnie, Ambrose - powiedziała, a on aż zarumienił się z zadowolenia. - Bardzo dobre. W ten sposób skłonimy ich, by opuścili budynek.

- To jest dobry plan, prawda? - powiedział z dumą.

- Jest doskonały - powiedziała. - Jeżeli kiedykolwiek postanowisz zrezygnować z dyplomacji, masz otwartą karierę w zawodzie. Teraz pozostaje tylko uzgodnić szczegóły.

Zastanawiała Się przez chwilę.

- Nie przyjechałam tu zajmować się Budynkiem Zasobów Rządowych. Nie możemy zatem stwierdzić, że przeciek chloru nastąpił właśnie tam i nigdzie indziej... Może, najlepiej będzie wpuścić trochę chloru do systemu kanalizacyjnego. W ten sposób gaz przedostanie się do kilku budynków w tym rejonie. Możemy powiedzieć, że jest to badanie z dziedziny ochrony środowiska, które zakończyło się niepowodzeniem. W ten sposób uwagi ich nie skoncentruje się na żadnym konkretnym budynku. Powiemy, że istnieje zagrożenie, ale mamy wszystko pod kontrolą i jedynie sprawdzamy, czy nie ma żadnych znaczniejszych przecieków w systemie kanalizacyjnym.

- Podoba mi się to! - wykrzyknął Seaton. - Możemy w ten sposób usprawiedliwić naszą obecność w Budynku Zasobów Rządowych. Powiemy, że chcielibyśmy przede wszystkim zabezpieczyć najważniejsze budynki, u później zająć się mniej ważnymi, Ogrodzimy, teren, podmienimy kły, wszystko w ciągu pięciu minut.

- Czy masz dostęp do chloru?

- Mamy go więcej niż będzie potrzeba. Ambasada ma dwie wielośrodowiskowe sale konferencyjne. Mogę zaczerpnąć chloru z systemu klimatyzacyjnego i uzupełnić go, kiedy kryzys minie.

- Czy na pewno nie stawiam cię w trudnej sytuacji? Przecież ci ludzie, którzy ukradną kły, będą działali pod twoimi bezpośrednimi rozkazami, a nie pod moimi.

- Na pewno nie - stwierdził uszczęśliwiony. - Właściwie, to robisz mi uprzejmość. Kiedy już Oligarchia dowie się, że ci pomogłem, będę miał nadzieję na przeniesienie na inną planetę.

- Mogę ci to prawie zagwarantować - powiedziała Thaiti słodko.

CZWARTE INTERLUDIUM (ROK 6303 ERY GALAKTYCZNEJ)

- A więc w końcu skłoniła ambasadora, żeby ukradł dla niej kły - mruknęła Hilda, a ja zdałem sobie sprawę, że jej holograficzny obraz unosił się nad lśniącym kryształem komputera. Siedziała przy swoim biurku popijając herbatę i zagryzając biszkoptem.

- Tak jest - potwierdził komputer.

- Komputer - poleciłem - odświeżyć powietrze i wpuścić trochę słońca.

- Wykonuję... wykonane.

Wschodnia ściana mojego biura stała się przezroczysta, wpuszczając promienie wschodzącego słońca. Zaduch zniknął z pokoju.

- Dobrze - powiedziałem. - Wiemy przynajmniej, że kły należały do Leeyo Neliona pięćset siedemdziesiąt lat temu.

- Błąd.

- Nie rozumiem - powiedziałem.

- Nelion umarł na eplazję, rzadką chorobę spowodowaną pewną mutacją wirusa w czasie, kiedy Thaiti Benoit była na Winox IV.

- Co się stało z kłami?

- Nie posiadam wyczerpujących danych, by udzielić informacji - odpowiedział komputer.

- Zastosujemy zatem inne podejście - powiedziałem spokojnie. - Co się stało z Thaiti Benoit, kiedy opuściła system Winoxa z kłami?

- W ciągu następnych dwóch lat dokonała trzech poważnych kradzieży. Nie mogę znaleźć żadnych dalszych informacji.

- Kły nie miały dla niej żadnej wartości - ciągnąłem dalej. - Z pewnością próbowała je sprzedać.

- Wydaje się prawdopodobne. Nie mogę jednak w tej chwili uzyskać pewności.

- W każdym razie możemy dalej śledzić kły w archiwach ludzkich - powiedziałem. - To powinno być łatwiejsze niż próby poszukiwań w archiwach Nocnych Lotników.

- Czy mogę zadać pytanie? - włączyła się Hilda.

- Proszę.

- Komputer, dlaczego Leeyo Nelion chciał mieć kły?

- Nie posiadam wystarczających danych dla udzielenia odpowiedzi w tej chwili.

- Czy Leeyo Nelion ma cokolwiek wspólnego z jakimkolwiek innym człowiekiem, który kiedyś posiadał lub chciał wejść w posiadanie kłów? - spytała.

- Wykonuję... wykonane. Leeyo i Nelion to słowa z języka Masajów.

Hilda wyglądała na niezwykle zadowoloną z siebie.

- A zatem Nelion był Masajem - stwierdziłem dziwnie mało zaskoczony tą rewelacją.

- W tej chwili nie jestem w stanie tego potwierdzić - powiedział komputer. - Wiem tylko, że imię i nazwisko pochodzą z języka

Masajów.

- Sprawdź wykazy ludności sprzed pięciuset pięćdziesięciu lat i upewnij się - poleciłem.

- Wykonuję... wykonane. Obecnie mogę potwierdzić, że Leeyo Nelion był Masajem.

- Dlaczego natykamy się na Masajów, kiedy tylko zaczniemy zbliżać się do kłów? - zastanawiałem się głośno.

Słońce uniosło się ponad sąsiedni budynek. Poleciłem komputerowi, aby znowu uczynił ścianę nieprzezroczystą.

- Mam następne pytanie - powiedziała Hilda. - Dla zaspokojenia własnej ciekawości. Co się stało z Ambrose Seatonem?

- Został zwolniony ze wszystkich stanowisk, osądzony za szpiegostwo i kradzież, uznany winnym. Dostał wyrok z zawieszeniem. Resztę życia spędził w więzieniu.

- Biedny człowiek - mruknęła Hilda.

- To głupiec.

- A cóż to za różnica? Czy zachowujesz współczucie tylko dla geniuszy?

- Pozwolił na to, że zupełnie obca osoba namówiła go do popełnienia przestępstwa powiedziałem.

- Ja natomiast znam człowieka, którego zupełnie obca osoba namówiła do oszukiwania swojej firmy i namówiła szefa ochrony do współdziałania. Czy on też jest głupcem?

- Mandaka do niczego mnie nie namówił - wyjaśniłem cierpliwie. - Wynajął mnie do wykonania zadania. Jak to robię, to już moja sprawa.

- To jest nasza sprawa - poprawiła mnie. - Czy już zapomniałeś o naszej umowie?

Nagle zdałem sobie sprawę, że nie jesteśmy sami.

- Dlaczego mówisz to wszystko przy komputerze? On wszystko zapamiętuje.

- Nie wyciągnie z tego żadnych wniosków, o ile nie polecimy mu, żeby przeszedł na reżim subiektywny - odparła spokojnie. - Tylko szef ochrony będzie wiedział, gdzie znajduje się zapis. Mogę go skasować, kiedy będę chciała.

- Dobrze - powiedziałem. - Kiedy go skasujesz?

- Myślę, że zostawię go w spokoju przez kilka dni, dopóki nie będę pewna, że nie muszę cię otrzeźwić.

- Nic złego nie zrobiłem - upierałem się. - Robię tylko to, za co mi płacą.

- Ale płaci człowiek, który nie istnieje.

- Istnieją jego pieniądze i istnieją kły - odparłem. - To tylko mnie obchodzi.

- Mnie obchodzi więcej rzeczy - powiedziała Hilda. - Masz trzy dni minus około dwóch godzin, żeby przedstawić rozwiązanie.

- Mam trzy dni i jeżeli nie odnajdę jeszcze kłów, obiecałaś się jeszcze zastanowić.

- Powiedziałam, że się zastanowię - poprawiła mnie. - Nic nie obiecywałam, Duncan.

Zakończyła rozmowę. Następną godzinę spędziłem wystawiając certyfikat na sillyworma z Wewnętrznego Pogranicza. Kazałem przysłać sobie lunch do pokoju. Jadłem szybko i w milczeniu. Następnie zająłem się skargą dotyczącą jednej z moich wcześniejszych decyzji. Przewodnik podważał zasadność odmowy klasyfikacji devilowla upolowanego przez jego klienta.

- Duncan Rojas, rozmowa z zewnątrz - oznajmił komputer.

- Skieruj do kogoś innego. Jestem zajęty.

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Ponieważ jest to Bukoba Mandaka, który prowadzi sprawy z tobą, a nie z firmą. Mój program zmusza mnie...

- Dobrze. Połącz!

- Słownie czy wizualnie?

- Wizualnie.

W chwilę później twarz Bukoby Mandaki pojawiła się ponad lśniącem kryształem.

- Pan Rojas? Chciałbym dowiedzieć się, jakie poczynił pan postępy.

- Udało mi się prześledzić losy kłów do sześciu wieków temu. Mają fascynującą historię.

- Kiedy dowiemy się, gdzie są teraz? - zapytał ignorując moją ostatnią uwagę.

- Trudno powiedzieć. Dwa, może trzy dni. W każdym razie nie więcej niż tydzień.

Pokiwał głową z uznaniem.

- To dobrze.

- Panie Mandaka, chciałbym z panem porozmawiać.

- Przecież rozmawiamy.

- W tej chwili czas nie należy do mnie. Czy nie moglibyśmy spotkać się gdzieś na kolacji?

- Czy to konieczne?

- Dla mnie może okazać się bardzo pomocne.

Zastanawiał się przez chwilę, po czym skinął głową.

Twarz Hildy pojawiła się nagle nad głową Mandaki.

Dała w milczeniu znak, że chciałyby mi towarzyszyć.

- Czy zna pan „Dawne Czasy” - zapytał Mandaka.

- Słyszałem o tym lokalu - powiedziałem, podczas gdy znaki, które dawała mi Hilda, stawały się coraz bardziej naglące - ale nigdy tam nie byłem.

- Jest w księdze adresowej. Będę tam dziś wieczorem o ósmej.

- Czy mogę przyjść ze znajomą?

- Wolałbym, żeby nie.

- Pracuje u Braxtona i jest zaznajomiona z prowadzonym dochodzeniem.

- Płacę tylko panu i tylko z panem będę rozmawiał.

- To ostateczna decyzja?

- Takie są moje warunki.

- Dobrze, panie Mandaka - powiedziałem wzruszając ramionami i wysyłając Hildzie przepraszający uśmiech. - Przyjdę sam.

- O ósmej, panie Rojas - powtórzył i połączenie zostało przerwane.

- Duncan - powiedziała Hilda ostro - myślałam, że porozumieliśmy się.

- Cóż mogłem zrobić? Sama słyszałaś.

- Nie byłeś zbyt zdecydowany.

- Bałem się, żeby nie odwołał spotkania w ogóle.

- Będę o tym pamiętać, jeżeli nie znajdziesz kłów w ciągu trzech dni - obiecała.

- Jestem pewien, że będziesz.

- Złożysz mi również dokładne sprawozdanie po moim powrocie z teatru dziś wieczorem.

- Dzisiaj? - zacząłem protestować. - Nie można jutro rano?

- Powiedziałam, że dziś wieczorem - powtórzyła z powagą i obraz jej zniknął znad komputera.

Przybyłem dziesięć minut wcześniej obawiając się, że jeżeli spóźnię się chociaż o minutę, mogę już Mandaki nie zastać. Adres lokalu, jaki znalazłem w księdze, wskazywał, że znajduje się on w bogatej dzielnicy miasta. Ale kiedy w końcu zosta-

łem wysadzony z ruchomego chodnika, nie było tam niczego oprócz olbrzymiego biurowca.

Podszedłem do elegancko ubranego portiera i powiedziałem, że poszukuję „Dawnych Czasów”. Uśmiechnął Mię i poprowadził mnie do małych drzwi zaraz na lewo od głównego wejścia, poczekał na napiwek i nacisnął kilka guzików na urządzeniu, które nosił na przegubie ręki. Drzwi zniknęły i poduszka powietrzna zaniósła mnie delikatnie kilkadziesiąt stóp w dół, gdzie nienagannie ubrany kierownik sali powitał mnie, spytał o nazwisko, poinformował, że stolik czeka i zaczął mnie ku niemu prowadzić.

Odniosłem wrażenie, że wstąpiłem we fragment historii ludzkości, ponieważ zamiast ograniczających ścian restauracji ujrzałem niekończące się pola uprawne nad brzegami wielkiej rzeki. Nade mną wznosił się ogromny, kamienny sfinks, a w dali widać było grupę niewolników, wyciągających kamienne bloki po stokach na pół ukończonej piramidy.

- Pan jest tu pierwszy raz? - zapytał kierownik sali, czekając uprzejmie, aż skończę podziwiać otoczenie i zdecyduję się podążyć do stolika.

- Tak.

- W tym tygodniu przedstawiamy widoki z czasów wielkich dynastii egipskich - wyjaśnił. - Współpracujemy z szeregiem towarzystw archeologicznych i historycznych i szczerzymy się dokładnością naszych obrazów.

- Pan powiedział „w tym tygodniu”?

Skinął głową.

- Zmieniamy tematykę co dziesięć dni. Ostatnio, na przykład, prezentowaliśmy życie prehistoryczne okresu późnej kredy, a za osiem dni przedstawimy sceny ze zdobycia Dzikiego Zachodu.

- Fascynujące - powiedziałem szczerze podziwiając panoramę otwierającą się przed moimi oczyma. - Ile projektów holograficznych potrzeba do wywołania takiego efektu?

- Ponad trzysta.

- A ile różnych epok prezentujecie w ciągu roku?

- W bibliotece mamy obecnie trzydzieści siedem, ale liczba ta ciągle rośnie. Mamy nadzieję przed końcem roku przedstawić obraz dryfowania ziemskich kontynentów.

- Jeżeli jedzenie będzie tak dobre jak te prezentacje, nie omieszka tu wrócić - obiecałem mu.

- Jesteśmy dumni z naszej kuchni, panie Rojas - odpowiedział kierownik sali. - Nawet najpiękniejsze w całej Galaktyce dekoracje nie utrzymają restauracji, jeżeli potrawy nie będą spełniały oczekiwań. Mimo że nasza restauracja jest znana w całej konstelacji i mamy wielu turystów oraz poszukiwaczy ciekawostek, większość naszej klienteli to goście miejscowi.

- Czy pan Mandaka jest jednym z nich? - spytałem.

- O, tak. Uwielbia nasze panoramy afrykańskie.

Dotarliśmy wreszcie do stolika, na którym było nie tylko menu oprawne w skórę i wydrukowane piękną, lśniąca błękitną czcionką, ale również niewielka książeczka wyjaśniająca eksponowane dookoła sceny. Drukowane menu było rzadkością, a książeczki wszelkiego typu były jeszcze radsze. Otworzyłem menu, żeby sprawdzić, ile gość musi zapłacić, aby sfinansować tę kombinację doznań wzrokowych i smakowych, cen jednak nie podano, co oznaczało, że restauracja była niezwykle droga.

Kiedy usiadłem, zacząłem badać otoczenie z większą uwagą. Sala była całkiem duża. Łatwo mogła pomieścić około trzydziestu gości. Przy lśniącym barze ciągnącym się wzdłuż jednej ze ścian mogło usiąść jeszcze ze czterdziestu. Bardziej

napuszony zakład ubrałby może obsługę w stroje starożytnych Egipcjan, w „Dawnych Czasach” jednak personel ubrany był w nienaganny oficjalny strój. Nie można było prawie zorientować się, gdzie kończy się sala, a zaczynają obrazy holograficzne, ponieważ projekcja była znacznie doskonalsza niż obrazy prezentowane przez mój komputer. Siedząc przy stoleku czułem niemal ostre słońce Egiptu palące mi głowę i łapalem zapach drzewa sandałowego i kadzidła, które drewniane łodzie o trójkątnym żaglu wiozły w góry Nilu.

Obraz zmienił się. Pojawiła się świątynia Karnak.

W tej właśnie chwili wysoki mężczyzna w szarym tradycyjnym garniturze usiadł nagle naprzeciw mnie. Był to Bukoba Mandaka.

- Dobry wieczór, panie Rojas.

- Dobry wieczór.

- Czy osiągnął pan jakiś postęp od czasu naszej ostatniej rozmowy?

Pokręciłem głową.

- Mogę używać komputera tylko po godzinach pracy.

Siedział patrząc na mnie i zdałem sobie sprawę, że był nawet większy i bardziej muskularny niż pamiętałem.

- Co skłoniło pana do poproszenia o spotkanie?

- Mam kilka pytań.

- Proszę pytać. Muszę zdobyć kły Kilimandżaro. Udzielę panu wszelkich informacji, jakie mogą pomóc panu w poszukiwaniu.

- To jest właśnie moje pierwsze pytanie. Dlaczego musi pan mieć kły? Wspominał pan, że gotów jest zapłacić więcej niż wynosi ich wartość.

- Dla mnie są tyle warte.

- Dlaczego?

Zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią. W końcu powiedział:

- Nie rozumiem, w jaki sposób odpowiedź na to pytanie może pomóc panu w poszukiwaniach.

- Odmawia pan odpowiedzi?

- W tej chwili tak, panie Rojas.

I wtedy właśnie pojawił się kelner, żeby przyjąć zamówienie na napoje. Mandaka zamówił szklankę mleka.

- Mleko? - powtórzyłem zdziwiony.

- To jest tradycyjny napój mojego plemienia - wyjaśnił. - W dawnych czasach piliśmy je zmieszane z krwią naszego bydła.

Zamówiłem brandy Alphard i kelner odszedł, rzucając spod oka spojrzenie na Mandakę, jak gdyby spodziewał się, że za chwilę zedrze z siebie ubranie i zacznie tańczyć na stole.

- Niech pan kontynuuje - powiedział Mandaka, kiedy kelner znalazł się już przy barze.

- Przepraszam?

- Pańskie następne pytanie, panie Rojas.

- Dlaczego Masajowie uważają, że mają pewne prawa w odniesieniu do tych kłów?

- Dlaczego pan tak myśli? - zapytał Mandaka nic zaprzeczając jednak.

- W miarę, jak śledzę losy kłów w Galaktyce, ciągle natrafiam na członków plemienia Masajów - Masaj Laibon, Tembo Laibon, Leeyo Nelion, pan...

- Leeyo Nelion nigdy nie miał kłów - zaprzeczył z absolutnym przekonaniem.

- Ale o mało co ich nie zdobył - powiedziałem.

- O? - zdziwił się Mandaka, pochylając się do przodu z zainteresowaniem.

Skinałem głową.

- Wynajął złodzieja, niejaką Thaiti Benoit, żeby ukradła je rasię zwanej Nocni Lotnicy. Udało się jej, ale Nelion zmarł, zanim zdołała mu je dostarczyć. Było to pięćset siedemdziesiąt trzy lata temu.

- Co się z nimi stało?

- Właśnie w tej chwili zajmuje się tym komputer. A skąd pan wiedział, że Nelion nigdy nie miał kłów?

- Mam swoje źródła informacji.

- Mógłby pan znacznie ułatwić mi zadanie, gdyby mi pan je udostępnił.

Potrząsnął głową przecząco.

- Moje informacje mają głównie charakter negatywny, panie Rojas.

Wiem jedynie, kto z Masajów je miał i kiedy utracił.

- Pan ma na myśli Tembo Laibona?

- Właśnie tak.

- Więc nie zaprzecza pań, że przez trzy tysiące lat Masajowie starali się odzyskać kły?

Jego twarz pozostała bez wyrazu.

- Następne pytanie.

- Nie ułatwia mi pan zadania - powiedziałem.

- Ale płacę za nie sownie, i uważam, że odpowiedzi na te pytania nie są panu potrzebne.

- Znajdę odpowiedź i bez pana pomocy - powiedziałem zdecydowany.

Popatrzył na mnie przez chwilę i nagle poczułem się zakłopotany.

- Nic to panu nie da, panie Rojas - powiedział, a jego głos brzmiał mniej groźnie niż oczekiwałem. - Nawet, jeżeli znajdzie pan odpowiedź, to i tak pan nie uwierzy.

- Jeżeli będę w posiadaniu faktów, to je zaakceptuję - zapewniłem go.

- Fakty są czasami zaprzeczeniem prawdy - uśmiechnął się krzywo.

Kelner właśnie powrócił z mlekiem dla Mandaki, moją brandy i zamówiliśmy kolację. Wybrałem dla siebie skorupiaki w białym winie. Mandaka zaś poprosił o krwawy befsztyk.

- Czy ma pan dalsze pytania, panie Rojas?

- Mam - odparłem. - Ale skoro nie odpowiedział pan na pytania już zadane, nie udzieli pan odpowiedzi i na dalsze.

- Może nie - zgodził się - ale jeżeli już tu jesteśmy, może pan przecież pytać.

- Dobrze - powiedziałem. - Kim pan jest?

Patrzył mi prosto w oczy.

- Pan wie, kim jestem.

- Ja wiem, ale Oligarchia nie wie.

- Jestem Bukoba Mandaka, ostatni przedstawiciel plemienia Masajów.

- Dlaczego zatem nie mogę znaleźć żadnych pańskich danych?

Zastanawiał się przez chwilę, zanim udzielił odpowiedzi.

- Może szczególnie cenię sobie prywatność?

- Wiele osób szczególnie ceni sobie prywatność. O ile jednak wiem, pan jest jedyną osobą, której istnienia nie można udowodnić.

- Można udowodnić, jeżeli wiadomo, gdzie szukać.

- A gdzie?

- Chyba zapędziliśmy się za daleko, panie Rojas - powiedział dopijając mleko. - Nic z tych spraw nie wiąże się z problemem kłów. Wygląda pan na zdenerwowanego - dodał po chwili przerwy.

- Jestem - przyznałem. - Wydało mi się, że zadałem bardzo niebezpieczne pytanie.

- Dlaczego zatem je pan zadał?

- Bo chcę wiedzieć.

- Tak samo, jak chciałby pan dowiedzieć się, skąd u Masajów obsesja na tle kłów słonia Kilimandżaro.

Skinąłem głową twierdząco.

Nagle uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Widzę, że wybrałem właściwego człowieka, panie Rojas.

Pytanie: „gdzie są kły” będzie pana męczyć, dopóki ich pan nie znajdzie.

- A inne sprawy?

- Gdy już znajdzie pan kły, może wyjaśnię panu niektóre sprawy.

- Może nie powiem panu, gdzie są kły, dopóki nie dowiem się tego, co chciałbym wiedzieć.

Jego oczy zwęziły się i pochylił się ku przodowi mówiąc cicho.

- Teraz powiedział pan coś niebezpiecznego, panie Rojas - stwierdził wymawiając dobitnie każde słowo. - Morderstwo nie jest największą zbrodnią, jaką gotów jestem popełnić dla odzyskania kłów.

- Ale dlaczego? - spytałem, a moja ciekawość przewyciężyła obawy.

- Potrzebuję ich.

- Po co? - nalegałem. - Co pan może z nimi zrobić? W różnych muzeach i zbiorach jest mnóstwo innych kłów. Dlaczego tylko kły słonia Kilimandżaro? Dlaczego jest pan gotów popełnić morderstwo dla kłów, a nie, na przykład, dla rzeźby Mority albo diamentu Blasingame?

- To są drobnostki - powiedział z lekceważeniem. - Te kły muszę zdobyć.

- Powtarzam jeszcze raz: dlaczego?

Długo mi się przyglądał.

- Bo takie wydano polecenie tysiące lat temu.

- Polecenie? - powtórzyłem. - Gdzie? Kto?

- Myślę, że zadał mi już pan dość pytań, panie Rojas.

- To niech mi pan udzieli jakiejś odpowiedzi. Jeżeli kły były tak ważne dla Masajów, to dlaczego Tembo Laibon je przegrał?

- Bo był głupcem! - warknął Mandaka, a oczy jego zalśniły gniewem. - Wiedział, co należało zrobić, i nie mógł się na to zdobyć.

- A co należało zrobić?

Mandaka patrzył na swoje zaciśnięte pięści z taką uwagą, że nie usłyszał mojego pytania. Czekałem aż się uspokoi, żeby zapytać ponownie, ale nagle rozległ się warkot bębna. W sali pojawił się starzec z długą białą brodą i zaczął się przechadzać, podpierając się pokrzywioną, drewnianą laską.

- Mojżesz - powiedział Mandaka, zwracając moją uwagę na starca w chwili, gdy ten zamienił laskę w węża i z powrotem w laskę.

- Jest bardzo dobry - skomentowałem, gdy zaczął powtarzać biblijne wyczyny swego imiennika. - Zawsze lubiłem magików.

- Pan zawsze lubił iluzjonistów - poprawił mnie Mandaka.

- A cóż to za różnica?

Znów popatrzył na mnie.

- Magików by pan nie lubił.

- A spotkał pan już kiedyś magika?

- Nie, nigdy - odrzekł, podczas gdy Mojżesz mrużąc zaklęcia przemienił wodę w szklankach w krew, a następnie znowu w wodę.

- Skąd więc ta pewność, że nie lubiłbym ich? - zapytałem, gdy sala zatrzęsała się od braw.

- W moim plemienu byli magowie, kiedy jeszcze trwalismy na Ziemi.

- Mówi pan o czarownikach? - zapytałem niepewnie.

Potrząsnął przecząco głową.

- Nie. Magowie dodawali nam sił w walce, sprowadzali deszcz i zapewniali płodność bydłu.

- To brzmi bardzo prymitywnie.

- To prawda - zgodził się. - Powiem panu tylko, że mundumugu mógł rzucić przekleństwo na człowieka lub zwierzę oddalone o setki mil i było tak pewne, iż ów człowiek lub zwierzę umrze, jak to, że pan tu siedzi przede mną.

- Bardzo w to wątpię, panie Mandaka.

- Nie dziwię się panu - powiedział Mandaka patrząc na Mojżesza, który właśnie wywołał niewielką plagę szarańczy, małych, lśniących owadów, które unosiły się nad jego głową jak w hipnozie.

Występ trwał jeszcze pięć czy sześć minut. Każde wywołane złudzenie było epizodem z Biblii. W końcu starzec podniósł ręce i rozdzielił hologram przedstawiający Morze Czerwone. Wszedł na kilka kroków w głąb suchego koryta, odwrócił się, uklonił i został natychmiast przykryty milionami ton wody. Znamionowało to nadejście nowej ery i hologramy zaczęły natychmiast przedstawiać Kleopatę, zwiedzającą swoje królestwo złocistym rydwanem.

- Wspaniale - wykrzyknąłem, przyłączając się do aplauzu wyrażanego przez innych gości.

- Jak na iluzję - zgodził się Mandaka.

Odwrócił się do mnie.

- Czy już skończyliśmy, panie Rojas?

- Wydawało mi się, że miał mi pan powiedzieć, do czego Tembo Laibon nie mógł się zmusić, kiedy ten magik nam przeszkodził.

- Nie, nie miałem.

- W takim razie skończyliśmy, przynajmniej na teraz. Chciałbym wiedzieć, jak będzie można skontaktować się z panem.

- To nie będzie konieczne. Będę się kontaktować z panem codziennie, dopóki nie znajdzie pan kłów.

Pociągnąłem łyk brandy i spojrzałem na niego poprzez stół.

- Nie wiem, jak taktownie sformułować moje następne pytanie - zacząłem.

- Jak dotąd specjalnie się pan nie krępował - powiedział Mandaka i nie mogłem się zorientować, czy był zakłopotany, czy rozbawiony. - Skąd ta nagła zmiana?

- Chciałbym otrzymać pańskie zapewnienie, że to, co robię, nie

jest sprzeczne z prawem.

- Jest całkowicie zgodne z prawem.

- Pan się nie ukrywa?

- Nie, nie ukrywam się... - Mandaka przerwał na chwilę, wpatrując się we mnie poprzez stół. - Teraz ja mam pytanie.

- Tak?

- Jeżeli moje odpowiedzi byłyby inne, czy zaprzestałby pan poszukiwać kłów?

- Nie - odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

Wyglądał na zadowolonego.

- Tak myślałem.

- Powiedział mi pan prawdę? - spytałem.

- Tak.

- W takim razie znajdę te kły dla pana.

- Wiem, że pan je znajdzie.

- Chciałbym jednak podkreślić - dodałem - że o ile udało mi się ustalić, nie przyniosły one trwałego szczęścia ich posiadaczom.

- Nie jestem tym zaskoczony.

- Mam w takim razie nadzieję, że będzie pan wyjątkiem od reguły i że kły przyniosą panu szczęście i fortunę.

Uśmiechnął się smutno.

- Przyniosą mi śmierć, panie Rojas - powiedział z absolutną pewnością. - A teraz, jeżeli mi pan wybaczy...

Wstał i wyszedł, nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć. Mogłem jedynie zastanawiać się nad jego ostatnim fatalistycznym stwierdzeniem.

- Komputer - poleciałem wchodząc do biura w godzinę później i padając na fotel - czy znalazłeś kły po tym, jak pozbyła się ich Thaiti Benoit?

- Nie.

- Przeznaczyc dwa procent mocy obliczeniowej na cele tej rozmowy, a reszta niech zajmie się tym problemem.

- Wykonane - zameldował komputer. - Co chce pan wiedzieć?

- Proszę o informację o Masajach.

Kryształ płonął jasno, kiedy komputer przekazywał mi informację.

Było to niezwykle agresywne plemię pasterskie, za mieszkające południową Kenię i północną Tanzanię.

W jaki sposób mogli być równocześnie agresywni i zajmować się pasterstwem?

Nie byli militarystami jak plemię Zulu - wyjaśnił komputer. Atakowali jednak sąsiednie plemiona, żeby zdobyć bydło i kobiety. Przez wieki odnosili duże sukcesy. Chociaż plemię nigdy nie liczyło więcej niż 300 000, kontrolowali ponad jedną trzecią pastwisk w Kenii i Tanzanii.

- Jakie główne plemiona atakowali?

- Głównie Kikuju i Wakamba, chociaż odbyli wiele potyczek z plemionami Luo, Nandi i Kisi.

- Czy Masajowie panowali kiedykolwiek w Kenu lub Tanzanii?

- Nie. Przed kolonizacją nie było w Czarnej Afryce granic państwowych. Kiedy Kenia została skolonizowana, była administrowana przez Brytyjczyków. Po uzyskaniu niepodległości była rządzona głównie przez Kikuju i w mniejszym stopniu przez Luo i Wakamba.

- Ale nie przez Masajów.

- Nie.

- Ciekawe - powiedziałem. - Jeżeli zdominowali inne plemiona, dlaczego nie przejęli przywództwa i rządów?

- Najbardziej charyzmatycznym przywódcą ruchu niepodległościowego był Jomo Kenyatta z plemienia Kikuju. To właśnie plemię zajmowało główne stanowiska rządowe.

- Masajowie nie sprzeciwiali się?

- Masajowie zajmowali się nadal pasterstwem jeszcze przez sto lat, nie zwracając uwagi na zmiany społeczne i polityczne, i nie mieli żadnego politycznego znaczenia, dopóki przeludnienie nie zmusiło rządu do wykupienia ich plemiennych terenów.

- A co z Masajami zamieszkującymi Tanzanię? Czy mieli oni jakieś znaczenie?

- Tanzania była z początku kolonią niemiecką, a następnie protektoratem brytyjskim. Masajowie zawsze stanowili mniejszość i nie interesowali się ani procesem niepodległościowym, ani tworzeniem rządu.

- To bardzo dziwne - powiedziałem. - Wygląda na to, że po pokonaniu sąsiednich plemion Masajowie dobrowolnie i bez walki zrezygnowali z władzy.

- Zrezygnowanie z władzy mogło nie być dobrowolne - odpowiedział komputer. - Brytyjczycy zabronili im używać broni i wojować z sąsiednimi plemionami.

- Kiedy to było?

- Około roku 1900.

- Czy mógł to być rok 1898? - zapytałem.

- Możliwe - odpowiedział komputer. - Łączność była bardzo prymitywna, szczególnie w Afryce, i rozkazy były wykonywane z opóźnieniem.

- W 1898 roku zabito słonia Kilimandżaro - zauważyłem.

- Tego nie wiemy - zaprotestował komputer. - Wiemy tylko, że kły słonia Kilimandżaro były sprzedane w roku 1898.

- W dalszym ciągu zastanawiam się, czy istnieje tu Jakiś związek.

- Jakiego rodzaju związek?

- Nie wiem jeszcze - powiedziałem w zamyśleniu. - Czy to Masajowie sprzedali kły po raz pierwszy?

- Dokumenty są niekompletne i sprzeczne, ale ani razu nie wspomina się o jakimkolwiek Masaju w związku ze sprzedażą kłów.

Opuściłem głowę w zadumie, pewien, że bliski jestem odkrycia jakiegoś związku pomiędzy plemieniem Masajów a

kłami. Nie wiedziałem jednak, jaki to może być związek i jak go szukać.

- Brytyjskie Muzeum Historii Naturalnej weszło w posiadanie kłów w 1932 roku?

- Tak.

- Jak długo je miało?

- Sto dwadzieścia pięć lat.

- I co się z nimi stało?

- Sprawdzam...

ROZDZIAŁ 5

POLITYK (ROKU PAŃSKIEGO 2057)

Milion Flamingów przeleciało nade mną, gdy szedłem wolno brzegami Jeziora Nakuru. Nie zaspokoilem tu mojego pragnienia, bo woda była mętna i gorzka. Wykopałem jednak otwór na pobliskiej łące i czekałem cierpliwie, aż napełni się świeżą wodą.

Zjadłem korę baobabu, wysoką trawę i strąki akacji. Posypałem ciało piaskiem, żeby pozbyć się pasożytów i chronić przed słońcem. Zbadałem wiatr. Wyczułem aromat cytrusów ukryty wśród innych zapachów. Udałem się w kierunku jego źródła, niewielkiej wioski i zacząłem ogołacać jej sady, gdyż mój apetyt, podobnie jak moje ciało, był wielki. Ludzie wybiegli z dzidami i łukami, żeby mnie odegnać, ale gdy mnie ujrzeni, pochylili głowy i zaczęli klaskać, jak gdybym był dawno utraconym bogiem, powracającym, żeby odzyskać swoją ojczyznę.

Pozostawałem tam przez trzy dni i nikt mi nie przeszkadzał. Mogłem swobodnie zaspokoić swój głód i było to ważne, bo byłem stary i zeszywniały z powodu walk stoczonych w młodości, rany zadanej rogiem nosorożca tuż nad kolanem i trzech kul muszkietowych, które wciąż nosiłem w swoim ciele. Ruszyłem jednak znów na południe. Jak niedźwiedź idący w ślad za pszczołojadem, który doprowadzi go do barci, tak ja podążałem ogromną szczeliną w skorupie ziemskiej, żeby spotkać się z przeznaczeniem.

* * *

Matthew Kibo z mocnym, kenijskim papierosem zwisającym z ust, z rękami koszuli zawiniętymi do łokcia, z lśniąca

przez rzadniejące siwe włosy skórą czaszki, podniósł się znad komputera, przeszedł przez mały, zagracony pokój biurowy, wyjął butelkę lemoniady z przenośnej lodówki i przyspieszył obroty wentylatora zwisającego pod sufitem.

Był luty. W Nairobi panowała rozleniwiająca, upalna pogoda. Kibo westchnął i starał się nie myśleć o plaży na Malindi lub o swym chłodnym wiejskim domu w górach Ugandy. Wrócił na swój fotel, pociągnął duży łyk napoju i wyrztał przez brudne okno na plac, gdzie kilkoro ludzi szło chodnikiem przed pomnikiem Jomo Kenyatty, poruszając się jak na zwolnionym filmie.

Skończył pić, wyrzucił butelkę do przepelnionego kosza i miał się już odwrócić do komputera, kiedy utworzyły się drzwi i młody człowiek w barwnym kikoï wszedł do pokoju.

- Zdaje się, że całkiem dobrze dajesz tu sobie radę - zauważył Tom Njomo.

- Jedno biuro podobne jest do drugiego - odparł Kibo kwaśno. Jak wygląda sytuacja w dystrykcie Nakuru?

- Gorąco i sucho, jak i gdzie indziej - uśmiechnął się Njomo. Myślę, że więcej jest tam tumanów kurzu niż wyborców.

- Czy Baroti udzielił nam poparcia?

- Mówi, że wciąż się zastanawia - odparł Njomo.

- Kłamie - powiedział Kibo twardo.

- Może - zgodził się Njomo. - Obiecał, że podejmie decyzję w ciągu najbliższych trzech, czterech tygodni.

- To będzie za późno dla nas, nawet jeżeli powiedział prawdę.

- Czy jest aż tak źle?

- Nie wygląda dobrze - potwierdził Kibo, wskazując na liczby na ekranie komputera. - Jacob Thiku - siedemdziesiąt dwa procent, John Edward Kimathi dwadzieścia jeden procent,

niezdecydowanych - sześć procent. Pozostali trzej kandydaci - łącznie jeden procent.

- Czego się spodziewałeś? - powiedział Njomo wzruszając ramionami. - Thiku jest najpopularniejszym prezydentem od czasów Jomo Kenyatty. Zobacz, czego dokonał. Zatrudnienie wzrosło. Inflacja spadła, Wskaźnik analfabetyzmu spadł poniżej dziesięciu procent. Zmniejszyło się zadłużenie. Zbudował Rurociąg Turkana. Zachód go kocha. Wschód zabiega o jego względy. Zwolennicy ochrony środowiska ubóstwiają go, Nie wspomnę o jego roli w zakończeniu wojny pomiędzy Zambią i Zairem. Jak można wygrać wybory, jeżeli kandyduje Bóg? - dodał po chwili przerwy.

- Nikt nie twierdził, że będzie łatwo - odparł Kibo z kwaśnym uśmiechem. - Płacą mi jednak za prowadzenie kampanii wyborczej Kimathiego.

- Takiej, jaka jest - powiedział Njomo złośliwie.

- Kimathi wymaga specjalnego podejścia - odparł Kibo. - Ludzie się go boją. Ją też. Trudno byłoby mu wygrać ze zwykłym kandydatem, a cóż dopiero z Jacobem Thiku.

- To dlaczego pracujesz dla niego?

- Ponieważ przepędził szefa swojej kampanii i zwolnił personel, ponieważ druga strona nie uznała za stosowne mnie nająć - powiedział Kibo cynicznie. - Moim zadaniem jest zmusić ich, żeby tego pożalowali, a następnie wyjechać z Kenii, zanim Kimathi doprowadzi kraj do upadku.

- W ciągu jedenastu dni, jakie pozostały do wyborów? To nie wydaje się prawdopodobne - zauważył Njomo, zaglądając do lodówki i wyjmując z niej butelkę wina.

- No, nie wiem - powiedział Kibo. - Przez jedenaście dni wiele może się zdarzyć.

- Na przykład?

Kibo wzruszył ramionami.

- Jeszcze nie wiem. Pracuję tu dopiero trzy dni. Nasze pierwsze zadanie jest już jednak jasne. Musimy znaleźć problem.

- Thiku ma monopol na problemy. Ma także dla nich właściwe rozwiązanie.

- Znajdziemy zatem problem, który przeoczył.

- Życzę ci szczęścia.

- Życz nam szczęścia - poprawił go Kibo.

- Wiem, co mówię - odpowiedział Njomo poważnie. - Ukończyłem studia z zakresu nauk politycznych i zbieram materiały do pracy magisterskiej. Nie wiem, jak ty, ale ja kocham swój kraj i nie chcę, żeby taki demagog, jak Kimathi nim kierował. Chcę go po prostu doprowadzić do honorowej przegranej, tak, abym następnym razem mógł uczestniczyć w kampanii lepszego kandydata.

- Mam zatem nadzieję, że wybaczysz mi, jeśli będę robił wszystko, co w mojej mocy.

- Proszę, jeżeli to dobrze się dla ciebie skończy - powiedział Njomo. - Wiesz, że Kimathi przeciwstawiał się nawet budowie Rurociągu Turkana. Gdyby zwyciężył, północne pogranicze zostanie nadal pustynią - przerwał. - Czy myślałeś kiedykolwiek o tym, co by się stało, gdyby teraz wygrał!?

- Kierownicy kampanii wyborczej nie powinni wybiegać myślą poza dzień wyborów - odpowiedział Kibo. - W chwili zakończenia kampanii muszą zacząć myśleć o następnej. Nie uczyli cię tego w szkole?

- Zaczynam podejrzewać, że uczyli mnie niewłaściwie - powiedział Njomo kwaśno. - Marnowałem czas ucząc się szczegółów naszego systemu politycznego, podczas gdy powinienem był studiować Machiavellego.

- Nie zaszkodziłoby - potwierdził Kibo poważnie.

- Właśnie.

- Odarłoby to nieco rolę działacza politycznego i mistyki - ciągnął dalej Kibo. - Pracujesz studiujesz opozycję, analizujesz rynek, ustalasz cele. To jest po prostu praca, jak każda inna i bez niepotrzebnej skromności mogę stwierdzić, że wykonuję ją bardzo dobrze.

- Wiem - powiedział Njomo. - Dlatego właśnie chaos panuje w gospodarstwie Malawi.

- Doprowadziłem do wyboru mojego kandydata - powiedział Kibo. - A jego zadaniem było rządzić tym cholernym krajem - zapalił papierosa i przyglądał się młodemu człowiekowi. - Dam ci pewną radę, jeżeli można.

- Proszę.

- Określenie stanowiska etycznego i moralnego jest obowiązkiem przywódcy politycznego. Jeżeli chcesz się tym zająć, to zaczynasz ze złego końca. Kierownicy kampanii wyborczych pracują za sceną i prowadzą konszachty z diabłem, żeby ich szef mógł wyjść na scenę i przywołać boga na świadka.

- A gdy przywódcą politycznym jest John Edward Kimathi?

- Niezależnie od tego, co sobie myślisz, ludzie mają takich przywódców, na jakich zasłużyli. Jeżeli będą na tyle szaleni, żeby

głosować przeciwko Jacobsowi Thiku, to znaczy, że zasłużyli na Kimathiego.

- A twoim zadaniem jest stworzenie im właśnie takiej możliwości.

- Właśnie. Czy myślisz, że tylko kandydaci, których osobiście akceptujesz, powinni być dopuszczeni do kandydowania?

- Nigdy tego nie powiedziałem - odparł Njomo defensywnie.

- Dobrze. A zatem oczekuję twego pełnego poparcia. Ponadto - dodał Kibo z powagą - jeżeli chcesz mieć przyszłość w tej dziedzinie, to musisz dokonać szczerego wysiłku na rzecz Kimathi. Ludzie może obserwują Kimathi i Thiku, ale politycy obserwują mnie, ciebie i naszych przeciwników.

Njomo nic nie odpowiedział.

- Dobrze - powiedział Kibo wstając. - Gdy skończysz pić piwo, chciałbym, żebyś zaczął kontaktować się z naszymi sponsorami, szczególnie z dystryktu Tsavo, i delikatnie, ale i zdecydowanie nakłonić ich, żeby zaczęli działać bardziej skutecznie. Idę do biblioteki.

- Po co? - zapytał Njomo.

- Ponieważ nie możemy prowadzić kampanii bez funduszy, a kasa jest prawie pusta.

- Ja pytałem, po co pan idzie do biblioteki.

- Mówiłem już, szukam problemu.

- I myśli pan, że tam go znajdzie? - zapytał Njomo z wątpiewaniem.

- Kto wie? Jak dotąd nie znalazłem go nigdzie indziej.

Założył marynarkę, kapelusz i wyszedł na gorące, tropikalne słońce, starając się ignorować hałasy i zapachy śródmieścia. Ruszył wzdłuż Moi Avenue. Doszedł do ulicy Biashara i skręcił w lewo. Minął szereg sklepów z upominkami i wreszcie dotarł do niedawno odnowionego i rozbudowanego gmachu Biblioteki Mac Miliana. Nie był pewien, czego właściwie szuka, ale zamówił szereg książek i dysków, zaniósł je do czytelnii, usiadł przy niewielkim biurku z komputerem, niedaleko okna, z którego widać było złocistą kopułę wspaniałego meczetu Jamia, i zabrał się do roboty.

To nie mógł być problem dotyczący współczesności. Thiku miał już każdy z nich rozpracowany. Zagadnienia gospodarcze też należało odrzucić. Przeciętnemu Kenijczykowi jeszcze nigdy nie było tak dobrze. To samo dotyczyło polityki zagranicznej. Thiku był ojcem pokoju afrykańskiego.

Zdecydował, że musi to być problem z dziedziny emocjonalnej, rozbudzający pasje, ponieważ intelekt był zdecydowanie po stronie Jacoba Thiku. Oznaczało to, że Kimathi potrzebował wroga. Tym wrogiem nie mógł być Thiku, który był prawie uosobieniem boga, ale konkretny, namacalny wróg, którego Thiku nie dostrzegął i przeciwko któremu Kimathi mógłby występować, walczyć i rozpalać nastroje społeczne.

- Kibo rozparł się na krześle zaplatając dłonie w tyle głowy i patrzył na meczet. Nie może to być pobliski kraj. Prasa bała się Kimathiego i byłaby przekonana, że Kimathi prze do wojny.

Musiał to być zatem duży kraj i tak potężny, że niezależnie od tego, jakie nastroje uda się Kimathiemu rozpalić, wojna byłaby nie do pomyślenia. Stany Zjednoczone? Nie. Pieniądze ze Stanów płynęły do Kenii od stu lat. Trudno byłoby przedstawić ten kraj jako wroga, Rosja? Nie. Rosja nie miała nic wspólnego z Afryką Wschodnią. Nigdy nie miała i nigdy nie będzie miała nic wspólnego.

Chiny albo Indie? Nie. Wszystkie kraje afrykańskie z nimi związane położone były na wybrzeżu zachodnim o tysiące mil stąd.

Pozostała jeszcze Wielka Brytania. Skolonizowała Kenię. Narzuciła jej swoją kulturę i prawa. Poczyniła ustępstwa, żeby utrzymać Kenię we Wspólnocie. Kiedyś, w przeszłości, trzydzieści, siedemdziesiąt, dziewięćdziesiąt czy nawet sto pięćdziesiąt lat temu musiało zdarzyć się coś - co można by wyko-

rzystać, coś tak trywialnego, że Thiku to przeoczył, coś tak bez znaczenia, że żaden poprzedni prezydent nie przywiązywał do tego wagi, a równocześnie coś tak wybuchowego, że odpowiednio podejście spowoduje, iż naród będzie garnać się pod sztandary Kimathiego.

Siedem godzin później znalazł.

- Pan żartuje, prawda? - powiedział niepewnie Njomo.

- Nigdy nie żartuję na temat pracy.

- I pan naprawdę myśli, że może pan wygrać wybory dla Kimathiego z powodu jakiegoś słonia, którego zabito przed stu laty?

Siedzieli w restauracji pod gołym niebem w Muthaiga, położonej jakieś osiem kilometrów poza miastem. Stolik ich stał w pobliżu dużego pieca z rożnami. Kelnerzy w białych marynarkach poruszali się spiesznie między stolikami, roznosząc świeżo upieczone mięsiwa. Tłum mężczyzn i kobiet zebrał się wokół dużego baru w kształcie podkowy, w odległym końcu restauracji. Słońce już zaszło. W powietrzu czuć było chłód wieczoru.

- Tak - powiedział Kibo spokojnie, posypując swój kotlet z antylopy ostrą przyprawą.

- Pan jest tak samo szalony, jak i on.

- Nie nauczyli cię wiele w tej uczelni - powiedział Kibo nie kryjąc rozbawienia.

- Nauczyli mnie dość, żebym się zorientował, kiedy polityk zaczyna chwytac się brzytwy - bronił się Njomo.

- Nonsens - powiedział Kibo z dużą dozą pewności siebie.

- Znalazłem po prostu problem, który Kimathi będzie mógł uznać za swój.

- Chciał pan powiedzieć nie istniejący problem - powiedział młodszy mężczyzna.

- Będzie całkiem konkretnym problemem już jutro wieczorem - odparł Kibo. - I to jest najważniejsze. Wiesz, większość wyborów nie jest wygrywana lub przegrywana dlatego, że jeden z kandydatów proponuje lepszą politykę podatkową niż inny lub ma większe wpływy w parlamencie. Sprowadza się to zazwyczaj do tego, kto opowiada lepsze żarty lub ucałuje więcej dzieci.

- Lub kto może zrobić problem z martwego słonia - dodał Njomo złośliwie.

- Dokładnie tak - zgodził się Kibo. - Kimathi potrzebuje problemu, a to jest problem. Potrzebuje nieprzyjaciela, tutaj takiego nieprzyjaciela można wskazać. Ponieważ będzie kandydatem opierającym się na jednym problemie, problem ten musi być na tyle prosty, że każdy go natychmiast zrozumie.

Tu mamy taki problem. Musi apelować do dumy narodowej. Ta konkretna sprawa wychodzi poza zagadnienie plebienne i jest interesująca dla wszystkich Kenijczyków. Nawet jego nazwisko będzie tu pomocne. Deedan Kimathi był najsukcesywniejszym dowódcą

Mau-Mau w czasie stanu wyjątkowego sto lat temu. Muszę sprawić, żeby prasa o tym wspomniała.

Kibo pociągnął łyk wina i rozparł się na swym krześle z zadowolonym uśmiechem.

- Jest wspaniałe.

- I pan naprawdę wierzy w to, co mówi? - zapytał Njomo.

- Oczywiście, że wierzę. Za tydzień będą w to wierzyli wszyscy w tym kraju.

- To nie zda egzaminu.

- Zda. Były precedensy.

- Czy ktoś już został prezydentem ze względu na martwego słonia? - szydził Njomo.

- Nie - odpowiedział cierpliwie Kibo - ale Hassin został prezydentem Egiptu w 2023 roku na podobnej zasadzie.

- Hassin? Wygrał wybory, bo zawarł pokój z Jordanią.

- Zawarł pokój po wyborach. Jego cała kampania oparta była na oskarżeniu Wielkiej Brytanii o przejęcie egipskich skarbów narodowych. Obiecał, że je odzyska, kiedy zostanie prezydentem.

- I odzyskał?

- Nie. Wszystkie skarby nadal są w British Museum, ale wybory wygrał. Nie był wcale też takim złym prezydentem.

- Nawet jeżeli żądał zwrotu skarbów narodowych, to chodziło o mumie, złoto i biżuterię - protestował Njomo. - Pan mówi o kłach słonia.

- Mówię o honorze narodowym - odparł Kibo. - To nie jest wina Kenii, że nie mieliśmy świątyń i piramid, które Brytyjczycy mogli zrabować. Zabierali to, co znaleźli, a teraz chcemy to mieć znów u siebie.

- Ale kły? Na litość boską!

- Kły to tylko symbol, i nic więcej - powiedział Kibo. - To nieważne, czy mają wartość handlową czy nie. To jest najważniejsze i największe trofeum, jakie kiedykolwiek zdobyto. Powinny być wystawione tu, w muzeum w Nairobi, a nie w Brytyjskim Muzeum Historii Naturalnej. O ile wiadomo, słoń ten nie był nawet zabity przez Europejczyków, a przez Afrykanina.

- Kogo to obchodzi?

- Będzie obchodzić wszystkich, gdy tylko Kimathi wygłosi przemówienie. To jest ostatni istniejący ślad kolonializmu i trzeba go zetrzeć. Kły są dziedzictwem kenijskim, a nie brytyjskim...

Przerwał na chwilę i pochylił się ku przodowi.

- Chcesz wiedzieć coś więcej? One nawet nie są wystawione. Są zamknięte w składnicy w podziemiach muzeum i tylko zbierają kurz, podczas gdy powinny być tu, żeby każdy Kenijczyk mógł je zobaczyć.

- Nie są wystawione?

Kibo pokręcił głową przecząco.

- To wstrętnie wygląda, prawda?

- Wie pan, może rzeczywiście można by to wykorzystać? - przyznał Njomo.

- Szczególnie, jeśli sprawie nada rozgłos ziejący ogniem smok polityczny.

- Niech no się zastanowię nad tym przez parę minut.

- Bardzo proszę - powiedział Kibo dopijając wino.

Skinął głową na kelnera przechodzącego obok.

- Tak, panie Kibo?

- Przynieś mi najlepszy deser, jaki macie.

- Myślałem, że pan ma kłopoty z wagą - zauważył Njomo, kiedy kelner się oddalił.

- Należy mi się - powiedział Kibo z godnością. - Dobry polityk ma trzy, cztery błyskotliwe pomysły przez całe życie. Ten pomysł utrzyma mnie na powierzchni przez następne pięć lat.

Kimathi wystąpił w telewizji następnego wieczoru. Głosem pełnym napięcia, z oczami rozplómięzionymi gniewem, z pulsującymi na czole żyłami, jakby miał za chwilę pęknąć, narzekał i napadał na Brytyjczyków. Obudził bluźniercze duchy rasizmu i kolonializmu. Groził nie określonymi bliżej działaniami, jeżeli kły słonia Kilimandżaro nie zostaną natychmiast zwrócone, i wzywał Kenijczyków do bojkotu brytyjskich towarów.

- To Brytyjczycy - wrzeszczał - zdziesiątkowali faunę Kenii, wytępilli gatunek po gatunku, a teraz odmawiają zwrotu

symboli kenijskiej zaginionej przeszłości - kłów najwspanialszego zwierzęcia.

To Brytyjczycy zabrali nieprzeliczone skarby ze wszystkich swoich dawnych kolonii i nie tylko odmawiają ich zwrotu, ale również ukrywają je przed publicznością, co jest dowodem pogardy dla swych dawnych podwładnych.

To właśnie Jacob Thiku - wskazał Kimathi - nie chciał dopominać się o zwrot kłów, chociaż kiedyś był błyskotliwym przywódcą, ale obecnie stracił wszelką odwagę i nie chce przeciwstawiać się Brytyjczykom.

A właściwie, po co były Brytyjczykom te kły? - dopytywał Kimathi. - Nie wystawiali ich w muzeum, nie chcieli ich sprzedać i odmawiali ich zwrotu. Kiedy wreszcie skończy się to poniżające traktowanie?

Skończy się dopiero wtedy - wyciągnął wniosek Kimathi - kiedy Kenia wybierze prezydenta, który nic będzie się bał Brytyjczyków i wymaże ten ostatni afront, wobec godności Czarnej Afryki.

- Nieźle - powiedział Kibo przeglądając wstępne dane następnego popołudnia. - Zupełnie nieźle.

- Chce pan powiedzieć, że się udało? - zapytał Njomo z pogardą. - W połowie przemówienia myślałem, że przyjdą i założą mu kaftan bezpieczeństwa, tak skakał, darł się i wymachiwał pięściami.

- Zyskał cztery punkty - odparł Kibo z uśmiechem zadowolenia. - Całkiem nieźle, jak na szaleńca.

- Muszę to zobaczyć - powiedział Njomo z niedowierzaniem, zaglądając w monitor komputera. Wpatrywał się weń przez chwilę, a następnie wyprostował się z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

- Nie do wiary!

- Poczekaj do jutra! Jutro przemawia na uniwersytecie - obiecał Kibo. - Gwarantuję, że zyska dodatkowe punkty.

- Ciekaw jestem, jak zareagowano w Wielkiej Brytanii? - zastanawiał się Njomo.

- Zastanawiają się pewnie, dlaczego robimy tyle szumu wokół tych kłów.

- Czy je zwrócą?

- Nie, przynajmniej tak długo, jak długo będziemy grozić - odpowiedział Kibo. - To byłoby zbyt podobne do ulegania szantażowi, zaś Kimathi skończy z pogróżkami dopiero po wyborach.

- A co z Thiku?

- A co ma być?

- Co on zrobi? - nalegał Njomo.

- On postąpi rozsądnie.

- To znaczy jak?

Kibo wzruszył ramionami.

- Kto wie? Ale to będzie nieskuteczne. To jest zagadnienie emocjonalne. Rozsądkiem nic tu nie wskóra.

Kimathi wygłosił jeszcze cztery przemówienia. Zdobył dodatkowo dziewięć punktów, zanim jeszcze Jacob Thiku zdecydował się zabrać głos w sprawie kłów. Wskazał, że słoń nie był zabity ani przez Brytyjczyka, ani przez Europejczyka. Zwrócił uwagę, że słoń został zabity na stokach góry Kiliman-dżaro, która w całości należy do Tanzanii, a zatem Kenia nie może mieć roszczeń do kłów. Przypomniał także, że kły w sposób legalny zostały sprzedane na aukcji w Zanzibarze, który w tym okresie był państwem niepodległym, a nie w Mom-basie, zaś brytyjskie Muzeum Historii Naturalnej uzyskało je dopiero w trzydzieści siedem lat po pierwszej aukcji.

Thiku podkreślał, że z przyjemnością widziałby kły słonia Kilimandżaro w Kenii, gdyby Brytyjczycy uznali za słuszne uczynić z nich prezent. Było jednak oczywiste, że Kenia nie miała ani prawnych, ani moralnych podstaw, żeby domagać się ich zwrotu. Uważał, że jeżeli ktoś miał prawo domagać się ich zwrotu, to jedynie Tanzania.

Thiku twierdził, że Kimathi pragnął wzburzyć umysły i zbić kapitał polityczny w sprawie bez znaczenia, naruszając równocześnie dobre stosunki pomiędzy Kenią a jej najdawniejszym sojusznikiem - Wielką Brytanią. Jeżeli ludność zrozumie motywy postępowania Kimathiego z, pewnością zignoruje jego apele.

Była to świetna, rozsądna riposta. Została wydrukowana we wszystkich gazetach brytyjskich i powtórzona przez wszystkie międzynarodowe sieci telewizyjne.

Następnego dnia Kimathi zyskał trzy dodatkowe punkty.

- Wygląda pan dość ponuro jak na człowieka, którego kandydat przegrywa z bogiem tylko o sześć punktów - powiedział Njomo miesiąc później wchodząc do biura Kibo.

- Pięć, jeżeli czyta pan „Nation” - poprawił go Kibo.

- To skąd ta ponura mina? - nalegał Njomo. - Pieniądze napływają w takim tempie, że nie jesteśmy ich w stanie policzyc. Kimathi znalazł się na okładce „Sterna” i „Time’a”, a biednego Jacoba Thiku chyba przesładują słonie w snach.

- Ambasador brytyjski chce się z nim spotkać.

- Z Kimathim?

Kibo skinął głową z powagą.

- Od dwóch tygodni staram się odłożyć to spotkanie nie na później. Nie mogę jednak dłużej ciągnąć tej zabawy.

- Jego rozmowa z Kimathim chyba nikomu nie zaszkodzi?

- Może bardzo zaszkodzić.

- Nie rozumiem dlaczego. Kimathi poczeka, aż wszystkie kamery skupią się na nich, a później zagrozi ambasadorowi śmiercią albo czymś gorszym, jeżeli ten nie poleci najbliższemu samolotem do Wielkiej Brytanii i nie wróci z kłami.

- Tego właśnie się boję - powiedział Kibo.

- Nie jestem pewien, czy cię rozumiem - powiedział Njomo mrugając oczami.

- To dlatego, że jesteś bardzo młody i bardzo naiwny - ciągnął Kibo. - Uwierz mi, że ostatnią rzeczą, której chcielibyśmy, byłoby spotkanie Kimathiego twarzą w twarz z przedstawicielem rządu brytyjskiego.

Poświęcił pan ponad miesiąc stworzeniu tego mitu, że Kimathi jest jedynym obrońcą honoru Kenii - powiedział Njomo. - Teraz ma w końcu okazję spotkać się oko w oko z nieprzyjacielem, a pan teraz stara się tego uniknąć. Dlaczego?

Kibo westchnął głęboko.

- Jak myślisz, co Brytyjczycy, Amerykanie i Rosjanie widzą patrząc na Kimathiego? - spytał.

- Nie wiem. Pewnie widzą barwnego polityka, który dostał się na pierwsze strony gazet podnosząc nieprawdopodobne problemy.

- Widzą pajaca - odparł Kibo. - Wielkiego, niezgrabnego pajaca, któremu państwo wyrzuciło zabawki, a on chce je odzyskać. Połowa z nich myśli prawdopodobnie, że nosi przepaskę na biodrach i mieszka w chacie z błota - dodał po chwili.

- Nie rozumiem - powiedział Njomo.

- Bawi ich, tak jak bawił ich Idi Amin sto lat temu. Jeżeli posłuchaliby uważnie, co mówi, jaki ma wpływ na słuchaczy, jeżeli zdaliby sobie sprawę, że ukończył Sorbonę jako prymus, przestaliby śmiać się. Zaczęliby się bać.

- Cóż złego jest w przestraszeniu ambasadora brytyjskiego? - zapytał Njomo. - Będzie to jeden więcej gwóźdź do politycznej trumny Jacoba Thiku.

- Może - przyznał Kibo - ale mam co do tego wątpliwości. Przerwał na chwilę, żeby zapalić papierosa.

- Tempo, w jakim Kimathi zyskuje obecnie poparcie, spowoduje, że prześcignie Thiku na dwa tygodnie przed wyborami, a w czasie wyborów wyprzedzi go o około dwa miliony głosów. Tylko jedna rzecz może mu przeszkodzić.

- Co takiego?

- Jeżeli utraci swój problem. Nie będzie już miał wtedy czasu na wymyślenie innego. Jeżeli ambasador spotka się z Kimathim i stwierdzi, że jest na tyle szalony, że gotów jest rozniecić wojnę o kły, może zalecić rządowi, żeby je zwrócił. I to będzie koniec. Nie będzie problemu i będzie zwycięstwa.

- Rozumiem - powiedział Njomo z wyrazem zrozumienia na twarzy.

- Jeszcze jedna rzecz, jakiej nie nauczyli cię w szkole - zauważył Kibo kwaśno.

Njomo wyciągnął piwo z lodówki.

- A więc co teraz zrobisz? - zapytał.

- Będę starał się za wszelką cenę przekonać Kimathiego, że spotkanie z przeciwnikiem jest poniżej godności.

- Myślałem, że przeciwnikiem jest Jacob Thiku.

- Nikt tak daleko by nie zaszedł, występując przeciwko Thiku. Kimathi występuje przeciw Brytyjczykom. Mam nadzieję, że mnie wysłucha.

- Jeżeli rozsądek nie wystarczy, zaapeluj do jego próżności - zaproponował Njomo. - To jeszcze nigdy nie zawiodło.

- Widzę, że się uczysz - skomentował Kibo.

- Och?

Kibo skinął głową.

- Kiedy już wszystko powiedziano i zrobiono, ważniejsze dla kierownika kampanii wyborczej jest zrozumienie ludzi niż polityka.

- Myślę, że masz rację - przyznał Njomo.

- Jak długo będziesz pamiętał o tej zasadzie, tak długo masz polityczną przyszłość - powiedział Kibo.

Uśmiechnął się nagle.

- A jeżeli o niej zapomnisz, zawsze będziesz mógł zarobić na życie ucząc polityki na uniwersytecie.

Kolejne ważne przemówienie Kimathiego było wygłoszone w Malindi, ale słuchał go cały kraj. W pięć minut po zakończeniu przemówienia zadzwonił telefon na biurku Kibo.

- Słucham.

- Pan Kibo?

- Przy telefonie.

- Mówi Robert Peake.

- Co mogę dla pana zrobić, panie ambasadorze?

- Czy słyszał pan przemówienie Johna Edwarda Kimathi wygłoszone dziś wieczorem?

- Tak.

- To ciągłe oczernianie mojego rządu musi się skończyć, panie Kibo - powiedział Peake.

- Kandydat sam pisze swoje przemówienia, panie ambasadorze. Czego oczekuje pan ode mnie?

- Oczekuję od pana, że zmusi go pan do pewnej powściągliwości, panie Kibo. Jeżeli dalsze przemówienia będą utrzymane w podobnym tonie, rząd Jego Królewskiej Mości potraktuje je z największym niezadowoleniem.

- W takim razie najlepiej byłoby, gdyby porozmawiał pan bezpośrednio z kandydatem - odparł Kibo.

- Próbowałem wielokrotnie z nim rozmawiać i wielokrotnie pan mi to uniemożliwił, panie Kibo.

- Ależ to nie jest prawda, panie ambasadorze - kłamał Kibo. - Pan

Kimathi dysponuje niezmiernie ograniczonym czasem, ale w dalszym ciągu staram się zorganizować spotkanie panów.

- Niech pan się nie trudzi, panie Kibo.

Kibo zmarszczył brwi.

- Już nie chce się pan z nim spotkać?

- Nie.

Kibo szybko przeanalizował istniejące opcje i alternatywy.

- Myślę, że będę mógł zorganizować wspólny obiad jutro wieczorem - powiedział po chwili.

- Obawiam się, że jutro wieczorem będę bardzo zajęty - powiedział Peake. - Proszę tylko pamiętać, co panu powiedziałem, panie Kibo. Nie będziemy tolerować dalszych ataków tego typu.

Kibo usłyszał odgłos odkładanej słuchawki i natychmiast spróbował skontaktować się telefonicznie z Kimathim. Nie mógł jednak go odnaleźć. W końcu udało mu się trafić na Njomo.

- Co się stało? - zapytał młody człowiek poznając Kibo po głosie.

- Kłopoty - powiedział Kibo. - Chciałbym abyś anulował wszystkie spotkania Kimathiego wyznaczone na najbliższe dni, dopóki z nim nie porozmawiam.

- Co się stało?

- Miałem telefon od ambasadora brytyjskiego. Domaga się, żeby Kimathi zaprzestał ataków na jego kraj.

- I cóż z tego?

- Zrób, co mówię - warknął Kibo i odłożył słuchawkę. Dalej próbował znaleźć Kimathiego i w końcu, w godzinę po północy, kandydat podniósł słuchawkę.

- John, tutaj Matthew Kibo.

- Jak ci się podobało moje dzisiejsze przemówienie?

- Było świetne, John, mamy kłopoty - dodał po chwili przerwy. - Anulowałem twój program na dwa najbliższe dni. Czy możesz udać chorobę?

Dlaczego?

- To bardzo skomplikowana sprawa - odparł Kibo, ale wybory mamy już za dwadzieścia dni. Trzeba zacząć naprawiać, cośmy zepsuli.

- Z Thiku? - powiedział kandydat. - To bezsilny, stary człowiek.

-Z Brytyjczykami.

- Ale nie bez kłów!

- John, teraz rozmawiasz ze mną. To ja wymyśliłem ten problem.

- Nie popuszczę, dopóki kły nie zostaną zwrócone.

- John, nigdy jeszcze nie udzieliłem ci złej rady. Musisz mi uwierzyć. Ludzie wiedzą, o co walczysz. Jeżeli teraz przestaniesz atakować Brytyjczyków i tak możesz wygrać wybory. Jeżeli nie przestaniesz, to obiecuję ci, że wybory przegrasz.

- Nikt nie wydaje rozkazów Johnowi Edwardowi Kimathiemu! - wrzasnął kandydat. - Nie boję się żadnego człowieka, ani żadnego państwa! Niech przybywają z armatami! Jestem gotów!

- Nie przyjadą z armatami - powiedział Kibo. - Czy możesz zostać tam, gdzie jesteś, dopóki nie przyjadę do ciebie i nie porozmawiamy?

- Jutro mam wygłosić przemówienie w Lamu - odparł kandydat. - Jeżeli chcesz ze mną rozmawiać, możemy tam się spotkać.

- Przemówienie zostało odwołane.

- To stanę na rogu ulicy i wykrzyczę moje posłanie. Nie dam się uciszyć, dopóki kły nie zostaną zwrócone.

Kibo rzucił słuchawkę. Później próbował jednak połączyć się znowu z Kimathim. Linia była jednak cały czas zajęta. Usiłował uzyskać połączenie jeszcze przez godzinę i wreszcie poszedł do domu, żeby nacieszyć się ostatnim wieczorem w roli kierownika kampanii wyborczej potencjalnego prezydenta.

Njomo przeszedł przez pokój i wyłączył telewizor.

- Powiedziałbym, że było to jedno z jego lepszych przemówień - powiedział.

- Powiedziałbym, że było to jego ostatnie przemówienie - odparł Kibo. - Włącz telewizor.

- Dlaczego?

- Bo potrafię wyczuć różnicę pomiędzy groźbą a udawaniem.

- Masz na myśli ambasadora brytyjskiego? - zapytał Njomo. - Cóż on może zrobić? Im mocniej protestuje, tym Kimathi lepiej wypada.

- Musisz jeszcze dużo się uczyć - skomentował Kibo, siadając wygodniej na krześle i obserwując dramat rozwijający się na ekranie.

Njomo siedział przy biurku jeszcze przez około dwadzieścia minut, a następnie podszedł do komputera, stojącego na biurku Kibo.

- Chciałbym sprawdzić oceny przemówienia. Nie masz nic przeciwko temu?

- Proszę bardzo - powiedział Kibo, patrząc przez okno na pomnik Jomo Kenyatty, dominujący nad placem. Przemknęła karetka pogotowia wyjąc syreną. Wystraszone ptaki zerwały się do lotu. Po chwili powróciły na chodnik, gdy już pojazd zniknął z pola widzenia.

- Nieźle - skomentował Njomo, gdy liczby zaczęły pojawiać się na ekranie. - Szczególnie dobrze poszło na wybrzeżu.

- Na wybrzeżu panuje w tej chwili temperatura sto piętnaście stopni Fahrenheita. Nie mają nic lepszego do roboty niż siedzieć i oglądać telewizję.

Nagle Kibo poderwał się na krzesło i skoncentrował całą uwagę na telewizorze.

- Teraz się zacznie - oznajmił.

Njomo wyłączył komputer i również zaczął wpatrywać się w ekran telewizora.

- A teraz - oznajmił łagodny, kulturalny głos - przerywamy normalny program, żeby ogłosić komunikat specjalny.

Na ekranie ukazała się prywatna rezydencja Thiku w Mutaiga. Jacob Thiku i Sir Robert Peake stali na Kamiennych stopniach otoczeni reporterami.

- Chciałbym złożyć krótkie oświadczenie - oznajmił Thiku. Dziennikarze zbliżyli się jeszcze bardziej.

- Dzisiaj o godzinie 11.30, czyli mniej niż piętnaście minut temu, rząd Kenii zakończył przyjazne i pokojowe negocjacje z rządem Wielkiej Brytanii reprezentowanym przez Sir Roberta Peake. W wyniku negocjacji kły słonia Kilimandżaro zostaną wystawione na widok publiczny w Muzeum Narodowym w Nairobi jutro w południe.

Stary prezydent uściśnął dłoń Peake'a, a następnie uśmiechnął się triumfalnie w kierunku kamer telewizyjnych i Kibo poczuł, że uśmiecha się bezpośrednio do niego.

- Tak - powiedział ze znużeniem. - To jest twoja ostatnia lekcja. Nigdy nie wiąż się z monotematycznym kandydatem, dopóki nie będziesz pewien, że temat dotrwa do dnia wyborów.

- Co teraz zrobimy? - zapytał Njomo, wciąż oszołomiony oświadczeniem Kibo.

- Teraz? - powtórzył Kibo. - Teraz pójdziemy do domu i odpoczniemy. Pojutrze pomyślimy co Kimathi będzie mógł mówić podczas trzech ostatnich tygodni swojej kampanii wyborczej, żeby przegrać z honorem, a nie sromotnie.

- A co jutro?

- Nie wiem jak ty, ale ja pójdę do muzeum, żeby zobaczyć, o co było tyle szumu - powiedział Kibo wstając.

PIĄTE INTERLUDIUM (ROK 6303 ERY GALAKTYCZNEJ)

Wróciłem do mieszkania trochę po północy. Nie chciałem tam spać, ale musiałem zmienić ubranie. Skinąłem przychylnie trójnożnemu odźwiernemu pochodzącemu z Hesperita III, poczekałem aż kontrola dźwigu zbada moją siatkówkę i strukturę kostną i pojechałem na siódme piętro. Kiedy ruchomy chodnik zatrzymał się przed moimi drzwiami, przyłożyłem rękę do skanera, podałem kod otwierający zamek i... stanąłem twarzą w twarz z Bukoba Mandaką.

- Co pan tu robi?

- Czekam na pana - odpowiedział spokojnie.

- Jak pan tu wszedł?

- Mam swoje sposoby.

Patrzyłem na niego. Był muskularny i wyższy ode mnie. Zdecydowałem nie kontynuować tego tematu.

- W porządku - powiedziałem. - Dlaczego pan tu przyszedł?

- Porozmawiać.

- Myślałem, że rozmawialiśmy przy kolacji.

Potrząsnął przecząco głową.

- W czasie kolacji prowadziliśmy szermierkę słowną. Teraz porozmawiamy.

- Cieszę się. Zrobię coś do picia.

- Proszę bardzo. Alkohol jest w kuchni.

- Wiem - odparłem sucho.

- Ma pan interesujące mieszkanie, panie Rojas - skomentował Mandaka, idąc za mną do części jadalnej.

- Jest zupełnie zwyczajne.

- Nie powiedziałem, że jest nadzwyczajne, tylko że jest interesujące.

Rozejrzałem się po sterylnie białych ścianach i antycznych meblach.

- Cóż jest w nim takiego interesującego. Mnie wydaje się raczej nudne.

- Jest interesujące, ponieważ nie mówi nic o panu - odpowiedział - a to z kolei mówi o panu wszystko.

- Nie bardzo pana rozumiem - powiedziałem, podchodząc do barku i polecając drzwiczkom otworzyć się.

- Jak długo pan tu mieszka, panie Rojas? - zapytał Mandaka.

- Około siedmiu lat.

- W ciągu siedmiu lat zdomowił się pan tutaj. To interesujące.

- Nie rozumiem pana - powiedziałem, wyjmując pojemnik z barku.

- Meble są funkcjonalne, ale bez charakteru - zauważył. - Dzieła sztuki są słodziutkie i nie odzwierciedlają gustu właściciela. Dywan jest stary, ale nie wykazuje zużycia. Nie ma żony, nie ma rodziny, nie ma śladów kochanki. Płaci pan za mieszkanie, panie Rojas, ale korzysta pan z niego jak z hotelu. Nie ma tu śladu pańskiej osobowości. Nawet te książki i taśmy wybrane są dla rozrywki przez kogoś, kto szuka kilku minut odmiany, niczym więcej. No i te zagadki, panie Rojas - potrząsnął głową ze smutkiem - te zagadki...

- Co z tymi zagadkami?

- Co to za człowiek przechowuje setki zagadek w swojej sypialni i gabinecie? Tylko taki, który chce wypełnić puste chwile między wydarzeniami mającymi dla niego znaczenie.

Patrzyłem na niego nic nie mówiąc.

- Porównuję to mieszkanie z pana biurem - ciągnął dalej. - W biurze jest pełno książek. Ściany zawieszono fotografiami z hologramami najrzadszych zwierząt galaktyki. Jedzenie i kawa zawsze pod ręką, meble dobrane dla wygody, a nie dla dekoracji, trochę bałaganu, który prawie wymyka się spod kontroli - to tam pan mieszka, panie Rojas, i tam znajduje się pana treść życia.

- I przyszedł pan tutaj, żeby mi to powiedzieć? - zapytałem zakłopotany, że tak trafnie dokonał analizy mojego życia na podstawie kilku starych mebli i kilku pokojów.

- Nie - odpowiedział. - Przyszedłem powiedzieć panu, że jestem bardzo niezadowolony z pana, panie Rojas.

- Tak? Dlaczego?

- Czy słowa Nelson XXIII coś dla pana znaczą?

- Tak szybko trafił pan za ogłoszeniem?

- Oczywiście.

- Jestem pod wrażeniem.

- A ja jestem zakłopotany - odparł. - Dlaczego dał pan to ogłoszenie?

- Byłem ciekaw, jak dalece wiarygodne są pańskie źródła informacji.

- Ani moje źródła informacji, ani ja nie jesteśmy zadowoleni z tego, że staliśmy się przedmiotem eksperymentu mającego na celu zaspokojenie pańskiej ciekawości, panie Rojas - powiedział twardo. - Wiele pieniędzy kosztowało mnie przesłedzenie pańskiego ogłoszenia.

- Może nie powinienem tego robić. Proszę potrącić koszty z mojego honorarium.

- To może sięgnąć nawet jednej trzeciej pańskiego honorarium.

- To nie ma znaczenia - powiedziałem wzruszając ramionami. - Popełniłem błąd.

- Czy warto było, panie Rojas? - zapytał, studiując uważnie mój wyraz twarzy.

- Nie było - odparłem. - W rzeczywistości byłbym zaskoczony gdyby pan albo pańskie źródła je przeoczyły.

- To mnóstwo pieniędzy wyrzuconych tylko po to, żeby sprawdzić pańską teorię, panie Rojas. A może nie pragnie pan pieniędzy?

- Każdy chce pieniędzy.

- Ale nie każdy ich potrzebuje - zauważył Mandaka.

Patrzył na mnie w zamyśleniu przez chwilę, a następnie skinął głową.

- Za pieniądze może pan kupić sobie bezosobowe mieszkanie i trywialne zagadki, jakich tu pełno. Tylko ludzie tacy jak ja mogą znaleźć dla pana takie zadanie, jak znalezienie kłów słonia Kilimandżaro. - Uśmiechnął się ironicznie. - Wydaje mi się, że pan potrzebuje mnie tak samo, jak ja potrzebuję kłów.

- Jak długo Masajowie potrzebowali tych kłów? - zapytałem.

- Bardzo długo.

- Od roku 1898?

- Nie całkiem.

- Ale w każdym razie przed rokiem 1914?

- Tak, panie Rojas - potwierdził.

- Tak myślałem - uśmiechnąłem się z satysfakcją.

- Może nie powinienem był żartować z pańskich gier i zagadek - powiedział Mandaka kwaśno. - Pański umysł stał się bardzo przenikliwy.

- Dziękuję za komplement.

Znowu popatrzył na mnie.

- Rozumiem, że dowiedział się pan czegoś więcej od swojego komputera od czasu naszej wspólnej kolacji.

- Trochę - odpowiedziałem, znajdując wreszcie szklankę i przygotowując drinka. - Potwierdziło się raczej to, co już wcześniej podejrzewałem. A może przygotować panu coś do picia?

- Zdawało mi się, że już wcześniej panu mówiłem. Piję tylko mleko.

- Obawiam się, że mleka nie mam. Usiądźmy, panie Mandaka.

- W kuchni ma pan tylko jedno krzesło.

- Chodźmy do pokoju - powiedziałem, idąc przodem.

Podszedł do dużego fotela stojącego w kącie i usiadł na nim ostrożnie, jak gdyby miał wątpliwości, co do jego solidności. Poprawił się kilka razy, aż wreszcie znalazł wygodną pozycję. Poleciałem, żeby zbliżyła się kanapa, ale zapomniałem, że meble w mieszkaniu nie reagują na wezwania głosowe. Musia-

łem do niej podejść i wyregulować, żeby unosiła się około sześciu cali nad podłogą kołyszając się lekko. Usiadłem.

- Co powiedział panu komputer dziś wieczorem? - zapytał, gdy wypilem łyk napoju i odstawiłem szklankę na pobliski stolik.

- Dowiedziałem się, w jaki sposób i dlaczego Brytyjczycy zwrócili kły Kenii.

- To było w dwudziestym pierwszym wieku - powiedział z powagą. - Myślałem, że pańskie poszukiwania zbliżają się do naszych czasów, a nie oddalają.

- W zasadzie tak jest - potwierdziłem. - Wymagało to jednak bardzo niewiele mocy obliczeniowej komputera, a chciałem lepiej poznać historię kłów.

Spodziewałem się gniewnej reakcji, on jednak tylko skinął głową.

- John Edward Kimathi - powiedział łagodnie. - To on umieścił je prawie w zasięgu ręki, a mimo to znowu nic nie zrobiliśmy.

- A co powinniście byli zrobić, panie Mandaka?

- Powinniśmy zabrać je z muzeum i zrobić, co należało... to, co wciąż należy zrobić - dodał po chwili przerwy.

- A co należy zrobić?

Popatrzył na mnie w zamyśleniu.

- Żeby była chociaż jedna szansa na tysiąc, że mi pan uwierzy, to powiedziałbym panu, panie Rojas.

- Dlaczego mi zatem pan nie powie i nie pozwoli, żebym sam o tym zdecydował?

Pokręcił głową przecząco.

- Nie mogę oczekiwać, że zrobi pan wszystko, co możliwe, jeżeli będzie pan przekonany, że pracuje dla szaleńca.

- Ja już myślę, że pracuję dla przestępcy i jakoś to mnie nie powstrzymuje.

- Dla przestępcy? Dlaczego? Dlatego, że wiem jak ominąć system zabezpieczenia pańskiego mieszkania? - pytał z rozbawieniem.

- No i dlatego, że nie nazywa się pan Bukoba Mandaka.

- Przecież powiedziałem panu, że tak się nazywam.

- Władze nie mają śladu pańskiego istnienia.

- W czasie kolacji uznał pan moją odpowiedź za wystarczającą.

- Bo to leżało w moim interesie. Zależy mi na znalezieniu kłów w takim samym stopniu jak panu. Fizycznie jest pan imponującą postacią, panie Mandaka. Uznam więc odpowiedź i tym razem, jeżeli będzie pan nalegał. Wolałbym jednak znać prawdę.

Uśmiechnął się.

- Słuszna decyzja, panie Rojas. Jednakże, ryzykując pańskie rozczarowanie muszę powtórzyć, że naprawdę jestem Bukoba Mandaka.

- A gdzie się pan urodził?

- Na Ziemi pięćdziesiąt trzy lata temu.

- Na Ziemi? - powtórzyłem zaskoczony, bo jeszcze nigdy nie spotkałem kogoś, kto urodził się na naszej ojczystej planecie.

- Tak.

- Dlaczego nie ma żadnych danych na pański temat?

- Ziemia jest prawie zupełnie opuszczona, panie Rojas. Nie mieszka tam w tej chwili więcej niż pięćdziesiąt milionów ludzi. Biura spisu ludności są bardzo odległe od siebie. Nie-trudno było moim rodzicom ukryć dowody mego urodzenia.

- Ale dlaczego mieliby je ukrywać?

- Ponieważ wiedzieli, że nadejdzie taki dzień, że będę potrzebował nieskrępowanej swobody poruszania się i słusznie zakładali, że będę chciał również uniknąć nadzoru władz.

- Dlaczego chce pan uniknąć nadzoru władz, jeżeli działa pan zgodnie z prawem?

Milczał przez chwilę jakby zastanawiając się, czy może mi powiedzieć.

- Muszę dokonać rzeczy, na które władze nie zgodziłyby się - powiedział wreszcie - i chociaż dotąd nie popełniłem żadnych przestępstw, bez wahania naruszę jakiegokolwiek przepisy, które utrudniłyby mi wejście w posiadanie kłów.

- Posługiwanie się sfałszowanym paszportem jest przestępstwem.

- Nie w moim przypadku - odpowiedział zdecydowanie, zmieniając temat.

Nagle ożywił się stojący w moim pokoju komputer.

- Wiadomość dla Duncana Rojasa - oznajmił.

- Proszę łączyć.

- Wideo czy słownie?

- Wideo.

Nad stolikiem pojawił się nagle obraz Hildy Dorian.

- Czy wiesz, która jest godzina? - zapytała.

- Trochę po północy.

- Miałaś się ze mną skontaktować natychmiast po powrocie z kolacji. Sprawdziłam w biurze zaraz po powrocie z Haroldem z teatru i dowiedziałam się, że poszedłeś do domu. Dlaczego się ze mną nie skontaktowałeś?

- Nie jestem sam - odparłem, wskazując na Mandakę. Dokonała regulacji swojego nadajnika tak, że mogła rozejrzeć się po pokoju.

- Czy masz kłopoty?

- Zupełnie nie.

- Jesteś pewien?

- Jestem pewien, Hildo. Przestań traktować mnie jak dziecko.

- Przeszanę traktować cię jak dziecko z chwilą, kiedy przestaniesz zachowywać się jak dziecko - powiedziała ostro. - Jedyną rzeczą, jaką wiesz o tym człowieku, jest to, że Wspólnota nie ma o nim żadnych informacji, a mimo to zaprosiłeś go do domu.

- To nie całkiem tak... - powiedziałem kwaśno.

- Co to znaczy?

- Nic - powiedziałem szybko. - Zapewniam cię, że nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo i bardzo się cieszę, że tu przyszedł.

Popatrzyła na nas i odkaszlnęła.

- Mandaka, ostrzegam pana, on ma być jutro rano w pracy cały i zdrowy.

Nim Masaj mógł odpowiedzieć, skończyła rozmowę.

Mandaka przez dłuższą chwilę patrzył na miejsce, gdzie znajdował się jej obraz.

- Kto to był? - zapytał w końcu.

- Hilda Dorian - odpowiedziałem. W tej samej chwili zdałem sobie sprawę, że nazwisko to nic mu nie mówi.

- Jest szefową ochrony u Braxtona.

- Czy to jest ta kobieta, którą chciałeś zabrać na kolację?

- Tak - powiedziałem niepewnie, poprawiając się na kanapie.

- Byłaby to interesująca kolacja - powiedział z ironicznym uśmiechem.

- Przepraszam... ona jest czasami zbyt opiekuńcza. Mam nadzieję, że nie obraziła pana.

- Nie - odpowiedział. - Właściwie to chciałbym mieć kogoś, kto by się o mnie tak troszczył.

- Ja bym nie chciał - powiedziałem krzywiąc się.

- Mówi pan tak tylko dlatego, że czuje się zakłopotany. Gdyby pan był kiedyś samotny, prawdziwie samotny, to pan by ją uwielbiał.

- Czy pan jest prawdziwie samotny?

Przytaknął ponuro.

- Jestem tak samotny, jak tylko samotny może być człowiek.

- Nie jest pan żonaty?

- Nie.

- A dzieci?

- Nie mam zezwolenia.

- Przyjaciele?

- Żadnych.

Przerwałem zakłopotany nie wiedząc, co mam powiedzieć.

- Są gorsze rzeczy - zacząłem w końcu. - Wiele osób wybiera samotność.

- Ja takiego życia nie wybierałem, panie Rojas - powiedział szczerze. - Wszystko, co mam, oddałbym za posiadanie rodziny czy nawet osoby, która martwiłaby się o mnie, tak jak ta szefowa ochrony martwi się o pana.

- A co panu przeszkadza w założeniu rodziny? - spytałem.

- Moim przeznaczeniem jest żyć i umrzeć samotnie. W rzeczywistości nasze życie jest bardzo podobne, zimne, bezcelowe i samotne - dodał po chwili.

- Wcale nie widzę, żeby było podobne - powiedziałem.

- Jeżeli jest jakaś różnica, to ta, że pan pędzi takie życie z wyboru.

- Robi pan ze mnie odludka - zaprotestowałem. - Bez przerwy spotykam się z ludźmi.

- Ja też.

- Mam swoją pracę - dodałem.

- A ja swoją misję.

Byłem zakłopotany kierunkiem, w jakim rozwijała się rozmowa, i zdecydowałem się zmienić temat.

- Odzyskanie kłów jest dopiero pierwszym etapem pańskiej misji? - spytałem.

Skinał głową twierdząco.

- Nie szukał ich pan przecież przez pięćdziesiąt trzy lata. Przez ten czas na pewno by je pan już dawno znalazł.

- Pan jest bardzo przenikliwy, panie Rojas. Tak naprawdę, to szukam kłów od siedmiu lat.

- A co takiego stało się siedem lat temu?

Popatrzył na mnie w zamyśleniu i wzruszył ramionami.

- Stwierdziłem ostatecznie ponad wszelką wątpliwość, że jestem ostatnim żyjącym Masajem.

- Jeżeli zadanie to należy do ostatniego z Masajów, to dlaczego Leeyo Nelion poszukiwał kłów?

- Każdy z Masajów mógł to zrobić - powiedział ze śladem gniewu w głosie - ale ostatni z Masajów musi to zrobić.

- Ale pan mi nie powie, co?

- Pomyślałby pan, że zupełnie oszalałem.

- To ma coś wspólnego z utratą potęgi przez Masajów, prawda?

- Potęga, to bardzo elastyczne pojęcie - odpowiedział Mandaka. - Kiedy byliśmy najgroźniejszym plemieniem w Afryce Wschodniej, czy pan wie, ilu nas było?

- Nie.

- Dwadzieścia pięć tysięcy, panie Rojas, podczas gdy Kikuju było około dwóch milionów.

- Dwadzieścia pięć tysięcy? - powtórzyłem z niedowierzaniem. - I udało się wam kontrolować ponad jedną trzecią kraju?

- Nie było żadnego kraju, dopóki głowy państw europejskich nie utworzyły tych krajów w sposób sztuczny. Była ziemia, gdzie zawsze żyli Masajowie. Nigdy nie usiłowaliśmy zajmować innych terenów plemiennych.

Przerwał i zmusił się do uśmiechu.

- I wtedy, w roku 1880, jeden z naszych największych czarowników, mundumugu Mbatian, przewidział prędkie przybycie trzech plag z północy, które prawie całkowicie zniszczą plemię Masajów. W roku 1881 wybuchła epidemia ospy. Zmarło prawie dziewięćdziesiąt procent Masajów. W 1882 roku pojawiła się zaraza bydłęca. Z naszych stad pozostała zaledwie garstka.

- A trzecia plaga? - spytałem.

- W 1883 roku 29-letni Szkot Joseph Thomson wyruszył z Mombasy w kierunku zachodnim i dotarł do terenów Masajów.

- I Thomson był tą trzecią plagą? - spytałem ze zdziwieniem.

- Sam Thomson nie, ale biały człowiek, który odbierał nam ziemie i starał się nam zabrać naszą kulturę. Wszystko, co Mbatian przewidywał, sprawdziło się, ale mimo to przetrwaliliśmy najgorsze i pozostaliśmy największymi wojownikami Afryki Wschodniej. Żaden młodzieniec nie mógł stać się wojownikiem, dopóki nie zabił Iwa dzidą. W końcu jednak Brytyjczycy odebrali nasze dzidy i nawet noszenie tarczy stało się nielegalne. Nie mogliśmy już zabijać lwów, nawet kiedy ata-

kowały nasze stada. Byliśmy wojownikami, a przemieniono nas w bezbronnych pasterzy.

Zaśmiał się nagle, jakby przypomniał sobie coś zabawnego.

- Nigdy nie żyliśmy dobrze w Brytyjczykami. Czy wiedział pan, że Masajowie byli jedynym plemieniem, które nie walczyło w pierwszej, wielkiej wojnie? Brytyjczycy wezwali wszystkich Afrykanów zdolnych do noszenia broni do zgłoszenia się do służby, ale my powiedzieliśmy: nie jesteśmy już wojownikami. Nie mamy broni. Przemieniliście nas w hodowców bydła i kóz, zostaniemy więc przy naszym bydło i przy naszych kózach.

- Przepraszam, że zapytam - powiedziałem starając się zrozumieć - co to ma wspólnego z kłami?

- Więcej niż się panu zdaje - powiedział głosem nagle zabarwionym goryczą. - Najbardziej złości mnie to, że kły były tam, w Nairobi, przez setki lat i nigdy nie zabraliśmy ich tym Kikuju. O ile wiem, nawet nie próbowaliśmy.

Zamyślił się na chwilę.

- To właśnie wtedy, zanim wykorzystano kły do celów prywatnych, powinniśmy je byli zabrać.

- Jestem zaskoczony, że rząd z nich zrezygnował. Sądząc po emocjach, jakie rozpała wokół nich kampania prezydenta Thiku - Kimathi, przypuszczałbym, że był to skarb narodowy.

- Bo był.

- To dlaczego rząd zrezygnował z nich?

- Na pewno przekupiono jakiegoś biurokratę z plemienia Kikuju albo Luo - rzucił Mandaka z pogardą.

- Nie zna pan szczegółów? - spytałem zaskoczony.

- Nie znam. Wiem tylko, że w ciągu pierwszego tysiąclecia Ery Galaktycznej kły stały się nagle własnością prywatną. Zawsze mniej interesowałem się ich historią niż tym, gdzie są.

- A nie chce się pan dowiedzieć, jak to się stało? - zapytałem rozczarowany. Sam też nagle poczułem potrzebę wyjaśnienia tej sprawy.

- Widzę, że pan chce się dowiedzieć - odpowiedział. - Jak wiele czasu zajmie panu dotarcie do faktów?

- Jestem pewien, że istnieją dokumenty w tej sprawie, a jeśli tak, to mój komputer u Braxtona dotrze do nich w ciągu trzech czy czterech minut. - Spojrzałem na niego z nadzieją. - Jeżeli by pan zechciał, mógłbym się natychmiast z nim połączyć.

Skinął głową. W kilka minut później kryształ komputera rozjaśnił się i zaczęły napływać do nas informacje.

ROZDZIAŁ 6

KURATOR (ROK 16 ERY GALAKTYCZNEJ)

Przeżyte lata kładły się ogromnym ciężarem na moim potężnym ciele, kiedy wspinałem się na stoki Rift Valley pchany wciąż na południe. Pewnego razu, gdy spałem, mrówki zakradły się do wnętrza mojej trąby i ból omal nie przyprawił mnie o szaleństwo, zanim nie dotarłem do wody i ich nie wytopiłem. Widziałem innych z mojego plemienia umierających po takim ataku albo umierających z głodu, gdy już starli ostatni garnitur zębów, lub od kłów drapieźników, kiedy położyli się będąc zbyt słabi lub zbyt zmęczeni, żeby się bronić. Wiedziałem jednak, że nie taki los mnie czeka.

Czas kładł się na mnie wielkim ciężarem i palił moje wnętrze, tak jak słońce paliło grzbiet, gnając mnie na południe. Lwica pożywiająca się padliną kozła warknęła na mnie gotowa bronić swej zdobyczy. Uniosłem trąbę i ryknąłem na nią. Uciekła i nie odważyła się warczeć więcej, kiedy ją mijalem. Krokodyl zaatakował moją nogę, kiedy przekraczałem płytki strumień. Uniosłem go i rozerwałem na pół. Stado antylop impala zastąpiło mi drogę. Ruszyłem w ich kierunku egzekwując moje prawa, pierzchnęły w przerażeniu.

Mój humor i nastrój stawały się coraz gorsze, w miarę jak zmuszałem swoje stare ciało do dalszej wędrówki. Nie cierpiałem w milczeniu. Przerywałem afrykańską ciszę przenikliwymi okrzykami gniewu, ostrzegając ludzi i zwierzęta, by schodzili mi z drogi, gdy tak szedłem na spotkanie z przeznaczeniem.

* * *

Muzeum Starożytności Afrykańskich było wspaniałym budynkiem. Jego nazwa jednak wprowadzała w błąd. Po pierwsze, eksponaty pochodziły jedynie z trzystuletniego okresu 1780-2080, a po drugie, nie reprezentowały one Afryki czy nawet Afryki Wschodniej, a dotyczyły jedynie Kenii. Tego rodzaju zbiory bowiem były właściwe dla instytucji, która została przeniesiona w całości z Nairobi do nowego budynku z marmuru i szkła na nowo skolonizowanej planecie New Kenya.

Planeta była światem wszelkiej obfitości, pełnym życia, poprzecinanym setkami rzek niosących kryształowo-czyste wody, o żyznych glebach, światem oddanym przeludnionej Kenii przez Republikę tuż po rozpoczęciu się Ery Galaktycznej w XXX w. po narodzeniu Chrystusa. Było wiele głosów za tym, żeby stolicę nazwać New Nairobi, ale w końcu wybrano nazwę Kenyatta City dla uczczenia Mzee, czyli Mądrego Starca, który poprowadził Kenię ku niepodległości wyzwalając kraj spod brytyjskiego panowania. Kenyatta City liczyło obecnie pół miliona mieszkańców. Dalszy milion mieszkał w ośrodkach New Mombasa, Little Naivasha, Nyerere City i Kericho Town, a pozostałe dwieście pięćdziesiąt tysięcy mieszkało i pracowało w gospodarstwach rolnych, których ambicją było otoczyć równik planety pasmem pól uprawnych.

Jak wszystkie kolonizowane z powodzeniem planety, New Kenya przeżyła niewielkie adaptacje geotechniczne, większe napływy ludności i poważne zmiany polityczne, kiedy stawała się członkiem młodej, ale potężnej Republiki. Zakażenia nieznanymi bakteriami zostały zwalczone nowymi środkami farmakologicznymi, problemy z nowymi warunkami glebowymi zostały rozwiązane poprzez utworzenie innych odmian hybrydowych, nowe obowiązki wynikające z członkostwa w

społeczności galaktycznej zostały podjęte przez nowe ministerstwa, a nowe długi spłacone gotówką pochodzącą z nowych źródeł podatkowych. Kiedy opodatkowanie osiągnęło poziom, którego rząd nie odważył się przekroczyć, zaciśnięto pasa i obcięto wydatki. Do takich wydatków należał budżet Muzeum Starożytności Afrykańskich.

- Sytuacja wygląda następująco - oznajmił swoim pracownikom Joshua Kijano, Główny Kustosz Muzeum. Muzeum będzie czynne tylko przez trzy godziny dziennie i przez cztery dni w tygodniu. Nasze służby konserwatorskie i ochrona zostały zmniejszone o połowę. Cały personel Muzeum zgodził się na obniżkę płac o piętnaście procent. Płace będą zamrożone na tym poziomie. Nie przewiduje się jednak zwwyżki kosztów utrzymania w najbliższym czasie. Zrozumiem, jeżeli ktokolwiek z was uzna, że nie może przyjąć takich warunków. Przy rozwiązywaniu umowy o pracę będę gotów wystawić mu jak najlepszą opinię - przerwał i spojrzał na sześciu najstarszych pracowników. - Wszyscy spodziewaliśmy się tego. Przypuszczam, że będziecie chcieli mieć trochę czasu na zastanowienie się. Będę w biurze do końca dnia, a także jutro rano.

Spojrzał na pulchną, siwowłosą kobietę.

- Esther, chciałbym, żebyś została chwilę po naszym zebraniu.

Wszyscy wyszli dyskutując między sobą przyciszonymi, zmartwionymi głosami. Esther Kamau została w niezwykle uporządkowanym biurze Kijano. Na ścianach jak zawsze wisiały dyplomy i listy gratulacyjne, brakowało jednak mnóstwa drobiazgów i eksponatów, którymi przepełnione było zazwyczaj biuro kustosza.

- Usiądź, Esther - powiedział siadając na swoim fotelu za lśniącym, wypolerowanym biurkiem.

- Czy naprawdę jest tak źle, Joshua? - spytała i usiadła na przeciw niego.

- Jest okropnie - odpowiedział. - Ile to lat razem poświęciliśmy pracy w tym muzeum. Siedemdziesiąt pięć, a może osiemdziesiąt?

- Osiemdziesiąt trzy. Teraz chcą je wykończyć?

- Nie wszystko.

- Ale te najważniejsze części?

- Wszystkie są ważne.

- Te części, dla których poświęciliśmy nasze życie?

Skinął głową.

- Wiesz na pewno, że złożono nam ofertę na kolekcję motyli.

- Na Ziemi potrzeba było pięciuset lat, żeby ją stworzyć - powiedziała. - Czy to dla nich nic nie znaczy?

- Wygląda na to, że nic - odpowiedziała. - W każdym razie Muzeum Historii Naturalnej na Far London złożyło bardzo atrakcyjną ofertę.

- Bardzo trudno wycenić kolekcję motyli. Jest to największa kolekcja tego rodzaju, jaka kiedykolwiek powstała.

- Nie wyceniliśmy jej. To oni ją wycenili i skierowali swoją ofertę bezpośrednio do rządu.

- Nie są głupi. Wiedzą, że odrzuciliśmy ją.

- Wiedzą również, że jakiś mały biurokracina dostrzeże nagle w muzeum nowe źródło dochodów - odpowiedział Kijano.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę.

- Właśnie przeciwko temu walczyłem przez ostatnie dwa tygodnie.

- Myślałam, że walczyłeś o nasz budżet.

Pokręcił ponuro głową.

- Tak mówiłem. W rzeczywistości przegrałem tę walkę w ciągu pierwszych dwudziestu minut. Walczyłem o istnienie muzeum.

- I?

- Osiągnęliśmy kompromis.

- Motyle?

- Motyle to tylko początek - powiedział gorzko.

- Zatem co? - dopytywała się z niepokojem.

- Uzgodniliśmy, że wszystkie wydziały związane ze spuścizną kulturalną New Kenya pozostaną nietknięte.

Chciałbym cię ostrzec, zanim podejmiesz jakieś decyzje odnośnie do pozostania na stanowisku kustosa wydziału zoologicznego, że nie udało mi się wybronić twojego wydziału.

- Wiedziałam - powiedziała bezbarwnym głosem.

- W proteście złożyłem rezygnację. Odchodzę za dwa tygodnie. Może zrobisz to samo? W Republice jest wiele muzeów, które chętnie zatrudnią kustosy z takim doświadczeniem.

- Mam pozwolić jakiemuś biurokracie, który nie odróżnia ssaka od gada na zniszczenie czegoś, czego utworzenie zajęło mi całe życie? Wydział zoologiczny jest taką samą częścią naszej spuścizny kulturalnej, jak dzieła sztuki czy stroje plemienne. Współzycie z tym światem zwierzęcym uczyniło z nas to, czym jesteśmy!

Kijano westchnął ciężko.

- Ty o tym wiesz i wiem o tym ja. Nie mogłem jednak nakłonić rządu, żeby myślał tak samo.

Nerwowo splatał i rozplatał palce.

- Oni uważają, że inne departamenty przedstawiają historię i spuściznę kulturalną ludzi żyjących na New Kenya, podczas gdy wydział zoologiczny posiada eksponaty, które byłyby bardziej właściwe w muzeach historii naturalnej na Ziemi.

- Ależ to śmieszne!

- Wiem - powiedział ze znużeniem. - Byli jednak zdecydowani i tak coś sprzedać. Robiłem co mogłem.

- Czy oni nie rozumieją, że tych eksponatów nie da się niczym zastąpić? - zapytała Esther Kamau gniewnie. - Jak się raz sprzeda kolekcję motyli czy muszli, nigdy się już ich nie da odtworzyć.

- Oczywiście, że wiedzą - odpowiedział Kijano. - Jest jednak różnica pomiędzy wiedzą, a postępowaniem. To są politycy. Obecnie przejmują się jedynie dwudziestodziecioprocentową inflacją i słabnącą pozycją szylinga w stosunku do kredytów republikańskich.

- Stan gospodarki poprawi się i tak, niezależnie od tego, czy sprzedamy bezcenną kolekcję eksponatów, które powstały w ciągu tysiącleci.

- Ich nie obchodzi, jak będzie wyglądała gospodarka za pięć czy dziesięć lat - wyjaśniał cierpliwie. - Przecież wybory odbędą się już za rok lub dwa.

- Jedna kolekcja motyli nie rozwiąże ich problemów - powiedziała z uporem.

- Mówimy o czymś więcej niż kolekcja motyli - powiedział.

- Czy pozostanie cokolwiek, jak już skończą z tymi aukcjami?

- Mam nadzieję, że tak. Pozwolono zatrzymać nam kilka najważniejszych eksponatów. Bongo i okapi. Ahmed z Marsabit, rekordowy sandacz nilowy, ostatnia impala, ostatni gepart...

- Mamy ponad sześć tysięcy eksponatów, a ty mi mówisz, że zatrzymanie sześciu to kompromis?

- Nie. Kompromisem jest utrzymanie pozostałych pięciu wydziałów nienaruszonych.

- To jest wstrętne!

- Ja też tak uważam. Ale mogło być gorzej.

Zastanawiała się chwilę nad możliwymi rozwiązaniami.

- Czy nie moglibyśmy przeciągnąć prasy na naszą stronę?

- Już próbowałem. Sieci telewizyjne tą sprawą się nie interesują.

Te wydawnictwa, które gotowe są zaangażować się, docierają może do dwóch procent ludności, a oni i tak są po naszej stronie.

- Nie działałeś zbyt zdecydowanie - powiedziała oskarżycielsko.

- Jesteś niesprawiedliwa, Esther - odparł Kijano. - Martwisz się przede wszystkim swoim wydziałem. Ja walczyłem o całe muzeum.

- Przepraszam - powiedziała łagodniej. - Wiem, że zrobiłeś wszystko, co mogłeś. To jednak nie wystarcza. Musimy coś wymyślić. Nie możemy dopuścić do tego, żeby grupka zapartrzonych w siebie, krótkowzrocznych, ignoranckich i nienormalnych polityków doprowadziła do zniszczenia kolekcji, na którą złożyło się piętnaście wieków historii.

- Nie można już nic zrobić - powiedział bezradnie.

- Zawsze coś można zrobić.

- Nie mogę pozwolić na to, żebyś zrobiła coś, co mogłoby zagrozić pozostałym wydziałom muzeum - ostrzegł Kijano.

Patrzyła na niego przez dłuższy czas.

- Jesteś kochany, Joshua, ale strasznie naiwny - stwierdziła w końcu. - Czy nie zdajesz sobie sprawy, że jeżeli pozwoliłeś na jedno, to następne wydziały spotka później to samo? Masz drogie kamienie, warte miliony szylingów. Jak długo, twoim

zdaniem, będziesz je mógł zatrzymać, gdy już zabraknie muszli i wypchanych lwów?

- Mam zapewnienia... - zaczął.

Parsknęła pogardliwie.

- Jak wiele będą warte ich zapewnienia, gdy już zdziesiątkują wydział zoologiczny?

- Niewiele - przyznał. - Dlatego właśnie złożyłem rezygnację. Zbyt dużą część życia poświęciłem na tworzenie tego muzeum, żeby teraz patrzeć, jak rozprzedają je sztuka po sztuce. A ty nie chcesz zrezygnować? - zapytał po chwili przerwy.

Potrząsnęła głową przecząco.

- Wszyscy nie możemy uciec, bo nie zostanie nikt, kto chciałby walczyć o muzeum. Trzeba im przeszkodzić.

- Oni, to władza. Nie można im przeszkodzić.

- Można przynajmniej spróbować - powiedziała.

Zarząd Muzeum, w skład którego wchodziło wiele osób piastujących stanowiska polityczne, odmówił przyjęcia rezygnacji Joshuy Kijano i nalegał, aby pozostał do końca okresu objętego umową i nadzorował sprzedaż eksponatów wydziału zoologicznego. Kijano zaskarżył tę decyzję do sądu, przegrał i z niechęcią pozostał na stanowisku jeszcze przez czternaście miesięcy, pozostających do zakończenia okresu objętego kontraktem.

Kolekcja motyli poszła na pierwszy ogień. Kontrakt został zawarty i Esther Kamau niewiele mogła zrobić.

Później rozpoczęła się akcja opóźniająca, wojna na przetrwanie w nadziei, że sytuacja gospodarcza ulegnie poprawie zanim nastąpi ostateczna rozgrywka.

Muzeum na Binder ze X zainteresowane było kolekcją zwierząt z równin. Poprzez pośredników Esther skontaktowała się ze swoim odpowiednikiem i wyjaśniła sytuację. Udało

się jej ocalić bawoły i drapieżniki. Sprzedała jedynie gazele i antylopy.

Uniwersytet na Syriuszu V chciał uzyskać skamieliny z Jeziora Turkana. Sfałszowała wykaz i zatrzymała dziewiętnaście najwspanialszych okazów, odwołując wysyłkę pozostałych dwustu trzydziestu sześciu jak długo tylko mogła.

Kolekcja muszli obejmująca około 18 000 sztuk była następna na liście. Oferty napłynęły z Greenveltd i z Polluxa IV. Na Greenveld miała wyrozumiałego przyjaciela. Przyjęła ofertę Greenveltd Muzeum i w porozumieniu z przyjacielem zatrzymała dwieście najrzadszych okazów.

Gregory Rousseau, gubernator Daedalusa II, milioner, który zbił fortunę na budowie statków kosmicznych dla wojska i spędzał większość czasu na polowaniach na Wewnętrznym Pograniczu, wyraził chęć zakupu kłów sławnego słonia Kilimandżaro do swojej prywatnej kolekcji.

Odczekała dwa tygodnie, a następnie przekazała mu wiadomość, wyjaśniając, że kły nie znajdowały się wśród eksponatów przeznaczonych na sprzedaż.

Kiedy nie było żadnej reakcji, myślała, że sprawa ucichła. W miesiąc później została wezwana do biura Joshuy Kijano.

Począł, aż usiadła, a następnie wydobył prywatny list od Rousseau i podał jej przez biurko. Rzuciła na niego okiem, westchnęła i

odłożyła list z powrotem.

- Czy poinformowałaś Gubernatora Rousseau, że kły słonia Kilimandżaro nie są na sprzedaż? - zapytał.

- Tak.

- Przecież masz spis eksponatów, które zatrzymujemy, uzgodniony z władzami, a na niej kłów nie ma.

- To specjalny przypadek - odparła. - Kły słonia Kilimanżaro są nie tylko największym tego rodzaju trofeum, jakie kiedykolwiek zdobyto, ale mają również historyczne znaczenie.

- Jakie znaczenie?

- Były jednym z głównych tematów kampanii prezydenckiej w Kenii w 2057 roku.

- Tak? - powiedział zaskoczony. - Nic o tym nie wiedziałem.

- Pozwól zatem, że polecę ci parę historycznych książek i taśm. Jest to jeden z najważniejszych eksponatów, jakie posiada muzeum.

- Chciałbym przejrzeć te książki - powiedział z zainteresowaniem. - Jeżeli to, co mówisz, jest prawdziwe, mogę wystąpić do władz o zatrzymanie kłów.

Nagle entuzjazm zniknął z jego twarzy.

- Czym się martwisz, Joshua?

- Władze nigdy się na to nie zgodzą - powiedział z westchnieniem. - Gubernator Rousseau zaoferował trzysta tysięcy kredytów. To ponad dwa miliony szylingów!

- Mieliśmy sprzedawać nasze zbiory muzeum po to, żeby zawsze były dostępne dla szerokiej publiczności. Ten człowiek nawet nie jest Kenijczykiem i chce te kły do zbiorów prywatnych.

- To rządu nie przekona. Jak tylko usłyszą o tych trzystu tysiącach kredytów, rzucają się na tę ofertę.

- Za tę sumę możemy sprzedać mu jednego z naszych nosorożców.

- On nie chce nosorożca - odparł Kijano. - On chce kły. Stwierdził to jednoznacznie.

- Jeżeli chce kły, to niech potroi ofertę i zabierze Ahmeda. Kły słonia Kilimandżaro muszą pozostać tutaj.

- Ahmed z Mersabitu jest najślawniejszym słoniem w naszej historii - odparł Kijano. - Było to jedyne zwierzę chronione dekretem

prezydenckim i w dodatku dekretem nie było jakiego prezydenta, ale samego Mzee. Rząd już zgodził się go zatrzymać.

- Kły słonia Kilimandżaro są ważniejsze - upierała się.

- Ale nie ma ich na liście.

- Nic mnie ta lista nie obchodzi! Jestem kustoszem wydziału zoologicznego i twierdzę, że kły są najważniejszym eksponatem, jaki posiadamy.

Patrzył na nią przez chwilę. Ciężko westchnął.

- Esther, jeżeli odmówię, zwróci się bezpośrednio do rządu, a oni zaakceptują jego ofertę. Odmowa tylko odwlecze sprawę.

- A zatem odwlekajmy. Cóż mogą ci zrobić? Wyrzucą cię? Chciałeś już odejść, ale oni się na to nie zgodzili.

- Masz rację. - Uśmiechnął się. - Na pewno zwróci się do władz, jak mu odmówimy. Jest ostatecznie gubernatorem i ma wysoko postawionych przyjaciół.

- Jestem pewna, że tak zrobi - odparła. - Ale ani ty, ani ja nie stanowimy armii. Możemy walczyć tylko takimi środkami, jakie posiadamy.

Trzy tygodnie później osobisty przedstawiciel Rousseau złożył wizytę władzom New Kenya. Dokonano płatności. Esther Kamau po dłuższych przemyśleniach opanowała swój żal i gniew i wybrała swoje ostatnie pole bitwy.

Siedemnaście dni później komputer Esther Kamau dał sygnał zwiastujący rozmowę. Podniosła głowę znad zarzuconego papierami biurka.

- Tak?

- Tu Joshua. Przyjechał.

- Kto?

- Gubernator Rousseau - Kijano urwał zakłopotany. - Jeżeli będzie to dla ciebie zbyt przykre, ja mogę zaprowadzić go do kłów.

- Nie - powiedziała wstając. - Spotkamy się przy kłach.

Przeszła przez opustoszałe korytarze mijając puste gabloty i postumenty i w końcu weszła do niewielkiego pokoju, w którym mieściły się dwie kolumny z kości słoniowej w dużej, szklanej gablocie.

Kijano przyszedł kilka minut później. Towarzyszył mu wysoki,

opalony, muskularny mężczyzna w średnim wieku, z bujną czupryną siwych włosów. Czterech młodych mężczyzn szło za nimi w pewnej odległości.

- Esther - powiedział Kijano - to jest gubernator Gregory Rousseau z Daedalus II.

- Wiem - powiedziała ignorując wyciągniętą rękę gubernatora i patrząc na niego z uwagą.

- Czy coś jest nie w porządku? - zapytał Rousseau.

- Chciałam zobaczyć, jacy to ludzie kupują trofea zdobyte przez innych myśliwych - odpowiedziała bez ogródek.

- Nie jestem tylko myśliwym - odparł Rousseau gładko. - Jestem także kolekcjonerem. Zdaję sobie sprawę, że sprzedaje pani te kły z przykrością - dodał po chwili przerwy - ale chciałem panią zapewnić, że będą chronione przez najlepsze systemy zabezpieczające, jakie tylko można zdobyć.

- Jestem tego pewna. Jestem również pewna, że oprócz pana i pańskich przyjaciół nikt ich już nie zobaczy.

- Od czasu do czasu udostępniam moją wiejską rezydencję publiczności.

- Nasze muzeum jest otwarte dla publiczności codziennie.

- Wasza publiczność bardziej przejmuje się długiem narodowym niż skarbami narodowymi - zauważył z uśmiechem.

- Proszę mi wierzyć, że wszystkie zainteresowane strony dobrze na tym wyjdą.

- Nie wierzę panu, panie gubernatorze.

Chciał coś odpowiedzieć, ale tylko wzruszył ramionami i zwrócił się pytająco do Kijano.

- Gubernator przyprowadził ludzi, żeby przewieźli kły na jego prywatny statek - poinformował ją Kijano.

- Przemysłałam sprawę jeszcze raz - powiedziała Esther - i nie mogę się na to zgodzić.

- Co takiego? - zdziwił się Rousseau.

- Kryzys gospodarczy to zjawisko przejściowe - powiedziała powoli. - Kły słonia Kilimandżaro to zjawisko ponadczasowe. Przykro mi, że występuje pan tu w roli czarnego charakteru, ale ja poświęciłam całe swoje życie na udostępnianie eksponatów publiczności. Robiłam to w przekonaniu, że jeżeli raz zostaną utracone, to nie będzie ich można ani odzyskać, ani odtworzyć, i nie mogę dopuścić do sytuacji, kiedy to jakaś beznadziejnie głupia decyzja polityczna pozbawia nas najcenniejszych zabytków.

- Nie jestem pewien, czy pani dobrze rozumie sytuację - odrzekł na to Rousseau. - Podzielałam pani punkt widzenia, ale w tej chwili kły są moje. Płatność została dokonana.

- A zatem błagam pana, człowieka, który spędził większość życia w służbie publicznej, aby jeszcze raz przysłużył się społeczeństwu i darował je muzeum - powiedziała Esther.

- To nie wchodzi w rachubę - powiedział otwarcie. - Zapłaciłem za nie. Są moje. Przyjechałem tu po to, żeby je zabrać na Daedalus.

- Nigdzie nie pojedą - odpowiedziała spokojnie.

- O czym pani mówi? - zaprotestował Rousseau.

- Esther, co tu się dzieje? - włączył się Kijano z bardzo zmartwioną miną.

- Joshua - powiedziała zwracając się do niego - trzeba z tym skończyć. Nie możemy dopuścić do tego, żeby zniszczono to, co było budowane przez tysiąc pięćset lat.

- To wygląda zupełnie jak pogróżka - powiedział Rousseau.

Nie był już ani rozbawiony, ani wyrozumiął.

- Bo to jest pogróżka, panie gubernatorze - odparła.

- I w jaki sposób jedna nieuzbrojona kobieta ma zamiar przeszkodzić mojej ekipie w wywiezieniu kłów? - zapytał.

- Jedna nieuzbrojona kobieta pewnie by was nie mogła zatrzymać - powiedziała Esther. - Dlatego właśnie umieściłam ładunek wybuchowy pod jednym z kłów. Jeżeli ktokolwiek go dotknie, zniszczy to skrzydło muzeum i wszystko, co jest w środku.

- Pod którym? - zapytał Rousseau.

- Tego panu nie powiem.

- Ależ to bzdura - warknął Rousseau. - Sprowadzę grupę specjalistów, która usunie ładunek i jednym skutkiem tego będzie to, że spędzi pani kilka następnych lat w więzieniu.

- To bardzo czułe urządzenie - powiedziała spokojnie. - Najmniejszy wstrząs uruchomi zapalnik.

Rousseau zwrócił się ponownie do Kijano:

- Czy ona mówi prawdę?

- Nie mam pojęcia - przyznał Kijano.

- A jak myślisz?

- Myślę - powiedział Kijano, zastanawiając się nad odpowiedzią - że nie chciałbym być w budynku muzeum, jeżeli zdecyduje się pan zabrać kły.

Rousseau polecił swoim ludziom, aby poczekać na zewnątrz, a następnie znowu zwrócił się do Esther Kamau.

- Dobrze - powiedział. - Czego pani chce? Więcej pieniędzy?

- Gdybym chciała pieniędzy, pańska oferta byłaby zupełnie wystarczająca.

- A więc, czego pani chce?

- Może raczej powinnam powiedzieć panu, czego nie chcę.

- Proszę.

- To muzeum - nie budynek, który jest nowy, ale eksponaty, które są starożytne - to całe moje życie. Prawie dwa tysiące oddanych naukowców poświęciło życie dla tego muzeum w ciągu ostatnich tysiąca pięciuset lat. Robili to dla sławy i z nieprzepartej ciekawości, ale robili to także dla ludu Kenii, a teraz my kontynuujemy ich pracę dla ludności New Kenya. To jest nasza historia, nasza przeszłość. To wszystko, co mamy i wszystko, czym jesteśmy, i to należy do wszystkich. Nie chcę i nie mogę pozwolić na zubożanie muzeum dzień po dniu. Wolałabym już raczej zniszczyć je w jednej chwili.

- Ale przecież sprzedaż eksponatów jest lepsza od ich zniszczenia - powiedział Rousseau. - Jestem gotów podpisać porozumienie zapewniające wam prawo pierwokupu, jeżeli ja lub moi spadkobiercy zdecydują się je sprzedać. Jestem pewien, że inni nabywcy będą gotowi zrobić to samo.

- Cóż dobrego może wyniknąć z takiego porozumienia, jeżeli eksponaty zostaną rozrzucone na przestrzeni dwustu ty-

sięcy lat świetlnych. Niektóre z nich mogą nie trafić na rynek jeszcze przez tysiące lat.

- Porozumienie otwiera przynajmniej możliwość naprawy tego, co uważa pani za fatalny błąd popełniony przez władze - powiedział

Rousseau. - Zniszczenie kłów i innych eksponatów takiej możliwości nie stwarza.

- Jest trzecia możliwość.

- Jaka?

- Niech kły zostaną tu, gdzie ich miejsce.

Potrząsnął głową, nie bez współczucia.

- Nie mogę pozwolić, żeby pani mnie szantażowała.

- To proszę wysłuchać tego, co mam do powiedzenia o muzeum, a nie o ładunku wybuchowym i niech pan pozwoli się przekonać.

- Niech pani rozbroi ładunek, to porozmawiamy.

- Nie ufam panu, panie gubernatorze.

- Że panią wysłucham?

- Że podejmie pan właściwą decyzję po wysłuchaniu.

Umilkł na chwilę patrząc na dwie kolumny z kości słoniowej, a potem odwrócił się do niej.

- Dlaczego kły? - zapytał wreszcie.

- Nie rozumiem pana.

- Wiem, że sprzedała pani większość wypchanych zwierząt oraz kolekcje motyli i muszli. Co jest w tych kłach takiego, że musiała pani zająć takie stanowisko?

- Przedstawiają sobą wszystko, co uczyniło Kenię wielką.

- Co pani przez to rozumie? Zdaję sobie sprawę, że nie znam dokładnie ich historii, ale przypuszczam, że stanowią trofeum wyprawy myśliwskiej.

Potrząsnęła przecząco głową, patrząc na kły.

- One, to Kenia - powiedziała z przejęciem. - Kenia to dzieki zwierzęta, a kły należały do największego zwierzęcia ze wszystkich. Kenia była centrum handlu kością słoniową, a one były sprzedane na aukcji. Kenia była kolonią i uzyskała niepodległość od Wielkiej Brytanii. One były ostatnim symbolem brytyjskiego kolonializmu. Kenia wydała wielkich ludzi, a kły były potrzebne jednemu z największych, Jacobowi Thiku, aby dokończyć dzieło, które rozpoczął. Kenia sięgnęła do gwiazd, a one odbyły podróż wraz z nami. Kenia to mikrokosmos ewolucji człowieka od plemion prymitywnych po mieszkańców miast i podróżników międzygwiazdnych, a one przetrwały wszystkie te epoki.

Są uosobieniem historii Kenii.

Przerwała i popatrzyła na niego.

- Są uosobieniem wszystkiego, czym jesteśmy.

- Rozumiem - powiedział Rousseau patrząc na nią uważnie. - One muszą mieć dla pani ogromne znaczenie.

- Dla wszystkich Kenijczyków - poprawiła go.

- Ale szczególnie dla kustosza.

- Moim zadaniem jest chronić je - powiedziała. - Dlatego nie mogę pozwolić, żeby pan je zabrał ze sobą. Czy teraz pan mnie rozumie?

Uśmiechnął się do niej.

- Tak - powiedział. - Rozumiem całkowicie.

Zwrócił się do Kijano.

- Czy ma pan klucze od gabloty?

- Nie ma kluczy - wyjaśnił Kijano. - Reaguje na linie papierne wyższego personelu.

- Niech pan otworzy.

- Ale ładunek...

- Nie ma żadnego ładunku - powiedział Rousseau z dużą pewnością.

Kijano podszedł ostrożnie do gabloty i dotknął kciukiem oka skanera. Szklane drzwi otworzyły się.

Rousseau podszedł również i dotknął kłów jednego po drugim. Następnie zwrócił się do Esther Kamau.

- Nie wniosę oskarżenia przeciwko pani - powiedział. - Byłoby to jak wsadzenie do więzienia księdza za to, że chronił Świętego Graala.

Wyszedł z pokoju, aby wezwać swoich ludzi, a Esther po chwili ciszy zwróciła się do starego przyjaciela.

- Przykro mi, Joshua - powiedziała. - Ale musiałam spróbować.

- Wiem - odparł Kijano.

- Nie mogłam się jednak na to zdobyć.

- Nigdy cię o to nie podejrzewałem - powiedział łagodnie.

Muzeum Starożytności Afrykańskich sprzedało swój ostatni eksponat - ręcznie wykonaną włócznię plemienia Nandi w niecały rok później.

Esther Kamau nie była świadkiem tego wydarzenia. Umarła siedem miesięcy wcześniej z powodów, których lekarze nie potrafili wyjaśnić. Po prostu brak chęci do życia. Joshua Kijano złożył wniosek o wystawienie na koszt państwa niewielkiego pomnika na jej grobie. Wniosku nie rozpatrzono przez sześć lat. Kiedy wreszcie wniosek stanął na porządku dziennym, Kijano również już nie żył i nikt nie potrafił powiedzieć, czym Esther Kamau zasłużyła sobie na to, żeby państwo łożyło na nią. O wniosku wkrótce zapomniano, szczególnie, że rząd ogłosił, iż program oszczędnościowy był na tyle skuteczny, że gospodarka osiągnęła stan stagnacji i eksperci gwałtownie poszukiwali sposobów jej ożywienia.

Muzeum, które stało puste prawie przez pięć lat, zostało poddane renowacji i w kilka miesięcy później ulokowało się w nim Biuro Rozwoju Gospodarczego. Każdy członek rządu New Kenya był dumny z faktu, że znaleziono w końcu właściwe zastosowanie dla starego, zniszczonego budynku, który przetrwał dłużej niż cel, dla którego był wzniesiony.

SZÓSTE INTERLUDIUM (ROK 6303 ERY GALAKTYCZNEJ)

Kryształ komputera pociemniał i Mandaka spojrzał na mnie.

- Zaspokoił pan swoją ciekawość? - zapytał.

- Tymczasem tak - odparłem.

- Cała ironia tego faktu polega na tym, że jedyna obywatelka Kenii, która usiłowała ocalić kły, nawet nie należała do plemienia Masajów.

- Skąd pan wie?

- Kamau, to nazwisko należące do plemienia Kikuju - wyjaśnił Mandaka. - Także sam fakt, że zajmowała prestiżowe stanowisko kierownicze, wystarczy, żeby domyślić się, że nie była Masajką - dodał z goryczą.

- Czemu? - spytałem.

- Jest późno i chce mi się pić, panie Rojas - odpowiedział wstając i przeciągając się. - Myślę, że powinienem pójść do domu.

- Nie jestem wcale śpiący. Chętnie odprowadzę pana, jeżeli

mieszka pan w pobliżu.

- Nie mieszkam w pobliżu, ale jeżeli chce mi pan towarzyszyć...

- Chciałbym.

- I zobaczyć, jak żyje ostatni z Masajów? - zapytał rozba-
wiony.

- Przypuszczam, że tak jak każdy inny człowiek - zauważyłem.

- Ale ani przez chwilę pan w to nie wierzy, panie Rojas - powiedział Mandaka.

- Nie, nie wierzę - przyznałem.

- Znowu ta ciekawość - powiedział z niezachwianym spokojem. - Dobrze, panie Rojas. Pokażę panu coś, czego jeszcze nikt nie widział od czasu, kiedy osiedliłem się na tej planecie.

- Dziękuję panu.

Podszedł do drzwi, poczekał aż poleciał światłom przycisnąć i wyszedł do hallu, czekając cierpliwie dopóki nie prze-programuję systemu zabezpieczenia i zamka.

- Nie przypuszczam, żeby ochroniło to moje mieszkanie przed panem - zauważyłem. - Zawsze istnieje jednak możliwość, że ktoś pana obserwował. To przynajmniej zmusi go do dodatkowego wysiłku.

- Tym bym się nie przejmował, panie Rojas - powiedział Mandaka. - Nie ma pan tutaj nic, co by kogokolwiek znęciło.

Chciałem już udzielić mu gniewnej odpowiedzi, ale zdałem sobie sprawę, że miał zupełną rację. Nic więc nie powiedziałem, poprowadziłem go do szybu windowego i zjechaliśmy na parter. Portier Hesporyta został zastąpiony przez istotę rodzaju żeńskiego z Mendorian, podobną do kota o subtelnej muskulaturze i gładkim, żółtym futrze. Powiedziałem jej, że wrócę dopiero następnego wieczora, ponieważ zamierzałem udać się od Mandaki prosto do biura.

Wyszliśmy głównymi drzwiami i pojechaliśmy powolnym chodnikiem do najbliższego skrzyżowania, a następnie przeszliśmy na ekspresowy chodnik wiodący na zachód. Przewiózł nas przez miasto do zachodniej dzielnicy w niecałe pięć minut. Przesiedliśmy się na jeszcze trzy chodniki lokalne i znaleźli-

śmy się w końcu przed wysokim budynkiem ze szkła i chromu, lśniącym w świetle księżyca.

- Moja skromna chatka kryta strzechą - oznajmił Mandaka z uśmiechem.

Przeszliśmy przez wyszukane urządzenia zabezpieczające na parterze i skierowaliśmy się ku lewej stronie hallu, ruszając prywatną windą na najwyższe piętro. Na siedemdziesiątym ósmym piętrze wyszliśmy na długi, wyłożony dywanem korytarz, rozjaśniony światłem padającym z niewidocznego źródła. Skręciliśmy w prawo i zatrzymaliśmy się przed pierwszymi drzwiami.

Mandaka wymamrotał coś w nie znanym mi języku, poczekał, aż system zabezpieczający zidentyfikuje jego siatkówkę oraz układ kostny, i przyłożył dłoń do sensora, po czym drzwi zniknęły na chwilę, żeby nas wpuścić do środka, a następnie zamknęły się cicho za nami.

- Światło - poleciał Mandaka i nagle całe mieszkanie rozjaśniło się.

Stwierdziłem, że stoję na podwórzu otoczonym ze wszystkich stron potężnym płotem z kolczastych krzewów. Po prawej stronie stała chatka kryta strzechą. Jej ściany wydawały się zrobione z wyschniętego błota. Tam, gdzie powinny być białe, lśniące ściany, rozpościerał się widok pustej, spalonej słońcem sawanny.

Poszedłem za nim przez podwórze do wnętrza chaty. Tam, gdzie powinny być meble, leżały tylko trzy prymitywne maty. Na środku chaty płonął ogień, ale nie dawał ciepła, co wszystko mi wyjaśniło.

- Hologram? - spytałem.

Mandaka potwierdził.

- Tak. W rzeczywistości stoi pan na dywanie. Jestem pewien, że administracja nie byłaby zachwycona chatką z bydłych odchodów. Wybrałem właśnie to mieszkanie, ponieważ ma sufit na wysokości dwudziestu stóp, co stwarza więcej miejsca na projekcje. Muszę się przebrać. Za chwilę wrócę.

Zniżył głowę i wyszedł przez drzwi stworzonej przez sztukę optyczną chatki, chociaż mógł przejść wyprostowany. Czekając na niego badałem otoczenie. O ścianę oparte były dwie długie dzidy. Ich metalowe ostrza były prawie tak długie, jak drewniane drzewce. Ostrożnie dotknąłem jednej z nich i stwierdziłem, że była prawdziwa. Zdawało mi się, że słyszę beczenie jakiegoś małego zwierzęcia, nie wiedziałem jednak, skąd dochodził głos. Zdecydowałem, że to również, była część złudzenia. Garnek zawierający jakieś jarzyny wisiał nad ogniem. Jednak to też było złudzenie.

- Witam w moim domu, panie Rojas - rzekł Mandaka wracając do chaty.

Zdjął ubranie i odziany był teraz w czerwoną, luźną szatę zwieszającą się z lewego ramienia i sięgającą nieco poniżej kolan. W jednej ręce trzymał starą tykwę wypełnioną mlekiem, którą podniósł do ust, a po wypiciu kilku łyków postawił starannie na podłodze.

- To jest... niezwykle - powiedziałem.

- Jestem ostatnim z Masajów - odparł siadając ze skrzyżowanymi nogami przy ogniu. - Nie ma już nikogo, kto znałby i przestrzegał dawnych zwyczajów.

- Nie robi pan tego, żeby wyrzucić na mnie wrażenie. Pan rzeczywiście tak żyje - stwierdziłem zadziwiony.

- Przestrzegam wszystkich starych zwyczajów, które nie doprowadziłyby do konfliktu z władzami - odpowiedział. - Oznacza to, że nie zabijam kóz, by odczytać z ich wnętrzości

przyszłość. Nie udowodniłem również swej męskości, zabijając dzidą lwa.

- To byłaby sztuka - powiedziałem. - Ostatniego lwa zabito w roku 2088 po narodzeniu Chrystusa.

- Prawda! Jest pan przecież ekspertem od Wilforda Braxtona! - powiedział ze śmiechem.

- Masajowie oceniali również swoje bogactwo liczbą posiadanych bydła - ciągnąłem dalej. - Nie widzę jednak holograficznego bydła przed chatą.

- To dlatego, że moje bydło jest prawdziwe, panie Rojas - odparł Mandaka. - Posiadam hodowlę bydła na jedenastu planetach. Tak właśnie zdobyłem majątek.

- Przypuszczam, że inne pokoje są też podobnym odzwierciedleniem dawnych czasów?

- Tak, z wyjątkiem mojego biura, z którego kontroluję transakcje kupna i sprzedaży bydła.

Zastanawiałem się jak sformułować następne pytanie, żeby nie wydało się nieuprzejme. Ponieważ nic nie mogłem wymyślić, wypaliłem wprost:

- Czy nie uznaje pan tego za niewygodne?

- Uważam to za konieczne, panie Rojas - odpowiedział z powagą. - Kiedy odejdę, nie będzie już nikogo, kto pamiętałby nasze tradycje i je kontynuował. Byliśmy dumnym plemieniem, panie Rojas. Gardziliśmy wszystkimi objawami zachodniej cywilizacji jeszcze długo po tym, jak inne plemiona ją przyswoiły. Żyliśmy w harmonii ze środowiskiem. Nikogo nie prosiliśmy o łaskę i nikt nam jej nie robił. Chcieliśmy tylko, żeby pozwolono nam żyć tak, jak żyliśmy zawsze...

Jego głos ucichł na chwilę. Wydawał się pogrążony w myślach.

- Czy wie pan, panie Rojas, że stosowaliśmy nawet ochronę środowiska wobec naszego bydła? Mieszaliśmy krew bydłą z mlekiem, ale nigdy bydła nie zabijaliśmy.

- Całe plemię żywiło się mlekiem i krwią? - spytałem zdziwiony.

- Przeważnie.

Przerwał. Zapatrzył się w jakiś punkt w przestrzeni, który tylko on mógł dostrzec, a migocący ogień rzucał dziwne cienie na jego ciemną twarz.

- Byliśmy kiedyś wielkim plemieniem. Wszyscy bali się naszych wojowników. Nasze kobiety były zawsze pożądane przez wojowników z innych plemion. Nasze ziemie były najżyźniejsze w całej Afryce Wschodniej. Mówiliśmy tylko naszym językiem i gardziliśmy językiem suahili i wszystkimi językami europejskimi.

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się gorzko.

- I wtedy przyszły zmiany. Były tak powolne, że nikt ich nie zauważył. Przegraliśmy bitwę z Lumbwa. Nie mogliśmy wygrać wojny z Nandi. Nasza młodzież zaczęła nosić koszule i spodnie. Chodzili raczej do szpitali niż do mundumugu, kiedy zachorowali. Nie minęło wiele czasu, i większość mówiła już językiem suahili, a nie masajskim. Pozostało nam zebranie o pieniądze od turystów, w zamian za wspólne zdjęcie, mimo to byliśmy liczniejsi niż w czasach naszej świetności.

Westchnął i ciągnął dalej prawie nieświadom mojej obecności:

- Kiedy przyszła pora niepodległości, oddano kraje takim ludziom, jak Kenyatta i Nyerere, którzy je wzięli, bo nie byli dość dumni, by odmówić. Kiedy człowiek opanował przestrzeń kosmiczną i skolonizował New Kenya, Uganda II i Nye-

rere, Masajowie pozostali bez ziemi, bez bydła, a nawet bez własnego języka.

Znów przerwał i zdawało się, że powraca do rzeczywistości.

- A teraz zostałem tylko ja, panie Rojas. Tylko ja, który mogę zbawić moje plemię.

- Jak?

- Jest coś, co muszę zrobić i co tylko ja mogę zrobić.

- I do tego potrzebuje pan kłów?

Skinął głową.

- Właśnie dlatego potrzebuję kłów.

- W jaki sposób kły mogą zbawić pańskie plemię?

- Powiem panu o tym, panie Rojas, jak już znajdzie pan kły, a ja wejdę w ich posiadanie.

- Trzymam pana za słowo.

- Mam nadzieję, że będę mógł dotrzymać słowa.

- Będzie pan mógł - zapewniłem go. - Nawet teraz, kiedy rozmawiamy, komputer poszukuje kłów.

- Wiem - powiedział z głębokim westchnieniem - ale nawet w tej chwili nie rozumie pan, jakie to ważne. Nigdy się nie ożenię, ani nie będę miał dzieci. Jeżeli nie odkupię mojego plemienia, nikt już tego nie zrobi.

- Dlaczego miałyby się pan nie ożenić? - zapytałem. - Wiem, że Masajowie porywali kobiety z innych plemion. Nie chodzi zatem o to, że musi pan znaleźć kobietę z plemienia Masajów.

- Od dwudziestego czwartego wieku po narodzeniu Chrystusa żaden z Masajów nie ożenił się poza swoim plemieniem - odpowiedział. - Przynajmniej tak sądzono. Myślę, że byli tacy, którzy znaleźli sobie partnerki, wbrew prawu, poza plemieniem Masajów.

- Ale przecież nigdy nie byli w sytuacji, że nie było w ogóle kobiet masajskich, spośród których można było wybierać. Ta zasada z pewnością nie może stosować się do ostatniego z Masajów.

- Nie stosuje się, panie Rojas - przyznał.

- A zatem, powtarzam moje pytanie. Dlaczego nie może się pan ożenić?

- Ponieważ nie jestem mężczyzną.

Patrzyłem na niego nic nie rozumiejąc.

- Nie rozumiem.

- Żaden chłopiec masajski nie może zostać wojownikiem, mężczyzną, dopóki nie zostanie obrzezany. Nie może zajmować miejsca wśród swych rówieśników, nie może udzielać rad starszym i nie może się ożenić.

Przerwał, żeby upewnić się, czy go rozumiem.

- Nigdy nie będę mógł przejść ceremonii obrzezania, panie Rojas. - Zgodnie z prawami mojego ludu jestem wciąż chłopcem.

- Obrzezanie to prosty zabieg. Każdy kompetentny lekarz może go wykonać.

- Z pewnością.

- To dlaczego nie podda się pan zabiegowi, żeby móc się ożenić i prowadzić normalne życie?

- Powiem panu, kiedy już znajdziemy kły - powiedział. - Mówiłem panu wcześniej, że nie są mi przeznaczone ani małżeństwo, ani rodzina. Chciałbym, żeby tak nie było, bo małżeństwo i rodzina sprawiłyby mi wielką radość. Muszę jednak pójść inną drogą.

- Jaką drogą?

Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę i po raz pierwszy jakieś uczucia odbiły się na jego kamiennej twarzy.

- Znacznie straszniejszą drogą, panie Rojas, niż pan może sobie wyobrazić.

Następnie maska aroganckiego Masaja powróciła na swoje miejsce. Zaoferował mi łyk mleka. Odczułem, że był to niezwykły gest, którego dokonywał rzadko, jeżeli w ogóle, więc przyjąłem tykwę.

Zanim podniosłem ją do ust, zjrzałem do jej ciemnego wnętrza.

- W porządku, panie Rojas - powiedział rozbawiony. - Nie ma w nim krwi.

Wypiłem duży łyk. Było to pierwsze mleko, jakie piłem od czasu, kiedy byłem chłopcem. Zwróciłem mu tykwę.

- Dziękuję, że napił się pan ze mną - powiedział szczerze. - Mam mnóstwo mleka i nie mam nikogo, kto chciałby je pić ze mną - dodał ze smutkiem.

Nagle podniósł się.

- Chodźmy, panie Rojas, pokażę panu resztę mojego mieszkania. Nigdy już więcej nie będzie siedziby masajskiej, więc może zaspokoi pan swoją ciekawość.

Wstałem i poszedłem za nim, instynktownie schylając głowę, żeby nie uderzyć się o framugę nie istniejących drzwi i w chwilę później znalazłem się w innym pokoju, również przypominającym wnętrze masajskiej chaty, ale znacznie większej.

Było tam kilka przybrań głowy z grzywy lwa, każde starannie wyeksponowane i zaopatrzone w tabliczkę z podpisem. Obok nich umieszczone były charakterystyczne włócznie, każda opatrzona znakiem właściciela.

- Wyglądają jak okazy muzealne - powiedziałem z podziwem.

- Żadne muzeum nie ma takiej kolekcji - odparł z nutką dumy w głosie. - To przybranie głowy należało do Neliona, od którego pochodzi nazwa najwyższego szczytu góry Kenya - powiedział wskazując na szczególnie okazały eksponat.

Przez następne kilka minut wyjaśniał mi historię każdego z eksponatów. Twarz jego płonęła takim ożywieniem, jakie dotąd widziałem tylko wtedy, kiedy rozmawiał o kłach. Wreszcie dotarliśmy do ostatniego stroju, mniej okazałego niż inne i wykonanego wyłącznie z suchych traw.

- A ten? - spytałem wskazując.

- To jest mój własny - odparł. - Nie ma już lwów na Ziemi, musiałem więc użyć takich surowców, jakie były pod ręką.

- Czy chce mi pan powiedzieć, że rzeczywiście mieszkali pan w takich warunkach - zapytałem z niedowierzaniem - że wyrósł pan w lepiance?

- To jest manyatta - odpowiedział. - Chata stanowi jedynie część całości. W skład takiej zagrody wchodzi jeszcze sąsiednie chaty, a wszystko otoczone jest płotem z kolczastych gałęzi.

- Jak to możliwe? Przecież władze na pewno nie pozwoliłyby panu żyć, przepraszam za wyrażenie, jak dzikus.

- Powiedziałem już panu. Ziemia jest prawie nie zamieszkała, a nieliczni przedstawiciele władz nie interesują się instruowaniem rodzin, żyjących wiele mil od najbliższego sąsiada w Kenii, jak mają mieszkać i odżywiać się. Miałem trzynaście lat, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem istotę ludzką, inną niż moi rodzice i dziadkowie.

- I nigdy pan nie widział i nie bawił się z innymi dziećmi?

- Nigdy.

- I żył pan tak, jak pańscy przodkowie?

- Przestrzegaliśmy ducha, ale nie litery - odpowiedział. - Jest faktem, że mieszkałem w szałasie z gliny i trzciny, ale mieliśmy też trzy komputery i chociaż nigdy nie chodziłem do szkoły, posiadam stopnie naukowe z ekonomii, handlu i historii Afryki.

- Rozumiem, dlaczego historia Afryki - powiedziałem. - Ale dlaczego dwie pozostałe specjalności?

- Ponieważ wiedziałem, że kiedyś będę musiał opuścić Ziemię, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście jestem ostatnim z Masajów. Jeżeli to by się potwierdziło, musiałbym poszukiwać kłów. Oba typy poszukiwań są bardzo kosztowne.

- I kiedy pan w końcu wyjechał?

- Dwadzieścia sześć lat temu, gdy zmarli moi rodzice.

- Nigdy już pan nie powrócił?

Potrząsnął przecząco głową.

- Jeszcze nie.

- Czy to znaczy, że zamierza pan kiedyś wrócić?

- Pewnego dnia - powiedział wymijająco.

- Zazdroszczę panu - powiedziałem.

- Tak? Dlaczego?

- Zawsze chciałem zobaczyć miejsce narodzin naszej rasy.

- Jest pan bogaty. Dlaczego pan nie pojedzie?

- Kilkakrotnie planowałem - przyznałem - ale zawsze coś stało na przeszkodzie.

- Na przykład kły?

- Czy coś w tym rodzaju. Problemy tak fascynujące, że nie mogłem się od nich oderwać. Może kiedyś naprawdę znajdę czas, żeby tam pojechać - westchnąłem.

- Wcale bym się nie zdziwił.

Nastała chwila ciszy.

- Chyba już pójdę - powiedziałem wreszcie. - To był długi i męczący dzień.

Mandaka odprowadził mnie do drzwi.

- Niech pan zatrzyma się jeszcze chwilę. Mam coś, co pana może zainteresować.

Poszedłem za nim i znalazłem się w jeszcze innej projekcji obszernej chaty. Było tu kilka prymitywnych rysunków i rzeźb. Mandaka wskazał mi jeden z rysunków. Przedstawiał ogromnego słonia z tak nieproporcjonalnie wielkimi kłami, że zdawał się tracić równowagę. Był to prosty rysunek wykonany na dużym kawałku kory. Był starannie oprawiony i zabezpieczony.

- Co pan o tym myśli, panie Rojas? - zapytał obserwując moją reakcję.

- Czy to on? - spytałem.

- Tak myślę - odpowiedział. - Daty się zgadzają. Ten sam artysta narysował kilka innych słoni, ale żaden nie miał podobnych kłów.

- Jak duży był ten słoń? - spytałem mając dziwne uczucie trwogi.

- Wiemy, że jego kły przekraczały dziesięć stóp, to znaczy, że dorosły mężczyzna sięgałby mniej więcej dotąd.

Wskazał na punkt znajdujący się nieco ponad połową wysokości przedniej nogi.

- To musiał być potwór.

- Było to największe zwierzę, jakie kiedykolwiek żyło - powiedział Mandaka z przekonaniem.

Nawet na rysunku słoń emanował taką osobowością, taką witalnością, że trudno było wyobrazić sobie, że zwierzę to już nie stąpa po równinach Afryki Wschodniej, że nie słyhać już

odgłosu jego dudniących kroków ani ryku głośniejszego niż grzmot.

- Czy ma pan jeszcze inne jego podobizny? - zapytałem wreszcie.

- Nie, tylko tę.

- Dziękuję, że pozwolił mi pan to zobaczyć.

- Proszę bardzo.

- Muszę już naprawdę iść. Mam mnóstwo roboty.

- Myślałem, że idzie pan spać.

- Mogę spać w biurze. Muszę jednak coś jeszcze zrobić.

- Wiem.

Popatrzyłem na niego z zaciekawieniem.

- Myślałem, że pan nie pochwała mojego grzebania się w historii kłów.

- Myliłem się - powiedział. - Doszedłem do wniosku, że łowca nigdy nie może wiedzieć o zwierzynie za dużo.

Poprowadził mnie poprzez kolejne hologramy do drzwi wyjściowych.

- Skontaktujemy się jutro? - spytałem.

Skinął twierdząco.

- Dziękuję za gościnę - powiedziałem, kiedy otworzył przede mną drzwi.

- Dziękuję, że mnie pan odwiedził. Był pan pierwszym gościem, jakiego przyjąłem.

- Od czasu, kiedy się pan tu sprowadził. To już mi pan mówił.

- Od czasu, kiedy opuściłem Ziemię - odpowiedział, kiedy korytarz zaczął wieść mnie w kierunku windy. Obejrzałem się, aby upewnić się, że nie żartuje, ule drzwi już się za mną zamknęły.

* * *

W biurze było ciemno. Poleciałem komputerowi włączyć oświetlenie o małej intensywności, zamówiłem filiżankę kawy, usiadłem na fotelu, ustawiłem jego na chylenie i splotłem ręce z tyłu głowy.

- Komputer?

- Tak, Duncanie Rojas.

- Jaki procent mocy obliczeniowej wykorzystujesz obecnie dla odszukania kłów?

- Siedemdziesiąt dwa przecinek trzy.

- Wyodrębnić pięć procent dla następnego zadania i kontynuować poszukiwanie.

- Wykonuję... wykonane.

- Widziałem przed chwilą rysunek przedstawiający rzekomo słonia Kilimandżaro rysowanego z natury - I powiedziałem.

- Według moich informacji taki rysunek nie istnieje. Wprowadzę odpowiednie zmiany do banku danych.

- Dobrze - powiedziałem. - Wydaje mi się jednak, że skoro istnieje jedno takie, powiedzmy, sprawozdanie naoczego świadka, to mogą istnieć i inne.

- To jest logiczne.

- Chcę, żebyś uzyskał dostęp do banku danych historii afrykańskiej w Bibliotece Głównej na Delurosie VIII i sprawdził, czy takie sprawozdania istnieją. Ograniczyć badania do lat 1875-1898 po narodzeniu Chrystusa. Sprawozdania mogły powstać później. Chodzi o okres, jaki obejmują.

- Wykonuję...

- Zagraj „Zagubiony koncert” Kronizego.

- Wykonuję...

Pokój wypełnił się atonalną i kompulsywnie rytmiczną muzyką. W chwilę później popijałem kawę, wystukując podświadomie rytm palcami o pojemnik.

Skończyłem kawę, wyrzuciłem pojemnik do maszyny niszczącej, wziąłem suchy prysznic i przebrałem się. Kiedy znowu usiadłem na fotelu, uzmysłowiłem sobie, że nie poleciłem, aby okna stały się nieprzezroczyste, wydałem odpowiednie polecenie i zacząłem zastanawiać się nad tym, co mi powiedział Mandaka. Byłem już na krawędzi snu.

- Znalazłem coś, co prawdopodobnie dotyczy słonia Kili-
mandżaro - oznajmił nagle komputer.

Zerwałem się zupełnie przytomny.

- Wyłączyć muzykę - poleciłem.

- Wykonałem.

- W twoim oświadczeniu występuje nietypowa wątpliwość. Dlaczego?

- Ponieważ nie ma innych oświadczeń naocznych świadków, z którymi można je porównać. Porównywałem je jednak ze źródłami wtórnymi i czas, lokalizacja oraz opis wskazują z prawdopodobieństwem 94, 32%, że był to w rzeczywistości słoń, którego znamy pod nazwą słoń Kilimandżaro.

- Dobrze - powiedziałem zaciekawiony. - Podaj, co znalazłeś.

- Wykonuję.

ROZDZIAŁ 7

ŁOWCA (ROK 1885 PO NARODZENIU CHRYSYTA)

Spędziłem, dwa miesiące wędrując po spieczonej ziemi Rift Valley i teraz, kiedy już minąłem ostatnie jezioro, wielkie jezioro, przyszedł czas, aby znowu wyjść na płaskowyż.

Zbadałem wiatr nie raz, lecz wiele razy, ponieważ z wiekiem nauczyłem się ostrożności. Zapach zielonych traw z zachodu napływał na równinę Loita i wiedziałem, że jest tam również chłodna woda rzeki Mara. Zwróciłem się jednak na południowy zachód, ponieważ właśnie na równinie Loita spotkałem jedyną istotę na świecie, która była zdolna wzbudzić we mnie strach - białego człowieka posiadającego moc zadawania śmierci na odległość - i nigdy tam już nie powróciłem.

Zatrzymałem się, żeby zetrzeć pasożyty ze skóry ocierając się o pień akacji. Te, które pozostały, zniszczyłem piaskiem wydmuchiwany trąbą. Rzuciłem jeszcze ostatnie spojrzenie na ogromną wyrwę w ziemi, a następnie ruszyłem starym szlakiem w górę wschodniego stoku. Ptaki i małpy skrzeczały uciekając przede mną, a kiedy spotkałem lwicę schodzącą w dół tym samym szlakiem, warknęła i skryła się w krzakach.

Dotarłem wreszcie na porośniętą trawą płaskowyż i zacząłem ostatni etap mojej podróży.

Stary Van der Kamp rozejrzał się po barze znajdującym się w pełnej kurzu szopie, którą nazywał Placówką Handlową Mbogo, i policzył białe twarze. Trzy, cztery razem z nim. To było więcej niż kiedykolwiek pamiętał.

Placówkę tę nazwał od bawołu, który zranił go w nogę, zanim zdążył posłać mu kulę prosto w oko. Położona nad rze-

ką Sand placówka zbierała klientów i termity prawie w tych samych ilościach już prawie od dwudziestu lat. W pokoju za barem stary Boer przechowywał stosy skór i kości słoniowej. Wszystkie nosiły staranne etykiety podające dostawcę i zapłaconą sumę. Zapasy te czekały na dzień, kiedy spadną deszcze i statek rzeczny będzie mógł je zabrać dalej. W pobliskiej piwnicy było około dwudziestu beczulek piwa zakopanych w ziemi dla zachowania chłodu. Wan der Kamp nie sprzedawał posiłków, ale jeżeli któryś z podróżnych miał dość jedzenia dla wszystkich, mógł je ugotować.

Na ścianie za barem biało lśniły czaszki i poroża zwierząt. Van der Kamp nie mógł pozwolić sobie na konserwatora. Były tam kudu, eland, kozoł, jeszcze kilka innych antylop i gazeli, i bawół, od którego pochodziła nazwa placówki.

Starzec nalał sobie następną kufel piwa i obserwował swoich klientów. Przy jednym końcu baru siedział Anglik Rice w starannie wyprasowanym ubraniu. Miał prawie zupełnie białą brodę, silne, pokryte zgrubieniami ręce i twarz prawie zupełnie pozbawioną koloru od nadmiaru tropikalnego słońca. Dziwne - pomyślał Van der Kamp - ale wydaje się, że Anglicy zamiast ciemnieć, tracili opaleniznę, jaką nabyli w ciągu pierwszych lat pobytu i byli bledsi niż na początku.

Przy drugim końcu baru siedział Niemiec Guntermann. Łysy, wąsaty, o niebieskich oczach, w garniturze, który był kiedyś biały, ale obecnie nabrał koloru spalonej afrykańskiej ziemi. Nawet tu, pod dachem, nosił swój tropikalny hełm, bardziej żeby zasłonić łysinę niż dla ochrony przed słońcem. Choć wyglądał dziwnie, znał się na robocie. Czterdzieści dwa kły z nalepkami noszącymi jego nazwisko czekały na wysyłkę.

Przy jedynym stoliku w głębi pokoju siedział Sloane, pierwszy Amerykanin, jakiego Van der Kamp kiedykolwiek widział. Amerykanie rzadko pokazywali się w Afryce, ponieważ ich rząd nie miał ambicji kolonialnych na tym kontynencie. Ten Amerykanin w każdym razie wyglądał tu zupełnie nie na miejscu, w swoim kowbojskim stetsonie i w mundurze armii konfederatów. Zyskał jednak już sławę jako łowca słońi. Stary Boer doszedł do wniosku, że jedyną rzeczą, jaka łączyła klientów Placówki Handlowej Mbogo, było to, że nie mieli ze sobą nic wspólnego.

Na zewnątrz budynku, w cieniu studni, siedziało około dwudziestu Murzynów, tragarzy i tropicieli pracujących dla białych. Nie wolno im było wchodzić do środka, ale Van der Kamp zadbał o to, żeby mieli tyle piwa, ile chcieli. Był to śmierdzący napój wyrabiany przez Kisi, o dużej zawartości alkoholu, za który pobierał od ich pracodawców sumy, według Van der Kampa, będące opłatą nominalną. Sprawdził dokładnie Murzynów. Jeden Lumbwa, jeden Kikuju, dziewięciu Wakamba, z pół tuzina Nandi, jeden Wanderobo, dwóch Buganda. Nie było Masajów, dzięki Bogu, co oznaczało, że prawdopodobnie nie poleje się krew. Wychylał głowę przez okno co kilka minut, na wszelki wypadek obserwując bacznie wielkiego, silnego Lumbwę. Lumbwa jednak siedział samotnie, jak gdyby nie zdawał sobie sprawy z obecności innych Afrykanów.

- Napiję się jeszcze - powiedział Rice dopijając resztę napoju ze szklanki.

Przez chwilę rozglądał się po barze.

- Stawiam następną kolejkę, jeżeli ktoś zechce się przyłączyć.

Amerykanin podniósł głowę, skinął twierdząco i dalej zajmował się skręcaniem papierosa.

- Będę zachwycony - powiedział Niemiec wyciągając chustkę i ocierając pot z twarzy. - Pozwoli pan, że się przedstawię. Jestem Erhard Guntermann z Monachium.

- Guntermann, Guntermann - zastanawiał się Rice.

Nagle spojrzał na Niemca.

- Czy nie słyszałem pańskiego nazwiska w związku z aferą dotyczącą handlu niewolnikami kilka lat temu?

- Mam nadzieję, że nie - powiedział Guntermann śmiejąc się głośno. - Zrobiłem wszystko, żeby zerwać z tego rodzaju przeszłością. I tak nie było z tego wielkich pieniędzy. Zbyt duża konkurencja ze strony Anglików. Kość słoniowa jest bardziej dochodowa.

- Panowie, zdrowie królowej - powiedział Rice podnosząc szklankę.

Nikt nie spieszył się z wypiciem toastu, czym Rice wcale się nie przejął.

- Więc teraz poluje pan na słonie?

Guntermann przecząco pokręcił głową.

- Handluję kością słoniową.

- Tak?

- Jeżdżę do Kongo, do dżungli. Poszukuję plemion upragnionych mięsa. Dostarczam im antylopy w zamian za kość słoniową.

Przerwał i znowu otarł twarz z potu.

- Bardzo zyskowny handel - dodał z satysfakcją.

- Jeżeli mogą zabijać słonie, dlaczego nie polują na inne zwierzęta? - zapytał Rice odpędzając muchę tse-tse, która usiadła mu na szyi.

- Sami wielu słoni nie zabijają - wyjaśnił Niemiec. - Wiedzą jednak, gdzie znaleźć padlinę, a gdy już ją znajdą, zabierają kły.

Przerwał na chwilę, by przeczekać zgiełk podnoszony przez hipopotamy w pobliskiej rzece.

- Jedna wioska Pigmejów ma tyle kłów, że budują z nich płoty wokół chat.

Niemiec pokręcił głową z udanym smutkiem.

- Biedni ludzie, nie mają pojęcia, ile to warte.

- Gdzie jest ta wieś z płotami z kości słoniowej? - dopytywał się Rice ciekawie.

Guntermann uśmiechnął się.

- Eee... przyjacielu. Chyba nie spodziewa się pan, że panu to powiem?

Rice odwzajemnił się uśmiechem.

- Nie, nie spodziewałem się.

Przyglądał się Niemcowi w milczeniu, bo chrząkanie hipopotamów znowu się nasiliło.

- Więc nazywa się pan Guntermann?

- Tak - powiedział Niemiec. - A pan?

- Jestem Blaney Rice z Johannesburga.

- Johannesburg - powtórzył Niemiec. - Urodził się pan w Afryce?

- Urodziłem się w Manchesterze, w Anglii. Wyemigrowałem do Południowej Afryki i miałem tam farmę. Kiedy zbankrutowałem, ruszyłem na północ. Po dwunastu latach dotarłem tutaj. Było to jakieś dziesięć lat temu.

- Handluje pan kością słoniową? - zapytał Niemiec z zawodowym zainteresowaniem.

- Już nie - powiedział Rice, biorąc orzeszek z miseczki stojącej na ladzie i rzucając nim w małpkę, która ukazała się na chwilę w oknie. Małpka z piskiem uskoczyła, podniosła orzeszek z ziemi i znowu pojawiła się w oknie czekając na następny przysmak.

- Czym pan handluje?

- Fotografiami - uśmiechnął się Rice.

- Fotografiami? - powtórzył Niemiec z niedowierzaniem.

- Tak - powiedział Rice. - Używam papieru, jaki architekci stosują do wykonywania odbitek planów. Sprzedaję fotografie starszemu wioski za sól, wymieniam sól na miedź, miedź na kozy, kozy znów na sól, a sól na bydło. Taka tura trwa prawie pół roku. Kończy się w Sudanie, gdzie sprzedaję bydło dla wojska. Po skończeniu uzyskuję dochód w wysokości trzech tysięcy funtów przy nakładzie początkowym sześciu szylingów.

- A co pan robił, zanim zajął się fotografią? - zapytał Niemiec, zdejmując niewielkiego owada ze swej chusteczki. Obejrzał go leniwie i w końcu zrzucił na podłogę.

- Zacząłem od polowania na słonie, ale muszę przyznać, że nie byłem w tym zbyt dobry. Kiedy to rzuciłem, nie miałem złamanego grosza. Odkryłem wtedy, że jedyną rzeczą, jaka miała jakąś wartość dla tubylców były moje naboje. Sprzedałem je za sól. Sól sprzedałem za więcej naboji, wymieniłem je na kozy i tak działając dotarłem aż do Etiopii. Sprzedałem tam swój towar za dwa tysiące talarów Marii Teresy. Ale było tam dla mnie za gorąco. Wróciłem tutaj, gdzie klimat jest przyjemniejszy. Jest tu również więcej plemion, z którymi można handlować. Kupiłem dwa aparaty fotograficzne i zabrałem się do roboty.

- I nazywa to pan przyjemnym klimatem - zapytał Sloane z przekąsem.

- Czy był pan kiedykolwiek w Etiopii? - zwrócił się do niego Rice.

- Kilka razy.

- To wie pan, jak tam jest gorąco.

- Niewiele cieplej niż tutaj - powiedział Sloane.

- Myli się pan - upierał się Rice. - Żaden człowiek nie może wytrzymać w takim upale.

Sloane wzruszył ramionami i skoncentrował swoją uwagę na piwie.

- Mam do pana pytanie, jeżeli pan pozwoli - kontynuował rozmowę Rice.

Sloane patrzył na niego.

- Wał pan - powiedział w końcu.

- Ten tubylec, z którym pan przybył. Nie mogę rozpoznać jego znaków plemiennych.

- To Kikuju.

- Nigdy nie widziałem żadnego Kikuju. Słyszałem, że ich tereny są zamknięte dla białych.

- Tak.

- To jak go pan zatrudnił?

- Złamał prawo i uciekł, zanim zdążyli go zabić - wyjaśnił Sloane.

- Co on takiego zrobił?

Sloane wzruszył ramionami.

- Nigdy go nie pytałem.

- Czy Kikuju to dobrzy tropiciele?

- Ale nie dorównują Wanderobo - powiedział Guntermann z odcieniem dumy w głosie.

Wiatr zmienił się, przynosząc zapach hipopotamów i krokodyli wraz z gorącym, wilgotnym powietrzem.

- Zauważyłem, że ma pan jednego Wanderobo skomentował Rice, wachlując się kapeluszem bardziej, po to, żeby rozpędzić odór rzeki niż z przekonania, że się ochłodzi. - Czy oni rzeczywiście są tacy dobrzy?

- Mój Wanderobo mógłby wyśledzić kulę bilardową, która przetoczyła się po najgładszej ulicy Berlina - odparł Guntermann.

Rice zachichotał, skończył piwo i podniósł pustą szklankę do góry.

- Czyja teraz kolej?

- Rozumiem - powiedział Guntermann i rzucił na bar kilka monet.

- Gdy już teraz mówimy o Wanderobo, to kiedy tu przyjechałem, widziałem jedną kobietę z tego plemienia przy zabudowaniach.

- Ona jest Kisi - powiedział Van der Kamp. - Należy do mnie - dodał po chwili przerwy.

- Jesteś Burem, prawda? - zapytał Guntermann.

- Tak.

- Myślałem, że Burowie nienawidzą czarnych.

Van der Kamp pokręcił przecząco głową.

- Nie. My nienawidzimy jedynie Zulusów, bo to nasi wrogowie.

- Człowiek czuje się cholernie samotny w czasie długiej pory deszczowej, co? - zaśmiał się Guntermann z wszystko wiedzającym uśmiechem.

- Czasami - bronił się Van der Kamp.

- Kiedy Brytyjczycy zaprowadzą tu swój protektorat, każą ci się jej pozbyć.

- Miałem już wcześniej do czynienia z Brytyjczykami i nie boję się ich - powiedział Van der Kamp ponuro.

- Czy mogę z całym szacunkiem zaproponować żebyśmy zostawili politykę na boku? - odezwał się Rice. - Tu, w buszu, nie ma miejsca dla nacjonalizmu.

- Zgadza się - powiedział Guntermann.

Zwrócił się z uśmiechem do Sloana.

- Dla zapewnienia międzynarodowej jedności może powinniśmy zaproponować naszemu amerykańskiemu koledze, żeby zdjął mundur?

- Możecie zaproponować - powiedział Sloane.

Rice przyglądał się mundurowi przez chwilę.

Widzę, że był pan kapitanem - powiedział.

- Nie.

- Ale dystynkcje.

- Kupiłem mundur już po wojnie.

- Nie brał pan udziału w walkach?

Sloane zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią. Miałem w nich swój udział.

- Po której stronie? - spytał Rice.

- Myślałem, że mieliśmy nie rozmawiać o polityce zauważył Sloane.

Rice rozpiął kilka guzików koszuli i zaczął znowu wachlować się kapeluszem.

- To nie jest polityka, tylko zwykła ciekawość - nalegał Anglik. - Dlaczego kupił pan mundur Konfederacji. Ostatecznie oni przegrali.

- Lepiej chroni przed słońcem i nie widać na nim kurzu - wyjaśnił

Sloane.

- Czy to jest kowbojski kapelusz? - zapytał Guntermann wskazując na stetsona Sloana.

- Trzeba by uzyskać potwierdzenie od kowbojów.

Guntermann odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

- Dobrze powiedziane! Ale... ale... nie byliśmy sobie przedstawieni. Jestem Erhard Guntermann, a to jest Blaney Rice.

- Hannibal Sloane.
- Ten Hannibal Sloane? - zapytał Rice podnosząc głos, żeby przekrzyczeć pochrząkiwanie hipopotamów.
- Chyba, że jest nas dwóch.
- Pańska sława wyprzedziła pana - powiedział Rice. - Ludzie mówią, że jest pan jednym z najlepszych łowców słońi we Wschodniej Afryce.
- Jednym z nich.
- Mówi się o panu tak samo, jak o Selousie i Karamojo Belu - powiedział Anglik wyraźnie pod wrażeniem.
- Nigdy ich nie spotkałem.
- Ile słońi pan upolował? - zapytał Rice.
Sloane skończył skręcać papierosa i zapalił go.
- Kilka - powiedział w końcu.
- Jest pan bardzo skromny.
- Pewnie należy pan do tych silnych, milczących mężczyzn - powiedział Guntermann z rozbawieniem.
- Może - przyznał Sloane.
- Chociaż nie wątpię w pańskie osiągnięcia, to jednak najlepszy łowca słońi jest w tej chwili o jakieś pięćdziesiąt stóp stąd.
- Ten duży Lumbwa z toporem? - zapytał Sloane.
- Właśnie on - przyznał Niemiec z uśmiechem. - Czy widział pan kiedykolwiek, jak tubylcy polują na słońia z siekierą?
- Raz - przyznał Sloane.
- Ten ma na imię Tumo. Jest najlepszy - powiedział Niemiec z dumą.
- Czy twierdzi pan, że można zabić słońia siekierą? - zapytał Rice sceptycznie.
- Z łatwością.

- Nie chciałbym sprzeczać się z panem - powiedział Anglik. Ja sam upolowałem swego czasu kilka słoni i po prostu panu nie wierzę.

- Widziałem, jak zabił jedenaście słoni nie używając innej broni prócz siekiery - upierał się Guntermann.

Sloane patrzył w zamyśleniu na swoją szklanę piwa.

- Może w dżungli, gdzie słoniom trudniej się poruszać - zastanawiał się. - W dżungli może tak, ale tu, na sawannie!

- Wszędzie - powiedział Niemiec z uporem.

- Nie mówi pan chyba o słonicach czy małych. Twierdzi pan, że można w ten sposób zabić normalnego dorosłego słonia?

- Tak.

- To niemożliwe - Rice pokręcił głową.

- Widziałem to wiele razy - upierał się Guntermann.

- Sześciotonowego słonia tylko siekierą?

Niemiec skinął głową twierdząco.

- Nie chciałbym nazywać pana kłamcą - powiedział Rice - ale jestem gotów założyć się, że to niemożliwe.

- O ile się założymy?

Anglik wyjął z portfela zwitek banknotów, odliczył je i położył na barze.

- Co pan powie na pięćdziesiąt funtów?

- Owszem - powiedział Guntermann z uśmiechem. - A może sto funtów?

- To mnóstwo pieniędzy.

- Albo zabije słonia, albo go nie zabije - powiedział Niemiec. Suma zakładu nie wpłynie na jego wynik. Oczywiście, jeżeli pan woli... - zaczął po chwili przerwy.

- Zgoda!

Rice odliczył następne pięćdziesiąt funtów.

- Zgoda! - powiedział Niemiec z zadowoleniem.

Zaczął szukać po kieszeniach i odliczył tę samą sumę w markach i talarach Marii Teresy. Przesunął obie kupki pieniędzy w kierunku Van der Kampa.

- Niech się pan zaopiekuje stawkami.

Bur przytaknął, zebrał pieniądze i schował do kieszeni.

- Jest jeden warunek - powiedział Rice.

- Tak?

- Musi to zrobić jutro. Za pięć dni muszę być w Kampali i nigdy tam nie zdążę, jeżeli nie wyruszę jutro po południu.

- O tym do tej pory nie było mowy. Co będzie, jeżeli jutro słonia nie znajdziemy?

Rice pochylił głowę w zamyśleniu, a następnie zwrócił się do Sloane'a.

- Panie Sloane, czy zechce mnie pan reprezentować na polowaniu, żeby upewnić się, czy warunki zakładu zostały dotrzymane?

- To może trwać całymi dniami, a ja nie pracuję za darmo.

- Nigdy nie chciałem narazić pana na straty. Odstąpię panu połowę wygranej.

Sloane pokręcił głową przecząco.

- Wezmę kły.

- Jeżeli on nie zabije słonia, nie będzie kłów - zauważył Sloane.

- Zabije.

- Skąd ta pewność? - zapytał Rice.

- Mówiłem przecież, że już wcześniej widziałem Lumbwa polujących z siekierą - odparł Sloane.

- Jakżesz, u diabła, człowiek może zabić słonia mając tylko siekierę? - upierał się Rice.

- Okulawi go - powiedział Amerykanin.

- Jak to?

Sloane zwrócił się do Guntermanna.

- To pański Lumbwa. Niech pan mu powie.

Niemiec uśmiechnął się przebiegle.

- Jeżeli zacznę opowiadać ludziom, jak to się robi, to kto się ze mną założy?

- Ponieważ wyłożyłem już pieniądze, a pewnie nie będę mógł tego zobaczyć, to chociaż niech ktoś mi powie.

- Dobrze - powiedział Sloane. - Lumbwa wytropi słońa i zbliży się na jakieś czterdzieści jardów. Poczekaj aż wiatr zacznie wiać z odpowiedniego kierunku i podkradnie się od tyłu. Przetnie ścięgną tylną nogę jakąś stopą nad ziemią.

Zwrócił się do Niemca.

- Prawda?

Guntermann tylko się uśmiechnął.

- Większość zwierząt może świetnie poruszać się na trzech nogach - wyjaśnił Sloane. - Słoń jednak musi używać wszystkich czterech. Jeżeli okuleje musi pozostać na miejscu.

- Dobrze - powiedział Rice z uporem. - To go unieruchomi. A jak się go zabije?

- Słonie preferują albo prawą, albo lewą stronę. Lumbwa nie zaatakuj dopóki się nie upewni.

- Co to ma z tym wszystkim wspólnego? - zapytał Rice.

- Gdy już okuleje, słoń będzie sięgał trąbą w prawo lub w lewo, żeby dopaść napastnika. Wtedy Lumbwa albo odetnie mu trąbę jednym uderzeniem, albo zada mu głęboką ranę.

- A potem?

- Jeżeli słoń jest w stadzie, to Lumbwa ucieknie, a jeżeli samotny, to stanie z boku i poczeka aż słoń się wykrwawi.

- To brzmi ponuro! - powiedział Rice.

- Nie jest to piękny widok - przyznał Sloane. - Jeżeli uznam, że słoń jest załatwiony, pošlę mu kulę w ucho, żeby się nie męczył.

- I jest pan pewien, że Lumbwa może to zrobić?

- Chyba, że będzie niezgrabny - odparł Sloane. - Każdy może kiedyś popełnić błąd.

- Jeżeli to jest takie łatwe, jak pan mówi - zapytał gorzko Rice - to dlaczego zostały jeszcze jakiekolwiek słonie?

- Nie powiedziałem, że jest to łatwe - poprawił go Sloane. - Powiedziałem, że jest to możliwe.

- Widzę, że już mogę uznać się za pokonanego - stwierdził Rice.

- Nie - zaprzeczył Guntermann. - Jutro ruszamy na polowanie.

- Po co się wysilać?

- Nie jest pan pierwszym, z którym się założyłem. Zawsze daję Tumo nowiutki talar Marii Teresy, kiedy wygrywa dla mnie zakład. Nie chciałbym go tego talara pozbawiać.

- To niech mu pan zapłaci - zaproponował Sloane.

- Nie pracuje, nie dostaje zapłaty - powiedział Niemiec twardo.

- Poza tym - dodał Sloane - zawsze istnieje szansa, że Lumbwa spartaczy robotę. Jeżeli tak, będzie pan mógł odebrać wygraną, odwiedzając Van der Kampa następnym razem.

- Słusznie - powiedział nagle Rice. - Jakie ma szanse? Powiedzmy, że będzie podchodził słonia tak niezręcznie, iż go spłoszy. Czy to się będzie liczyło?

- Potrzebna mu tylko jedna szansa - powiedział Guntermann. - Jeżeli już zacznie podchodzić słonia, będzie to ten słoń, o którego chodzi.

- Czy jest pan skłonny uznać to za warunek zakładu?

- Tak.

Rice zamówił następną kolejkę. Zaczęło się ściemniać i w pobliskiej rzece odezwały się miliony żab.

- Za kość słoniową i pół wygranej jest gotów pójść i sam z Tumo - zaproponował Amerykanin. - W ten sposób będziemy mogli poruszać się znacznie prędzej.

- Nie - sprzeciwił się Niemiec. - Ja też idę. Lubię oglądać mojego Lumbwę przy robocie.

- Dobrze - zgodził się Sloane - ale tylko pan i on. Jak zaczniemy polować, żeby zapewnić mięso dla tragarzy, możemy wystraszyć wszystkie słonie w okolicy. Nie mam zamiaru poświęcać miesiąca dla zdobycia jednego kompletu kłów.

- Zgoda - powiedział Niemiec. - Zabierze pan swojego Kikuju?

- On idzie wszędzie tam, gdzie ja.

Guntermann skinął głową.

- Dobrze! Będziemy potrzebowali dwóch chłopaków do niesienia kłów.

Wyruszyli we czwórkę następnego ranka, pozostawiając rzekę za sobą. Tumo z plemienia Lumbwa i Karenja, tropiciel Sloane'a z plemienia Kikuju ignorowali się nawzajem, zaś Guntermann miał potężnego kaca, więc przez następne dwie godziny wędrowali w milczeniu. Widzieli ogromne stada gnu i gazeli, ale żadnych większych zwierząt oprócz pojedynczych żyraf. Po następnej godzinie marszu zatrzymali się na popas i odpoczynek w cieniu wysokiego na dziesięć stóp kopca termitów.

- Kiedy trafimy na ślad słonia? - zapytał Guntermann pociągając z manierki.

- Jeszcze nieprędko - odparł Sloane zdejmując lewy but i wydobywając pchłę piaskową spod paznokcia.

- Ten rejon jest już poważnie przetrzebiony. Słonie przesunęły się bardziej na wschód, może trochę na północ i stały się bardziej płochliwe.

- Uda nam się to dzisiaj? - nalegał Guntermann.

- Może za jakieś dwa albo trzy dni - odparł Sloane. - Oczywiście, jeżeli będziemy mieli szczęście.

- Jest pan pewien?

Sloane wzruszył ramionami.

- Nigdy nie wiadomo. Zawsze włączy się kilka samotników, ale trzeba mieć szczęście, żeby je spotkać. Zazwyczaj łowca kłów robi dwudziestopięciomilowy spacer między jednym strzałem a drugim, chyba że strzela się również do słonic i do małych.

Przerwał, by odpędzić muchę.

- Chce pan wracać?

- Rice właściwie uznał, że zakład przegrał.

- Czy uznał, że zakład przegrał, czy nie, to już sprawa między wami, ale jeżeli nie dostanę kłów, to chcę połowę wygranej.

- W takim razie wędrujemy dalej - warknął Niemiec wstając.

- Jak pan uważa - powiedział Sloane wkładając but.

- Co pan robi w tym rejonie, jeżeli jest tu tak mało słoni? - zapytał Guntermann w złym humorze.

- Wróciłem z Ugandy po tragarzy - wyjaśnił Sloane. - Wódz wioski Acholi był na mnie wściekły i musiałem czym prędzej się stamtąd wynosić. Wszyscy moi ludzie uciekli. Został tylko Karenja.

- Nie rozumiem - powiedział Guntermann. - Plemię Acholi poluje na pana, a jednak wybiera się pan z powrotem? Dlaczego?

- Zakopałem trzy tony kości słoniowej przed odejściem. Gdy już wynajmę tragarzy i może kilku askorystów, którzy wiedzą, jak należy obchodzić się z bronią, wrócę i ją wykopię.

- Jasne - powiedział Guntermann wycierając twarz nieodstępną chustką. - Czemu jednak przybył pan aż tak daleko w poszukiwaniu tragarzy?

- Jest mniej prawdopodobne, że uciekną, jeżeli nie znają miejscowego języka i nie wiedzą, jak wrócić do domu.

Wędrowali przez rozległe równiny obserwując z dala stada impali, zebr i antylop eland. Jednak w promieniu pięciuset jardów nie było żadnych zwierząt z wyjątkiem samotnego strusia, który uciekł, gdy tylko ich zauważył.

Kiedy zatrzymali się na posiłek pod akacją, pojawiła się nagle para lwic, która z królewską obojętnością minęła ich nie więcej niż o trzydzieści jardów. Wkrótce po nich pojawił się nosorożec. Parsknął gniewnie, udawał, że atakuje, a następnie oddalił się truchtem, wysoko podnosząc ogon.

Wieczorem ujrzeli tysiące antylop i dziesiątki tysięcy ptaków. Nie było jednak nawet śladu słoni. Rozbili obóz w kępie ciernistych krzewów. Tumo i Karenja pełnili na zmianę straż. Wokół rozbrzmiewały nocne odgłosy sawanny. Chichot hien, pomrukiwanie polującego lwa, przerażone szczeknięcie zebry.

Następny dzień rozpoczął się tak samo jak poprzedni, ale zanim słońce wzniosło się wysoko, trafili na odchody słonia. Karenja podszedł do nich, pochylił się i obwąchał.

- Bardini, Bwana - oznajmił, kiedy Lumbwą dopiero zbliżał się, żeby dokonać oględzin.

- Co on mówi? - dopytywał się Niemiec.

- Mówi, że są zimne, co znaczy, że są stare i zeschnięte - odpowiedział Sloane. - Nie warto iść tym śladem.

- To jakaś bzdura - rzekł Niemiec rozczarowany, gdy Tumo potwierdził ocenę Karenji. Jeszcze w zeszłym roku było tu przecież tysiące słoni!

- To nie są domy, panie Guntermann.

- Nie rozumiem.

- To znaczy, że nie stoją ciągle w tym samym miejscu.

Przeszli dalsze siedem mil, mijając kolejne stada gnu i duże stado pawianów, a następnie zatrzymali się, żeby coś zjeść. Tumo odszedł gdzieś sam. Po pół godzinie powrócił podniecony i oznajmił, że znalazł świeży ślad.

- Ile słoni? - zapytał Sloane.

- Tylko jeden.

- Dorosły?

Lumbwa skinął głową.

- Duży samiec.

- O.K. - rzekł Sloane. - Wygląda na to, że mamy robotę. Gdzie jest ten ślad?

Lumbwa wskazał na wschód i wyjaśnił, że ślad znajdował się nie dalej niż o milę.

- Nie ma tu co siedzieć - powiedział Sloane, pakując plecak i podnosząc strzelbę. - Jest pan gotów, Guntermann?

Niemiec był już na nogach.

- No, to chodźmy.

Szli prawie milę na wschód, a następnie skręcili nieco ku północy. W końcu Tumo wskazał świeże odchody słonia.

Karenja zbliżył się do nich, zbadał, a następnie przyjrzał się dokładnie ziemi wokół. Wrócił do Sloane'a zamyślony.

- To jest Malima Temboz, Bwana, czyli Chodząca Góra - powiedział szeptem tak, żeby tylko Sloane mógł usłyszeć.

- Jesteś pewien?

Karenja pokazał mu ślady.

- Widzi pan? - powiedział wskazując dwie bruzdy wyłobione przez kły idącego słonia. - Makonda nazywają go Bwana Mutaro ze względu na ślady, jakie zostawia. Moje plemię nazywa go Mrefu Kulika Twiga, ho jest wyższy od żyrafy. To naprawdę Malima Temboz.

Sloane przywołał Niemca.

- Powiedz swemu chłopakowi, że nie chcemy mieć nic wspólnego z tym słoniem - powiedział Sloane. - Poszukamy innego i też wygrasz zakład.

- Dlaczego? Czy coś z tym słoniem nie jest w porządku?

- Znam tego słonia - wyjaśnił Sloane. Zabił ponad tuzin tubylców, a wśród nich pewnego Wanderobo, który pewnie tak samo dobrze posługiwał się siekierą jak pański Lumbwa.

- Widział go pan?

Sloane pokręcił przecząco głową.

- Nie, ale słyszałem o nim.

- Skąd pan wie, że to ten sam słoń? - zaczął kpić Niemiec.

Sloane poprowadził go do śladów.

- Jest to największy ślad, jaki widziałem. Już po jego wielkości można przypuszczać, że zrobił go właśnie ten słoń. Niech pan zwróci uwagę, jak ryje kłami ziemię. Dlatego właśnie nazywają go Bwana Mutaro. Każdy z jego kłów musi ważyć około dwieście funtów. To zbyt duży słoń na polowanie z siekierą - dodał, po chwili przerwy. - To stary, doświadczony słoń. Nie da się zająć zniecka.

- Czemu pan go nie chce, jeżeli, ma tak wielkie kły? - zapytał Guntermann.

- Chcę - odparł Sloane - i teraz, jak już wiem, że jest w tym rejonie, przyjdę po niego, jak załatwimy sprawę zakładu. Nie zakładał się pan jednak, że pański chłopak upoluje Malima Temboz. Znajdziemy innego.

- Chodząca Góra? - powtórzył Guntermann podniecony. -
Chcę go zobaczyć!

- Może... któregoś dnia.

- Chcę teraz.

- Już panu wyjaśniłem...

- Pomyśl pan o sławie, jeżeli Tumo go zabije - powiedział
Guntermann.

- O jakiej sławie? - zapytał pogardliwie Sloane. - Jest pan o
pięćset mil od wybrzeża i o pięć tysięcy mil od ludzi, których
to może obchodzić.

- Wypcham go i obydwóch zawiozę do Europy. Najwięk-
szy słoń świata i dzikus, który zabił go siekierą.

- Oszalał pan.

- Tylko marnujemy czas - powiedział Guntermann igno-
rując go. - Tumo!

Lumbwa spojrział nań pytająco.

- Kwenda - idziemy!

Lumbwa skinął głową i ruszył truchtem wzdłuż dwóch
bruzd wyżłobionych w ziemi.

Karenja spojrział na Sloane'a.

- To jego sprawa - powiedział Amerykanin. - Niech poka-
że, co potrafi.

Ruszył za Lumbwą, a za nim Karenja i Guntermann.

Przez następne dziewięć godzin szli za tropem, który
biegł w prostej linii, czasami tracąc go z oczu, ale zawsze od-
najdując. Następnie skręcili na wschód, gdzie słoń znalazł
niewielką, błotnistą kałużę. Ponieważ była pełnia, Lumbwa
zadecydował raczej kontynuować pogoń niż, pozwolić, żeby
słoń oddalił się znowu. O świcie dotarli do stosu odchodów,
który nie miał więcej niż dwadzieścia minut.

- Jesteśmy już bardzo blisko - powiedział Sloane przywołując Guntermanna. - Jest przed nami na jakąś milę lub dwie, a ponieważ wędrował przez całą noc, jest Wielkie prawdopodobieństwo, że zaśnie jak tylko słońce podniesie się trochę wyżej. Chce pan dalej kontynuować wyprawę?

- Oczywiście! - odparł Guntermann.

Sloane patrzył na Guntermanna przez dłuższą chwilę, a następnie skinął głową.

- Dobrze - powiedział. - Od tej chwili nie rozmawiamy, nie kaszlemy, nie nucimy, nie gwizdźmy. Będę dawał sygnały ręką, a kiedy dam sygnał „stój”, proszę się zastosować natychmiast. Rozumie pan?

Guntermann skinął głową.

- Wyślę Karenja przodem na wypadek, gdyby były w pobliżu inne słonie, które mogłyby narobić kłopotu.

- A jeśli będą?

- To wróci i powie nam ile ich jest i gdzie.

Sloane wydał polecenie i Kijuku ruszył pod prostym kątem do ich kierunku marszu, a następnie skinął na Lumbwę, żeby kontynuować pościg. Szli znacznie wolniej i ciszej.

Kiedy doszli do niewielkiej polanki wśród kwitnących drzew, Lumbwa znieruchomiał nagle i Sloane dał sygnał Guntermannowi, żeby zrobił to samo.

Lumbwa powoli wydobył siekierę. Następnie sięgnął po leżące na ziemi odchody i wysmarował nimi całe ciało, żeby zabić własny zapach. Poniósł kępkę trawy, żeby sprawdzić kierunek wiatru, a następnie

wszedł cicho na polankę zgięty w pół i stawiając każdy krok z wielką ostrożnością.

Sloane i Guntermann pozostali na swoich miejscach przez pięć minut. Później jeszcze dziesięć.

- Dlaczego tak długo? - wyszeptał Guntermann.

Sloane jednak uciszył go gestem i dalej wpatrywał się w polankę.

Nagle rozległo się głośnie trąbienie, a zaraz po nim nastąpił wrzask spłoszonych ptaków i małp. Potem znów zapadła cisza.

- Chodźmy - mruknął Sloane wychodząc na polankę. Szedł ostrożnie sprawdzając każde drzewo, każdą poruszającą się trawkę, każdy migocący listek. Guntermann chciał go wyprzedzić, ale Sloane zatrzymał go ręką.

Na koniec, po dalszych pięciu minutach natrafili na to, co pozostało z Lumbwy - skrwawiony kikut i jakaś krwawa masa, która w ogóle nie przypominała człowieka. Siekierę znaleźli jakieś pięćdziesiąt jardów dalej. Chociaż Sloane spędził dalsze pięć minut na sprawdzaniu okolicy, nie znalazł śladu słonia.

- Odszedł - oznajmił, kiedy już upewnił się, że byli sami. - Szkoda twojego chłopaka. Ostrzegałem cię jednak. To nie jest zwykły słoń.

Guntermann kręcił głową ze smutkiem.

- Co za tragedia - mruknął - mogłem z tym słoniem objechać całą Europę.

- To miło widzieć, że pan się tak wzruszył - powiedział Sloane szyderczo.

Guntermann popatrzył na niego ze złością.

- Straciłem sto funtów. Czy to nie dość?

Sloane wzruszył ramionami.

- Jeżeli pan tak uważa - powiedział.

W krzakach rozległ się szelest i Sloane skierował strzelbę w tym kierunku. Był to jednak tylko Krenja, który spieszył, żeby dowiedzieć się, co się stało. Kikuju natychmiast rozszyfrował sytuację.

- Malima Temboz wiedział, że się zbliża - powiedział Karenja wskazując na ziemię - Widzi pan, prowadził go coraz głębiej między drzewa i tu zawrócił... czekał w pobliżu swojego śladu. To najmądrzejszy i najstraszniejszy ze słońi.

Sloane jeszcze raz sprawdził miejsce wypadku. Skinął głową.

- Tumo chyba nie zorientował się, że słoń jest za nim. Dopiero, jak go schwycił... Nie zostało nawet nic, żeby urządzić pogrzeb. Chyba możemy już iść.

- Dokąd? - zapytał Guntermann, gdy już opuszczali polankę. - Wracamy do placówki handlowej?

- Pan wraca do placówki handlowej - powiedział Sloane. - Ja mam słońia do upolowania.

- Idę z panem - powiedział Niemiec twardo.

Sloane pokręcił przecząco głową.

- Sprawa zakładu jest załatwiona. Teraz zaczyna się normalna praca. Przez pana będę tylko się wolniej poruszać.

- Chcę go zobaczyć!

- Tumo pewnie go widział - przez parę sekund. - Czy myśli pan, że warto było?

Biały człowiek nie widział mnie, ale ja go widziałem, kiedy zbliżał się do drzew, i jakiś wewnętrzny instynkt podpowiedział mi, że to on, a nie czarny człowiek, był moim prawdziwym nieprzyjacielem. Po zabiciu czarnego człowieka wybiegłem z drugiej strony zagajnika i ruszyłem na wschód przez spaloną słońcem równinę Loita. Nie zatrzymywałem się na odpoczynek przez dwa dni i dwie noce. Nie zwolniłem biegu dopóki nie ujrzałem potężnej Kirinyagi, którą ludzie nazywają Mount Kenya. Wtedy zatrzymałem się u chłodnej wody i napiłem do syta.

Sloane przyklęknął i zbadał kolejny stos odchodów.

- Suche - mruknął. - Czy myślisz, że zwolnił do tego czasu?
- To jest Malima Temboz - powiedział Karenja, jak gdyby to wyjaśniało wszystko.

Sloane oparł się o pól uschnięty baobab i rozglądał się po horyzoncie, skręcając papierosa.

- Gdzie jest najbliższy wodopój? - spytał.

Kikuju wskazał ku wschodowi.

- Jak daleko?

- Pół dnia, może trochę mniej, może trochę więcej.

- No, to chyba trzeba iść - powiedział Sloane krzywiąc się.

- My też musimy się napić. Nie tylko on.

Ruszyli pod palącym, tropikalnym słońcem. Rift Valley pozostała daleko za nimi. Przed nimi rozciągały się setki mil ciernistych krzewów aż po wybrzeże i port w Mombasie. Ziemia była tu tak twarda, że kły słońca już jej nie orały, gdy szedł. Tempo ich wędrówki zmalało, ponieważ dwukrotnie utracili ślad i musieli zawracać, żeby go odnaleźć.

Trzy godziny później trafili na wioskę Wakamba i dopytywali się, czy ktoś widział Malima Temboz. Patrzone na nich tak, jak patrzy się na szaleńców lub idiotów. Sloane wydobył z pasa trzy naboje i zaofiarował je każdemu, kto mógł mu powiedzieć, kiedy słoń mijał wioskę i jakim kierunku się udał. Chętnych jednak nie było.

Pod wieczór dotarli do niewielkiej, brudnej rzeczki, ugasi-li pragnienie i rozbili obóz pod akacją.

- Straszne miejsce - mruknął Sloane, opanowując dreszcze i opędzając się od moskitów.

- Masajowie nazywają je Nairobi - poinformował go Karenja.

- Nairobi? Co to znaczy?

- Miejsce chłodnej wody.

- Powinno nazywać się raczej miejsce miliona moskitów - mruknął Sloane.

- My nazywamy je miejscem zimnych bagien - powiedział Karenja.

- To już lepsza nazwa - powiedział Sloane, owijając głowę kocem bardziej, żeby chronić się przed moskitami niż przed chłodnym powiewem ciągnącym znad równiny.

Sloane spędził ciężką noc. Budził się dwukrotnie, żeby dorzucić drew do ognia. Jakaś hiena budziła go swoim przenikliwym chichotem, kiedy tylko zapadał w sen. Był gotów uduścić ją gołymi rękami. Poranek powitał z prawdziwą ulgą i chociaż niewyspany i w złym humorze, nie tracił czasu. Zwinął obóz i rozpoczął poszukiwania.

Szli za tropem już prawie pół godziny, gdy natrafili na płaską, pokrytą kurzem równinę, gdzie stado bawołów zatarło wszystkie ślady słońa.

- Wspaniale - powiedział Sloane.

Stał wyprostowany z rękami na biodrach i badał teren.

- Jak myślisz, którądy poszedł? Na południe ku Tsavo, na północ

ku ziemi Kikuju czy prosto?

- Do Tsavo, nie, Bwana. Zbyt sucho.

- Przecież tam jest dużo słońi - zauważył Sloane.

- Malima Temboz nie lubi swojego Plemienia. Chodzi zawsze sam.

- Dobrze. Pójdziemy na północ i spróbujemy odnaleźć ślad.

Ruszyli na północ, badając ziemię co kilka chwil. Jednakże po dwóch godzinach Sloane doszedł do wniosku, że słoń musiał powędrować na wschód albo na południe.

- Myślę, że nie, Bwana - powiedział Karenja. - On Jest prawie jak bóstwo, a zatem on pójdzie do Kirinyagi, gdzie mieszka Ngai.

- To tylko słoń, Karenja.

- Ale to jest Malima Temboz.

- Nawet Malima Temboz zostawia ślad - powiedział Sloane. Idziemy za tym śladem od trzech dni.

Karenja nie miał żadnego argumentu, więc milczał.

- Wracamy do miejsca, gdzie straciliśmy ślad - zdecydował Sloane.

- Ndio, Bwana - zgodził się Karenja niechętnie.

Wrócili po własnych śladach do miejsca, gdzie stado bawołów zatarło trop słonia. W pewnej chwili przegrodziło im drogę stado lwów, ucztujące nad trupem antylopy. Sloane musiał okrążyć je, przedzierając się przez gęste, kolczaste zarośla.

- Bwana! - wyszeptał Karenja podniecony, kiedy znaleźli się mniej więcej na wysokości stada.

- Co takiego?

Kikuju wskazał na ziemię. Dwie bruzdy oddalone od siebie może o sześć stóp były wyraźnie widoczne.

Sloane zmarszczył brwi.

- Dlaczego, u diabła, idzie przez busz, kiedy ma do wyboru wygodną drogę?

- To jest Malima Temboz - wyjaśnił Kikuju cierpliwie. - Dla niego kolce tak samo nie są groźne jak płatki kwiatów.

Ruszyli tropem. O milę dalej natrafili na odchody.

- Ciepłe - stwierdził Karenja, wkładając w nie dwa palce.

- Jak dawno?

- Może dziesięć minut, może piętnaście, może dwadzieścia.

- Do diabła! - mruknął Sloane. - Ten sukinsyn podchodzi nas!

- On wie, że tu jesteśmy. Stąpaliśmy zbyt głośno.

- A my wiemy, że on tu jest - powiedział Sloane. - Szanse są zatem równe.

Karenja podniósł z ziemi garść kurzu i przepuszczał go wolno przez palce, patrząc, jak wiatr zwiewa go ku północy.

- Wiatr jest dla niego przychylny, Bwana.

- Musimy zatem wyrównać szanse - powiedział Sloane.

Ruszył w lewo, a za nim Murzyn. Po przejściu pół mili skręcił w prawo i dalej posuwał się szybko naprzód. Po godzinnym marszu w duszącym upale uznał, że udało mu się wyprzedzić słonia. Wówczas zwrócił się ku ciernistym zaroślom, żeby poszukać kryjówki. Gdy już ją znalazł, wysłał Karenja, żeby prowadził obserwację z pobliskiego drzewa, załadował strzelbę i czekał.

Minęła godzina, potem druga i trzecia.

- Nie widać go? - zapytał Sloane bez większej nadziei.

- Hapana, Bwana.

- Jesteś pewien?

- Nie ma go tu.

- Dobrze - powiedział Sloane z westchnieniem. - Złaź.

Krenja zlął z drzewa, a Sloane przewiesił strzelbę przez ramię.

- Wyjdźmy z tych krzaków na otwartą przestrzeń.

Po pół mili marszu ku wschodowi wyszli z zarośli na rozległą równinę i prawie natychmiast natrafili na trop słonia.

Boże! - warknął Sloane. Przeszedł tuż koło nas, gdy się dzieliśmy w tych krzakach zjadani żywcem przez robaki.

Przyklęknął, żeby obejrzeć bruzdy wyżłobione w ziemi.

- To jest cholernie przebiegły słoń.

- To jest Malima Temboz - powiedział Karenja Kiwając ze zrozumieniem głową, jakby Bwana teraz dopiero zrozumiał to, co przez cały czas usiłował mu wytłumaczyć.

Wkrótce dotarli do suchego i gorętszego rejonu. Był pozbawiony drzew i krzewów, pełen gazeli, zebra i antylopy. Sloane wspinał się na pobliski kopiec termitów, sięgnął do plecaka i wydobył lunetę.

- Mam go! - oznajmił chwilę później.

- Gdzie? - dopytywał się Karenja.

Sloane wskazał na północny-wschód.

- Czy jest pan pewien, że to Malima Temboz?

- Jest zbyt daleko, żeby zobaczyć kły - odparł Sloane - ale jest duży i wędruje samotnie.

Zeskoczył z kopca.

- Dobrze - powiedział. - Wiemy już, że lubi bawić się w kotka i myszkę. Zobaczymy, czy uda mu się i następnym razem. Czy widzisz ten zagajnik ze sześć mil przed nami?

- Ndio, Bwana.

- Jeżeli uważa, że ciągle go gonimy, to tam na nas zaczeka.

- To nie jest lew, który potrafi się przyczaić i zaczekać - powiedział Karenja.

- Ale nie jest także zwykłym słoniem - powiedział Sloane. Wie, że idziemy za nim i wie, że na otwartej przestrzeni jest narażony na większe niebezpieczeństwo. Jestem przekonany, że ukryje się wśród drzew.

Przerwał na chwilę, żeby przetrzeć oczy z kurzu.

- Pójdiesz na prawo i okrążysz zagajnik. Chcę wiedzieć, dokąd pójdzie, jeżeli wyjdzie z tamtej strony.

- A ty, Bwana?

- Idę prosto do zagajnika. Wodopój jest o jakieś cztery mile stąd i około milę w lewo. Jeżeli zatrzyma się, żeby się napić i wziąć błotną kąpiel, mogę być pierwszy między drzewami.

- A jeżeli nie zatrzyma się?

- Wtedy pójdę za nim. Jak zobaczysz, że wychodzi z tamtej strony, zaczniesz wołać.

Karenja podniósł rękę.

- Kwaheri, Bwana.

- Dlaczego się ze mną żegnasz? Zobaczymy się za dwie godziny.

- Ndio, Bwana - powiedział Kikuju bez większego przekonania. Następnie oddalił się truchtem.

Sloane rozejrzał się po równinie. Chciał dojrzeć wielką sylwetkę słońa, ale jej nie dostrzegł. Wypił łyk z manierki i ruszył w kierunku odległego zagajnika.

Stada gazeli i antylop rozbiegły się przed nim. Zwolnił nieco kroku, nie chcąc sygnalizować słoniowi swojej obecności. Wkrótce osiągnął właściwą prędkość i mógł omijać stada pasących się zwierząt bez płoszenia ich. Zaczął już gratulować sobie z powodu udanego marszu przez równinę, kiedy na drodze stanął mu samotny nosorożec.

Nosorożec patrzył na niego parskając, a następnie zaczął obiegać wkoło, żeby złapać wiatr. Sloane zdjął strzelbę powoli z ramienia i trzymał ją przed sobą mając nadzieję, że nie będzie musiał jej użyć i ujawnić swojej obecności słoniowi.

Nosorożec zatrzymał się w odległości około sześćdziesięciu jardów, a następnie zaczął ryc ziemie kopytami parskając gniewnie. Chwilę później zbliżył się na około dwadzieścia jardów i skreślił pod prostym kątem.

Sloane stał nieruchomo, a nosorożec znowu zaczął krążyć wyraźnie zaniepokojony zapachem. Jeszcze raz zwierzę po-

chyliło głowę i ruszyło do ataku, żeby znowu skrócić w odległości dwudziestu jardów. W końcu odwróciło się potrząsając gniewnie głową i oddaliło się galopem.

Sloane odczekał jeszcze minutę, żeby upewnić się, że nie wróci, a po chwili ruszył znowu w kierunku zagajnika. W miarę zbliżania się do drzew napotykał coraz mniej zwierząt, może dlatego, że drzewa stanowiły świetną kryjówkę dla drapieżników. Zwierzęta uciekały na jego widok. Rozglądał się po ziemi szukając tropów słonia. Nie znalazł jednak niczego. Zaczął skręcać w lewo w nadziei, że ujrzy słonia na równinie.

Obszedł już prawie jedną trzecią zagajnika, kiedy usłyszał wołanie.

- Bwana, wrócił między drzewa!

- Wrócił między drzewa? - mruknął Sloane do siebie. - Jak, u diabła, dostał się tam, że go nie widziałem?

Sprawdził ładunki. Dwa naboje umieścił między palcami lewej dłoni i wszedł w głąb zagajnika. Zagajnik ten miał około dwieście jardów średnicy.

Wszedł może na dwadzieścia stóp w gęszcz i zatrzymał się. Nasłuchiwał odgłosów, które mogłyby pomóc mu zlokalizować słonia.

Burczenia w brzuchu słonia, trzasku gałązek, czegokolwiek. Nie usłyszał nic. Po chwili ruszył naprzód. Znowu zatrzymał się. Znowu nie usłyszał nic, oprócz ćwierkania ptaków i grania świerszczy.

Chciał zawołać Murzyna, żeby dowiedzieć się, czy słon znowu wyszedł z zagajnika, ale bał się zdradzić, gdzie jest, więc stopa po stopie szedł przez zagajnik. Nie sięgał wzrokiem dalej niż na dziesięć stóp, często nawet na pięć i nagle zdał sobie sprawę z idiotyzmu tropienia Malima Temboz w gęszczu.

Cofnął się szybko i gdy wyszedł na otwartą przestrzeń, odczekał z ulgą.

Cofnął się na około pięćdziesiąt jardów i zawołał na Murzyna.

- Czy wciąż tam jest?

- Ndio, Bwana.

- Poczekamy z dziesięć minut, dopóki nie zapomni, że tu jestem. Ty zaczniesz hałasować z tamtej strony. Może uda się go wystraszyć w moim kierunku.

- On się nie boi hałasu, Bwana! - zawołał Karenja.

- Jednak spróbujemy.

Karenja nic nie odpowiedział i ruszył we wskazanym kierunku. Po około piętnastu minutach zaczął uderzać w gałęzie i wrzeszczeć z całych sił, podczas gdy Sloane przykleknął ze strzelbą w dłoniach i wpatrywał się w ścianę drzew czekając, że za chwilę słoń wychynie spomiędzy nich.

Hałas umilkł jakieś dziesięć minut później, a po pół godzinie Karenja potulnie okrążył zagajnik i wrócił do Sloane'a.

- Co tu robisz? - spytał myśliwy.

- Myślałem, że pan zginął, Bwana. Nie słyszałem wystrzałów - wyjaśnił Karenja. - Przyszedłem, żeby zabrać pańskie ciało do misjonarzy.

- Dzięki - powiedział Sloane.

- Mam wrócić robić hałas, Bwana?

- Nie. To nic nie daje.

- To co będziemy robić?

- Czekać - powiedział Sloane.

Postukał znacząco w manierkę.

- Mamy więcej wody niż on. Wodopój jest o milę stąd. Prędzej czy później będzie musiał wyjść.

- Prędzej czy później człowiek musi zasnąć.

- Jak zawsze optymista - powiedział Sloane.
- Czy mam wrócić na drugą stronę, Bwana?
- Tak. Myślę, że tak będzie lepiej. Weź to ze sobą.

Podał Murzynowi lunetę.

- Może się przydać, jeżeli wymknął się, kiedy tu rozmawialiśmy.

Karenja wziął lunetę i oddalił się truchtem. Sloane zdjął plecak, wyjął kawałek suszonego mięsa i zaczął go żuć. Zapadał zmierzch. Nadchodził wieczór, a słoń nadal pozostawał w ukryciu wśród drzew.

W końcu Sloane zdecydował, że było zbyt ciemno, żeby coś zobaczyć. Rozpalił więc duże ognisko raczej po to, żeby móc lepiej celować niż odstraszyć drapieżniki. Usiadł przy ogniu, oparł się o plecak i położył strzelbę delikatnie na kolanach.

W oddali stęknął lew i stado antylop poruszyło się niespokojnie. Działo się to jakąś milę w kierunku zachodnim. Gdzieś zaryczał lampart i rozległ się krzyk antylopy. Znow zapadła cisza.

Nagle Sloane instynktownie podniósł głowę. Malima Temboz szarżował na niego cicho, jak sama noc, bez ryku, bez ostrzegawczego trąbienia.

Myśliwy podniósł strzelbę do ramienia i patrzył na potężną bestię. Wielkie uszy zasłaniały księżyc i gwiazdy, ziemia drżała przy każdym kroku ogromnego cielska, potężne kolumny kłów zdawały się sięgać w nieskończoność.

- Jesteś dokładnie taki, jak mówili wyszeptał Sloane, patrząc znieruchomiały, jak słoń pędzi ku niemu.

W ostatniej chwili oddał strzał. Kula wzbija chmurkę, kurzu nad czołem potwora. Nie zatrzymała go jednak. Nawet nie

zwolnić biegu. Sloane wiedział podświadomie, że tak się stanie.

Patrzył z podziwem, jak gruba trąba i lśniące kły sięgały po niego. Uznał, że taki widok może człowiekowi starczyć na całe życie. Jednak zostało mu go bardzo niewiele.

Kilka minut później Karenja znalazł to, co zostało z jego Bwany. Począł do rana i pochował poszarpany szary mundur, a ponieważ wiedział, jak biali ludzie postępują ze swymi zmarłymi, na grobie umieścił krzyż, a na nim zawiesił doszczętnie zniszczony stetson Sloane'a.

Wrócił do swej wioski, zapłacił wodzowi okup, kupił żonę i resztę życia spędził hodując kozy. Jeśli już człowiek raz polował na Malima Temboz, to nic więcej nie pozostało mu do zrobienia.

SIÓDME INTERLUDIUM (ROK 6303 ERY GALAKTYCZNEJ)

- Duncan, czy ty nigdy nie śpisz w domu? Obudź się! Mruknąłem coś i sięgnąłem, żeby naciągnąć koc na głowę. Zdałem sobie sprawę, że przecież nie miałem żadnego koca i że zasnąłem w biurze.

- Duncan!

Usiadłem przecierając oczy i ziewając.

- Która godzina? - zapytałem.

- Siódma trzydzieści - powiedziała Hilda.

Stała przed moim fotelem z groźną miną.

- Nie chciałyś przyjść za godzinę?

- Nie chciałabym. Wstań! Od razu poczujesz się lepiej.

Wstałem ostrożnie. Kark miałem sztywny. Bolała mnie prawa noga. W ustach czułem nieprzyjemny smak.

- Mylisz się - powiedziałem.

- W jakiej sprawie?

- Czuję się gorzej.

- To spróbuj dla urozmaicenia spać w łóżka - powiedziała sarkastycznie.

Przerwała i popatrzyła na mnie.

- Duncan, pół nocy zastanawiałam się, czy rano będziesz jeszcze żył. Daję ci dwie minuty na pozbieranie się, a potem powiesz mi dokładnie, co się stało poprzedniego wieczora.

- Słoń go zabił.

- O kim ty mówisz?

- O Hannibalu Sloane. Był pierwszym białym człowiekiem, który go widział.

- Nie obchodzi mnie, czego dowiedziałeś się z komputera. Chcę wiedzieć, jak odbyło się spotkanie z Mandaką.

- Ale komputer znalazł wczoraj trzy dalsze kawałki układanki - powiedziałem, starając się skoncentrować.

- Jesteś coraz bliżej kłów?

- Kłów nie.

- A czego? - spytała tracąc cierpliwość.

- Bliżej przyczyn.

- Chodź - powiedziała. - Zjemy śniadanie i pogadamy. Wyglądasz okropnie, a rozmawia się z tobą jeszcze gorzej.

- Dziękuję - powiedziałem siadając w fotelu. - Dlaczego nie wpadniesz tu o dziewiątej?

- Komputer - poleciła. - Proszę o więcej światła.

Natychmiast ściana stała się przezroczysta i blask wschodzącego słońca zalał pokój.

- Dobrze - powiedziałem zamykając oczy. - Zejdę na śniadanie, tylko przestań.

- Pięćdziesiąt procent przejrzystości - poleciła. Pokój był znowu do wytrzymania.

- To było straszne - powiedziałem nadąsany wstając. - Spałem tylko trzy godziny.

- Później cię przeproszę - odparła. Podeszła do drzwi i zleciła ich otwarcie.

- Gdzie idziemy - na drugie piętro czy na dziewiętnaste? - spytałem przeczesując palcami włosy i starając się przypomnieć sobie, gdzie zostawiłem szczotkę.

- Na dziewiętnaste - powiedziała. - Nie możemy pozwolić, żeby zwykli pracownicy oglądali cię w takim stanie.

Pojechaliśmy do jadalni kierownictwa, która była niczym więcej jak luksusowym barem. Usiedliśmy przy stole, unosząc się przy dużym oknie, w najdalszym końcu sali. Zamówiłem kawę i ciastko, zaś Hilda swoje zwykłe, solidne śniadanie.

- Dobrze - powiedziała, gdy zniknęło już nam sprzed oczu holograficznie wyświetlane menu, a jedzenie pojawiło się na stole. - Obudziłeś się już?

Skinąłem głową, starając się zignorować widok budzącego się miasta, rozpościerający się z okna.

- Chciałabym pełne sprawozdanie.

- Hilda - odparłem. - Nigdy nie uwierzysz, jakie on ma mieszkanie. W życiu niczego podobnego nie widziałem.

- Jego mieszkanie? Przecież ostatnio widziałam was w twoim mieszkaniu.

- Nie podobało mu się u mnie. Zbyt sterylnie.

- Ma rację - przyznała. - Zacznij od początku.

- Od początku?

- Opowiedz mi, co się stało w „Dawnych Czasach” i dlaczego poszliście później do niego.

Opowiedziałem jej wszystko po kolei wraz ze szczegółami mojej wizyty w niezwykłym mieszkaniu Mandaki. Skończyła śniadanie, właśnie kiedy ja kończyłem moją opowieść.

- Wiesz - powiedziała zastanawiając się nad moim sprawozdaniem. - Odnoszę takie dziwne wrażenie, że go lubisz.

Pokręciłem przecząco głową.

- Za mało go znam, żeby go lubić, ale rozumiem go.

- Jak możesz rozumieć człowieka, który wyrósł w trzcinowej chacie na drugim końcu galaktyki i jest przekonany, że umrze jeżeli w końcu znajdziesz kły.

- Dobrze. Ujmijmy to inaczej. Współczuję mu.

- Dlaczego?

- Nie wiem, Może dlatego, że chciałbym być kimś innym.

- Tobą.

- Nie mną. Dobrowolnie wybrałem sposób życia, którego on nienawidzi.

Spojrzałem na nią przez stół i uśmiechnąłem się.

- On raczej wolałby być tobą.

- Nie rozumiem.

- Jedynej rzeczy, jakiej kiedykolwiek on naprawdę chciał, to pracy, rodziny i normalnego, uporządkowanego życia. Zamiast tego, wychował się samotnie nie znając innych dzieci, obciążony jest świadomością, że jest ostatnim ze swego plemienia i czuje się zmuszony poświęcić całą fortunę, a nawet i życie na odzyskanie kłów słonia, który zginął siedem tysięcy lat temu.

Zamyśliłem się nad tym wszystkim, patrząc w dół na nasilający się ruch uliczny i skinąłem głową.

- Tak, myślę, że rzeczywiście wolałby być tobą.

- Dlaczego zatem nie spróbuje prowadzić normalnego życia? - spytała.

- Powiedziałem ci. On nie może się ożenić.

- Miliardy ludzi nie zawierają związków małżeńskich, a jednak żyją normalnie. Większość - dodała znacząco - jest także w archiwach Wspólnoty.

- Wyjaśniłem ci to.

- On ma sprytne wyjaśnienie na wszystko - powiedziała. - Musi być wygadany, skoro uwierzyłeś we wszystko.

- Nie byłeś u niego. Nie widziałas jego mieszkania.

- Ale ty byłeś i ciągle myślisz, że prowadzicie takie samo życie.

- Tak.

- Mieszka w kosztownym apartamencie, który przerobił tak, żeby wyglądał na prymitywną lepiankę. Ty zaś żyjesz w mieszkaniu klasy średniej, którego nie potrafiłbyś w ogóle opisać, nawet gdyby twoje życie od tego zależało. On podróżuje po galaktyce, ty całe życie spędzasz w biurze. On chce nawiązać stosunki towarzyskie, ty za wszelką cenę ich unikasz. On sobie życzy, żeby ktoś znalazł dla niego kły, aby on sam nie musiał szukać, a ty nie myślisz o niczym innym, tylko o ich znalezieniu. W jakiś sposób przekonał cię, że wasz sposób życia jest identyczny. Musi być bardzo przekonujący.

- Nasz sposób życia jest podobny, jeżeli chodzi o sprawy istotne.

- One różnią się od siebie, jak dzień od nocy.

- Jediną istotną różnicą jest to, że on jest nieszczęśliwy, a ja swoje życie lubię.

Chciała coś powiedzieć, ale powstrzymała się. Zamiast tego zamówiła dla siebie ciastko i przez parę chwil oglądała pазnokcie. Następnie spojrzała na mnie.

- W porządku, Duncan. Spędziłeś kilka godzin w jego towarzystwie. Wydaje się, że z powodów, których ja pojąć nie mogę, polubiłeś go. Zobaczyłeś, gdzie i jak mieszka. Czy wiesz jednak, dlaczego gotów jest zapłacić miliony kredytów, a nawet zabić, żeby wejść w posiadanie kłów?

- Domyślam się - powiedziałem ostrożnie - ale nie wiem na pewno.

- To jest pewna różnica - powiedziała, gdy dostała ciastko.

- Nie wiem dokładnie, po co mu są potrzebne, ale związane jest to z faktem, że jest Masajem. Co więcej, uważam, że potrzebuje ich tak pilnie nie tylko dlatego, że jest Masajem, ale także dlatego, że jest ostatnim Masajem.

- Co ma jedno z drugim wspólnego?

- Nie wiem - przyznałem - ale z różnych uwag, jakie wypowiedział, rozumiem, że coś z nimi musi być zrobione lub muszą być jakieś powody, żeby je mieć. Mógł to zrobić każdy z Masajów, ale absolutnie musi to zrobić Mandaka, właśnie dlatego, że jest ostatnim z Masajów.

- To jest dla mnie bełkot. Coś mogło być zrobione, powinno było być zrobione, musi być zrobione...

Urwała i patrzyła na mnie niecierpliwie.

- Kiedy w ten sposób mówisz, to rzeczywiście brzmi jak bełkot - przyznałem niepewnie. - Gdzieś jednak musi być wyjaśnienie. Jestem pewien, że jest.

- Co musi być zrobione, na litość boską, i dlaczego musi być zrobione?

- Nie wiem - wzruszyłem bezradnie ramionami.

- Nie pytałeś go?

- Oczywiście, że pytałem - powiedziałem zirytowany.

- I co?

- Nie chciał mi powiedzieć. Mówił, że pomyślę, iż jest szalony.

Złośliwy uśmiech pojawił się na jej twarzy.

- Nie ty, Duncan... Ty byś tak nie pomyślał, jeżeli dodałoby to tajemniczości. Ja mogłabym pomyśleć, że jest szalony, każdy mógłby tak pomyśleć. Ty zaś dodałbyś to tylko do niekończącej się listy zagadek, nad którymi pracujesz.

Nic nie odpowiedziałem. Bawiłem się pustą filiżanką.

- Dobrze, Duncan - powiedziała z westchnieniem. - Czy uważasz go za szalonego?

- Nie.

- Czy masz jakieś przypuszczenia, po co on je chce?

- Tylko to, że ma to związek z faktem, iż jest Masajem.

- Dlaczego mam wrażenie, że nie mówisz mi wszystkiego, co wiesz?

- Podejrzewam więcej niż ci mówię, ale nic nie wiem.

- Dlaczego Masajowie mieliby być bardziej zainteresowani kłami niż Kikuju albo Zulusi.

- Zulusi byli o tysiące mil na południe.

- Dałam ci tylko przykład - powiedziała zakłopotana. - Nie odróżniam tych plemion. Zapytam inaczej. Dlaczego Masajowie mieliby być bardziej zainteresowani słoniem niż inne plemiona?

- Nie wiem.

- Czy Masajowie zabili słonia?

- Chyba nie. Nikt nie wie na pewno.

- Dlaczego mówisz „chyba nie”?

- Masajowie nie polowali dla zdobycia mięsa albo kości słoniowej. Nie mieli powodu, żeby go zabić. Z tego, co dowiedziałem się dziś rano, trzeba było czegoś więcej niż nagiego wojownika z dzidą, żeby go zabić.

- Jeżeli Masajowie go nie zabili, to skąd roszczenia do kłów? Czy kupili je na aukcji?

- O ile wiem, żaden Masaj ich nie posiadał, kiedy były jeszcze na Ziemi. Zostały wystawione na aukcję przez Araba, kupione przez białego. British Museum zwróciło je władzom Kenii. Znajdowały się w muzeum w Nairobi aż do początków Ery Galaktycznej. Nawet w tym okresie nie znalazłem śladu

ani jednego Masaja, który by je posiadał. Dopiero w XVIII wieku Ery Galaktycznej pojawił się Masaj Laibon.

- Więc jaki związek mają z nimi Masajowie?

- Odnoszę wrażenie, że to nie tyle związek, ile potrzeba.

- No, to znowu jesteśmy na początku. Ja zapytam „dlaczego?”, a ty powiesz, że nie wiesz oraz że masz pewne niejasne podejrzenia, ale nie chcesz się nimi podzielić. Czy nie mam racji?

- Masz. Kawy?

- Możesz doprowadzić człowieka do szału.

- Przepraszam. Nie chciałem.

- Dwa dni, Duncan! - pogroziła mi palcem. - Tyle ci tylko zostało.

- Wtedy się zastanowimy - przypomniałem jej.

- Nie będziemy się zastanawiać, jeżeli nie będziesz miał lepszych odpowiedzi.

- Jak będę miał odpowiedzi, nie będę potrzebował przedłużenia terminu.

- To zdobądź wreszcie te odpowiedzi, bo nie robisz większych postępów w poszukiwaniu.

Wróciłem do biura. Wszedłem do łazienki. Przemyłem twarz zimną wodą i zdecydowałem się ogolić.

- Komputer.

- Tak, Duncanie Rojas?

- Jak postępuje poszukiwanie kłów?

- Nie natrafiłem na ich ślad od czasu kradzieży z Wnoxa IV przez Thaiti Benoit.

- Zrób mi przysługę.

- Tak.

- Jak będę się golić, przygotuj dla mnie krótką historię Masajów poczynając od roku 1898 po narodzeniu Chrystusa.

- Proszę o dokładniejsze polecenie.
- Chcesz dokładniejszą datę?
- Proszę o zdefiniowanie słowa „krótką”.
- Mniej niż pięćset słów.
- Wykonuję... Wykonane.
- Jeszcze nie skończyłem się golić.
- Czekam...

W kilka chwil później podszedłem do biurka i usiadłem.

- W porządku, komputer.

- Plemię Masajów liczyło w roku 1898 około dwudziestu pięciu tysięcy ludzi. Należała do nich większość terenów w Rift Valley oraz większość południowej Kenii obejmującej Tsavo, Amboseli i Maasai Maru, a także część północnej Tanzanii z równinami Serengeti, górą Kilimandżaro i kraterem Ngorongoro. Bano się ich w całej Afryce Wschodniej i Centralnej. Ich sława dorównywała sławie plemienia Zulu, chociaż mieli mniejsze osiągnięcia militarne.

Do 1910 roku Brytyjczycy wydali szereg przepisów, które pozbawiły Masajów ich potęgi i uniemożliwiły kontynuowanie dotychczasowego sposobu życia. Nie wolno im było nosić dzid, a nawet tarcz. Nie wolno było atakować innych plemion. W roku 1940 zabroniono im dokonywać tradycyjnego rytuału inicjacji, tj. zabijania lwów dzidą.

W okresie uzyskania niepodległości plemię liczyło dwieście pięćdziesiąt tysięcy ludzi, czyli znacznie mniej niż plemiona Kikuju, Luo i Wakamba. Prowadzili tradycyjne życie pasterskie, pozostali więc w tyle za innymi plemionami pod względem stopnia zdrowotności, znaczenia gospodarczego czy zwalczania analfabetyzmu.

Do roku 2010 wszystkie ich ziemie przeszły pod kontrolę rządów Kenii i Tanzanii. Do roku 2050 ludność zmniejszyła się

do trzydziestu tysięcy. W roku 2093 nie mówili już swoim językiem zwanym maa, a jedynie suahili w mowie i piśmie. Na początku ery galaktycznej i w okresie kolonizacji New Kenya żaden z Masajów nie zajmował znaczącego stanowiska w rządach Kenii i Tanzanii. Plemię nie miało istotnych osiągnięć od czasu rozpoczęcia podróży kosmicznych przez człowieka.

- Smutna historia - powiedziałem.

- Nie jestem zaprogramowany do wnioskowania w tej dziedzinie.

- Wiem - powiedziałem zamyślony.

Nie wiem, jak długo siedziałem nieruchomo. W końcu podjąłem decyzję.

- Komputer?

- Tak? - odpowiedziała maszyna rozświetlając kryształ.

- Czy możesz przeanalizować sytuację w Afryce Wschodniej przed 1898 rokiem?

- Pod jakim względem?

- Proszę o ocenę sytuacji plemiennej pod wszystkimi względami około roku 1897 i o ocenę prawdopodobieństwa, że historia plemienia pójdzie właśnie w tym kierunku utraty potęgi i braku osiągnięć.

- Wykonuję...

Zamówiłem filiżankę kawy, a następnie zadecydowałem, że wypić już za dużo kawy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin i odwołałem zamówienie. Poprosiłem o szklankę soku. Komputer miał odpowiedź, zanim jeszcze otrzymałem sok.

- Prawdopodobieństwo, że historia plemienia Masajów rozwinie się w sposób, w jaki się rozwinęła, skalkulowane na podstawie danych z 1898 roku i lat wcześniejszych wynosi 1,43 procentu.

- Przeprowadź te same kalkulacje dla roku 1910.

- Wykonuję... 51,23 procentu.

- Dla roku 1950?

- Wykonuję... 93,78 procentu.

- Dziękuję, komputer - powiedziałem popijając sok.

Nagle pojawiła się przede mną twarz Hildy.

- Kontrolowałam pracę komputera - powiedziała.

- Kto ci pozwolił?

- Nie potrzebuję pozwolenia. Jestem szefową ochrony.

Gniewam się na ciebie, ale nie mogę nie być zafascynowana pytaniami, jakie zadajesz komputerowi. Czy mogę zasugerować następne pytanie?

- Nie krępuj się - powiedziałem.

- Komputer - powiedziała - spróbuję postawić hipotezę. Utrata potęgi i przodownictwa przez plemię Masajów była bezpośrednim wynikiem śmierci Kilimandżaro w 1898 roku. Proszę przeanalizować - dodała po przerwie.

- Wykonuję... Hipoteza ma prawdopodobieństwo 0,00034 procentu.

- Bardzo interesujące - powiedziałem.

- Co jest w tym interesującego? - powiedziała. - Myliłeś się.

Wyglądała na rozczarowaną.

- Wiesz, że nawet ja w połowie uwierzyłam, że taki związek istnieje.

- Istnieje - powiedziałem.

- Komputer daje tylko 0,00034 procentu prawdopodobieństwa - powiedziała. - Nie wygląda to zachęcająco.

- Mylisz się. Na podstawie informacji, jakie posiada komputer, nie powinno być żadnego prawdopodobieństwa.

- Tak? - powiedziała mimo wszystko zainteresowana.

- Pomiedzy Masajami a słoniem nie ma żadnego związku, o którym byłoby wiadomo. Nie powinno to wywrzeć żadnego wpływu na historię plemienia.

- I wygląda na to, że nie wywarło.

- Komputer nie powinien analizować, jak to wygląda, ale działać z absolutną pewnością.

- Zapytajmy w takim razie, dlaczego nie powiedział po prostu „zero”.

- Zapytajmy. Zastanawiam się, jak sformułować pytanie.

Umilkła i pozwoliła mi się zastanowić.

- Komputer - powiedziałem wreszcie. - Jakie czynniki spowodowały zmianę prawdopodobieństwa wpływu śmierci słonia Kilimandżaro na historię plemienia z zera na 0,00034 procentu?

- Wtórne źródła dotyczące pewnych wypowiedzi Sendeyo.

- Kto to był Sendeyo?

- Laibon Masajów i brat Lenena, który był wielkim wodzem plemienia w 1898 roku.

- Jakie były wypowiedzi Sendeyo?

- Niewystarczające dane - odpowiedział komputer.

- Jeżeli nie wiesz, co powiedział, dlaczego ma to wpływ na wynik kalkulacji?

- Sam fakt, że był znaczącym laibonem w 1898 roku i wypowiadał się na temat słonia Kilimandżaro wystarczy, żeby zmienić prawdopodobieństwo z zera na 0,00034 procentu.

- Dziękuję - powiedziałem.

Odwróciłem się do Hildy, spoglądającej na mnie z monitora.

- Myliłem się - powiedziałem z westchnieniem. - Nie miałem pojęcia, że zwykłe wspomnienie słonia może wpłynąć na wynik kalkulacji.

- Możliwe, że się myliłeś - zgodziła się ze mną Hilda - ale w każdym razie powstaje tu następne pytanie. Komputer?

- Tak?

- Rozumiem, że nie ma oczywistego związku pomiędzy plemieniem Masajów a śmiercią słonia Kilimandżaro. Czy to prawda?

- Tak jest.

- Skąd zatem Senedyo wiedział, że słoń nie żyje lub że w ogóle istniał?

- Niewystarczające dane.

Hilda odwróciła się do mnie.

- Nie wiem, czy to jest właściwy kierunek poszukiwań, ale interesujący.

- Bardzo interesujący - potwierdziłem.

Poszukiwania stały się jednak mniej interesujące w ciągu następnych trzydziestu minut, bo niezależnie od tego, jak formułowałem pytania, komputer nie mógł znaleźć powiązań między Sendeyo i Masajami a słoniem Kilimandżaro. Laibon wspomniał o nim prawdopodobnie raz. Źródło było wtórne i nie można go było traktować jako absolutnej prawdy. Jedna taka wypowiedź wystarczyła, żeby zmienić obliczenia komputera. Brak było innych danych i nie można było skłonić komputera do wypracowania własnych hipotez.

Wreszcie Hilda przerwała serię pytań.

- Zaczynamy pracę za dwadzieścia minut. Muszę zrobić obchód.

- Dobrze - powiedziałem.

- Zawiadom mnie, jak coś znajdziesz.

- Oczywiście.

Obraz Hildy zniknął, a ja wróciłem do komputera. Nie miałem pojęcia, jak kontynuować temat. Zapytałem, czy udało się zlokalizować kły i otrzymałem odpowiedź, że komputer nie znalazł śladu kłów od czasu, kiedy to Thaiti Benoit ukradła je Nocnym Lotnikom.

Zupełnie zabrakło mi pomysłów. Nie chciałem jednak zaprzestać zadawania pytań komputerowi, ponieważ gdy już biuro rozpocznie pracę, będę mógł kontynuować temat dopiero za dziewięć godzin.

- Poproszę o holograficzny obraz kłów - powiedziałem w nadziei, że ich widok oddalony zaledwie o kilka stóp podsunie mi nowy pomysł.

- Wykonane - oznajmił komputer, kiedy kły pojawiły się przede mną.

Patrzyłem na nie, jak zwykle, pod wrażeniem. Nie mogłem jednak nic wymyślić, żeby skłonić komputer do znalezienia związku pomiędzy nimi a Sendeyo i Masajami. Rozsiadłem się wygodnie i położyłem nogi na biurku.

- Wyglądają tak czysto pomimo tej krwi, którą rozlały - powiedziałem.

- To tylko zęby - powiedział komputer. - Nigdy nie były ukrwione.

- Użyłem metafory. Miałem na myśli tych, którzy przez nie zginęli.

- Sześć tysięcy dziewięciu set osiemdziesięciu dwóch według posiadanych informacji - powiedział Komputer.

- To chyba pomyłka - zaprotestowałem. - Był Wojownik i Hannibal Sloane, Tumo z plemienia Lumbwa i Ksther Kamau. Nie wiemy, czy spowodowały śmierć Żelaznej Księżnej i Thaiti Benoit.

- Nie biorę pod uwagę Żelaznej Księżnej i Thaiti Benoit.
- Skąd ta liczba?
- Wojna o ich posiadanie w roku 882 Ery Galaktycznej.
- Wojna? - powtórzyłem zaskoczony.
- Akcja wojskowa między dwiema planetami - wyjaśnił komputer. Mój bank danych definiuje taką akcję Juko wojna.
- Walczyli o kły?
- Tak jest.
- Proszę o informacje - powiedziałem podekscytowany.
- Wykonuję...

ROZDZIAŁ 8

POTENTAT (ROK 882 ERY GALAKTYCZNEJ)

Dotarłem do pokrytej kurzem równiny Amboseli i teraz, po raz pierwszy, mogłem zobaczyć w oddali potężną górę Kilimandżaro. Jej stoki były szaroniebieskie, a pokryty śniegiem wierzchołek tonął w chmurach. Szedłem na południe w jej kierunku. Największy słoń odbywał pielgrzymkę do największej góry. Jeżeli Bóg ludzi zamieszkiwał na górze Kenya, może bóg słońi zamieszkiwał Kilimandżaro.

Nie zostało mi wiele czasu. Nie czułem strachu ani żalu, ponieważ śmierć jest końcem wszystkich żywych istot i wydawało się, że lepiej będzie, jeżeli teraz odnajdę swojego boga, niż gdyby on odnalazł mnie, słabego i wygłodniałego, nie mogącego wstać w jego obecności lub oszalałego z bólu wywołanego przez mrówki wyżerające wewnątrz mojej trąby. Chciałem zapytać go, dlaczego uczynił mnie innym niż resztę słońi, dlaczego wyznaczył mi życie w samotności, dlaczego udało mi się przeżyć rany od kul, dzid i strzał, których nie przeżyłoby żadne inne zwierzę. Chciałem dowiedzieć się, dlaczego mnie stworzył i czy otrzymane zadanie wypełniłem dobrze i honorowo.

Zatrzymując się tylko przy wodopojach i żeby posypać piaskiem moją spękaną i podrażnioną skórę, zwróciłem się ku Kilimandżaro i kontynuowałem moją wędrówkę.

* * *

Generał Arab Chagalla czuł się niezbyt wygodnie w swoim galowym mundurze. Znad porannej herbaty spojrzął na wchodzącego majora Jumę.

- Sir?

- Spocznij, majorze - powiedział Chagalla. Wydał krótki rozkaz komputerowi i ekrany na ścianach wyświetlające różne mapy taktyczne zgasły.

- Dziękuję, sir - powiedział Juma. Przerwał na chwilę starając się uspokoić, ale bezskutecznie. Podniósł trzymaną w ręku kartkę niebieskiego papieru.

- Sir, o co tu chodzi?

Arab Chagalla nawet nie spojrzął na kartkę.

- Chyba jest to zupełnie jasne. Otrzymałszy rozkaz zaatakowania Plantagenet II.

- Czy zagrozili naszemu bezpieczeństwu? - zapytał Juma, pochylając się do przodu i opierając końcami palców o biurko Chagalli.

- Nie.

- Zaatakowali naszych obywateli?

- Nie.

- Na Allacha! Dlaczego zatem wyruszamy na wojnę przeciwko planecie oddalonej od nas o siedemdziesiąt trzy tysiące lat świetlnych?

- Dlaczego nasz król robi, to co robi? - powiedział Chagalla. - Allach szepnął mu do ucha, że musimy zaatakować Plantagenet II.

- I to jedyny powód?

- Oczywiście, że nie - odparł Chagalla. - To jest oficjalny powód.

- A jaki jest prawdziwy powód ataku?

Arab Chagalla westchnął.

- Nie przypuszczam, że mi pan uwierzy, kiedy panu powiem.

- Czy to jedyna odpowiedź, jaką otrzymam?

- Nie - odpowiedział Chagalla. - Ale dzięki Allachowi, to nie ja przynajmniej będę tym, który jej panu udzieli. Król zwołał odprawę wyższych oficerów po porannych modłach. Jakiś młodszy oficer będzie na tyle głupi, że zapyta o prawdziwe powody.

Chagalla przerwał i popatrzył w zamyśleniu na Jumę.

- Chciałbym pana ostrzec. Niech pan się stara nie uśmiechać, kiedy król będzie wyjaśniać swoje powody.

- Przepraszam?

- Słyszał mnie pan - odparł Chagalla poważnie. - Proszę słuchać uważnie i z powagą, a może uda się nam dotrzeć do Plantagenet II bez strat, o ile Allach pozwoli.

Zebrali się w sali tronowej. Wszyscy w mundurach galowych.

Było ich siedemdziesięciu ośmiu. Wybrał ich Amin Rashid XIV, władca absolutny Alpa Bednari IV, żeby ponieśli jego sztandary w świętej wojnie przeciwko niewiernym z systemu Plantagenet II. W sali nie było krzesel. Stali więc na baczność czekając na przybycie króla.

Wreszcie wszedł do sali. Nie był imponującą postacią. Niski, tłusty; na lekko pałakowatych nogach, z nie dającym się opanować zwichrowaniem po lewej stronie brody. Zajmował jednak przez dziedzictwo, morderstwa i z łaski Allacha - imponujące stanowisko. Miał czterdzieści siedem lat. Od trzech lat zajmował tron, który zdobył mordując brata i stryja. Przez ten czas zdążył pojąć czterdzieści siedem żon - po jednej za każdy przeżyty rok. Był gorącym wyznawcą odmiany islamu, która nie bardzo zgadzała się z Koranem. Lubił wydawać pie-

niądze, był hazardzistą i hodowcą wynaturzonych jaszczurek. Mówiło się o nim więcej niż by na to zasługiwał, ze względu na niewielką rolę, jaką odgrywał w stworzonej przez człowieka ogromnej i wciąż rozszerzającej się Republice.

Był krańcowym ksenofobem. Nie wierzył nikomu, kto nie urodził się na Alpha Bednari IV (zmienił jej nazwę na Mahomet dla uczczenia Proroka, ale świat ten w dalszym ciągu był we wszystkich oficjalnych publikacjach czwartą planetą systemu Alpha Bednari IV). Nie ufał kobietom. Wypowiadał świętą wojnę wszystkim obcym rasom (choć nigdy jej nie prowadził). Pozbawił praw wszystkich obywateli, którzy nie praktykowali jego odmiany islamu. Trwało to do czasu, aż Republika nie wkroczyła i nie ugodziła tam, gdzie najbardziej boli, czyli w jego skarbiec, a jego dalsze usiłowania pozbawienia kobiet prawa posiadania majątku ugrzęzły w systemie sądowym planety.

W lewej ręce trzymał miłośnie zielono-błękitną jaszczurkę i gładził jej głowę w zamyśleniu, przyglądając się zebranym.

- Panowie - powiedział w końcu piskliwym głosem - dobrze jest widzieć tylu dzielnych mężczyzn stojących tu przede mną.

Przerwał na chwilę i odkaszlnął.

- Jutro rozpoczniemy świętą wojnę przeciwko niewiernym z Plantagenet II i ja zajmę swoje miejsce na pokładzie naszego statku flagowego, dzieląc z wami wszystkie niebezpieczeństwa, jak monarcha czynić powinien.

Znów przerwał, podniósł do ust jaszczurkę i ucałował ją w głowę.

- Jestem Amin Rashid XIV, król Mahometa i ulubieniec Al-lacha. Nie mogę być pokonany, a zatem i wy nie będziecie pokonani, jeżeli będę z wami. Żaden laser nie sięgnie naszych

statków, żaden rozkruszcacz soniczny nam nie zagrozi, żaden imploder molekularny nie będzie działać, jeżeli zostanie skierowany przeciwko nam. Jesteśmy nieśmiertelni, ponieważ uczestniczymy w misji, którą zlecił nam Allah.

- Jedno pytanie, mój Panie - odezwał się młody pułkownik.

- Tak? - odpowiedział Rashid, zwracając się do niego.

- Czy mogę zapytać o wartość strategiczną zdobycia Plantagenet II?

- Nie możesz - warknął Rashid. - Czy nie wystarcza, że ogłosiłem świętą wojnę?

- Tak jest! - powiedział szybko pułkownik.

Rashid wzburzony gładził swoją jaszczurkę.

- Wyruszamy na wojnę przeciwko Plantagenet II, ponieważ Allah zwrócił się do mnie i powiedział mi, że posiadają coś, co ja mieć muszę. Wszyscy, którzy staną nam na drodze, będą zniszczeni. Wszyscy, którzy podniosą miecze przeciwko nam, poznają gniew Jedyneego i Prawdziwego Pana.

- Miecze? - szepnął major Juma, marszcząc brwi. - Czy on myśli, że użyją mieczy przeciwko nam?

- Rzeki będą czerwone od krwi. Ptaki drapieżne będą pożywiać się spalonymi ciałami niewiernych. Śmierć będzie zbierała żniwo, dopóki nie ucichnie ostatni głos podniesiony przeciwko nam. Taka jest wojna Allacha i tak być musi.

Nikt nie chciał zapytać pierwszy, jakie Allah miał w tym cele. Milczeli więc i słuchali, dopóki Rashid sam nie poruszył tego tematu.

- Na wystawie w muzeum w New Avon znajdują się kły zwierzęcia zwanego słoniem Kilimandżaro, największego ssa-ka, jaki kiedykolwiek chodził po Ziemi, kolebce rodu ludzkiego. Allah powiedział mi, że muszę je mieć.

Przerwał i rozejrzał się po zaskoczonych twarzach.

- Tego chcę ja i tego chce Allah. Ktokolwiek nie będzie chciał oddać swego życia tej sprawie, sprzeciwia się nie tylko mojej suwerenności, ale także władzy Allacha.

Chłodny uśmiech sygnalizował wyraźnie, jakie kroki podejmą Rashid i Allah, gdyby ktoś taki się znalazł.

Chwilę później Rashid zwolnił oficerów, żeby rozpoczęli przygotowania do inwazji.

- Wyruszamy na wojnę, żeby zdobyć parę kłów! - powtórzył major Juma, gdy byli w biurze Araba Chagalla. - To jest nie do uwierzenia.

- Uwierzysz, kiedy zaczną do ciebie strzelać - odparł Chagalla ponuro.

- Ale dlaczego?

Generał westchnął głęboko, zapalił cygaro, wypuścił kłąb dymu i spojrzał na młodszego oficera.

- Ponieważ nasz ukochany monarcha spłodził trzynaście córek, a nie ma syna. Chce zapewnić sobie spadkobiercę.

- A co ma jedno z drugim wspólnego? - zapytał Juma zaskoczony odpowiedzią.

- W dawnych czasach, kiedy ludzkość żyła jeszcze na Ziemi, było tam zwierzę spokrewnione ze słoniem o nazwie nosorożec. Został wytępiony ze względu na róg, który wyrastał mu na czubku nosa.

Juma patrzył na niego nic nie mówiąc.

Chagalla znowu wypuścił kłąb cygarowego dymu i ciągnął dalej.

- Powodem, dla którego zwierzę to wytępiono, była chęć zdobycia owego rogu, który miał falliczny kształt; przypuszczano, że spożycie tego rogu, oczywiście w formie sproszkowanej, wzmacnia męskość.

Generał przerwał, zastanawiając się nad czystą głupotą tego, co miał wyjaśnić.

- Nie ma już nosorożców i ich rogów - ciągnął dalej - ale są te dwa kły. Zbliżone są kształtem do rogu nosorożca, a musisz pamiętać, że trzydzieści cztery żony naszego ukochanego władcy - spośród czterdziestu siedmiu - są bezpłodne, a on sam nie staje się wcale młodszy i sprawniejszy seksualnie. Teraz możesz sam wyciągnąć z tego wnioski.

- Zaatakujemy Plantagenet II, żeby mógł częściej cieszyć się swoimi żonami? - zapytał Juma z niedowierzaniem.

- Oczywiście, że nie.

- Ale...

- Zaatakujemy Plantagenet II, ponieważ on myśli, że będzie mógł częściej cieszyć się swoimi żonami.

- Ależ to szaleństwo! - wykrzyknął Juma. - Dlaczego po prostu nie kupimy tych kłów?

- Chcieliśmy kupić, ale spotkaliśmy się z odmową. Wydaje mi się, że to właśnie wtedy Allah zasugerował, że powinniśmy ruszyć na wojnę - dodał z gorzkim uśmiechem.

- Czy róg nosorożca był środkiem podniecającym?

- Oczywiście, że nie.

- To i kły słonia też nie są. Dlaczego ktoś mu tego nie powie?

- Czy zgłaszasz się na ochotnika?

- Nie, ale...

- Jeżeli znajdziesz kogoś, kto będzie skłonny powiedzieć naszemu ukochanemu władcy, że nie ma nadziei na poprawę jego możliwości sypialnianych, zawiadom mnie o tym. Tymczasem szykuj się do walki.

Juma potrząsnął głową z przerażeniem.

- Wyruszamy zatem na wojnę, ponieważ nikt nie chce wyjaśnić szaleńcowi, że przerośnięty, ząb nie jest środkiem podniecającym?

- Tak to wygląda - odparł Chagalla ponuro. - Staraj się pamiętać, że służymy naszej planecie, która jest wieczna, a nie naszemu władcy, który jest tymczasowy.

Juma pokręcił głową.

- To jest zła wojna - powiedział z przekonaniem. - Allah nie pozwoli nam wygrać.

- Z moich studiów historycznych wyciągnąłem wniosek, że Allah zazwyczaj faworyzuje tę stronę, która dysponuje większą siłą ognia - odparł Chagalla.

Inwazja zaczęła się źle. Omalże w ogóle nie spaliła na panewce, gdy osobisty mullah Rashida, Shereef Hassim, odmówił udzielenia dyspensy oddziałom na jedzenie skondensowanych racji żywnościowych, kiedy dowiedział się o celu wyprawy. Rashid skazał go na śmierć, ale jego następcą również odmówił. Zanim monarcha znalazł duchownego, który uznał, że w czasie wojny armia i marynarka mogą jeść mięso zwierząt, które nie zostały zabite w sposób rytualny, zginęło ośmiu duchownych, a flota musiała pozostać w portach przez dodatkowo trzydzieści sześć godzin.

Wreszcie flota wystartowała w kierunku oddalonego systemu Plantagenet. Major Juma po spędzeniu pierwszych dni w swojej maleńkiej kabinie, jeszcze raz zameldował się u generała.

- Wejdz - powiedział Arab Chagalla, gdy młody oficer stanął w drzwiach jego stosunkowo dużej kabiny.

- Dziękuję, sir.

- Napijesz się może kawy bez cukru? - zapytał Chagalla, wskazując na dzbanek stojący obok niego na stole.

- Nie, dziękuję, sir.

- Usiądź - skinął głową w kierunku wolnej koi. - Mój dom jest twoim domem. Na miarę możliwości - skrzywił się.

Juma wszedł do kabiny i drzwi zamknęły się za nim.

- Czy ta kabina jest bezpieczna? - zapytał, zbliżając się do koi zawieszanej na ścianie działowej.

- Bezpieczna? - zmarszczył brwi Chagalla.

- Czy nikt nas nie usłyszy?

- Nie.

- To dobrze - powiedział Juma. Usiadł i pochylił się do przodu. Przyszedłem do pana, ponieważ panu ufam, a sam nie jestem w stanie nic zrobić. Opracowałem plan - dodał niepewnie.

- Zdobycia Plantagenet II? - zapytał Chagalla, dając młodszemu oficerowi szansę wycofania się z tematu, który wyraźnie chciał omówić.

- Zabicia Amina Rashida.

- Będę udawać, że tego nie słyszałem - powiedział Chagalla bez zaskoczenia - a ty, ze swej strony, już nigdy o tym nie wspominaj.

- Ależ ten człowiek jest szalony!

- Jest także naszym królem, któremu przysięgaliśmy lojalność.

- On nie odpowiada za swoje czyny!

- Czyż nie mówi się, że Allah patrzy ze współczuciem na szaleńców? - powiedział Chagalla popijając kawę.

- Allah, może, ale to będzie niewielkim pocieszeniem dla dziesiątków tysięcy zabitych i konających na Plantagenet II.

- Dosyć! - powiedział Chagalla ostro. - Jest twoim monarchą, a ty jesteś jego poddanym. Nie jest człowiekiem doskona-

łym, to pewne, ale doskonały jest tylko Allah. Musisz mu służyć i pozwolić Allahowi, żeby go osądził.

Juma zacisnął niecierpliwie wargi.

- Czy myśli pan, że Republika się z tym pogodzi? - nalegał.
- Rashid jak dotąd jedynie drażnił. Ten akt agresji uczyni z niego przestępcę. Czy pan spodziewa się obronić go przed zjednoczoną potęgą militarną dwudziestu światów?

- Nie będę tego dłużej słuchać - powiedział Chagalla zdecydowanie. - Musisz siedzieć cicho albo wypełnię swój obowiązek i złożę na ciebie raport.

- To niech pan składa raport - warknął Juma. - Krew rozlana na Plantagenet II splami pańskie ręce, jeżeli pan nie posłucha. I o co? O parę kłów, które zdaniem tego szaleńca zrównają jego płodność z płodnością tych jaszczurek, które hoduje!

- Módl się do Allacha o naukę i przebaczenie - powiedział Chagalla.

- Allah musi być zajęty innymi sprawami, bo inaczej nie dopuściłby Amina Rashida do objęcia tronu.

Starszy mężczyzna przez dłuższą chwilę patrzył na niego w zamyśleniu, jakby próbując podjąć jakąś decyzję. W końcu westchnął i rozparł się wygodnie na fotelu.

- Allah widzi i wie więcej niż ci się zdaje - powiedział Arab Chagalla.

- Co to znaczy? - zapytał Juma rzucając się na to stwierdzenie, jak kot na mysz.

Chagalla patrzył na niego. Przez chwilę zdawało się, że chce coś powiedzieć, ale zmienił zdanie.

- Módl się o właściwą decyzję zarówno dla siebie, jak i dla swojego króla - powiedział wreszcie.

- Coś się dzieje - powiedział Juma podniecony - coś, o czym nie wiem.

- W galaktyce dzieje się wiele rzeczy, podobnie jak we wszechświecie, o których nie masz pojęcia - odparł Chagalla.

- To musi się wydarzyć szybko - ciągnął dalej Juma. - Za trzy dni

dotrzemy do systemu Plantagenet.

- Ty masz swój program, a Allah ma swój - powiedział generał.

- Czy mogę jakoś pomóc? - zapytał Juma z gotowością.

- Oczywiście - odpowiedział Chagalla, zachowując kamienny wyraz twarzy. - Módl się za szybkie i bezkrwawe zwycięstwo nad niewiernymi.

* * *

Nie było powodu, żeby akcja zakończyła się niepowodzeniem. Umieścili bombę wewnątrz dojrzałego cytrusa, a sam owoc na dnie dużej patery z podobnymi owocami.

W zamachu brało udział dziewięciu wyższych oficerów sztabowych. Wszyscy byli obecni. Wszyscy byli całkowicie przygotowani poświęcić życie, żeby spowodować śmierć monarchy. Chagalla, którego nie było na pokładzie statku flagowego, również był w to wplątany i był gotów przejąć dowództwo floty i rozkazać jej powrót na Alpa Bednari IV, jak tylko otrzyma wiadomość o nieszczęśliwym zejściu Amina Rashida.

Odprawa była wyznaczona na 16.00 czasu lokalnego na pokładzie statku flagowego, a kiedy zaczął nalegać na swój udział w odprawie, zaczęto plan realizować. Zanim jeszcze Rashid przybył i zasiadł za stołem, bomba została włączona i

oficerowie pozbyli się z pokoju wszystkich, którzy nie byli bezpośrednio zaangażowani w zamach.

Ale, jak zauważył Chagalla, Allah patrzył ze współczuciem na szaleńców i bomba wybuchła właśnie w chwili, kiedy Rashid schylił się, żeby podnieść kawałek owocu, który upadł mu na podłogę. Chroniony przez blat stołu odniósł jedynie kilka niewielkich obrażeń. Miał również podrażnienie płuc spowodowane wdychaniem dymu. Siedmiu spośród dziewięciu oficerów zginęło od wybuchu. Dwóch pozostałych zmarło jeszcze tej samej nocy, zanim na torturach mogli wydać współzamachowców.

Flota w dalszym ciągu kierowała się ku systemowi Plantagenet II.

Na trzy godziny przed osiągnięciem celu Rashid oznajmił, że wojna musi być rozstrzygnięta na terenie planety, ponieważ nie może ryzykować zniszczenia kłków w trakcie bombardowania z orbity.

Chagalla - obecnie najwyższy rangą oficer - wyjaśnił, że obrona na Plantagenet II bez wątplenia odkryła już ich obecność, śledziła ich i systemy obronne miała skierowane w ich kierunku. Jeżeli on, Chagalla, nie będzie mógł zmiękczyć obrony nieprzyjaciela, istniała poważna obawa, czy chociaż jeden statek będzie mógł bezpiecznie wylądować na planecie.

Rashid słuchał uprzejmie, a następnie wyjaśnił, iż Allah szepnął mu tego ranka, że inwazja zakończy się sukcesem i że wkrótce on, Rashid, stanie się panem mistycznej potęgi drzemiącej w kłach słońca Kilimandżaro.

Chagalla poprosił następnie, żeby wolno mu było wprowadzić flotę na orbitę wokół Plantagenet V lub VI, żeby ocenić siłę ognia nieprzyjaciela.

Rashid odmówił, ponieważ Allah obiecał mu, że wszyscy nieprzyjaciele padną przed jego świętym gniewem.

Ostatnia propozycja Chagalli podjęcia próby negocjacji ze względu na to, że obecność floty może mieć wpływ na stanowisko władz w sprawie sprzedaży kłów, została uznana przez Rashida za bardzo rozsądną, gdyby była złożona w innych okolicznościach. Obecnie jednak minął już czas na negocjacje i porozumienie. Allah powiedział mu, że musi zaatakować niewiernych i wyrzucić kły z ich uścisku.

Chagalla, który nie miał zbyt wygórowanej opinii o taktyce wojskowej ani Rashida, ani Allacha, jedynie skinął głową i zasalutował.

Pierwsze osiem statków, które usiłowały wylądować, zostało rozniesionych na strzępy. Dziewiąty wszedł w atmosferę dając ognia ze wszystkich posiadanych broni i zniszczył dwa gospodarstwa rolne i trzymilowy odcinek drogi gruntowej, zanim sam został zniszczony.

W końcu Chagalla uruchomił pokładowy system łączności.

- Mój panie - powiedział gniewnie - musi mi pan pozwolić zaatakować ich instalacje wojskowe! Straciliśmy już dziewięć statków, a nie zniszczyliśmy jeszcze żadnego z ich urządzeń obronnych.

- Pan wydaje rozkazy mnie? - zapytał Rashid. - To ja jestem wybrańcem i rzecznikiem Allacha! Nie będziemy atakować ich z przestrzeni kosmicznej! Nie podejmę ryzyka zniszczenia kłów!

- Straciliśmy już ponad sześć tysięcy ludzi!

- To tylko ludzie - powiedział Rashid wzruszając ramionami. - Zginęli dla większej chwały Allacha.

- Zginęli dla zdobycia kłów - wyjaśnił Chagalla, zmuszając się do zachowania spokoju - a my nie mamy żadnych osiągnięć.

- Nie możemy zostać pokonani - odparł Rashid łagodnie. - Allah tak zdecydował.

- Panie, z przykrością muszę się sprzeciwić, ale jeżeli nie pozwolisz mi bronić naszych ludzi, możemy przegrać i przegramy. Musisz mi pozwolić panie zbombardować planetę, bo inaczej poniesiemy katastrofalną klęskę!

- Nie pozwolę na zniszczenie kłów! - powiedział Rashid.

Nastała chwila milczenia.

- Zgodzę się jednak na zaatakowanie atmosfery substancjami chemicznymi i trującymi, jeżeli zmniejszy to pańskie zastrzeżenia, panie generale. Ale - dodał z powagą - nie należy stosować substancji radioaktywnych. Kły będą dla mnie bezużyteczne, jeżeli nie będę mógł ich... użyć - zakończył niepewnie.

To znaczy zetrzeć na proszek i zjeść na śniadanie - uzupełnił go Chagalla w myślach.

- Tak, panie mój - powiedział głośno i szybko przerwał połączenie.

- A zatem teraz chce zatruć atmosferę i zniszczyć całą ludność cywilną? - zapytał major Juma z wściekłością.

- To, co chce, i to, co się stanie, to dwie różne rzeczy - odpowiedział Arab Chagalla swemu podwładnemu. - Chciałbym, żebyś sprawdził gazy działające na system nerwowy i inne chemikalia, jakie mamy na pokładzie, i za pomocą komputera opracował mieszaninę, która byłaby paralizującą, ale nie śmiertelną. Zaatakujemy nią New Avon i okoliczne bazy, wysadzimy oddział komandosów, zabierzemy kły i pospiesznie wycofamy się, o ile Allah pozwoli.

- A co z Rashidem?

- Jestem pewien, że Allach w swej nieskończonej mądrości rozwiąże i ten problem. Obecnie chcę ochronić nasze siły przed zdziętkowaniem.

- Jest pan obecnie najpotężniejszym człowiekiem w wojsku - ciągnął dalej Juma. - Jeżeli poprowadziłby pan zamach stanu, poparłoby pana dziewięćdziesiąt procent oficerów.

- Wojsko powołane jest do walki, a nie rządu - odparł Arab Chagalla. - Nie mam ani ochoty, ani zdolności do rządzenia planetą.

Włączył ekrany holograficzne i badał rozmieszczenie floty.

- Teraz siadaj do komputera, sprawdź zapasy chemikaliów i przygotuj mieszaninę, o jakiej mówiliśmy. Jeszcze jedno, majorze.

Juma, który już wychodził z kabiny, odwrócił się do generała.

- Tak?

- Nie chcę słyszeć już ani jednego słowa o zamachu stanu. Nie będę nim kierować, a jeżeli któryś z podwładnych będzie to chciał uczynić, będę się przeciwstawiać. To jest armia Alpha Bednari IV i oczekuję, że będzie postępować zgodnie z dyscypliną i honorem.

W kilka minut później Arab Chagalla połączył się ze statkiem flagowym i poprosił o rozmowę z Aminem Rashidem.

- Tak, generale? - spytał monarcha.

- Środki chemiczne zostały opracowane i właśnie w tej chwili są wprowadzane do atmosfery.

- Doskonale - powiedział Rashid. - Jak szybko zaczną działać?

- Za mniej niż pięć minut, mój panie - odpowiedział Chagalla. - Jestem gotów wydać dwóm statkom polecenie wylądowania w New Avon i przejęcia kłów. Czy chciałbyś, panie, im towarzyszyć?

- Oczywiście. Wejdę do miasta na czele oddziałów.

- Chciałbym cię ostrzec, panie mój, że działanie środków chemicznych nie jest śmiertelne. Ich skutki zaczną ustępować po trzech godzinach. Nie mogę zagwarantować twojego bezpieczeństwa, jeżeli nieprzyjaciele zaczną odzyskiwać przytomność, a ty będziesz wśród nich, mój panie.

- Trzy godziny, to znacznie więcej niż będzie mi potrzebne - zapewnił go Rashid.

- Bardzo dobrze, panie mój. Zaraz dostarczymy kombinezon ochronny.

- Gaz nie jest śmiertelny - powiedział Rashid. - Nie będę zakładał kombinezonu.

- Ależ, panie mój...

- Jestem nieśmiertelny - oznajmił Rashid. - Zwyczajni ludzie muszą nosić stroje ochronne, ale wybrańcy Allacha nie muszą. Wejdę do New Avon odziany jedynie w moje białe szaty.

- Jak sobie życzysz, panie mój... - powiedział Chagalla wzruszając ramionami.

- Dobrze. Zaczynamy inwazję!

Amin Rashid XIV szedł na czele swojej armii omijając śpiących ludzi. Kiedy dotarł do muzeum, wszedł na potężne, kamienne schody, podczas gdy jego oficjalny biograf sfilmował to wydarzenie holograficzną kamerą. Monarcha wszedł do budynku na czele grupy uzbrojonych ludzi i osobiście rozbił szklaną gablotę zawierającą kły słonia Kilimandżaro. Gdy kły

zostały zapakowane, poprowadził oddziały z powrotem do statków.

Po powrocie na statek flagowy przeszedł przez pomieszczenie dezaktywacyjne, nadzorował złożenie kłków w magazynie i ogłosił przez głośniki zwycięstwo.

Jednakże tuż przed modlitwą wieczorną stracił przytomność.

- Czy przeżyje? - zapytał major Juma.

- Przeżyje - odpowiedział Arab Chagalla.

- Zachowa wszystkie swoje zdolności umysłowe oprócz tych, które stracił wcześniej?

Chagalla zapalił cygaro i rozsiadł się wygodnie w fotelu.

- Zachowa wszystkie swoje zdolności umysłowe.

- To znaczy, że Allah prawdziwie nas opuścił - westchnął młody oficer.

- Allah nic takiego nie uczynił - odparł Chagalla.

Juma spojrzał na niego z zainteresowaniem.

- Allah ma nie tylko poczucie sprawiedliwości - ciągnął dalej generał - ale myślę, że jest także ironiczny.

- Nie rozumiem.

- Właśnie otrzymałem raporty medyczne na temat stanu zdrowia naszego monarchy.

- Przecież powiedziałeś panie przed chwilą, że będzie żył i zachowa wszystkie zdolności umysłowe.

- To prawda - przyznał Chagalla świetnie się bawiąc - ale jednej rzeczy nie zachowa.

Wypuścił kolejny kłęb dymu z cygara i uśmiechnął się.

- Jaki był cel inwazji, majorze Juma?

- Zdobyć kłków, które zdaniem tego szaleńca zapewnią mu potencję ogiera.

- Prawidłowo - powiedział Chagalla. - Zgodnie zaś z raportem medycznym jedynym trwałym efektem wystawienia się na działanie trucizny w atmosferze będzie zupełna impotencja.

- Naprawdę? - uśmiechnął się Juma.

Chagalla skinął twierdząco.

- Mówiłem ci, że Allah naprawi wszystkie krzywdy.

Przerwał i zaciągnął się cygarem.

- Co za wyszukany wyrok! Nasz Bóg jest przebiegły, prawda?

- Nie zamieniłbym go na żadnego innego - potwierdził radośnie major Juma.

ÓSME INTERLUDIUM (ROK 6303 ERY GALAKTYCZNEJ)

Po zapoznaniu się z historią Amina Rashida XIV zabrałem się do pracy nad weryfikacją wymiarów baffledivera. Mandaka skontaktował się ze mną przed przerwą obiadową.

- Czy ma pan dalsze informacje?

- Dowiedziałem się, że kły stały się przyczyną wojny w roku 882 Ery Galaktycznej.

- Wie pan, o jakie informacje mi chodzi powiedział marszcząc brwi.

- Komputer nie był w stanie zlokalizować ich od czasu, kiedy Thaiti Benoit ukradła je Nocnym Lotnikom.

- To już było wiadome dwa dni temu.

- Znajdą się - zapewniłem go. - Tylko komputer musi być dokładny, a my cierpliwi.

- Czy spędzi pan noc w biurze?

- Tak.

- Skontaktuję się z panem koło północy.

- Proszę się nie fatygować. Zadzwońię do pana natychmiast, jak je zlokalizuje.

- Skontaktuję się z panem w nocy - powtórzył i przerwał połączenie.

- Wiem, że się pan skontaktuje - powiedziałem w pustą przestrzeń, gdzie jeszcze przed chwilą znajdował się jego obraz.

Dzień mijał powoli. Uzupełniłem swoją dokumentację, przeanalizowałem zlecenia na przyszły tydzień i przydzieliłem je podległemu mi personelowi. Odbyłem krótkie spotkanie z artystką, która będzie ilustrowała wydawnictwo na temat gwiazdozbioru Quinellusa, wyjaśniłem jej jeszcze raz, na czym polega nasz proces kolorystyczny oraz jakie wytyczne będą potrzebne naszym technikom. Następnie o czwartej po południu zamówiłem szklanekę soku i rozsiadłem się w fotelu zastanawiając się, jakie sugestie mogą pomóc komputerowi w zlokalizowaniu kłów.

- Myślałam, że ubierzesz się jakoś lepiej - usłyszałem znajomy głos i podniosłem oczy. W drzwiach stała Hilda Dorian. Od czasu śniadania zrobiła coś z włosami oraz ubrała się w elegancki różowo-zielony strój, którego nigdy przedtem nie widziałem. Miała nawet na palcu zaręczynowy pierścionek z diamentem i kamieniem gwiazdzistym, który Harold ofiarował jej jakieś dwadzieścia lat temu.

- Czemu się tak wystroiłaś? - zapytałem gapiąc się na nią.

- Zabawa biurowa.

- Przecież niedawno była.

- Tak. Rok temu.

- Niemożliwe!

- Ty na niej nie byłeś - ciągnęła dalej.

- Musiałem być chory.

- Tak?

Nastała długa cisza.

- No, to baw się dobrze - powiedziałem wreszcie.

- Nie idziesz?

- Mam robotę.

- Duncan, nie byłeś na zabawie biurowej od czterech lat.

- Wszyscy są pijani i bawią się w głupie gry - powiedziałem. - Nie lubię takich imprez.

- Możesz mi uwierzyć, że ja też za nimi nie przepadam - odparła - ale idę, bo tego się ode mnie oczekuje i w tym roku ty też pójdziesz.

- Nie ma mowy - odparłem. - Mandaka ma się skontaktować ze mną o północy.

- Mandaka nie płaci ci pensji i nie jest właścicielem twojego komputera - powiedziała cierpliwie - tylko Wilford Braxton. Dano mi wyraźnie do zrozumienia, że twoja obecność jest bardzo pożądana.

- Daj spokój, Hildo. Nikt nawet nie zauważy mojej nieobecności. Mam ważniejsze sprawy.

- Nie masz ważniejszych spraw - powiedziała zdecydowanie. - Pracownicy uważają, że twoja nieobecność na zabawach biurowych źle wpływa na morale personelu.

- Mój personel jest tu po to, żeby badać i wystawiać świadectwa autentyczności na grubą zwierzynę, a nie uczestniczyć w zabawach i wysłuchiwać nudnych przemówień - odpaliłem. - Jeżeli chcą podnieść morale, to niech przyznają wszystkim podwyżkę.

Popatrzyła na mnie gniewnie.

- Duncan, obiecałam im, że przyjdiesz i nie pozwolę, żebyś ze mnie zrobił kłamcę.

- To nie była twoja sprawa. Nie pamiętasz, że muszę dotrzymać terminu.

- Przesunę go o sześć godzin.

- Nie zgadzam się. Jak byłem ostatnim razem, przyczepiła się do mnie żona starego Hammonda i gadała do mnie przez cztery godziny.

- Żona Hammonda nie żyje od ponad trzech lat. Nie możesz jej użyć jako wymówki.

- Tak dawno? - powiedziałem zaskoczony.

- Byłeś na pogrzebie.

- Myślałem, że to było kilka miesięcy temu.

- Trzy lata.

- Jesteś pewna?

- Duncan! Nie wiem, dlaczego marnuję dla ciebie czas. Jesteś tak pogrążony w swojej pracy, że straciłeś poczucie czasu i przyzwoitości.

- Nie rozumiem, czym się przejmujesz - powiedziałem szczerze. -

Może byś uznała sprawę za przegraną i pozwoliła mi zająć się poszukiwaniem kłóć.

- Duncan, musisz wreszcie przestać myśleć tylko o sobie i o tym, co tobie odpowiada! - wykrzyknęła i tym razem była prawdziwie rozgniewana. - Nic ci się nie stanie, jak pójdziesz na zabawę, a mnie bardzo ułatwi życie. Twój pracodawca chce, żebyś poszedł, twój personel oczekuje, a ja również na to nalegam. Tak sprawa wygląda.

- Nie jestem odpowiednio ubrany.

Podeszła do szafy i przestudiowała odzież, która tam wisiała. Wreszcie wyciągnęła jeden zestaw.

- Ten będzie dobry.

- Wszyscy będą ubrani lepiej ode mnie. Będę się czuł głupio.

- To tylko twoja wina. Wiedziałeś o tej zabawie od miesiący.

- Dopiero teraz się o niej dowiedziałem.
- Bzdura. Firma wysłała zaproszenia do wszystkich pracowników.
- Nie dostałem.
- Komputer? - powiedziała.
- Zaproszenie wpłynęło sto osiem dni temu - odpowiedział komputer. - Były również cztery prośby o potwierdzenie udziału. Wszystkie zostały zignorowane.
- Dziękuję, przyjacielu - mruknąłem, patrząc gniewnie na lśniący kryształ.
- Nie ma za co, Ducanie Rojas - odpowiedział komputer.
- Teraz, jak już przestałeś się dąsać i protestować, przebierz się i bądź gotów na piątą.
- Dlaczego znęcasz się nade mną? Masz męża. Dlaczego jego nie zabierzesz na zabawę?
- Harold będzie tam na nas czekał.
- No to idź w pokoju. Baw się dobrze. Przekaż Haroldowi moje ukłony i zostaw mnie samego.
- Harold idzie, bo jest dorosły i poważnie traktuje swoje obowiązki. Już najwyższy czas, żebyś nauczył się tego samego.
- Już najwyższy czas, żebym znalazł kły.
- Kły mogą poczekać - powiedziała - a poza tym, komputer będzie pracować, kiedy ty będziesz na przyjęciu.
- wytycznych.
- Dasz mu wytyczne po przyjęciu.
- To dopiero za osiem godzin!
- Łamiesz mi serce, Duncan - powiedziała sarkastycznie. - Możesz się nawet dobrze bawić.
- Patrzyłem na nią, ale nic nie powiedziałem.

- Mógłbyś może spotkać jakąś ładną, młodą dziewczynę - ciągnęła dalej - chociaż nie mam pojęcia, co młoda, ładna dziewczyna mogłaby w tobie widzieć.

- A co ty we mnie widzisz?

Popatrzyła na mnie z namysłem i westchnęła.

- Niech mnie diabli wezmą, jeżeli wiem. Kiedyś widziałam w tobie błyskotliwego, młodego człowieka, nieco ekscentrycznego i z dużym poczuciem humoru. Zawsze lubiłam ekscentryków. Z upływem lat ekscentryczność przemieniła się w jednotorową etykę pracy, a poczucie humoru zniknęło.

- A błyskotliwość?

- Jesteś nadal błyskotliwy, ale błyskotliwość nie wystarcza. Nie jesteś towarzyski i nie obchodzi cię nic oprócz pracy. Masz skłonność do ranienia ludzi raczej przez nieuwagę niż ze złej woli i wcale nie jestem pewna, czy to jest lepsze. Bo to oznacza, że nic nie jest wart wysiłek nad tym, by nie urazić drugiego, lub nawet, by go urazić celowo.

- Więc czemu nadal się mną przejmujesz?

- Ponieważ znałam cię prawie przez połowę mojego życia, a nie można przecież przekreślić połowy życia, nawet jeżeli nie ułożyło się tak, jak by się chciało. Poza tym, gdybyśmy - Harold i ja - nie zatroszczyli się o ciebie, to kto by to robił? - dodała po chwili przerwy.

Wzruszył ramionami, nie znajdując odpowiedzi.

- Zdaję sobie sprawę, że byłbyś może szczęśliwy, gdyby nikt się tobą nie interesował - ciągnęła dalej Hilda - ale w życiu nie można mieć wszystkiego, czego się zapragnie. Przebierzesz się wreszcie, czy mam ci zabronić dostępu do komputera?

- Czy zrobiłabyś coś podobnego?

- Zrobiłabym.

- Myślę, że nie byłabyś skłonna wrzeszczeć na mnie jeszcze przez dziesięć minut, a potem odejść sama.

Zaprzeczyła zdecydowanie.

- Osiągnąłeś dojrzałość zaledwie jakieś trzydzieści lat temu. Jest jeszcze niewielka nadzieja, że kiedyś zmądrzejesz.

- O piątej? - zapytałem pokonany.

- Tak - odrzekła i wskazując na mnie pulchnym palcem dodała - i masz być gotów.

Skinąłem twierdząco, a ona wyszła z pokoju. Natychmiast zacząłem notować możliwe kierunki badań, które miałbym zasugerować komputerowi przed wyjściem.

Wróciłem do biura około jedenastej uznawszy wcześniej, że Hilda bawiła się na tyle dobrze, iż nie zauważy mojej nieobecności.

Zabawa była tak męcząca i nudna, jak się tego obawiałem. Wszyscy, nawet spadkobiercy Braxtonów, poddali się nastrojowi i zdawali się odczuwać poczucie wspólnoty i dobrej woli, które do mnie jakoś nie docierało. Była nawet prawdziwa orkiestra i przy jej dźwiękach Hilda zmusiła mnie do tańca, mimo moich protestów, że od lat nie tańczyłem. Wszyscy zdawali się tak dobrze bawić, aż zacząłem myśleć, iż może Hilda miała rację twierdząc, że to ze mną było coś nie w porządku. Pomyślałem jednak o Mandace siedzącym na podłodze w swoim mieszkaniu, owiniętym w tradycyjną, plemienną szatę i poszukującym kłów nie wiadomo w jakim celu i stwierdziłem, że to reszta uczestników przyjęcia musi być oderwana od rzeczywistości i żadne zabawy ani trywialne rozmowy nie mogą równać się z dreszczykiem, jaki wywołuje poszukiwanie kłów przez tysiąclecia. Doszedłem wtedy do wniosku, iż miałem więcej wspólnego z Murzynem, który wychował się w trzecimnowej chacie i nigdy nie bawił się z innymi dziećmi, niż z mo-

imi współpracownikami, a nawet z Hildą. Oni poszukiwali ciepła u innych osób, my woleliśmy samotną drogę łowców.

- Nie - poprawiłem się. - Nawet Mandaka wolałby życie pracownika firmy Braxton, gdyby mógł wybierać. To ja wolałem taką drogę. Obserwowałem Hildę i Harolda. Oddanie i sympatia, jakie dla siebie odczuwali, wciąż jeszcze rzucały się w oczy mimo długich lat, jakie ze sobą przeżyli. Wydało mi się to jednak jakieś puste. Wrócą do domu i znowu będą marnować czas na pustej gadaninie i pewnie na oglądaniu telewizji. Tak, na zawsze zaprzepaszczą kolejny wieczór - wieczór bez wyzwania, bez osiągnięć, bez dreszczu łowów. Obudzą się szczęśliwi, spokojni i zaspokojeni, a ja obudzę się krok bliżej do znalezienia kłów. I wtedy zdałem sobie sprawę, że za nic bym się z nimi nie zamienił.

- Komputer! - wydałem komendę.

- Tak, Duncanie Rojas?

- Czy znalazłeś kły?

- Nie.

- Czy uzyskałeś jakieś dane dotyczące losu kłów po ich kradzieży przez Thaiti Benoit?

- Nie.

Usiadłem ze zmarszczonymi brwiami.

- Proszę podgrzać nieco moje plecy - poleciałem.

- Wykonane.

- Komputer, muszę skoncentrować myśli. Proszę o Altairską Rapsodię B-dur Ghanetskiego. Ściana zachodnia ma być nieprzezroczysta.

- Wykonuję... wykonane - powiedział komputer. Pokój wypełniły namiętne rytmy Ghanetskiego.

Siedziałem nieruchomo, może przez dziesięć minut. Pozwoliłem falom muzyki przelewać się nade mną. Staralem się

odegnąć od siebie nieistotne myśli i skoncentrować się na rozwiązaniu zagadki od nowa.

- Komputer?

- Tak, Duncanie Rojas?

- Jaki procent mocy obliczeniowej przeznaczasz na poszukiwanie kłów?

- 73,231 procentu.

- Jak daleko posunąłeś analizy od roku 5370 E.G.?

- Nie posunąłem się do przodu.

- Musiałem wydać niejasne polecenie. Musisz przecież postępować w sposób logiczny. Musiałeś wyeliminować lata 5731, 5732 i tak dalej.

Gdzie jesteś obecnie?

- Poszukuję kłów chronologicznie, alfabetycznie, według obrazu, tematycznie, lokalizacyjnie, według zbiorów muzealnych, na aukcjach, według opisów i we wspomnieniach pamiętnikarskich. Poszukiwania nie zostały jeszcze zakończone.

- Rozumiem - powiedziałem. - W porządku. Chciałbym, żebyś połowę wykorzystanej obecnie mocy obliczeniowej skierował na wykrycie, kiedy i gdzie zmarła Thaiti Benoit. Skoro kły nigdzie się nie pojawiły, istnieje możliwość, że nigdy się ich nie pozbyła. Zmarła dwa lata po dokonaniu kradzieży - dodałem po chwili. - Prawdopodobieństwo, że można było sprzedać kły na oficjalnym rynku jest niewielkie. Możliwe, iż Leeyo Nelion gotów był zapłacić tak dużo, że czekała na podobną ofertę. Taka oferta nie mogła wyjść od muzeów lub zbieraczy, ani od nikogo innego, chyba że ktoś z potomków Leeyo Neliona wiedział nie tylko, że Thaiti miała kły, ale także, jak ją znaleźć. A ponieważ wiemy, że Masajowie nigdy kłów nie zdobyli...

- Wykonuję...

- Dobrze - powiedziałem odchylając się w tył oraz polecając fotelowi dostosować się do mojej sylwetki i rozpocząć lekką wibrację.

- Komputer?

- Tak?

- Dlaczego on je chce?

- Nie rozumiem pytania.

- Kły... Dlaczego Mandaka je chce.

- Brak danych.

- Co on z nimi zrobi?

- Brak danych.

- Ilu mężczyzn w moim wieku spędza więcej czasu w biurze niż w domu? - zapytałem po przerwie.

- Pytania muszą być bardziej precyzyjne - powiedział komputer. - Czy chodzi panu o mężczyzn o tej samej dacie urodzenia, czy o wieku chronologicznym i czy dotyczy to mężczyzn na tej planecie, w tym systemie, we Wspólnocie, czy w Galaktyce?

- Daj spokój, komputer - powiedziałem z westchnieniem.

Zamknąłem oczy i wsłuchałem się w szczególnie wzruszający urywek rapsodii.

- Komputer?

- Tak?

- Czy jest coś więcej?

- Nie rozumiem pytania.

- Czy powinienem chcieć tego, czego chcą inni ludzie?

- Pytanie musi być bardziej precyzyjne - odpowiedział komputer.

- Przyjaciół, rodzinę, dzieci, żonę?

- Nie jestem zaprogramowany do oceny wartości w tej dziedzinie.

- Stwórz subprogram i odpowiedz na pytanie.

- Wykonuję... Nie, Duncanie Rojas, nie ma nic ponad poszukiwanie wiedzy.

- Jesteś pewien?

- Nie, Duncanie Rojas. Nie jestem pewien. Stworzyłem subprogram w oparciu o własne imperatywy. Gdybyś był maszyną, byłbym pewien.

- W każdym razie, dziękuję.

Musiałem wtedy zdrzemnąć się, ponieważ gdy znowu zdałem sobie sprawę z tego, co się dzieje, była już druga i w ustach miałem nieprzyjemny smak.

- Komputer?

- Tak, Duncanie Rojas?

- Znalazłeś kły?

- Nie.

- Czy dowiedziałeś się, kiedy i gdzie zmarła Thaiti Benoit?

- Nie.

Wstałem, poszedłem do łazienki, wziąłem suchy prysznic. Wtedy przywołał mnie komputer.

- Bukoba Mandaka chce się porozumieć.

- Proszę o połączenie wizualne.

Twarz Mandaki pojawiła się nad komputerem.

- Chciałem skontaktować się o jedenastej, ale pana tu nie było - powiedział z nutką oskarżenia w głosie.

- Miałem spotkanie, którego nie mogłem uniknąć.

- Czy to miało coś wspólnego z kłami?

- Nie.

- Nie miał pan zatem prawa iść - powiedział twardo. - Płacę za pański czas.

- To było związane z pracą w mojej firmie i powiedziano mi otwarcie, że jeżeli nie wezmę udziału w spotkaniu, będę miał ograniczony dostęp do komputera.

Patrzył na mnie przez chwilę, a następnie skinął głową.

- Czy zlokalizował pan kły?

- Nie. Poleciałem komputerowi cofnąć się i stwierdzić, gdzie i kiedy zmarła Thaiti Benoit. Ta droga poszukiwań oparta jest na założeniu, że potomkowie Leeyo Neliona nie uzyskali kłów. Czy może to pan potwierdzić?

- Tembo Laibon był ostatnim Masajem, który posiadał kły - odpowiedział.

Twarz jego przybrała ponury wyraz, jak zawsze, kiedy wspominał Laibona.

- Mieliliśmy je przez trzysta stuleci, a ten głupiec przegrał je w karty!

- Może nie znał ich wartości?

- Znał - powiedział Mandaka z przekonaniem. - Znał ją każdy z Masajów. On ich nigdy nie powinien dostać, zresztą ja również. Pierwszy Masaj, który wszedł w ich posiadanie, powinien zrobić, co należało.

- Pierwszy? - powiedziałem. - To znaczy Maasai Laibon?

Skinął w milczeniu głową. Błądził wzrokiem gdzieś w przestrzeni, dostrzegając rzeczy, które tylko on mógł zobaczyć. Na jego twarzy malował się wyraz takiego bólu, takiej nieskończonej goryczy, że chciałem go jakoś pocieszyć.

- Znajdę je - powiedziałem niepewnie. - Ma pan moje słowo, Bukoba Mandaka.

- Wiem, że pan znajdzie - powiedział z nie zmienionym wyrazem twarzy.

- Skontaktuję się z panem, jak tylko je zlokalizuję - ciągnąłem dalej.

- Tak - powiedział łagodnie.

Obserwowałem go jeszcze przez chwilę zastanawiając się, co jeszcze można powiedzieć. Wybawił mnie z kłopotu rozłączając się.

- Komputer? - powiedziałem po chwili milczenia.

- Tak, Duncanie Rojas?

- Czy Maasai Laibon był pierwszym Masajem, który posiadał kły?

- Tak.

- Przekazał je swoim potomkom i poprzez dziedziczenie dotarły do Tembo Laibona?

- Tak.

- Ciekaw jestem, w jaki sposób zdobył je Maasai Laibon?

- Czy to jest pytanie?

- Tak. Czy znasz odpowiedź?

- Wykonuję... Tak, znam.

ROZDZIAŁ 9

ARTYSTA (ROK 1701 ERY GALAKTYCZNEJ)

Zbliżając się do podnóża Kilimandżaro zatrzymywałem się coraz częściej, żeby napełnić swój brzuch wodą, bo chociaż głód był potężny, nie mogłem przeżuwać jedzenia, gdyż wytarły mi się zęby. Bolała mnie głowa, stawy mi zeszywniały. Musiałem coraz częściej odpoczywać.

Sprawdzałem wiatr wiele razy, ponieważ u podnóża góry żyli ludzie, a nie chciałem się z nimi spotykać. Miałem zaledwie tyle sił, żeby wspiąć się na wierzchołek góry i stanąć przed moim Bogiem, i wiedziałem, że nigdy nie zejdem na dół. Nawet białe czaple, które stale mi towarzyszyły, zdawały się wyczuwać, że gotuję się na śmierć, ponieważ gdy zbliżałem się do góry, opuściły mnie prawie wszystkie. Pozostała tylko jedna. Pozostawałem długo przy ostatnim wodopoju. Po raz ostatni obsypałem piaskiem moją skórę i ruszyłem wąską ścieżką wiodącą ku górze.

* * *

Miał sześć stóp i cztery cale wzrostu i czarną skórę. Ona miała jedenaście stóp i dwa cale od czubka nosa do końca ogona, a jej skóra była skomplikowanym, błękitno-zielonym wzorem.

On patrzył na świat chłodnymi, brązowymi oczami. Ona widziała to, czego inni dostrzec nie mogli, swymi lśniąco-czerwonymi, okrągłymi oczami.

On był człowiekiem, ona Nocnym Pełzaczem.

On nazywał się Maasai Laibon. Ona nosiła imię Ogniste Oczy.

Dotąd się nie spotkali, ale zrobią to, ponieważ ona miała coś, czego on pożałował. Był to jej największy skarb, a jego największa potrzeba.

Żyła w jaskini na Belamone XI, gdzie temperatura nigdy nie przekraczała zera stopni Celsjusza, a skłębione opary rozpraszały światło dalekiego, czerwonego słońca.

Od urodzenia była czymś niezwykłym. Ślepą istotą urodzoną w świecie istot widzących, a jednak nie należąca do tego świata. Nocny Pełzacz, który nie mógł oglądać normalnych widoków, ale który mógł sięgnąć wzrokiem daleko w widmo podczerwieni, który odbierał życie jako serię elektrycznych wzorów, a nie solidnych form. Za pomocą czułek wysuwających się z szyi odwzorowywała kształty tego, co dostrzegała i chociaż z początku jej wyroby były niezbyt wyrafinowane, wzory, jakie tworzyła, były piękne ponad wszelką miarę.

Niektóre rasy zabiłyby ślepe niemowlę zaraz po urodzeniu. Inne wykorzystałyby najnowsze osiągnięcia naukowe, aby przywrócić mu wzrok. Jeszcze inne traktowałyby je jako bezradnego inwalidę, którym należy się opiekować i o którego należy się troszczyć przez całe życie. Nocni Pełzacze nic takiego nie zrobili. Zachęcali ją natomiast, żeby jeszcze lepiej opanowała swoją sztukę, żeby jeszcze dokładniej oddawała wygląd rzeczy, które mogli rozpoznać za pomocą instrumentów, ale których nigdy nie mogli zobaczyć.

Zanim jeszcze osiągnęła wiek czterdziestu pięciu lat, uznana została za jednego z najwybitniejszych artystów swojej generacji. Zanim osiągnęła dojrzałość, w wieku osiemdziesięciu lat uznała, że najwyższy czas rozpocząć przedsięwzięcie, do którego szykowała się przez całe życie. Miała to być pła-

skorzeźba przedstawiająca historię plemienia Nocnych Pełzaczy widziana z jej perspektywy. Miała to być seria obrazów przedstawiających ewolucję rasy od pozbawionych inteligencji czerwi po intelekt, który sięgnął do gwiazd. Miała wnieść nową głębię i zrozumienie do doświadczeń zebranych przez rasę.

Kiedy nadszedł czas rozpoczęcia pracy, jedna z większych firm handlowych planety ofiarowała jej dwie kolumny z kości słoniowej uzyskane od mieszkańców Republiki, która choć znajdowała się obecnie w trudnym położeniu gospodarczym spowodowanym zatargiem z kilkoma innymi rasami, pozostawała nadal dominującą siłą w galaktyce. Kły pochodziły od największego ssaka zamieszkującego planetę, z której wywodzili się ludzie, i istniały już prawie trzy tysiące lat. Ogniste Oczy zgodziła się, że jakakolwiek substancja organiczna, która mogła zachować swoją integralność strukturalną przez tak długi okres, była idealnym materiałem do wykonania jej dzieła. Co więcej, Nocni Pełzacze zawarli traktaty z ludźmi i stali się jedynymi z ich sojuszników, słuszne więc było, że skarb pochodzący z ojczyzny ludzi stanie się integralną częścią szczegółowego przedstawienia historii jej rasy.

Zaczęła tworzyć w dniu, w którym urodził się Maasai Laibon.

Pracowała powoli, starannie, z niezmierną delikatnością i precyzją, podczas gdy Maasai Laibon wyrósł na mężczyznę, skończył szkołę, odsłużył cztery lata w marynarce Republiki, ożenił się i spłodził dwóch synów i córkę. Stał się poważnym, młodym człowiekiem bardziej zainteresowanym przeszłością i przyszłością niż dniem dzisiejszym. Gdy osiągnął trzydziestkę, przeniósł swoją żonę i dzieci do domu rodziców, a sam wyruszył na poszukiwanie kłów słonia Kilimandżaro.

Jego poszukiwania objęły całą galaktykę, poczynając od Alpha Bednari IV poprzez Spiralne Ramię, Skraj, Pogranicze Zewnętrzne, Pogranicze Wewnętrzne aż po dwadzieścia sześć planet Republiki. Szlak jego wiódł poprzez muzea, kryjówki milionerów, przez ponure bary obcych miast. Dwukrotnie trafił do szpitala, kiedy nie spodobały się jego pytania lub sposób, w jaki je zadawał.

W końcu jednak, po dwunastu latach, znalazł kły. Były na Belamone XI, zimnej, małej planecie z atmosferą tlenową zamieszkałej przez Nocnych Pełzaczy, istoty podobne do węży, które ostatnio zawarły sojusz z Republiką.

Poleciał do systemu Belamone, wylądował na Belamone XI i skłonił ambasadora Republiki, żeby dowiedział się, gdzie są kły. Dostał wreszcie wiadomość, że są w posiadaniu istoty płci żeńskiej o imieniu Ogniste Oczy. Złożył formalną prośbę o spotkanie z nią, ale została zignorowana.

Czekał cierpliwie złożyłwszy kolejną prośbę. Została odrzucona.

Dowiedział się wreszcie, gdzie położona jest jej jaskinia i nie mówiąc nic nikomu przygotował kombinezon chroniący przed zimnem, zgromadził zapasy na sześć tygodni i po cichu wyruszył, żeby spotkać Ogniste Oczy.

Znalazł ją po czterech dniach. Były to cztery najzimniejsze dni w jego życiu, ale wreszcie wszedł do jej jaskini. Było w niej zupełnie

ciemno, ponieważ nie potrzebowała światła. Uruchomił źródło energii zasilające lampę na hełmie.

Jaskinia wydała mu się pusta. Były jednak w niej ślady wskazujące, że jest zamieszkała. Krok za krokiem zagłębił się w jej wnętrze. Szedł krętym korytarzem prawie przez ćwierć mili, aż wreszcie do niej dotarł.

Wyglądała jak ogromny szary ślimak z dwojgiem okrągłych oczu płonących jak czerwone węgle. Wokół jej szyi znajdowało się pół tuzina delikatnych macek.

Dla niej Maasai Laibon wyglądał jak wzór geometryczny. Ciepło jego ciała rozchodziło się we wszystkie strony. Jego krwiobieg wyglądał jak maleńkie rzeczułki elektryczności mknącej w niekończącym się, miłym rytmie.

- Czy to ciebie nazywają Ogniste Oczy? - zapytał, a jego głos odbijał się głośnie echem w jaskini.

- Tak - odpowiedziała syczącym, jęśliwym szeptem.

- Nazywam się Maasai Laibon.

- Wiem, kim jesteś. Dwukrotnie odmówiłam ci spotkania. Złamałeś zasady protokolarne przychodząc do mnie bez pozwolenia.

- Przepraszam, ale przychodzę w sprawie niezmiernie ważnej dla mego plemienia.

- Wiem, dlaczego tu jesteś, Maasai Laibon - powiedziała kierując na niego swoje płonące oczy.

- Tak?

- Czyż nie nazywają mnie Ogniste Oczy, które widzą rzeczy, jakie inni mogą tylko zgadywać?

- Masz coś, co do ciebie nie należy - powiedział Maasai Laibon. - Jest to coś, czego moi rodacy poszukiwali od stuleci.

- Mówisz oczywiście o kłach - powiedziała Ogniste Oczy. Cienie migotały na jej ogromnym, nieruchawym ciele w miarę, jak boki podnosiły się i opadały poruszane oddechem.

- Tak.

- Ale to już nie jest ta sama kość słoniowa, którą dostarczono mi ponad czterdzieści lat temu. Obecnie mieści się w niej dzieło, które stanie się uświęconą sztuką mojej rasy.

- Należała wcześniej do nas i musimy ją mieć z powrotem.

Patrzyła na niego niewidzącymi, a równocześnie widzącymi, czerwonymi oczyma.

- Nie przyniosą ci nic dobrego, Maasai Laibon - powiedziała spokojnie.

Usiadł na ziemi i oparł się plecami o kamienną ścianę.

- Nie wiesz, dlaczego ich potrzebujemy - powiedział.

- Wiem, ponieważ moje ślepe oczy widzą przeszłość, ale i przyszłość, i mówię ci raz jeszcze, że posiadanie tych kłów nie przyniesie ci spełnienia. Przewidziałam, że przyjdiesz tu w poszukiwaniu kłów wbrew ostrzeżeniom. Jesteś nawet umieszczony we wzorze.

- Tak? - rzekł zdziwiony.

- Tak.

- Jeżeli możesz odgadnąć przyszłość... co powiem za chwilę?

- Nie wiem.

- A zatem nie możesz odgadnąć przyszłości.

- Biedny człowieku, który, jak moja rasa, możesz oglądać tylko dzień dzisiejszy - powiedziała Ogniste Oczy. - Przeszłość jest utrwalona i niezmienna. Przyszłość natomiast zależy od nieograniczonych możliwości wyboru. Wiem, jakiego wyboru najprawdopodobniej do konasz i twierdzę, że posiadanie kłów nie wróci dawnej chwały twojemu plemieniu.

- Posiadanie, to dopiero pierwszy krok - powiedział Maasai Laibon.

- A co zrobisz, co zrobić należy? Zabierzesz swojego nie obrzezanego syna na górę na Ziemi, żeby odkupić swoje plemię?

- Nie - powiedział próbując ukryć zdziwienie jej znajomością tematu. - Wystarczy, że przywiozę kły Masajom. Inni podejmą zadanie.

- Nikt nie podejmie zadania - wyszeptała Ogniste Oczy - i w końcu Masajowie utracą kły.

- Nigdy! - wykrzyknął. - Jak już będziemy je mieć, nigdy ich nie oddamy.

- Oddacie - powiedziała łagodnie. - Kły mają dwie możliwe przyszłości. Pierwsza, to że kły pozostają na Belamone XI na wieczność i staną się pewnego dnia największą świętością mojej rasy, a druga, że zawędrują w najdalsze zakątki galaktyki i staną się przyczyną śmierci wielu, a nieszczęścia jeszcze większej liczby ludzi.

- Staną się własnością Masajów i tak już będzie zawsze - powiedział zdecydowanie.

Potrząsnęła swoją nie widzącą, gadzią głową.

- Nie, Maasai Laibon - takiej przyszłości nie widzę.

- A zatem mylisz się.

Skurcz odpowiadający wzruszeniu ramion rozpoczął się od głowy i przebiegł przez jej ciało powodując gwałtowną grę cieni w całej jaskini.

- Może - powiedziała.

- Muszę je mieć.

- Nie mogę ich oddać - odparła. - Pracowałam nad nimi przez ponad czterdzieści lat. Większy kiel jest już skończony. Mniejszy wykonany w połowie. Są moim życiem. Nie rozstanę się z nimi.

- Posiadam pewne środki. Jaka jest twoja cena?

- Nie ma na nie ceny - odpowiedziała.

- Może znajdziemy jakiś kompromis. Czy twoje dzieło może być przeniesione na inny materiał?

- Nie - powiedziała. - Nigdzie nacięcia nie są głębsze niż jedna tysięczna milimetra. Nie można ich zobaczyć bez odpowiedniej aparatury i specjalnych ułatwień. Mojego dzieła nie

można skopiować ani przenieść. Rysunek jest tak delikatny, że kłów nawet nie można ruszyć. Jedno dotknięcie ręką zatarłoby całe wieki historii mojej rasy. Ta góra stanie się świątynią i wszyscy, którzy będą chcieli obejrzeć moje ukończone dzieło, będą odbywali pielgrzymki do tej jaskini i będą je podziwiać za pomocą specjalnych urządzeń.

- Bardzo mi przykro - powiedział Maasai Laibon - ale tak się nie stanie. Kiedy opuścę Belamone, kły pojedą za mną.

- Nadal zamierzasz je zabrać po tym, co ci powiedziałam?

- Tak.

- Nie mogę na to pozwolić, Maasai Laibon.

- I ja nie ustąpię, Ogniste Oczy.

- Przybyłeś bez broni - zauważyła znacząco.

- Tym razem przyszedłem rozmawiać.

- Jeżeli wrócisz, zabiję cię.

- Wrócę. Podejmę to ryzyko.

Masai Laibon wszedł wyniosły i arogancki do gabinetu ambasadora i podszedł do fotela.

- Przejdę od razu do sprawy - powiedział ambasador podnosząc wzrok znad komputera. - Dwie godziny temu byłem gotów usunąć pana z planety.

- Doprawdy? - powiedział Maasai Laibon z kamiennym wyrazem twarzy i ze wzrokiem utkwionym w niekończącą się białą równinę rozciągającą się za oknem gabinetu.

- Czy odwiedził pan Nocnego Pełzacza zwanego Ogniste Oczy?

- Odwiedziłem.

- Wyraźnie panu zabroniono.

- Kieruję się wyższymi racjami niż prawo Nocnych Pełzaczy - odparł Maasai Laibon.

- Nie kierujesz się żadnymi racjami wyższymi niż nasze prawo, a ja reprezentuję to prawo na tej planecie - powiedział surowo ambasador. - Mówiłem ci, żebyś tam nie chodził, ale ty poszedłeś. Mogłem cię aresztować!

Ambasador patrzył gniewnie na niego, a po chwili westchnął.

- Pół godziny temu otrzymałem jednak wiadomość od Nocnych Pełzaczy.

- Tak?

- Wygląda na to, że Ogniste Oczy nie chce, żeby wyrządzono ci krzywdę, zatrzymano albo zmuszono do wyjazdu. Nie mam wyboru. Muszę zastosować się do jej prośby, ale niech mnie diabli porwą, jeżeli cokolwiek rozumiem.

Potrząsnął głową bezradnie.

- Im dłużej mam do czynienia z obcymi, tym bardziej jestem przekonany, że w ogóle nie można ich zrozumieć.

- Jeżeli nie aresztuje mnie pan ani nie zmusza do wyjazdu, to czemu pan mnie tu wezwał? - zapytał Maasai Laibon.

- Ponieważ chciałbym dowiedzieć się, co się dzieje - powiedział ambasador. - Na przykład, dlaczego taka ważna jest ta Ogniste Oczy. Nikt poza tą planetą o niej nawet nie słyszał.

- Ma coś, co do niej nie należy.

- Coś, co należy do ciebie?

- Do mojego plemienia.

- Do diabła, człowieku! Ja też pochodzę z twojego plemienia i mogę cię zapewnić, że ona nie ma nic, co należałoby do mnie!

- Moje plemię to Masajowie, a ona ma coś, co musi do nas wrócić.

- Co to jest, u diabła, plemię Masajów? Nigdy o nim nie słyszałem.

- Plemię ludzkie.

- Nie ma plemion ludzkich - powiedział ambasador twar-
do. - Są ludzie i reszta, my przeciw galaktyce.

- Jeżeli to prawda, to galaktyka w końcu wygra - zasuge-
rował Maasai Laibon.

- Ale przedtem będzie musiała poważnie się natrudzić -
powiedział ambasador z pewnością siebie. - Odchodzimy jed-
nak od tematu - dodał po chwili przerwy. - Co ona takiego ma,
co należy do was?

- Kły słonia.

- Kły? - powiedział ambasador zaskoczony. - Pracowała
nad nimi przez prawie pół wieku.

Maasai Laibon patrzył bez wyrazu na ambasadora.

- Nie miała prawa nad nimi pracować - stwierdził z prze-
konaniem.

- Trochę za późno, żeby jej o tym teraz mówić. Rozumiem,
że zakończy swoje dzieło w ciągu najbliższych dziesięciu lat.

Maasai Laibon pokręcił przecząco głową.

- Jej dzieło nigdy nie będzie ukończone. Zabieram kły ze
sobą.

- Czy możesz udowodnić, że są twoje?

- Nie w sposób, który pana zadowoli - powiedział Maasai
Laibon.

- Nie masz zatem podstaw prawnych, żeby się ich doma-
gać?

Maasai Laibon zawahał się na chwilę.

- Mam podstawy rasowe - powiedział wreszcie.

- Żaden sąd ich nie uzna.

- Dlatego nie zwróciłem się do sądu.

- Dlaczego czekałeś ponad czterdzieści lat, żeby się po nie
zgłosić?

- Bardzo dużo czasu zajęło mi ich odszukanie.

- Dlaczego uważasz, że kły należą do was?

- Nie przypuszczam, żeby pan zrozumiał.

- Proszę spróbować.

- Nie.

- Do diabła, człowieku, jestem twoim jedynym przedstawicielem na tej śnieżnej planecie! Jeżeli nie przekonasz mnie o słuszności swoich roszczeń, jak możesz przekonać ich?

- Ogniste Oczy wie, dlaczego muszę mieć kły.

- Powiedziałeś jej, a nie chcesz powiedzieć mnie? - zapytał ambasador oburzony.

- Nie mówiłem jej. Ona wiedziała.

- To tylko wielka dżdżownica, która nigdy nie oddaliła się na więcej niż dziesięć mil od swej jaskini. Skąd mogła wiedzieć?

Maasai Laibon wzruszył ramionami.

- Nie jesteś ciekaw? - nalegał ambasador.

- Nie.

- Powiedzmy inaczej. Czy ta jej wiedza nie podpowiada ci, że ktoś z Masajów już się z nią kontaktował? A jeżeli on pozostawił jej kły, to może ty pójdiesz za jego przykładem?

- Nigdy nie spotkała żadnego Masaja.

- Skąd zatem...?

- Ona jest mistyczką - wyjaśnił Maasai Laibon. - Widzi rzeczy, których inni nie widzą. Zna historię kłów i widzi ich przyszłość. Wiedziała, że po nie przyjdę.

- Ale odmówiła ich wydania - powiedział ambasador. Zatem wie pewnie, że wyjedziesz bez nich.

- Wyjaśniła mi, że istnieje jedna przeszłość, ale istnieje wiele możliwych przyszłości. Stara się tak manipulować wy-

darzeniami, żeby złożyły się na Przyszłość, która jej najbardziej odpowiada. Nie uda się jej - dodał po chwili przerwy.

Ambasador patrzył na niego na pół przekonany, że jego rozmówca był co najmniej tak samo szalony, jak ta dziwna rasa, z którą miał do czynienia, ale co najmniej dwa razy groźniejszy.

- Mówię ci oficjalnie, Maasai Laibon, że jeżeli cokolwiek stanie się Ognistym Oczom, albo z kłami, nie spocznę dopóki cię nie zatrzymam i nie ukarzę.

- Pan ma swoje obowiązki - powiedział Maasai Laibon wstając i podchodząc do drzwi - a ja mam swoje.

Następnego ranka Maasai Laibon wylądował swoim statkiem w odległości pół mili od jaskini, w której mieszkała Ogniste Oczy. Ubrał się ponownie w swój niewygodny, ale nieodzowny kombinezon ocieplający, sprawdził zasilanie pistoletu laserowego i implodera molekularnego. Broń umieścił w kaburze przy pasie, poczekał aż zacznie działać zastrzyk mający na celu zwiększenie wydzielania adrenaliny i w końcu ruszył do jaskini ignorując wiatr, który wył wokół niego i ograniczał widoczność.

Dwadzieścia minut później dotarł do jaskini i chociaż kombinezon utrzymywał stałą temperaturę ciała, poczuł, że jest cieplej, ponieważ był osłonięty od wiatru i śniegu. Zaczął iść ku miejscu, gdzie po raz pierwszy spotkał Ogniste Oczy. Cienie tańczyły groźnie po jaskini w świetle lampy na hełmie.

Była tam, gdzie się spodziewał. Jej płonące, czerwone oczy widział na długo przedtem, zanim dostrzegł resztę jej potężnego, pozbawionego kości ciała.

- Znowu przyszedłeś, Maasai Laibon - powiedziała swym sepleniącym szeptem.

- Przyszedłem - odpowiedział, ponownie zaskoczony echem, jakie jego głos wywoływał w jaskini. - Dlaczego powiedziałaś ambasadorowi, żeby zezwolił mi pozostać na planecie?

- Ponieważ przeznaczenie mówiło, iż przyjedziesz powtórnie. Nie było po co wciągać w to ambasadora i zmuszać go, żeby starał się zapobiec nieuniknionemu.

Wydobył pistolet laserowy i skierował go w jej kierunku.

- Zabiorę kły - powiedział. - Nie zmuszaj mnie, żebym cię z tego powodu zabił.

- Moje życie nie ma znaczenia. To moja sztuka się liczy.

- Nie powinnaś była wykorzystywać kłów.

- Przeznaczenie kazało mi je wykorzystać - odpowiedziała Ogniste Oczy - tak samo, jak kazało spotkać się nam w tych okolicznościach i w tym miejscu i czasie.

- Kto kazał? - zapytał Maasai Laibon.

- Stwórca Wszystkich Rzeczy - powiedziała.

- Wierzysz w Boga?

- W tego samego Boga, w którego wierzysz i ty, Maasai Laibon - odpowiedziała Ogniste Oczy. - W tego samego Boga, który pozbawił twoje plemię znamienia wielkości i który mu go nie przywróci tylko dlatego, że złodziej wyruszył na odległą planetę i obrabował artystę z jego dzieła.

- Muszę je zabrać ze sobą.

- Wiem, ale przyniosą one Masajom tylko nieszczęście i w końcu Masajowie je utracą.

- Czy to jest przekleństwo Nocnego Pełzacza? - zapytał z szyderstwem w głosie.

- Nie - odpowiedziała Ogniste Oczy spokojnie. - To tylko wniosek utalentowanego Nocnego Pełzacza. Zabijesz mnie i zabierzesz kły, ale nie spełnią twoich nadziei.

- Nie muszę cię zabijać. Odsuń się i pozwól mi zabrać kły w spokoju.

Potrząsnęła głową, rzucając potworne cienie na ściany i sklepienie jaskini.

- Musisz mnie najpierw zabić.

- To nie jest konieczne.

- To jest konieczne - odpowiedziała. - Wczoraj skończyłam pracę. Ostatnia scena, jaką stworzyłam, przedstawia moją śmierć zadaną przez ciebie.

- Sztuka nie musi odzwierciedlać życia - powiedział. - Nie chcę cię zabić, Ogniste Oczy. Pozwól mi zabrać kły i odejść w spokoju.

- Od tej chwili nigdy nie zaznasz spokoju, Maasai Laibon - wyszeptła. Wasze plemię będzie się zmniejszać, wasza potęga zniknie zupełnie, prawnuki twoich dzieci nawet nie będą wiedziały, jakie znaczenie mają te kły. Wszystko kiedyś obróci się w proch.

- Mylisz się!

- Nie - powiedziała przesuwając swoje ogromne ciało ku niemu po dnie jaskini. - Teraz musisz mnie zabić, Maasai Laibon, albo ja zabiję ciebie.

Cofnął się o krok, potem drugi. Ona jednak ciągle zbliżała się do niego i w końcu strzelił. Opadła bezwładna i drżąca na dno jaskini, ale minęło dobre pięć minut zanim światło życia zniknęło z jej płomiennych oczu i jeszcze dziesięć następnych, zanim Maasai Laibon zmusił się do przejścia obok jej ciała.

Znalazł kły w niewielkiej pieczarze oddalonej o jakieś trzydzieści stóp i wywlókł je do statku jeden po drugim. Zanim dokonał tego, ostatni z delikatnych wzorów został zatarty.

DZIEWIĄTE INTERLUDIUM (ROK 6303 ERY GALAKTYCZNEJ)

Koło się zamknęło. Chronologicznie, następne pojawienie się kłów miało miejsce podczas fatalnej gry w pokera, którą prowadził Tembo Laibon. Wiedziałem już wszystko o słońiu Kilimandżaro z wyjątkiem dwóch najważniejszych rzeczy: gdzie były kły i co chciał z nimi zrobić Bukoba Mandaka.

- Komputer?

- Tak, Duncanie Rojas?

- Czy uzyskałeś informacje, co stało się z kłami po ich kradzieży przez Thaiti Benoit z Winox IV? - zapytałem ze znużeniem.

- Nie.

- Czy stwierdziłeś, kiedy i gdzie zmarła Thaiti Benoit?

- Nie.

- Kontynuuj pracę.

- Tak, Duncanie Rojas.

- Zdrzemnę się - powiedziałem, siadając wygodnie w fotelu. Obudź mnie za dwie godziny.

- To znaczy o piątej pięćdziesiąt trzy - oznajmił komputer.

- Dobrze.

- Czy chce pan posłuchać muzyki?

- Nie, chcę spać, a nie myśleć.

Myliłem się jednak. Im bardziej starałem się zasnąć, tym bardziej aktywny stawał się mój umysł. Dlaczego kły przez ostatnie sześć wieków zniknęły zupełnie z horyzontu? Dlaczego Maasai Laibon popełnił dla nich morderstwo? Dlaczego Leeyo Nelion ryzykował dla nich dożywotnie więzienie? Dlaczego Bukoba Mandaka był gotów popełnić każdą zbrodnię, od zdrady po morderstwo, aby je zdobyć?

Gdzieś w zakątku mojego umysłu tkwiło jeszcze jedno masajskie imię - Laibon Sendeyo. Dlaczego sam fakt, że kiedyś wspomniał o kłach, oznaczał możliwość, niewielką choć wy-

mierną, że kły były w jakimś stopniu powodem utraty potęgi i wiodącej roli przez plemię Masajów?

Ciągle jeszcze zastanawiałem się nad tym, gdy komputer poinformował mnie, że była piąta pięćdziesiąt trzy.

- Czy znalazłeś kły? - zapytałem bez większej nadziei.

- Nie, ale dowiedziałem się, kiedy i gdzie zmarła Thaiti Benoit.'

- Proszę powiedzieć.

- Zmarła w roku 5732 E.G. na planecie Bartus III zwanej też Skyblue.

- Jak zmarła?

- Zmarła na aneurizm mózgu. Według raportu władz śmierć nastąpiła natychmiast.

- A zatem Skyblue była jej główną kwaterą w tym okresie?

- Tak.

- Świetnie! Oznacza to, że nie sprzedała ani nie wymieniła kłów na nic innego i że były na Skyblue w chwili jej śmierci.

- To wydaje się logiczne.

- Jeżeli by je sprzedała lub wymieniła, znalazłbyś o nich jakąś zmianę.

- Takie prawdopodobieństwo wynosi w tej chwili 54,231 procentu.

- Możemy zatem z większym prawdopodobieństwem stwierdzić, że kły są na Skyblue.

- Nie - poprawił mnie komputer. - Możemy z większym prawdopodobieństwem stwierdzić, że były na Skyblue w chwili jej śmierci.

- Dobrze - powiedziałem wstając. - Idę na śniadanie. Chcę, żebyś wykorzystał całą swoją moc obliczeniową na sprawdzenie, czy wywieziono kły ze Skyblue po roku 5732 E.G.

- Wykonuję...

Wyszedłem z biura. Zjechałem windą do hallu. Skinąłem głową dwóm dyżurującym strażnikom i poprosiłem, żeby wypuścili mnie przez drzwi frontowe. Dojechałem chodnikiem do pobliskiej restauracji, z której korzystałem, kiedy miałem ochotę zjeść coś poza biurem, ale zbliżając się do wyjścia, zdałem sobie sprawę, że jestem zbyt podniecony, żeby jeść. Jeżeli kły nie zostały sprzedane lub wymienione na coś innego, jeżeli komputer nie znajdzie śladu ich wywiezienia ze Skyblue, jeżeli Thaiti Benoit zatrzymała je po kradzieży aż do śmierci dwa lata później...

Wreszcie zbyt napięty i zdenerwowany, żeby stać spokojnie na chodniku, który przewoził mnie z miejsca na miejsce, zszedłem z niego i ruszyłem szybkim krokiem główną ulicą. O dwie godziny później to nie byłoby już możliwe. Mógłbym nawet narazić się na zwrócenie uwagi przez nadzór ruchu, ale teraz miasto dopiero się budziło, ulice były jeszcze stosunkowo puste i szedłem dalej, wyładowując nadmiar energii, dopóki nie zorientowałem się, że wysiłek rozbudził mój apetyt.

Zatrzymałem się przy pierwszej z brzegu restauracji, żeby stwierdzić, że śniadań tu nie podawano, a restauracja będzie zamknięta jeszcze przez pięć godzin. Kilka kroków dalej natrafiłem na małą, przepelnioną knajpkę, którą odwiedzali zarówno ludzie, jak i obcy. Zajrzałem przez okno, zauważyłem, że kilka małych stolików było wolnych i wszedłem do środka.

Trójnożny kierownik z Hesporita III poprowadził mnie do stolika w głębi, uruchomił maszynę tłumaczącą i wyjaśnił mi, że ze względu na to, iż nie byłem stałym klientem i moje potrzeby dietetyczne nie były zarejestrowane w pamięci restauracyjnego komputera, będę musiał zapoznać się z menu i zamówić przy stoliku.

Podziękowałem mu, poleciłem, aby stół wyświetlił jadłospis i odczytywałem nazwy dań w miarę, jak pojawiały się w powietrzu przed moją twarzą w formie dość prymitywnych hologramów. Dokonałem wyboru. Mój posiłek, trochę niedogotowany, pojawił się w niecałą minutę później, zamknięty w próżniowym opakowaniu, które otworzyło się na polecenie wydane głosem..

Popijając kawę zastanawiałem się, od jakiej to mutacyjnej kury mógł pochodzić mój omlet. Stół zaczął wyświetlać wiadomości gospodarcze i sportowe, a następnie informację, że za dodatkowe dziesięć kredytów mogę obejrzeć hologram z walki w wadze średniej,

która odbyła się poprzedniego wieczora. Cena wydała mi się rozsądna, szczególnie, że oglądanie walki odwróciłoby moją uwagę od jakości jedzenia, ale gdy obraz pojawił się zrozumiałem, dlaczego cena była tak niska. Walka trwała dwie minuty czterdzieści dwie sekundy i była na tyle jednostronna, że utraciłem do reszty i tak niewielki apetyt.

Poleciłem wciągnąć cenę posiłku na mój rachunek rozliczeń bieżących, wyszedłem z restauracji i wróciłem do biura. Moje podniecenie narastało w miarę, jak zbliżałem się do budynku Braxtona.

- Już pan wraca, panie Rojas? - zapytał jeden ze strażników uprzejmie.

- Mam robotę na cały dzień - powiedziałem z nadzieją, że tak rzeczywiście będzie.

Czekałem niecierpliwie na windę, wjechałem na piętro i prawie biegiem ruszyłem do mojego pokoju.

- Komputer? - powiedziałem, kiedy drzwi otworzyły się przede mną.

- Tak, Duncanie Rojas?

- Czy wywieziono kły ze Skyblue?

- Nie.

- A zatem mamy je!

- Skyblue to planeta, która ma prawie osiem tysięcy mil średnicy - zauważył komputer. - Lądy zajmują prawie dwadzieścia osiem procent powierzchni planety. Świadomość, że kły tam są nie znaczy, że je pan odnalazł.

Sprawdziłem godzinę. Była szósta pięćdziesiąt jeden.

- Znajdziemy je zanim Braxton rozpocznie pracę - powiedziałem pewien siebie. - Sprawdź wszystkie muzea i galerie sztuki oraz publiczne i prywatne kolekcje trofeów myśliwskich, a także stowarzyszeniu miłośników historii naturalnej na Skyblue. Może zlokalizujemy kły.

- Wykonuję...

- Połącz mnie z Bukoba Mandaka.

- Wykonane.

W chwilę później twarz Mandaki pojawiła się ponad komputerem. Obudziłem go, gdyż mrugał oczami, marszczył brwi i usiłował skupić wzrok na mnie.

- Panie Mandaka, tu Duncan Rojas.

- Pan Rojas! - powiedział podniecony. - Znalazł pan kły?

- Prawie - odparłem. - Wiem, na jakiej są planecie.

- Kiedy pan będzie mógł je zlokalizować?

- Za godzinę lub dwie, może wcześniej.

- Jadę do pana!

- To nie jest konieczne. Skontaktuję się z panem, jak tylko je zlokalizuję, albo niech pan utrzyma połączenie z moim komputerem.

- Nie - powiedział uparcie - chcę być przy tym osobiście.

- Ale...

- Może będziemy musieli przedyskutować pewne nowe sprawy prywatnie.

- Jak pan sobie życzy.

- Właśnie tego sobie życzę - powiedział przerywając połączenie.

- Komputer - powiedziałem zwracając się do lśniącego kryształu - czy znalazłeś już kły?

- Nie.

- Ile liczy sobie ludności Skyblue?

- Trzy miliony.

- Ile może tam być muzeów, galerii i zbiorów? - zapytałem.

- Jest tylko jedno muzeum - odpowiedział komputer - jedenaście galerii sztuki i dwudziestu czterech znanych kolekcjonerów. Nie ma towarzystwa historii naturalnej.

- Ile z nich sprawdziłeś?

- Wszystkie. Pozostała jedna galeria i dwóch kolekcjonerów. Sprawdzeni nie mają kłów.

- Ktoś musi je mieć - mruknąłem.

- Wszystkie odpowiedzi negatywne.

- Może należą do galerii albo kolekcjonera, który nie chce się z nimi rozstać - powiedziałem bez większego przekonania.

Przez chwilę rozważałem różne możliwości, a następnie znowu zwróciłem się do komputera.

- Komputer, która godzina jest obecnie w muzeum na Skyblue?

- Wczesne popołudnie.

- Połącz mnie z kustoszem wydziału historii naturalnej muzeum.

- Wykonuję... nie ma takiego kustosa.

- To połącz mnie z kimś z kierownictwa.

- Wykonuję... wykonane.

Obraz kobiety w średnim wieku, noszącej kolczyki męskiego typu i o bardzo skromnym makijażu, pojawił się nad komputerem.

- Dobry wieczór - powiedziałem. - Jestem Duncan Rojas, główny badacz w Wilford Braxton.

- Hazel Guthridge, kustosz Muzeum Planetarnego Skyblue.

- Mam powody przypuszczać, że na Skyblue znajdują się kły pewnego słonia - zacząłem. - Mam klienta, który gotów jest zapłacić za nie dość wysoką sumę.

- Słonia? - powtórzyła ze zdziwieniem. - Nie wystawiamy słoni.

- Nie poszukujemy całego słonia, tylko kłów - wyjaśniłem cierpliwie. - Mój klient chce tylko kły.

- Rozumiem, ale wystawiamy tylko miejscową florę i faunę.

- Mam praktycznie niepodważalne dane, że kły były na Skyblue pięćset siedemdziesiąt pięć lat temu i nigdy ich z planety nie wywieziono. Może wzięto je pomyłkowo za kły lub rogi jakiejś lokalnej formy życia.

Potrząsnęła głową.

- O ile się orientuję, słoń to było ogromne zwierzę. Żadna z naszych form życia nie może mu dorównać.

- Czemu te kły są tak wartościowe? - zapytała po chwili przerwy.

- To jest pamiątka rodzinna - odparłem. - Właściwie, one przedstawiają wartość tylko dla mojego klienta.

- A nie dla muzeum, które specjalizuje się w zwierzętach Ziemi? - zapytała ostro.

- Wytłumaczę to pani inaczej - powiedziałem pospiesznie.
- Mój klient jest osobą prywatną, która gotowa jest zapłacić znacznie więcej niż ceny oferowane na aukcjach muzealnych.

- Rozumiem - powiedziała. - Niestety nie mogę panu pomóc, panie Rojas. Jak już powiedziałem, wystawiamy jedynie faunę miejscową. Historia naturalna jest jedną z naszych słabszych ekspozycji. Nasze zbiory roślin i zwierząt są niewielkie. Ja specjalizuję się w miejscowych kamieniach szlachetnych i rzadkich minerałach.

- Czy widziała pani kiedykolwiek kły słonia afrykańskiego? - nalegałem.

- Nie, ale wiedziałabym o nich, gdyby były wystawiane w moim muzeum.

- Przekażę pani ich hologram - powiedziałem. - Sprawa ta ma ogromne znaczenie dla mojego klienta.

- Mam lepsze rozwiązanie - odparła. - Szłam akurat na posiedzenie zarządu. Polecę komputerowi przedstawić nasze eksponaty z dziedziny historii naturalnej i jeżeli zobaczy pan te kły, to mnie pan zawiadomi. Chociaż - dodała - nawet wtedy nie będę mogła panu wiele pomóc. Żaden z naszych eksponatów nie jest na sprzedaż.

- Dziękuję - powiedziałem. - Zgadzam się na pani propozycję.

- Bardzo proszę - odparła z uśmiechem.

Chwilę później jej twarz zniknęła, a zastąpił ją widok głównej sali wystawy historii naturalnej. Była tam diorama przedstawiająca scenę ze strefy tropikalnej planety. Rzeka, liczne węże i długie masywne jaszczurki na krótkich nogach. Kamera muzeum obróciła się wolno o 360° umożliwiając mi obejrzenie całej sali. Nie było tam jednak nic oprócz kilku

rzeźb w drzewie i kości, wykonanych przez lokalną humanoidalną rasę.

Następnie obejrzałem salę wypełnioną eksponatami w postaci niezbyt dobrze wypchanych zwierząt i wkrótce stało się jasne, że w muzeum wyraźnie odczuwano brak kustosza z dziedziny historii naturalnej. Zwierzęta polarne przemieszane były ze zwierzętami roślinożernymi z równin, a jedna ze scen przedstawiała żywiące się rybami wodne zwierzę, zjadające leśne paprocie.

Nie było ani śladu kłów. Czekałem niecierpliwie, aż kamera poprowadzi mnie przez dalsze sale, w których wystawione były bezłoty i sześcionogie gady. Dotarliśmy wreszcie do wystawy skamieniałości. Nachyliłem się ku przodowi, ponieważ prawdopodobnie kły mogły się tu znajdować. Kamera długo i z sympatią zatrzymała się nad szkieletami niewielkich drapieżników podobnych do gryzoni, kilku potężnych zwierząt roślinożernych i olbrzymiego, wysokiego na dwadzieścia stóp dinozaura, ale i tu kłów nie dostrzegłem.

Następna sala wypełniona była jajami ptaków i gadów i po jej przedstawieniu hologram zniknął.

- Co się stało? - zapytałem.

- Widział pan już całą wystawę eksponatów z dziedziny historii naturalnej - oznajmił mój komputer. - Transmisja zakończona.

- Ale nie widziałem kłów!

- Nie ma kłów w katalogu muzeum - potwierdził komputer. - Co mam zrobić dalej, Duncanie Rojas? - zapytał po chwili przerwy.

Zastanawiałem się nad odpowiedzią.

- Sprawdziłeś już wszystkie miejsca na Skyblue, gdzie najprawdopodobniej mogą być kły. Teraz sprawdzimy mniej prawdopodobne miejsca.

- Będę potrzebował wytycznych.

- Daj mi chwilę na zastanowienie - westchnąłem.

Siedziałem w bezruchu patrząc w ścianę, starając się znaleźć coś, co mogłem przeoczyć. Jednakże nie znalazłem nic. Jeżeli Thaiti Benoit nie sprzedała kłów, wciąż były na Skyblue, a jeżeli tam były, dlaczego nie było o nich żadnej wzmianki? Oczywiście odpowiedzią było, że je gdzieś ukryła, a jeżeli ukryła je gdzieś, to nie tak, żeby nie mogły być niedostępne. Byłyby razem ze wszystkim, co ukrywała przed władzami.

- Komputer?

- Tak, Duncanie Rojas?

- Co stało się z majątkiem Thaiti Benoit po jej śmierci?

- Sprawdzam... jej dom kupił niejaki James Cawthorne. Jej biżuteria została sprzedana na aukcji na pokrycie podatków. Pieniądze pochodzące z kradzieży na Torrance III i klejnoty skradzione na Syriuszu V zwrócono właścicielom.

Jeżeli sprawa ta tak się zakończyła, to kły nie mogły pozostać gdzieś zakopane, bo poszukiwania doprowadziły przecież do znalezienia innych przedmiotów.

Jeżeli jednak je znaleziono, to gdzie były? To pewne, że nie wywieziono ich z planety. Jeżeli jednak nie było ich w muzeum, w galeriach sztuki i w zbiorach prywatnych...

I wtedy wpadłem na pomysł.

- Komputer?

- Tak, Duncanie Rojas?

- Potrzebuję kompletną historię atmosferyczną, geologiczną i klimatyczną Skyblue.

- Wykonuję...

- Po jej uzyskaniu, poproszę o wydruk.

- Zrozumiałem.

Zamówiłem filiżankę kawy i zmieniłem przezroczystość ścian, wpuszczając do pokoju światło poranka. Zapaliłem cygaro i oparłem stopy na biurku. Czekałem na Mandakę.

Zjawił się pięć minut później. Twarz jego ożywiona była nadzieją.

- Znalazł je pan? - zapytał niecierpliwie.

- Nie.

- Ale jest pan pewien, na której są planecie?

Skinałem twierdząco.

- Brutus III znany powszechnie jako Skyblue.

- Nigdy o niej nie słyszałem.

- Większość ludzi o niej nie słyszała. Jest to kolonia w połowie drogi do Wewnętrznego Pogranicza.

- Powiedział pan, że je pan znajdzie zanim biuro rozpocznie pracę.

- Może byłem zbyt optymistą. Sprawdziłem muzea, galerie sztuki i zbiory prywatne. Jeszcze nic nie znalazłem.

- Co pan robi dalej?

- Mam pewien pomysł. Komputer nad nim pracuje.

- Pan musi je znaleźć - mruknął bardziej do siebie niż do mnie. - Jestem o krok od celu.

- Skorzystamy z tego, że musimy poczekać na odpowiedź komputera. Czy może mi pan coś powiedzieć o Masaju zwanym Sendeyo?

Otworzył usta ze zdziwienia.

- Co pan wie o Sendeyo?

- Nie tyle, ile chciałbym wiedzieć.

Patrzył na mnie, ale nie mówił nic.

Już miałem powtórzyć pytanie, ale właśnie komputer zakończył pracę i przedstawił wydruk. Przerzucałem go szybko, aż trafiłem na interesujące mnie informacje. Następnie odrzuciłem dokument na biurko

i rozsiadłem się w fotelu.

- Panie Mandaka, myślę, że wiem, gdzie są kły.

- Dzięki Bogu! - wyszeptał.

Wziął wydruk z biurka i przerzucał go z miną coraz bardziej zdziwioną.

- Z tego pochodzi ta informacja?

- Tak.

Potrząsnął głową ze zdumieniem.

- Widzę, że wybrałem właściwego człowieka. Nie miałbym pojęcia, jak się do tego zabrać.

- Napije się pan mleka? - spytałem.

- Nie, dziękuję.

- Niech pan siada - zaprosiłem.

- Jestem zbyt podniecony, żeby siedzieć. Pan nie wie, co to dla mnie znaczy, panie Rojas.

- Chciałbym wiedzieć.

Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę.

- Dowie się pan już niedługo.

- Nie rozumiem - powiedziałem. - Nasza umowa kończy się skoro tylko potwierdzi pan, że znalazłem kły.

Patrzył na mnie dalej. Wreszcie odezwał się.

- Chciałbym zaproponować panu kolejną umowę, panie Rojas.

- Tak? - powiedziałem, starając się ukryć moje zainteresowanie.

- To, co mam zrobić, nie będę w stanie zrobić sam - kontynuował. Będę potrzebował pomocy co najmniej jednej oso-

by, a ponieważ uważam pana za człowieka godnego zaufania i działającego skutecznie, chciałbym, żeby pan mi towarzyszył. Musiałby pan wziąć urlop - dodał po przerwie. - Pokryję wszystkie koszty.

- Jak długi urlop?

Pocierał brodę zastanawiając się.

- Może cztery tygodnie.

- Dokąd pojedziemy? - zapytałem.

- Na początek na Skyblue.

- A później.

- Na Ziemię.

- Dlaczego?

- Muszę tam zrobić coś, czego nie mogę zrobić sam.

- Co pan musi zrobić?

Patrzył na mnie.

- Powiem panu, ale dopiero, jak dotrzemy na Ziemię, kiedy nie będzie pan już mógł zmienić zdania.

Potrząsnąłem głową.

- Przykro mi, panie Mandaka, ale jeżeli mam wziąć urlop i towarzyszyć panu na Ziemię, muszę wiedzieć dlaczego.

- Jeżeli panu powiem, nie zechce pan pojechać.

- Jeżeli mi pan nie powie, nie pojedę.

Zdawało się, że toczy ze sobą walkę. Wreszcie westchnął, przywołał krzesło i usiadł.

- Dobrze, panie Rojas. Myślę, że zasłużył pan na to, żeby wiedzieć.

- Dziękuję.

- Muszę jednak przedstawić wszystkie okoliczności, żeby nie pomyślał pan, że ma do czynienia z szaleńcem.

- Z ekscentrykiem - może, ale nie z szaleńcem.

- Dziękuję za zaufanie. Napiję się mleka.

Zamówiłem mleko. Pojawiło się po kilku sekundach.

- Z braku szampana - powiedział podnosząc szklanę w toaście i wypijając duszkiem.

- Opowie mi pan o Sendeyo, prawda?

Skinął głową, przywołał niewielki stoliczek i odstawił nań szklanę.

- Wie pan - powiedziałem, zapalając dawno już wygasłe cygaro - kiedy obudziłem się dziś rano, zdałem sobie sprawę, że potrzeba mi jedynie dwóch faktów, żeby poznać całą historię kłów. Musiałem wiedzieć, gdzie są obecnie i co pan planuje z nimi zrobić. Sendeyo był jedyną nie wyjaśnioną sprawą. Nie mogłem zorientować się, co miał z tymi faktami wspólnego.

- To dlatego, że zrobił pan błąd w założeniu, panie Rojas - powiedział Mandaka. - Jest jeszcze trzecia rzecz, którą należy wiedzieć, zanim pozna się całą historię kłów, historię, która jeszcze nie ma ostatniego rozdziału.

- Tak? - powiedziałem pochylając się ku niemu z zainteresowaniem. - A co takiego?

- Nie wie pan, jak zmarł słoń Kilimandżaro.

- Nikt tego nie wie.

- Ja wiem - odparł Mandaka.

Jego oczy były utkwione w jakiś punkt odległy o tryliony mil. Opowiedział mi historię Shundi, Butamo, Sendeyo, Rakanja i słonia Kilimandżaro.

ROZDZIAŁ 10

OPOWIEŚĆ MANDAKI (ROK 1898 PO NARODZENIU
CHRYSTUSA)

Doszedłem do podnóża Kilimandżaro i rozpocząłem wspinaczkę. Stoki były z początku łagodne, poprzecinane polami i łąsinami. Spotykało się często strumienie niosące lodowatą wodę ze zmarzniętego wierzchołka.

Wspinałem się powoli, wiedząc, że jeżeli mój Bóg jest na szczycie góry, to na mnie zaczeka. Życie kwitło na niższych stokach, ale wszystko uciekało przede mną z wyjątkiem nowego stadka czapli, które obsiadły mój grzbiet i głowę. Lwy cofały się warcząc, lamparty z sykiem znikwały w krzakach, nosorożce umykały z pomrukiem, nawet ludzie stali z boku i patrzyli z przerażeniem, gdy mijałem ich wnioski.

* * *

Nazywał się Butamo. Uciekał przez dwa dni i dwie noce.

Został schwytany w Ugandzie przez osławionego handlarza niewolników Shundi z plemienia Kavirondo, prawie równie sławnego jak Arab Tippu Tib. Sam Shundi był kiedyś niewolnikiem Tippu Tiba, jeszcze jako małe dziecko, ale kiedy dowiedział się, że Koran zabrania, trzymać współwyznawców w niewoli, przeszedł na islam i odzyskał wolność. Wtedy zajął się jedyną działalnością, jaką znał. Sam nie miał jednak najmniejszego zamiaru wypuszczać niewolników wierzących w Allacha, ruszył zatem w głąb lądu, gdzie islam jeszcze nie dotarł, i zaczął zbijać fortunę.

Shundi miał tylko dwie zasady. Żywił swoich niewolników dobrze, ponieważ schorowane, wychudzone ciała przynosiły mniej pieniędzy na aukcjach w Zanzibarze i Mombasa, i nigdy nie pozwalał uciekinierom przeżyć, ponieważ zachęciłoby to innych do ucieczki.

Kiedy więc Butamo uciekł nocą, Shundi oddał karawanę pod dowództwo swojego zastępcy i wyruszył z trzema tropicielami z plemienia Wanderobo zdecydowany sprowadzić Butamo z powrotem lub zabić.

Trudno było iść śladem, bo Butamo był doświadczonym łowcą, ale nikt nie mógł przechytryć tropicieli Wanderobo i chociaż wielokrotnie tracili ślad, zawsze go jednak w końcu odnajdywali. Ślad wiódł w kierunku wznoszącej się przed nimi ogromnej góry.

Powietrze stało się nieco chłodniejsze, a ból w moich wnętrznościach nieco osłabł. Mogłem ułożyć się delikatnie w płytkiej depresji i posmarować błotem moją spieczoną i palącą skórę. Zbliżył się ktoś z mojego plemienia. Był to młody samiec. Chciał również zażyć popołudniowej, błotnej kąpieli, ale gdy mnie zobaczył stanął z boku i czekał aż skończę. Wszedł do błota dopiero, kiedy ruszyłem w dalszą drogę i zniknąłem mu z oczu.

Na niższych stokach góry Butamo dostrzegł wioskę i skierował się prosto ku niej. Dotarcie do wsi zajęło mu trzy godziny, a kiedy wszedł między chaty, natychmiast otoczyli go wojownicy, grożąc mu dzidami i mieczami.

- Potrzebuję pomocy - wysapał Butamo. - Uciekłem z karawany niewolniczej. Nie jadłem przez dwa dni.

- Nie jesteś z naszego plemienia - powiedział jeden ze starszych. - Dlaczego mamy ci pomóc?

- Umrę, jeżeli nie dacie mi jedzenia.

- Jeżeli damy ci jedzenie, a handlarze niewolników dowiedzą się o tym, umrzemy wszyscy. Musisz opuścić naszą wioskę.

- Jestem nieuzbrojony - powiedział Butamo. - Dajcie mi przynajmniej dzidę, żebym mógł coś upolować.

Starsi naradzali się pospiesznie. Było prawdopodobne, że handlarze niewolników pójdą w ślad za swoją utraconą własnością, a jeżeli tak, mogli znaleźć starą, ładowaną przez lufę strzelbę, którą zabrano niemieckiemu myśliwemu wiele lat wcześniej. Mogliby zacząć zadawać pytanie i aresztować starszych wioski za morderstwo.

Jeżeli oddano by strzelbę zbiegłemu niewolnikowi, nikt nigdy się nie dowie, skąd się wzięła, a jeżeli schwytany niewolnik zostanie osądzony za morderstwo, jego cierpienia będą krótsze niż gdyby miał pozostawać niewolnikiem przez długie lata.

- Czy wiesz, jak posługiwać się bronią białego człowieka?

- zapytał jeden ze starszych po skończonej naradzie.

- Widziałem, jak to robią biali - odpowiedział Butamo.

- Uciekasz od handlarzy niewolników, a my ich nienawidzimy. Pomożemy ci. Nie damy ci dzidy, ponieważ dzidy nasze noszą symbole plemienne i nie chcemy wzbudzić gniewu handlarzy niewolników.

Damy ci jednak strzelbę, jeżeli przyrzekniesz, że nie powiesz, skąd ją masz.

- Nikomu nie powiem.

Starsi wysłali jednego z wojowników, żeby przyniósł strzelbę.

- Dajcie mu wody - powiedział jeden ze starszych.

Wojownik powrócił i wręczył Butamo strzelbę i worek.

- Worek zawiera proch, który powoduje, że strzelba wybuchła - wyjaśnił jeden ze starszych.

- Wiem - powiedział Butamo. - Widziałem, jak robi to Shundi.

- Kto to jest Shundi?

- To jest handlarz niewolników, od którego uciekłem.

- To nie jest imię białego człowieka.

- On jest czarny.

- Dlaczego czarny sprzedaje innych czarnych w niewolę białym?

- Dla pieniędzy.

- A co robi z tymi pieniędzmi?

- Kupuje wiele krów, kóz i żon - odparł Butamo.

- Ile? - zapytał jeden ze starszych i Butamo odczuł, że jego zainteresowanie było zbyt duże.

- Dziękuję za pomoc - powiedział cofając się ostrożnie. - Teraz muszę już iść, bo sprowadzę Shundi do waszej wioski.

Butamo zauważył, że dwóch wojowników oddaliło się wąską ścieżką, i zdecydował, że najbezpieczniejszą drogą ucieczki będzie piąć się w górę.

Kiedy już połowę wspinaczki miałem za sobą, znów zaczęły mnie boleć nogi i wnętrzności. Gniew spowodowany słabością mojego ciała rozgłaszałem trąbieniem, ale w końcu energia mnie opuściła i po raz pierwszy od siedemdziesięciu lat położyłem się, żeby zasnąć.

Butamo wspinał się szybko prawie przez trzy godziny, dopóki nie upewnił się, że nikt z wioski nie ruszył jego śladem. Zobaczył patrzącego nań guźca i przez chwilę miał ochotę wypróbować strzelbę, ale zmienił zdanie w obawie, że zdradzi swoją obecność. Otrząsnął z drzewa kilka owoców i zjadł je, a

po chwili u stóp wysokiej skały napotkał jadalne zioła i kontynuował wspinaczkę, zawsze pamiętając o zacieraniu śladów.

Obudził mnie palący ból w boku, najgorszy, jaki kiedykolwiek odczuwałem. Wstałem z trudem. Spałem nie więcej niż trzy godziny, ale mój ciężar wystarczył, żeby częściowo zmiażdżyć prawe płuco. Stałem oszołomiony, chwiejąc się na słabych nogach z trudem chwytalem powietrze. Ból nie ustępował. Wywołał mój gniew. Zacząłem więc wyrwać drzewa i zrzucić je w dół stoku.

Ptaki uciekały w trwodze z wrzaskiem. Wiele czasu minęło zanim ustąpił mój gniew, a ból osłabł tak, że mogłem wspinać się dalej.

Butamo spędził chłodną noc na stoku góry. O świcie znalazł strumień. Stanął po kolana w wodzie i usiłował bez powodzenia chwycić ryby. Kiedy nogi zdrętwiały mu z zimna, wygramolił się ze strumienia, znalazł nieco jadalnych jagód, a następnie usiadł na szczycie występu skalnego, rozglądając się za Shundi i trzema tropicielami z plemienia Wanderobo.

Wciąż nie było śladów pogoni, ale Butamo wiedział, że prędzej czy później Wanderobo znajdą jego ślady i zaczną wspinać się po stoku. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że nie będzie miał zbyt wiele czasu na przygotowanie się do obrony, kiedy już się zbliżą. Postanowił zatem rozpakować torbę i nabić strzelbę.

Później, głodny i zmarznięty, Butamo ruszył dalej, używając wszystkich swych umiejętności, by zatrzeć ślady przed pościgiem.

Byłem głodny, z wnętrzościami wypełnionymi bólem i pustką, z ogniem przeszywającym prawe płuco przy każdym oddechu. Podniosłem oczy, żeby zobaczyć jak długa wspinaczka jeszcze mnie czeka, zanim dotrę do wierzchołka. Szczyt gó-

ry spowity był jednak w chmurach. Podniosłem trąbę, żeby zbadać wiatr w nadziei, że znajdę zapach Boga unoszony łagodnym powiewem.

Zamiast tego poczułem zapach człowieka.

Butamo wspinał się po stromym, skalistym stoku przez może sto jardów, stwierdził jednak, że dalszą drogę blokuje potężna kępa krzyżowników. Skręcił w lewo, żeby ją ominąć.

Zatrzymał się, żeby przetrzeć oczy z kurzu i potu, i rozejrzał się. Przed sobą, w odległości około sześćdziesięciu jardów, ujrzał największego słonia, jakiego kiedykolwiek widział, słonia tak wielkiego, że był wyższy niż otaczające go drzewa. Jego kły były tak wielkie, że wlokły się po ziemi.

Opanowałem ból na tyle, że mogłem skoncentrować wzrok. Był oddalony o mniej niż sześćdziesiąt jardów, miał starą, porzewiałą strzelbę i odziany był tylko w przepaskę na biodrach.

- Czy jesteś Bogiem? - zapytałem wyciągając ku niemu trąbę. - Czy jesteś tym, którego szukam?

Butamo rozejrzał się, żeby się upewnić, czy nie ma w pobliżu innych członków stada słoni. Nie zobaczył jednak nic. Popatrzył z podziwem na ogromne kły, wiedząc jednak, że nie odważy się ich zdobyć. Wiedział też, że Shundi i trzech Wanderobo nasłuchiwali wszelkich dziwnych odgłosów, które mogły zdradzić, gdzie się znajduje.

Butamo widział, jak Shundi handlował kłami i jaką wartość one przedstawiały. Z żalem zaczął się cofać.

Nic nie odpowiedział. Nie dał żadnego znaku. To nie był Bóg. To był zwykły człowiek.

Ból wrócił i wtedy zrozumiałem, że nigdy nie dotrę do szczytu, jeśli nie zabiję tego człowieka, który stał między mną a Bogiem.

Ruszyłem naprzód.

Butamo rozejrzał się wokół. Poza kępą zarośli, nie było gdzie się skryć, ale nie wiadomo było, co mogło się w niej znajdować. W takich zaroślach mogła być lamparcica z młodymi. Nie mógł jednak stać spokojnie i patrzeć, jak słoń zbliża się do niego. Był już o czterdzieści jardów i nie wykazywał ochoty do zmiany kierunku.

Człowiek wrzasnął na mnie, a ja uniosłem trąbę i ryknąłem w odpowiedzi. To moja góra! Nikt mnie nie zatrzyma, dopóki nie spotkam się z moim Bogiem.

Gdy słoń był o trzydzieści jardów, Butamo podniósł starą strzelbę i wycelował. Gdy był o dwadzieścia jardów, wypalił.

Poczułem przeszywający ból w lewej łopatce i krew zaczęła buchać z rany. Wiedziałem, że pozostało mi zaledwie kilka sekund, zanim moje serce się zatrzyma. Nie chciałem tego czasu zmarnować. Pokonałem dzielącą nas przestrzeń, owinąłem trąbę wokół człowieka i rzuciłem nim o drzewo odległe o jakieś dwadzieścia jardów.

Ze stęknieniem upadłem na bok. Jeszcze raz spojrzałem na szczyt Kilimandżaro w nadziei, że ujrzę Boga i spytam Go, dlaczego mi to zrobił, ale szczyt był nadal skryty w chmurach. Zamknąłem oczy i poczułem nagły spokój, gdyż zdałem sobie sprawę, że właśnie taki był Jego plan i że spotkam się z Nim za chwilę.

Minęło pięć godzin, zanim Rakanja trafił na zwłoki. Zapędził swoje bydło wysoko na południowo-wschodni stok góry w ubiegłym tygodniu i dwie sztuki dotąd nie wróciły. Pozostawił więc dwóch synów na straży stada i wspiał się na górę jeszcze raz, żeby ich szukać.

Zamiast nich znalazł zwłoki największego słonia, jakiego kiedykolwiek widział, i roztrzaskane ciało Butamo, w którym tliła się jeszcze iskierka życia.

- Ktoś ty? - spytał Rakanja.

- Wody - wyszeptał Butamo, ledwie poruszając zeschniętymi wargami, umazanymi krwią.

Rakanja dał wody umierającemu.

- Ktoś ty - spytał Rakanja jeszcze raz.

- Nie rozumiem cię?

Rakanja powtórzył po raz trzeci, tym razem nie w języku Masajów ale w suahili.

- Jestem Butamo.

- Co robisz na naszej górze?

- Na waszej górze? - wyszeptał Butamo nie rozumiejąc.

- Bóg dał Masajom ziemię pomiędzy Kirinygą a Kiliman-dżaro - stwierdził Rakanja z całkowitym przekonaniem.

- Uciekłem od handlarzy niewolników, ale słoń, którego zabiłem, zabił i mnie - szeptał Butamo. - Proszę cię, nie pozwól, żeby znaleźli moje ciało.

- A cóż to mnie może obchodzić?

- Zniosą moje ciało do mojej wioski, żeby moi bracia wiedzieli,

że nie ma ucieczki przed Shundi. Ptaki wydziobią mi oczy, mrówki pochłoną moje ciało, a hieny kości. Nie pozwól im tego zrobić. Pochowaj mnie, albo wrzuć do głębokiej szczeliny.

- Kiedy już umrzesz, nie będzie to miało dla ciebie znaczenia - odparł Rakanja. - Ja muszę znaleźć moje zaginione bydło.

Wstał, żeby odejść.

- Poczekaj - zawołał Butamo ostatkiem sił.

- Co znowu, niewolniku?

- Jeżeli ukryjesz moje ciało, powiem ci jak zostać bogatym.
- Już jestem bogaty - powiedział Rakanja. - Mam wiele bydła, kóz i trzy żony.

- W ciągu jednego dnia podwoisz swoje bogactwo.

- Jak? - zapytał Rakanja, kucając obok Butamo.

- Człowiek, który mnie goni, handluje nie tylko niewolnikami, ale także kością słoniową. Jeżeli sprzedasz mu kły słonia, którego zabiłem, da ci wiele srebrnych monet, za które kupisz więcej krów.

- Masajowie nie handlują kością słoniową i na nic nam się nie przydadzą srebrne monety białych ludzi.

- Za to, co on ci zapłaci, będziesz mógł kupić pięćdziesiąt krów.

Rakanja zastanawiał się właśnie nad możliwością znalezienia dwóch zagubionych krów, zastanowił się nad ceną, jaką musiałby zapłacić za młodą kobietę, która mu się ostatnio spodobała, i przyjrzał się w zamyśleniu padlinie słonia.

- Jak się nazywa handlarz niewolnikami? - zapytał.

- Ukryjesz moje ciało?

Rakanja skinął głową.

- Ukryję je.

- To Shundi z plemienia Kavirondo. Będzie miał ze sobą trzech tropicieli Wanderobo.

- Jak się wyjmuję kły? - zapytał Rakanja. - Nigdy przedtem tego nie robiłem.

- Jeżeli poczekaś trzy albo cztery dni, będziesz mógł je wyciągnąć.

- Nie mogę czekać tyle czasu.

- Możesz... - Paroksyzm kaszlu wstrząsnął ciałem Butamo, a kiedy minął, Butamo już nie żył.

Rakanja rozglądał się po ziemi, aż znalazł duży, zaostrozony kamień podobny do siekiery. Podszedł do ciała słonia, obmacał szczękę, znalazł nasadę kła i zaczął rąbać skórę i mięśnie.

Była to długa i ciężka praca. Ściemniało się już zanim wyjął oba kły. Zignorował panujący chłód i zaniósł je po kolei z pół mili pod górę i ukrył pod korzeniami krzewów. Powrócił do ciała Butamo, przerzucił je sobie przez ramię, podszedł do brzegu pobliskiej przepaści i rzucił je w przepaść. Począł, aż usłyszy uderzenie ciała o kamienie prawie tysiąc jardów poniżej. Wrócił do trupa słonia, rozpalili ognisko i czekał.

Wanderobo znaleźli go przed południem. Shundi dotarli kilka godzin później. Handlarz niewolników podszedł do trupa słonia. Uśmiechnął się, kiedy zobaczył, że brakuje kłów i wreszcie podszedł do Rakanja.

- Jesteś Masajem, prawda?

Rakanja skinął głową.

- Goniłem niewolnika. Jego ślad doprowadził mnie tutaj.

- Był tu - powiedział Rakanja.

- A gdzie jest teraz?

- Nie żyje.

- Chcę jego ciało.

- Nie dostaniesz go - powiedział Rakanja, patrząc z pogardą na trzech Wanderobo.

- Zabiorę je - powtórzył Shundi.

- Odejdiesz, chyba że chcesz sporu z Masajami - powiedział Rakanja.

Shundi popatrzył na niego.

- Jesteś jedynym Masajem, jakiego widzę.

- Wystarczy - odparł Rakanja.

- Nie lubię arogancji Masajów - powiedział Shundi. - Przydałby się ktoś, kto by wydawał wam rozkazy.

Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, Rakanja przeszył dzidą pierś jednego z Wanderobo i chwycił drewnianą dzidę, którą wykonał poprzedniego wieczora.

- Tak wyglądają twoje rozkazy - powiedział. - Czy chcesz wydać dalsze?

- Jeden wystarczy - powiedział wyciągając z fałd szaty pistolet i zmierzył do Rakanja.

Rakanja patrzył na pistolet nie okazując strachu.

- Jeżeli mnie zabijesz, nigdy nie znajdziesz kłów.

- Ach - powiedział Shundi z uśmiechem - zaczynamy mówić o interesach?

- Wcale nie będziemy rozmawiać, dopóki nie wyrzucisz pistoletu.

Shundi schował pistolet.

- Musisz go wyrzucić - powiedział Rakanja. - Inaczej zabijesz mnie, jak już pokażę ci kły.

- Daję ci słowo, że cię nie zabiję - powiedział Shundi.

- Cóż warte jest słowo handlarza niewolnikami? - powiedział Rakanja z pogardą.

Shundi ponownie wydobył pistolet. Popatrzył na niego z żalem i rzucił go do pobliskiego wąwozu.

- Chodź - powiedział Rakanja zaczynając wspinać się pod górę. - Pokażę ci kły.

Wspinali się, może przez piętnaście minut. Następnie Rakanja podszedł do miejsca, w którym ukrył kły, rozgarnął krzaki i cofnął się czekając na Shundi.

- Na Allacha! - wykrzyknął handlarz niewolników. - Jeszcze nigdy takich kłów nie widziałem! - Przysiadł obok nich i długo się im przyglądał.

- Źle to zrobiłeś, Masaju - zauważył. - Straciłeś po pięć do dziesięciu funtów u nasady.

- I tak są największe, jakie kiedykolwiek widziałeś - powiedział Rakanja.

- Tak, rzeczywiście.

- Ile srebrnych pieniędzy białego człowieka dasz mi za nie?

- Dam ci czterdzieści srebrnych szylingów.

- Za jeden.

- To dużo pieniędzy.

- Tyle chcę.

Shundi pokręcił przecząco głową.

- Za dużo.

- To kły zostaną tutaj, aż zgniją - powiedział Rakanja - a tobie nigdy nie będzie wolno przyjść więcej na Kilimandżaro.

Shundi jeszcze raz popatrzył na kły i wzruszył ramionami.

- Dobrze - powiedział wreszcie - osiemdziesiąt szylingów.

- Odliczysz je na ziemi, a ja zabiorę je później - powiedział Rakanja.

Shundi skinął głową, wy dobył woreczek monet i zaczął odliczać osiemdziesiąt szylingów.

- Chcę i to - powiedział Rakanja wskazując na dużą złotą monetę.

- To jest talar Marii Teresy. Jest wart wiele szylingów.

- Chcę ją - powtórzył Rakanja.

- Dobrze - powiedział Shundi, pozostawiając monetę na ziemi. - Jeżeli sprowadzisz nas z góry tak, żebyśmy nie zabłądzili, będziesz mógł ją zatrzymać.

Rakanja zebrał wszystkie monety i wsypał je to tykwy na wodę. Począł, aż Wanderobo zabrali kły i ruszył za nimi w dół zbocza w kierunku polanki, gdzie zginął słoń.

Nagle rozległ się strzał i Rakanja runął do przodu, martwy nim jeszcze uderzył twarzą o ziemię.

- Arogancka Świnia - powiedział Shundi stojąc z dymiącym pistoletem w ręce. - Czy on naprawdę wierzył, że wielki Shundi ma tylko jeden pistolet i że go wyrzuci, bo jakiś ciemny barbarzyńca mu tak każe?

Podszedł do ciała Masaja, zabrał pieniądze, a następnie zwrócił się do tragarzy:

- Za mną i biada temu, który uszkodzi kły.

Już nie czułem bólu. Zniknęły wszystkie odczucia, nawet głód i pragnienie. Nie mogłem jednak zaznać spokoju. Byłem niekompletny i wylem w rozpaczy coraz głośniejsze i głośniejsze, z napięciem rosnącym z chwili na chwilę, aż mój krzyk przeniknął myśli samego Sendeyo.

Ogień płonął jasno oświetlając przody chat zbudowanych z łajna i słomy, tworzących manyattę - podwórze wioski otoczonej płotem z ciernistych krzewów. Starsi siedzieli niewielkim kręgiem wokół ognia, a za nimi, w znacznie większym kole stało około pięciuset elmoranów - dumnych wojowników masajskich. Ich pomalowane twarze i ostrza dzid lśniły w blasku ognia.

Nagle wysoka, smukła sylwetka Sendeyo, brata wodza wszystkich Masajów, wyłoniła się z ciemności i stanęła przy ogniu wewnątrz kręgu starszych.

- Mam wizję, moje dzieci - powiedział Sendeyo.

Blask ognia migotał na jego czarnej skórze i na przybraaniu głowy wykonanym z lwiej grzywy. Patrzył na zebranych, czekając na decyzję starszyzny.

- Powiedz nam, co widzisz, Sendeyo.

- Spałem niespokojnie przez wiele nocy. Dziś wszystko stało się jasne.

Przerwał i rozejrzał się dokoła.

- W moim widzeniu dostrzegłem laibona - wodza wszystkich słońi - martwego, leżącego na stokach potężnej Kilimandżaro.

Znowu umilkł, a starsi i wojownicy czekali w napięciu jego dalszych słów.

- Słoń nie został zabity przez Masajów - ciągnął dalej Sendeyo - ponieważ Masajowie nie zabijają zwierząt dla mięsa lub kłów. Zabijamy jedynie lwy dla potwierdzenia osiągnięcia wieku męskiego.

- Kto zabił słońia, o Sendeyo!

- Zabił go zbiegły niewolnik.

- Co wizja ma wspólnego z Masajami, o Sendeyo? - przemówił ponownie przywódca starszych.

- W mojej wizji wojownik Masajów o imieniu Rakanja znalazł ciało martwego słońia.

Sendeyo znów przerwał, a ogień za jego plecami buchnął jaśniej.

- Wojownik odciął kły słońia i sprzedał je.

- Znam Rakanję - powiedział jeden ze starszych. - Zaginął przed sześciu dniami.

- Znajdziecie jego ciało na stokach Kilimandżaro powiedział Sendeyo z absolutnym przekonaniem, a jęk przerażenia rozległ się wśród zgromadzonych.

Nie był to strach przed śmiercią. Masajowie śmierci się nie boją. Strach wzbudziła potęga tego człowieka, który mógł dostrzec śmierć innego z tak wielkiej odległości.

- Rozkazuję wam nie szukać jego ciała - ciągnął dalej Sendeyo. - Złamał obyczaj i splamił honor plemienia. Zbeszcześcił zwłoki wodza wszystkich zwierząt i handlował z białym człowiekiem.

Sendeyo skrzywił się z pogardą.

- Splamił honor wszystkich Masajów.

Wojownicy wymienili przerażone spojrzenia. Wokół ogniska rozległ się pomruk. Wszyscy czekali na słowa Sendeyo.

- Od tej chwili - mówił dalej Sendeyo - wszystko, co posiadają Masajowie, obróci się w perzynę. Nie stanie się to natychmiast, ponieważ Masajowie to liczne i silne plemię. Ale to już się zaczęło. Nasze ziemie staną się mniej żyzne. Kikuju, Luo i Wakamba staną się liczniejsi. Biały człowiek przekupi wojowników. Z czasem nawet nasz język zaniknie i Masajowie będą mówić suahili albo językiem białego człowieka. Ilość Masajów zmniejszy się. Zabiorą nam broń, a członkowie naszego plemienia zapomną, co to znaczy być Masajem. Duchy wszystkich Masajów będą odtąd błąkać się samotnie w próżni, między tym życiem a następnym.

Rozległy się jęki rozpacz i strachu.

- Powiedz, co musimy zrobić, o Sendeyo! - wołali starsi. - Powiedz, jak możemy odwrócić zły los - thahu, to najstraszniejsze z przekleństw.

- Jest sposób - powiedział Sendeyo.

Cienie przebiegły po jego pomalowanej twarzy i nagle w zgromadzeniu zapadła głęboka cisza.

- Musicie znaleźć kły, zanieść je na Kilimandżaro, na miejsce, gdzie zginął słoń. Tam musicie zbudować ołtarz i obmyć go krwią nie obrzezanego chłopca masajskiego. Dopiero wtedy honor Masajów zostanie oczyszczony, dopiero wtedy dusze tu

obecnych i dusze jeszcze nie narodzonych będą wyzwolone od thahu, dopiero wtedy dusze zmarłych Masajów zaznają spokoju.

Sendeyo popatrzył na starszych i na wojowników.

- Powiedziałem! Zrobicie to, co uznacie za stosowne.

Odwrócił się na pięcie i wrócił do swej chaty. Jego sny w końcu uwolniły się od słonia Kilimandżaro. Nigdy już o nim nie wspomniał.

Zmarł siedem lat później.

Duch mój błąkał się w próżni, czekając i patrząc, patrząc i czekając. Klątwa Sendeyo spełniła się. Masajowie stracili potęgę, zmniejszyła się ich ilość, zniknęło ich bogactwo. Widziałem, jak Maasai Laibon odzyskał moje kły, widziałem, jak Tembo Laibon je przegrał, widziałem śmierć Leeyo Neliona, zanim je odzyskał i w końcu tylko jeden Masaj pozostał - wysoki, ponury mężczyzna o imieniu Bukoba Mandaka, żyjący o trylion trylionów mil od świętej góry Kilimandżaro.

DZIESIĄTE INTERLUDIUM (BOK 6303 ERY GALAKTYCZNEJ)

Mandaka skończył opowiadać i czekał na moją reakcję.

- I to właśnie chcesz zrobić z kłami, kiedy już je zdobędziesz? - powiedziałem wreszcie.

- Nie mam wyboru - potwierdził.

- Oczywiście, masz wybór - zaprzeczyłem. - Możesz zrezygnować z ofiary.

- Nie, musi być spełniona.

- Dlaczego? Dlatego że jakiś czarownik rzucił klątwę siedem tysięcy lat temu?

- Przecież sprawdziła się - zaproponował Mandaka ze smutkiem.

- Nie ma dowodów, że upadek Masajów ma związek z kłątą.

- To nie jest kwestia dowodów, tylko wiary - powiedział Mandaka.

- Ja w to nie wierzę.

- Nie musi pan.

Zapadła cisza. Zauważyłem, że zgasło mi cygaro. Zapaliłem je ponownie.

- Kiedy wyrusza pan na Skyblue? spytałem.

- Jutro rano. Chciałbym, żeby pan pojechał ze mną.

- To bardzo mało czasu - powiedziałem. Braxton prawdopodobnie nie zgodzi się na mój wyjazd.

- Zgodzi się - powiedział Mandaka z przekonaniem.

- Pan jest bardzo pewien siebie - zauważyłem.

- Firma prowadzi działalność zarobkową. Kupiłem już raz pański czas. Mogę to zrobić powtórnie.

- Czy pan chce powiedzieć, że zapłacił im pan dodatkowo, niezależnie od mojego honorarium? - spytałem zaskoczony.

Skinął twierdząco.

- Zawsze jestem gotów zapłacić za to, czego potrzebuję, panie Rojas.

- Jak już pan odzyska kły, co dalej? Czy polecą pan z nimi na Ziemię?

- Tak - przerwał zakłopotany - i chciałbym, żeby pan poleciał ze mną.

- Dlaczego?

- Mam swoje powody.

- To niech pan mnie z nimi zapozna. Nie chcę uczestniczyć w żadnej ceremonii, która zakończy się pańską śmiercią.

- Nie będzie pan uczestniczyć. O tym mogę pana zapewnić.

- Po co jestem panu potrzebny?

- Kiedy już ceremonia zakończy się, moje ciało musi być spalone, a prochy rozsypane. Nie ma praktycznie nikogo, komu mógłbym zaufać. Pan jest jedyny.

- Czy to naprawdę konieczne? - spytałem powtórnie. - Jest pan ostatnim z Masajów. Niezależnie od tego, co pan zrobi, i tak Masajów już nie będzie. Po co więc poświęcać życie dla honoru plemienia, które już nie istnieje.

- Nie robię tego dla Masajów, którzy przyjdą po mnie, bo jak pan słusznie wskazał, jestem ostatnim z plemienia. Robię to dla tych wszystkich Masajów, którzy zmarli od czasu klątwy Sendeyo i których dusze błakają się w próżni czekając na ofiarę, która ma być spełniona na szczycie Kilimandżaro i która przywróci im spokój.

- To tylko prymitywne zabobony Sendeyo, nic innego!

- Wierzę w nie głęboko - odparł Mandaka z niezachwianym spokojem - i wiara ta nie będzie zachwiana pańskimi argumentami.

Patrzyłem na niego przez dłuższą chwilę i wreszcie skinąłem głową.

- Dobrze - powiedziałem. - Temat jest zamknięty, przynajmniej na teraz.

- Dziękuję. Czy pojedzie pan ze mną?

- Jeżeli będzie pan mógł załatwić to z Braxtonem, pojedę przynajmniej na Skyblue. Ja też chciałbym obejrzeć te kły.

Mandaka wstał.

- Muszę poczynić przygotowania i uporządkować sprawy. Spotkamy się przy moim statku jutro rano.

- Gdzie?

Podał numer hangaru i rampy w miejscowym porcie kosmicznym.

- Kiedy wystartujemy?

- O świcie, panie Rojas. Proszę się nie spóźnić. Bardzo zależy mi na tym, żeby dostać te kły jak najprędzej.

Wstał i wyszedł z pokoju. Zostałem sam, zastanawiając się nad wszystkimi konsekwencjami nadchodzącej wyprawy.

- Oszalałeś?

Hilda siedziała naprzeciwko mnie w barze dla personelu kierowniczego. Jej okrągła twarz zarumieniona była ze zdenerwowania.

- Nie - powiedziałem zamyślony. - Nie wydaje mi się.

- Co o nim wiesz?

- Dosyć - powiedziałem odgryzając kawałek ciastka.

- Dosyć? - powtórzyła. - Co to znaczy, dosyć? Przybywa znikąd. Nie jest zarejestrowany w żadnej agencji Monarchii, do czego się zresztą przyznaje. Przyznaje również, że gotów jest popełnić morderstwo, żeby zdobyć to, co chce zdobyć. Mieszka jak jakieś zwierzę w tym swoim zwariowanym mieszkaniu. A ty - dodała gniewnie - decydujesz się na czterotygodniowy urlop, żeby pojechać z nim na Ziemię i odbyć jakiś pogański ceremoniał, o którym nie chcesz mi nawet nic powiedzieć.

- On potrzebuje mojej pomocy - wyjaśniłem - a ja obiecałem mu jedynie, że polecimy razem na Skyblue. Jeszcze nie zdecydowałem, czy polecę z nim na Ziemię.

- A co powiesz o sytuacjach, kiedy ja potrzebowałam twojej pomocy, a ty byłeś zbyt zajęty swoją pracą? - wykrzyknęła uderzając pulchną piąstką w stół i o mało co nie wylewając herbaty.

- To jest moja praca.

- Twoja praca skończyła się wraz ze znalezieniem kłów!

- Nie znalazłem ich jeszcze. Dlatego muszę lecieć na Skyblue.

- Nie baw się ze mną w kotka i myszkę, Duncan. Doskonale wiem, że je znalazłeś. Widzę to po twojej minie pełnej samozadowolenia.

Nie mogłem zaprzeczyć, ale nie miałem też ochoty potwierdzić. Patrzyłem po prostu na nią i nic nie mówiłem.

- Powiedz prawdę - zaczęła znowu Hilda po dłuższej przerwie - czy myślisz, że to, co on robi, przywróci w jakiś sposób honor i prestiż plemieniu Masajów.

- To nieważne, co ja myślę - odparłem. - On jest o tym przekonany i tylko to się liczy.

Pokręciła głową ze znużeniem.

- Dlaczego muszę marnować dla ciebie tyle czasu, Duncan?

- Właśnie, dlaczego? - zapytałem z zainteresowaniem.

- Sama chciałabym wiedzieć.

- Nie potrafisz wyjaśnić, dlaczego tracisz na mnie czas, a ja nie potrafię ci wyjaśnić, dlaczego pomagam Mandace. Czy nie możesz pogodzić się z tym, że robię to, co chciałaś, żebym robił?

- Czy kiedykolwiek powiedziałam, że chcę, byś poleciał z Mandaką na Ziemię?

- Zawsze mówiłaś, że chciałabyś, żebym wreszcie kimś się zainteresował. Teraz zainteresowałem się sprawami Mandaki. Chcę mu pomóc, a ty zaczynasz narzekać.

- Oj, Duncan, Duncan - szepnęła. - Co mam z tobą zrobić? Jak możesz być taki inteligentny i taki głupi równocześnie?

- Dlaczego po prostu nie życzysz mi szczęśliwej podróży i nie powiesz, co mam ci przywieźć ze Skyblue.

- Wracaj cały i zdrowy z Ziemi - powiedziała. - To mi wystarczy.

- Jeszcze nie zdecydowałem, czy polecę na Ziemię.

- Oczywiście, że polecisz - odparła niecierpliwie.

- Nawet, jeżeli polecę - powiedziałem - to kto będzie chciał zabić badacza trofeów myśliwskich?

- Czy rzeczywiście chcesz, żebym ci powiedziała? Zaczniemy kłócić się od nowa.

- W takim razie nic nie mów.

Wydobyłem swój kieszonkowy komputer.

- Jeżeli polecę na Ziemię, wrócę za dwadzieścia dziewięć dni.

Może zarezerwujesz w „Dawnych Czasach” stolik na trzy osoby, dla nas i Harolda, po moim powrocie. Zapraszam.

Westchnęła i wpatrywała się w swoją filiżankę herbaty.

- Pomyślę o tym.

Dokończyliśmy śniadanie w milczeniu. Wstałem.

- Muszę się spieszyć. Mam parę spraw do załatwienia przed wyjazdem.

Siedziała dalej i nadal wpatrywała się w swoją herbatę. Czekałem na nią przez chwilę, ale w końcu doszedłem do wniosku, że nie ma jeszcze zamiaru wstawać. Odwróciłem się, by wyjść z baru.

- Duncan?

- Tak.

- Szczęśliwej podróży i idź do diabła.

Statek Mandaki był jedyny w porcie kosmicznym na Sky-blue. Ruszyliśmy małą, automatyczną taksówką bez kierowcy do miasta. Chociaż pod nami i nad nami rozciągała się płątana szyn, unosiliśmy się w powietrzu. Było to wynikiem zastosowania nadprzewodnictwa, które nigdy nie przestawało mnie zachwycać, gdyż wywoływało wrażenie swobodnego lotu nad powierzchnią planety.

Planeta ta rzeczywiście była godna swojej nazwy. Miała najbardziej błękitne niebo, jakie kiedykolwiek widziałem. Było to niewątpliwie wynikiem oddziaływania słodkowodnego oceanu, pokrywającego ponad osiemdziesiąt procent powierzchni planety. Przez kilka mil jechaliśmy wśród pól uprawnych, gdzie wspólnoty rolne uprawiały mutanty pszenicy znacznie większe i mocniejsze niż uprawiane na innych planetach. Powietrze było czyste i świeże. Rozsiadłem się wygodnie i cieszyłem przejażdżką. Mandaka nie mógł jednak usiedzieć spokojnie. Cały czas kręcił się nerwowo.

Taksówka zatrzymała się wreszcie na dużym placu oznaczonym jako Centrum Miasta. Tu uzyskaliśmy informacje, jak odnaleźć muzeum i ruszyliśmy prymitywnymi chodnikami. Uplłynęło może pięć minut, zanim stanęliśmy na kamiennych schodach wiodących do muzeum, podziwiając wspaniałą budowlę.

- Nareszcie - mruknął Mandaka.

Rozglądałem się za ruchomymi schodami lub windą, ale nic takiego nie było. Musieliśmy zatem pokonać ze dwa tuziny kamiennych stopni prowadzących do wejścia. Przedstawiłem się portierowi i poprosiłem o skierowanie nas do działu historii naturalnej.

- Prosiłbym także, żeby powiadomił pan Hazel Guthridge o naszym przybyciu i poprosił o spotkanie przy ekspozycji skamielin - dodałem, gdy Mandaka ruszył już w głąb muzeum.

- Oczywiście, panie Rojas - powiedział portier, a ja popieszyłem w ślad za Mandaką.

Minęliśmy trzy galerie sztuki oraz salę techniki, poświęconą uproszczonej demonstracji mechaniki kwantowej i wyjaśnieniu teorii Neimarka. Wreszcie dotarliśmy do ekspozycji z zakresu historii naturalnej, a w chwilę później weszliśmy do

sali ze skamielinami, która była zdominowana przez dinozaura, ale także prezentowała około pięćdziesięciu szkieletów innych zwierząt.

- Czy zbliżamy się do kłów? - wyszeptał Mandaka.

- Jesteśmy bliżej niż się panu zdaje - powiedziałem.

Już miałem mu wyjawić ich tajemnice, kiedy weszła Hazel Guthridge.

- Pan Rojas, jak sędzę - powiedziała wyciągając rękę w formalnym geście.

- Przyjemnie poznać panią osobiście - powiedziałem. - To jest pan Bukoba Mandaka, mój wspólnik.

Skinęła głową ledwie na niego spojrzawszy.

- Nie wiedziałam, że przybędzie pan na Skyblue, panie Rojas - powiedziała z wyrzutem. - Zorganizowałabym odpowiedni program zwiedzania, gdyby mnie pan wcześniej zawiadomił.

- Jak już wspomniałem w naszej rozmowie, staram się znaleźć kły słońia, o których wiem, że są na Skyblue.

- A ja powiedziałam panu, że nie mam dowodu, że one tu są.

- Wierzę pani, ale one są tutaj.

- Bardzo przepraszam - powiedziała surowo. - Mówiłam panu, że nie ma ich na wystawie.

- Powiedziała mi też pani, że specjalnością są rzeźby z prehistorii planety i że nie macie kustosza z dziedziny historii naturalnej.

Zmarszczyła brwi.

- Czy zarzuca mi pan kłamstwo?

Pokręciłem przecząco głową.

- Nie zarzucam pani nic poza niewiedzą. Kły są w tej sali.

- Gdzie? - powiedzieli Hazel i Mandaka równocześnie.

Wskazałem na dinozaura.

- Tam - powiedziałem.

- To jest zrekonstruowany szkielet mięsożernego dinozaura.

- Wiem. Jednakże mięsożerne zwierzęta tych rozmiarów są znacznie rzadsze niż można przypuszczać. W galaktyce jest ponad dwa miliony zamieszkałych planet, a jedynie na dwudziestu siedmiu występowały zwierzęta drapieżne takich rozmiarów. Tylko na trzech drapieżniki te zostały sklasyfikowane jako dinozaury. Przeanalizowałem ekologię tej planety za pomocą komputera. Dokonałem również analizy jej historii geologicznej i klimatycznej. Analiza wykazała, że prawdopodobieństwo występowania takiego dinozaura na Skyblue wynosi jak trzysta tysięcy do jednego.

- O czym pan mówi, panie Rojas? - zapytał Mandaka wpatrując się w dinozaura.

- Mówię o tym, że ktoś, komu wydawało się, że wie więcej o historii ekologicznej Skyblue niż wiedział w rzeczywistości, natrafił na kły i wyobraził sobie, że są to szczątki jakiegoś ogromnego, prehistorycznego zwierzęcia i dokonał ekstrapolacji jego szkieletu, wychodząc z zupełnie błędnych przesłanek.

- To niemożliwe, panie Rojas - zaprotestowała Hazel Guthridge.

- Czemu nie? - zapytałem. - To niezbyt gęsto zamieszкана planeta. Nie macie tu paleontologów i o ile mogłem zorientować się po eksponatach, nigdy nie znaleziono śladu innego wielkiego zwierzęcia - ani drapieżnego, ani roślinnego.

Przyjrzałem się szkieletowi.

- Zakładam, że nasze kły to dwa największe żebra. Reszta została zrekonstruowana na ich podstawie.

Mandaka przeskoczył barierkę zabezpieczającą, zanim Hazel Guthridge zdążyła go zatrzymać, i wpatrzył się we wskazane przeze mnie żebra.

- Pan ma rację! - wykrzyknął z triumfem. - To są kły słonia Kilimandżaro.

- To niemożliwe - powiedziała Hazel, jednak z mniejszym przekonaniem.

- Możliwe. Ktoś popełnił błąd i nie było ekspertów, którzy mogli to zauważyć. W tych okolicznościach to całkiem możliwe.

- Jeżeli pan ma rację, to jest niewybaczalne - powiedziała z goryczą Hazel.

- Mam rację.

- Będę zmuszona przeprowadzić niezależną ekspertyzę.

- To może potrwać całe miesiące.

- Możliwe - zgodziła się.

Spojrzałem na Mandakę, który mi dawał gwałtowne znaki.

- Może uda się rozwiązać problem natychmiast - zaproponowałem.

- Jak? - spytała przyglądając mi się z wyraźnym brakiem zaufania.

- Jeżeli macie mikroskop molekularny, będzie można stwierdzić od razu, czy kości te pochodzą z Ziemi, czy ze Sky-blue.

- Nie mamy.

- Myślałem, że każde muzeum ma.

- Jesteśmy nie dofinansowani i cierpimy na brak personelu.

- Dobrze - powiedziałem. - Jest inny sposób. Kości te to albo żebra, albo kły. Jeżeli to są żebra, będą puste w środku,

gdź zawierały szpik. Jeżeli zaś są to kły, w dwóch trzecich będą pełne. Każdy sonograf to wykaże.

- Zgoda. Zaraz poddamy je analizie. Jeżeli zechcecie panowie poczekać w moim biurze, zapoznam panów; z wynikami w ciągu pół godziny.

- To zupełnie wystarczy - odparłem szybko nim Mandaka mógł zaprotestować.

Wezwała strażnika, który zaprowadził nas do jej skromnie umeblowanego biura. Czekaliśmy w ciszy przez ponad czterdzieści minut. W końcu Mandaka nie mogąc już dłużej usiedzieć spokojnie, zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju.

- Ona planuje jakąś sztuczkę - powiedział.

- Główny badacz z Wilforda Braxtona powiedział jej przed chwilą, że trudno mieć zaufanie do jej muzeum. Chce ukryć upokorzenie.

Dwadzieścia minut temu dowiedziała się, że miałem rację i teraz zastanawia się, jak zminimalizować straty.

- Jeżeli ich nie sprzeda, wrócę nocą i zabiorę je.

- Sprzeda - odpowiedziałem z przekonaniem.

Już miał coś powiedzieć, ale Hazel Guthridge właśnie weszła do pokoju. Jej twarz była zupełnie blada.

- Panie Rojas, panie Mandaka - powiedziała otwarcie - należą się wam moje przeprosiny. Mieliście rację.

- Nic się nie stało - odparłem. - Może to nawet przynieść korzyść kasie muzeum. Mój wspólnik w dalszym ciągu pragnie zakupić kły.

- Mówiłam już panu, że nie sprzedajemy naszych eksponatów.

- Mówiła mi pani również, że wystawiacie jedynie eksponaty obejmujące lokalne formy życia. Reputacja muzeum

ucierpiałaby bardzo, gdyby rozeszła się wiadomość o tym błędzie.

- Czy to pogróżka?

- Oczywiście, że nie - powiedziałem gładko. - Chciałem po prostu zasugerować, że im prędzej szkielet zostanie rozmontowany, tym prędzej przestanie istnieć niebezpieczeństwo, że ktoś zauważy pomyłkę.

Patrzyła na mnie nie będąc nadal pewną, czy groziłem jej, czy ją pocieszałem. Wreszcie rozluźniła się i oparła o biurko.

- Ile jest pan gotów zaoferować za kły, panie Mandaka? - zapytała.

- Trzy miliony kredytów.

- Trzy miliony? - powtórzyła z niedowierzaniem. - Nie miałam pojęcia, że tyle są warte.

- Są tyle warte tylko dla pana Mandaki - wtrąciłem się.

- Zarząd zbiera się w przyszłym miesiącu. Jestem pewna, że zgodzi się na dokonanie sprzedaży.

- Moja oferta dotyczy wyłącznie natychmiastowej sprzedaży.

- To zupełnie niezwykła... - powiedziała Hazel starając się podjąć decyzję.

- Tak, to zupełnie niezwykła sytuacja - zgodziłem się. - Gdyby jednak pani zgodziła się na natychmiastową sprzedaż, nikt w zarządzie nie dowie się, co właśnie kupiliśmy. Oni mogą nawet uważać, że kupiliśmy cały szkielet.

Zastanowiła się nad tym, co jej powiedziałem, i wreszcie skinęła głową.

- Jeżeli dostarczy pani kły do mojego statku - powiedział Mandaka, podając jej hangar i numer rampy - przeleję pieniądze na rachunek muzeum. Albo na pani prywatny rachunek - dodał po chwili.

- Na rachunek muzeum - odparła oburzona. - Mogę nagiąć przepisy, żeby ocalić reputację muzeum, ale nie jestem złodziejką!

- Nikt nie sugerował, że pani jest - powiedziałem uspokajająco. - A jeżeli chodzi o ten pozałowania godny błąd, który doprowadził do naszego spotkania, to może być pani pewna naszej dyskrecji.

- Wierzę w dyskrecję panów. Całe życie poświęciłam temu muzeum i nie mogłabym dopuścić do tego, żeby stało się pośmiewiskiem.

Spędziłem z nią jeszcze kilka minut uspokajając ją i pocieszając. Wydała polecenie usunięcia kłów z muzeum i dostarczenia ich do portu kosmicznego, a Mandaka zalecił dokonanie transferu należności za kły na rachunek muzeum.

Trzy godziny później Bukoba Mandaka został faktycznym właścicielem kłów, stojąc w ładowni swego statku kosmicznego. Kiedy zostały już bezpiecznie spakowane, zwrócił się do mnie.

- No, panie Rojas - powiedział - nadeszła chwila, by podjąć decyzję. Czy mam pana odwiedzić do domu, czy pojedzie pan ze mną zobaczyć na własne oczy ostatni rozdział historii kłów?

- Jeżeli nie mam brać udziału w ostatecznej ceremonii, a jedynie rozsypać pańskie prochy, to chyba pojedę.

- Nigdy w to nie wątpiłem.

ROZDZIAŁ 11

MASAJ (ROK 6304 ERY GALAKTYCZNEJ)

Samotny, pozbawiony spokoju, niekompletny, nie mogący zasnąć Ostatnim Snem, za którym tęskniłem, sprawdzałem powiewy galaktyczne już chyba miliard razy. Wreszcie po wielu niepowodzeniach i niekończących się tysiącletnich desperacji, zapach ocalenia powiał przez przestrzeń i czas, silny i wyraźny. Trąbiłem w ciszy i w zachwycie, bo oto Mandaka powracał na świętą górę.

* * *

Nowy Rok minął, gdy lecieliśmy ze Skyblue na Ziemię. Zarówno Mandaka, jak i ja spoczywaliśmy wtedy w komorach hibernacyjnych. Obudziliśmy się zeszywniali, zziębnięci i głodni. Hibernacja zwalnia procesy metaboliczne, ale ich nie zatrzymuje. Zawsze budziłem się wygłodniały. Wreszcie statek wszedł na orbitę okołoziemską i o świcie następnego dnia wylądowaliśmy około dwóch mil od południowych stoków Kili-mandżaro.

- Tradycja mówi, że słoń został zabity na północnym stoku góry - powiedział Mandaka, kiedy ładowaliśmy kły i inne zapasy na parę sań antygravitacyjnych - ale przez pierwsze dziewięć tysięcy stóp będziemy się wspinać po stoku południowym.

- Czy jest specjalny powód po temu? - spytałem.

Skinął twierdząco.

- Na południowym stoku zbudowano miasto Nyerere i przez pierwsze siedem czy osiem tysięcy stóp będziemy poru-

szać się po wygodnych drogach. Inaczej musielibyśmy pokonywać gęste zarośla od samego początku. Zarośla przerzedzają się na ośmiu tysiącach.

- Dlaczego nie skontaktował się pan z nimi wcześniej i nie upewnił się, czy nie mają portu kosmicznego? Zaoszczędziłoby to nam dużo wspinaczki.

- Mieli port kosmiczny, ale jest bezużyteczny. Miasto jest opuszczone od ponad ośmiuset lat.

- Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

- Dlaczego ktoś wychodzi z rajy? Aby zobaczyć, co jest poza rajem. Niezależnie od tego, czy byli rozczarowani, czy nie, nigdy nie wrócili - dodał po chwili.

Stałem oparłszy ręce na biodrach i patrzyłem na zachód. Rozciągała się tam niekończąca się sawanna, na której tu i ówdzie rosły akacje. Wysokie trawy chwiały się na wietrze.

- To piękny kraj - powiedziałem wreszcie.

- Tak. Kiedyś, tysiące lat temu na równinie Serengeti żyło trzy do czterech milionów zwierząt. Ich coroczne wędrówki stwarzały niezapomniany widok dla tych, którzy choć raz mogli to zobaczyć.

Westchnął.

- Teraz nie ma tam nic oprócz trawy i owadów. Nawet nie ma ptaków ani kretów.

- Ciekawe, co przydarzyło się zwierzętom?

- My im się przydarzyliśmy, panie Rojas - odparł Mandaka z powagą. - Pan redaguje tę książkę. Wie pan przecież, kiedy wyginęły poszczególne gatunki.

- Co innego przeczytać o tym w książce, a co innego stać tutaj obejmując wzrokiem pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt mil równiny Serengeti. Dopiero teraz można w pełni zdać sobie

sprawę, jaką zbrodnię popełniliśmy wobec tego kraju, nie zostawiając niczego przy życiu.

Odwróciłem się, by rzucić okiem na szczyt Kilimandżaro, ale był skryty w chmurach.

- I pomyśleć, że lwy, lamparty, słonie i nosorożce, i mnóstwo innych zwierząt roślinożernych żyło na tej górze...

- I ludzie, panie Rojas - dodał Mandaka. - Ludzie tu też mieszkali. Teraz pozostały jedynie owady.

- Może następnym razem lepiej nam się uda.

Potrząsnął głową.

- Nie będzie już następnego razu. Nie tutaj.

- Może gdzie indziej.

- Może - powiedział z powątpieniem.

Ruszyliśmy zarośniętą drogą wiodącą do opuszczonego miasta.

Nyerere zaczynało się jakieś pięćset stóp od podstawy góry i można było od razu się zorientować, że było to starannie zaplanowane miasto z rozległymi parkami, z pięknym widokiem na równiny Serengeti rozciągającym się z każdego domu, z ośrodkami handlowymi, przemyślnie wplecionymi w dzielnice mieszkaniowe. Na wysokości 1200 stóp minęliśmy niewielkie prywatne lotnisko. Budynki jednak były zniszczone, a pasy startowe obsunęły się w dół stoku. Widziałem opustoszałe miasta już wcześniej, ale zazwyczaj były spustoszone przez wojnę lub epidemię. Po raz pierwszy oglądałem miasto, które ludność po prostu opuściła, i wywarło to na mnie dziwne wrażenie. Wiele domów było jeszcze w dobrym stanie. W niektórych oknach szyby pozostały nietknięte, ale wrażenie opuszczenia narastało i w miarę, jak zapuszczaliśmy się głębiej, stawało się jeszcze bardziej uchwytne. Miasto było takie, jak równiny poniżej. Kiedyś ulice tętniły ruchem i handlem,

kiedyś miliony osób znajdowały w tych domach schronienie, teraz były tu tylko kurz, trawa i owady.

Na wysokości 6000 stóp zdecydowaliśmy się zatrzymać na noc. Rozlokowaliśmy się w hallu eleganckiego niegdyś hotelu. Basen był pusty i spękany. Ściany kasyna zamieniły się w próchno, ale hall ze szkła i stali był stosunkowo w dobrym stanie i tu rozłożyliśmy się do snu. Przez cały wieczór temperatura obniżała się, jednak gdy obudziłem się drżąc z zimna, zobaczyłem, że Mandaka śpi spokojnie, jak dziecko, zupełnie nie odczuwając chłodu.

Wyruszyliśmy dalej, jak tylko ciepłe promienie słońca wypaliły mgłę zebraną u szczytu góry. Wreszcie mogłem zobaczyć przykrywającą go czapę śniegu. Minęliśmy duży plac, na którym tablice opisywały sławną rzeźbę Waycrossa, ale kiedy spytałem Mandakę, co to była za rzeźba, wzruszył tylko ramionami i powiedział, że rzeźba została zrabowana na wiele wieków przed jego urodzeniem.

Okolo południa opuściliśmy miasto i zaczęliśmy wolno okrążyć górę. Prowadziliśmy nasze antygrawitacyjne sanie i wycinaliśmy drogę wśród gęstych krzewów bronią laserową. Wieczorem ułożyliśmy się do snu w podgrzanych śpiworach i chociaż swój nastawiłem na 28° Celsjusza, spędziłem kolejną nieudaną noc, kiedy po zachodzie słońca temperatura znowu gwałtownie spadła.

Rankiem trzeciego dnia poczułem, że brak mi tchu. Mandaka ostrzegał mnie, że coś takiego może mi się przydarzyć, gdy przekroczymy wysokość 8500 stóp. Dotarcie do północnego stoku góry zabrało nam cztery godziny. Wreszcie Mandaka zatrzymał się, badając okolicę swymi ciemnymi oczami.

- Już jesteśmy blisko - oznajmił.
- Jak blisko? - wysapałem.

Przyglądał się nadal górze.

- Jakies tysiãc stóp.

- Jest pan pewien?

Skinął głowã.

- Skãd pan wie? - nalegałem, starajãc siã odzyskać oddech.

- Nikt nie robił zdjęć ani pomiarów. Mo¿e słoń zginãł wãlnie tu, gdzie pan stoi.

- Myślę, ¿e nie - powiedział, ruszajãc pod górę.

- Czemu nie?

- Tutaj nie ma siã gdzie ukryć. Musiał pójsć wy¿ej.

- Siedem tysiãcy lat temu mo¿e i to miejsce było porośnięte.

- Wy¿ej, panie Rojas - powiedział Mandaka, wspinajãc siã po stoku. - Czy wszystkie pańskie badania nic panu o nim nie powiedziały? On był jedynym ocalałym, a ten, który ocalał, wspiãłby siã wy¿ej.

Nie miałem siły, ¿eby odpowiedzieć, skinãłem zatem tylko głowã i ruszyłem za nim.

Było ju¿ późne popołudnie, kiedy dotarliśmy do niewielkiej polanki, koło której znajdowała siã kępa ciernistych zarośli. Ze szczytu pobliskiego urwiska widać było rozciągajãce siã w dole równiny. Mandaka zatrzymał siã, obrócił siã w koło powoli, powãchał powietrze i pokiwał głowã.

- To tu - oznajmił cicho.

- Jest pan pewien?

- Tak pewien, jak tylko można być. Mo¿e siã mylę, ale zrobiłem, co mogłem. Bóg będzie musiał zrozumieć.

- I teraz zabije siã pan?

- Później - powiedział, wyłączejãc silniki sań antygravitacyjnych. - Kiedy księżyc osiãgnie peñnię.

- Czy zrobić coś do jedzenia? - spytałem, sięgając do bagażu w poszukiwaniu przenośnej kuchenki.

- Nie, to byłoby świętokradztwo jeść na tej świętej górze, cokolwiek poza mlekiem i krwią mojego była. Pan może jeść - dodał po przerwie.

- Tylko kanapkę - powiedziałem przepaszająco i sięgnąłem do zapasów. Gdy zacząłem jeść, rozejrzałem się po okolicy.

- Piękny stąd widok - zauważyłem.

- Tak - potwierdził.

- Gdzie się pan wychował?

- Stąd nie widać - odpowiedział - ale - ciągnął dalej, wskazując na północny zachód - było to jakieś sto trzydzieści mil w tamtym kierunku.

- Czy jako dziecko wspinał się pan na Kilimandżaro?

Potrząsnął przecząco głową.

- To jest święta góra zachowana dla czynu, który wyzwoli plemię Masajów.

- To musiał być ogromny ciężar, ta świadomość, że pan będzie musiał tego dokonać.

- Tak.

- Czy nigdy nie miał pan ochoty zrezygnować z tego przedsięwzięcia? Ostatecznie Masajowie mieli kły przez tysiąc trzysta lat. Każdy z nich mógł dokonać tej ceremonii. ale żaden z nich tego nie zrobił.

- Żaden z nich tego nie musiał zrobić - powiedział Manda-ka. - Ja jestem ostatni i nie mogę uciec przed przeznaczeniem.

- Nie ma pan za to do nich żalu?

Popatrzył na mnie.

- Oczywiście, że mam. Robię to, bo muszę. Wolałbym nie musieć.

- To czemu pan nie zrezygnuje - nalegałem.

- Nie mogę.

- Dlaczego? Nie ma pan innych dowodów poza słowem starego czarownika, który zmarł ponad siedem tysięcy lat temu.

- A historia ostatnich siedmiu tysięcy lat? Mówiłem już panu, panie Rojas, że nie jest konieczne, żeby pan wierzył w to, co robię. Wystarczy, że ja w to wierzę.

- Po prostu żał mi patrzeć, jak pan umiera bez powodu - powiedziałem.

- Umrę za moje przekonania - odparł. - Czy można mieć lepszy powód?

- Nie - przyznałem.

- A czy można znaleźć lepsze miejsce? - ciągnął dalej. - Tu się wszystko zaczęło, panie Rojas. Niecały dzień drogi od góry leży wąwóz Olduvai, gdzie pierwszy człowiek po raz pierwszy stanął w wyprostowanej pozycji. Tę górę oddano mojemu plemieniu i stąd ruszyliśmy na podbój północy i zachodu, zwyciężając wszystko, co nam stało na drodze. Wielcy ludzie odwiedzali tę górę, panie Rojas. Poeci, wojownicy, łowcy i badacze, pisarze i wodzowie. Umierały tu największe zwierzęta.

Przerwał i rozejrzał się wokół.

- Nie, lepszego miejsca na śmierć dla mnie nie ma.

Zacząłem się niemal wstydzić, że trzeba było wyjaśnić mi tak oczywistą rzecz. Szybko zadałem następne pytanie, aby ukryć moje zakłopotanie.

- Nie boi się pan?

Zastanawiał się przez dłuższą chwilę nad moim pytaniem.

- Nie lubiłem swojego życia, panie Rojas - powiedział z powagą. - Jedyną prawdziwie ważną rzeczą, jaką mogę zrobić, jest skończyć z nim. Nie boję się tego zrobić.

- Ja byłbym przerażony - wyznałem.

- Każda forma życia w sposób nieunikniony kończy się śmiercią. Różnica jest taka, że mnie wychowano tak, bym uznał tę prawdę i pogodził się z nią, pan zaś, żeby ją ignorować i przeciwstawiać się jej.

- Może... - powiedziałem z ociąganiem, pewien, że musiało być znacznie więcej różnic między nami, które spowodowały tak odmienne spojrzenia, nie wiedziałem jednak, na czym one polegały.

- Nawet, jeżeli byłbym wychowany jak pan, w dalszym ciągu nie

wiem, czy mógłbym się na to zdobyć.

- Gdyby pan wiedział, że każda osoba, którą pan kochał, każdy przodek, którego pan szanował, zostanie potępiony na całą wieczność, jeżeli nie odprawi pan rytuału, znalazłby pan dość sił.

- Nie przypuszczam, żebym zdołał się przekonać co do prawdy tego stwierdzenia.

- To nie jest sprawa logiki, ale wiary - powtórzył Mandaka.

- A jeżeli pan się myli...

- Wtedy po prostu jeden nieszczęśliwy człowiek umrze nieco wcześniej: Nie jest to tragedia ani osobista, ani kosmiczna.

Zastanawiałem się nad tym, co powiedział. Stwierdziłem, że nie znajdę odpowiedzi. Siedzieliśmy zatem w ciszy przez kilka minut. Zauważyłem, że robi się zimno. Mandaka zebrał nieco drewna i rozpałił niewielki ogień.

- Niech pan usiądzie bliżej ognia, panie Rojas - zaproponował.

Przysiadłem się.

- Lepiej?

- Tak, dziękuję.

Rozpalające się gałązki zaczęły trzaskać i aromatyczny zapach dymu rozszedł się wokoło.

- Wie pan - powiedział w zadumie - od niepamiętnych czasów ludzie siadali przy takich ogniskach, gotowali strawę, ogrzewali się, odstraszaali leśne zwierzęta. Teraz sami tworzymy swoje środowisko, produkujemy żywność z odpadów chemicznych, zabijamy zwierzęta rozumne i nierozumne pojawiające się wokół nas. Nasze metody zmieniły się, ale czy zmieniliśmy się my?

- Osiągnęliśmy na pewno większy postęp.

- Nie o to mi chodziło. Czy istnieje dla nas coś ważniejszego niż być w cieple i być najedzonym? I drugie pytanie. Czy tam jest łatwiej - tu wskazał ręką na gwiazdy - niż tu, w kolebce naszej rasy, przy tym ognisku?

- Chyba tak, bo inaczej nie byłoby nas tam.

- A dlaczego tam jesteście?

- Wyzwanie.

- Czy jakikolwiek człowiek stanął wobec większego wyzwania niż niewolnik Butamo tu, w tym miejscu, siedem tysięcy lat temu?

Zamyśliłem się nad odpowiedzią.

- Tak - powiedziałem wreszcie - pan.

- Jeżeli tak, to nie musiałem wyruszać aż do gwiazd, żeby je znaleźć.

- Musiał pan iść w ślad za kłami.

- A zatem Bóg chciał, żebym wyruszył do gwiazd po to tylko, by zrozumieć, że prawdziwie ważne rzeczy są właśnie tutaj.

- I wszystko musi się skończyć - powiedziałem.

- I wszystko ma się skończyć - powtórzył.

Patrzyłem w zamyśleniu na ogień przez dłuższą chwilę. Patrzyłem, jak płomyki migocą w gasnącym świetle dnia. Nigdy przedtem nie siedziałem przy ogniu. Podobało mi się to.

- Jak pan myśli, co pana czeka? - spytałem wreszcie.

- Już po śmierci?

- Tak.

- Któż to może wiedzieć?

- Nicość?

- Może...

- A zatem może i inni członkowie plemienia Masajów zapadli w nicość?

- A może tylko tego szukali - odparł.

- Jeżeli nie nicość, to co?

Milczał przez chwilę.

- Może znowu znajdę się w czasach przed śmiercią słonia i będę żył w harmonii ze środowiskiem.

- To mi nie wygląda na niebo.

- Nie? Niech się pan rozejrzy wokół, panie Rojas. Po podbiciu każdego nowego świata, napotykamy tysiąc nowych. Po zaprzyjaźnieniu się z kolejną rasą, niszczymy tysiąc innych. Po każdej chorobie, którą zwalczymy, zapadamy na tysiąc innych. Po każdym osiągnięciu ponosimy tysiąc niepowodzeń. Może pański raj nie jest początkiem, ale końcem wszystkiego?

- Muszę przyznać, że pańskie wypowiedzi świadczą o tym, że jest pan gotów na śmierć - powiedziałem przysuwając się do ognia, bo czułem, że robi się coraz zimniej.

- Wszystko umiera - powiedział Mandaka. - Moja śmierć będzie przynajmniej coś znaczyć.

- Pan ma nadzieję.

- Wiem.

- A jeżeli Sendeyo się mylił...

- To w dalszym ciągu będzie miało znaczenie - powiedział z uśmiechem. - Patrzę, jak usiłuje pan odwieść mnie od mojego postanowienia. Wiem, że pan będzie wzruszony i podejrzewam, że nie pamięta pan, kiedy się wzruszył ostatni raz.

- To prawda - przyznałem niechętnie - ale czy warto dla tego umrzeć?

- Nie wiem - odparł Mandaka. - Mam nadzieję, że tak.

- Wolałbym uniknąć tego wzruszenia - powiedziałem po chwili milczenia.

- Wolałbym, żeby ktoś inny z mojego plemienia zrobił to za mnie - odparł. - Wydaje się jednak, że nasze życzenia się nie spełnią.

- To niesprawiedliwe.

- Życie rzadko jest sprawiedliwe.

- Znalazłem kły. Wykonałem swoje zadanie i na tym powinno się ono skończyć.

- Nie mogło się na tym skończyć. Nie dla człowieka takiego, jak pan. Historia ta skończy się dopiero, gdy napisany zostanie jej ostatni rozdział.

Zastanawiałem się przez chwilę nad jego słowami.

- W każdym razie jestem temu przeciwny - powiedziałem.

- Przez całe życie zajmował się pan dokumentacją dotyczącą martwych zwierząt - odparł Mandaka. - Za parę godzin stanę się jednym z nich i wtedy będzie pan mógł powrócić do pozbawionego emocji świata badaczy. Tymczasem może się pan zastanowić nad słońcem Kilimandżaro.

- On nie żyje od prawie ośmiu tysięcy lat. Nad czym się tu można zastanawiać?

- Jeżeli Masajowie zostali skazani na błąkanie się w pustce, to co się z nim stało? Czy spoczywa w spokoju, bez odczuć i zadowolony, czy jego dusza tęskni za brakującą częścią, którą pan odzyskał na krańcach galaktyki? Niech się pan dobrze nad tym zastanowi, panie Rojas. Jeżeli mój czyn nie przyniesie wiecznego spokoju moim współplemieńcom, to może przyniesie spokój temu największemu ze zwierząt?

- Byłoby to pocieszające, gdybym w to wierzył - powiedziałem.

- Ale nie wierzy pan?

Pokręciłem przecząco głową.

- Żał mi pana, panie Rojas. To musi być smutne wierzyć tylko w to, co się widzi, mierzy, analizuje i dokumentuje.

- Żał mi pana, panie Mandaka - odpowiedziałem szczerze.
- Jeszcze smutniejsze jest w to nie wierzyć.

Mandaka zaśmiał się, a następnie zapatrzył w odległe równiny.

- Co pan tam widzi? - spytałem, wpatrując się w ciemność.

- Przeszłość, dzień dzisiejszy, może nawet przyszłość.

- Pańską przyszłość? - spytałem nie rozumiejąc.

- Nie. Moja przyszłość została ustanowiona siedem tysięcy lat temu i trwać będzie nawet mniej niż godzinę. Widzi pan - wskazał na niebo - wschodzi księżyc, pełny i dobrze odżywiony, aby wezwać mnie, zanim nadejdą deszcze.

- Nie widzę chmur - powiedziałem, patrząc w niebo.

- Deszcze nadejdą mimo to - powiedział wstając i podchodząc do sań antygravitacyjnych. - Czas zaczynać.

Podprowadził sanie do szczytu urwiska, skąd najlepiej widać było równiny. Wybrał miejsce oddalone około czter-

dzieści stóp od ogniska i ułożył kły starannie na ziemi. Odprowadził sanie na ich dawne miejsce.

- Odprawię rytuał tutaj, skąd widać ziemię, gdzie panowało moje plemię i gdzie nie ma gałęzi, które zasłaniałyby widok Bogu.

- Czy Sendeyo nie polecał, że należy zbudować ołtarz z kłów? - zauważyłem.

- Zostały złożone na świętej górze, danej nam przez Boga - odparł Mandaka. - Spoczywają na Jego trawach i innych roślinach, witkach i gałązkach. Jaki ołtarz zbudowany przez człowieka może temu dorównać?

Z bagażu wydobył matę długości około dziesięciu stóp i szerokości pięciu stóp.

- Ta mata - powiedział umieszczając ją między kolanami - została spleciona z traw pochodzących ze wszystkich planet, na których znalazły się kły, ze wszystkich, jakie znalazłem.

Kiedy skończył, cofnął się i patrzył na swoje dzieło. Następnie zebrał duże naręcze gałązek i około tuzina polan i ułożył je na macie.

- Jak już nie będę żył, niech pan przykryje moje ciało gałęziami i wszystko zapali.

- Jak pan sobie życzy - powiedziałem.

- Tak właśnie sobie życzę i proszę pamiętać o rozsypaniu moich popiołów.

- Będę pamiętać.

- Wiem, że będzie się pan przed tym wzdragał, ale przecież ja już nic nie będę czuł.

- Obiecałem, że to zrobię i zrobię to na pewno.

- Wiem - powiedział Mandaka.

Spojrzał na niebo.

- Jeszcze pięć minut - powiedział.

Podczas gdy wyciągałem ręce do ognia, żeby je ogrzać, Mandaka rozebrał się powoli i stanął nagi i dumny w rozproszonym świetle księżyca przesączającym się przez gałęzie. Następnie sięgnął ponownie do bagażu i wydobył przybranie głowy wykonane z lwiej grzywy. Po włożeniu go na głowę nałożył jeszcze naszyjnik wykonany z pazurów lwa i spędził następne kilka minut malując twarz na dziwny, kredowobiały kolor.

Na koniec wydobył długi, groźnie wyglądający nóż.

- Ten nóż należał do brata Sendeyo, Lenany, wodza wszystkich Masajów.

- Robi wrażenie - powiedziałem bez entuzjazmu.

- Jest jeszcze ostatnia rzecz, którą muszę zrobić - powiedział zbliżając się do mnie.

- Tak?

- Niech pan mi poda rękę.

- Po co?

- Nie pan to zrobi.

Wyciągnąłem rękę. On chwycił ją mocno lewą ręką i naciał mój kciuk nożem trzymanym w prawej.

Jęknąłem z bólu i zaskoczenia.

- Co pan wyprawia? - spytałem, wyrywając rękę.

- Ceremonia może być dokonana tylko przez Masaja - odpowiedział, nacinając własny kciuk i wyciągając do mnie rękę.

- Jeżeli z jakiegoś powodu nie uda mi się celnie trafić, pan będzie musiał mnie dobić, dlatego musi się pan stać Masajem. Nasza krew musi się więc połączyć i wymieszać.

Przycisnął swój krwawiący kciuk do mojego, a po chwili skinął głową i cofnął rękę.

- Czy teraz jestem Masajem? - spytałem, wkładając palec do ust i oblizując krew.

- Nie - odparł szczerze - ale zrobiłem wszystko, co mogłem. Bóg zrozumie.

Popatrzył na mnie przez chwilę.

- Musi mi pan pomóc - powiedział wreszcie.

- Jak?

- Niech pan wyjmie palec z ust. Masajowie pogardzają bólem.

- Czy i takim, jaki pan sobie zaraz zada?

- Zrobię, co trzeba, ale jeżeli okażę się zbyt słaby...

- To co?

- Musi mnie pan zabić, zanim zacznę krzyczeć.

- Nie! - powiedziałem cofając się, aż rozdzieliło nas ognisko. - Tego nie było w umowie!

- Wiem - powiedział łagodnie - i mam nadzieję, że nie będzie musiał pan tego zrobić. Jest pan jednak moim jedynym przyjacielem, a teraz stał się pan moim bratem i kiedy będzie się panu zdawało, że zacznę krzyczeć, musi mi pan poderżnąć gardło, zanim głos wyrwie mi się z ust.

- Nie będę mógł tego zrobić! - zaprotestowałem.

Patrzył na mnie długo i uparcie. Wreszcie skinął głową.

- Jest pan moim przyjacielem i bratem i zrobi pan to, co będzie konieczne - powiedział z przekonaniem.

Otwarłem usta chcąc jeszcze protestować, ale on już odwrócił się i podszedł do kłów. Stał przed nimi przez długą chwilę, mrużąc coś śpiewnie w języku, którego nigdy przedtem nie słyszałem, a następnie położył się na stosie gałęzi, między kłami.

Zaczął recytować imiona, które, jak zrozumiałem, były imionami wielkich wodzów i laibonów masajskich, a wymawiając je podniósł rękę, w której lśnił w świetle księżyca starożytny nóż Lenany.

- Sendeyo - powiedział wreszcie, kiedy ręka była już całkiem wyprostowana - stało się! Fezi Nyupi - zostało dokonane!

Gwałtownym ruchem opuścił nóż i wbił go w swoją pierś.

Ciało jego zeszywniało i nóż wypadł z ręki, palce kurczowo zacisnęły się na kłach. Otworzył usta, ale nie wydał jednego głosu.

Patrzyłem, jak wił się z bólu, może jeszcze przez jakieś dwadzieścia sekund. Nie mogłem tego jednak dłużej wytrzymać. Podbiegłem do niego i ukląknęłam obok. Spojrzał na mnie z twarzą wykrzywioną okropnym grymasem i usiłował uśmiechnąć się. Pozwoliłem mu chwycić się za rękę. Nie czułem bólu, kiedy jego mocne palce wbiły się w moje ciało.

Rozluźnił się na chwilę, ale zaraz znowu stężał. Podniosłem nóż tak, żeby go nie zauważył wciąż mając nadzieję, że nie będę musiał go użyć. Byłem jednak przygotowany, wbrew mej woli, pomóc mu w spełnieniu swego dziwnego losu.

Jego oczy stawały się mętne, a uścisk z każdą sekundą słabnął. Wciąż jednak oddychał i od czasu do czasu ciało jego przebiegał skurcz bólu. Wreszcie ciało jego zwiotczało zupełnie.

- Stało się po siedmiu tysiącach lat - wyszeptał i skonał.

Chciało mi się wymiotować, ale się opanowałem, nie mogłem jednak powstrzymać płaczu i ze łzami w oczach przykryłem go gałęziami i zapaliłem stos pogrzebowy.

Cofnąłem się do obozowego ogniska, drząc cały i patrzyłem, jak płomień rozszerzał się i zwęglął leżące w nim kły. Od czasu do czasu dorzucałem nowych gałęzi do ognia i o świcie nie pozostało już nic oprócz spalonych kości Bukoby Mandaki i zwęglonych kłów słońca Kilimandżaro.

Gdy wzeszło słońce, rozległ się grzmot i niespodziewanie burza uderzyła w szczyt Kilimandżaro. Założyłem rękawice,

podszedłem do skwierczących węgli i zacząłem rozrzucać kości Mandaki tak, jak sobie tego życzył.

Ulewa stawała się coraz bardziej gwałtowna. Musiałem zbudować schron dla osłony przed deszczem. Ulewa trwała przez dwie godziny, a gdy deszcz ustał, ruszyłem, żeby skończyć rozpoczętą pracę.

Nie było jednak już nic do zrobienia. Krawędź urwiska, gdzie Mandaka rozłożył stos, obsunęła się w czasie ulewy, zabierając ze sobą kości i kły. Podszedłem do krawędzi tak blisko, jak tylko mogłem się odważyć i spojrzałem w dół w nadziei, że zobaczę jakieś ślady, jednak wszystko, co mogłem dostrzec, to były tylko obfite zarośla, lśniące wilgocią w afrykańskim słońcu.

Na szczycie pozostawałem jeszcze przez godzinę. Spakowałem sanie antygravitacyjne i ruszyłem w dół stoku Kili-mandżaro.

JEDENASTE INTERLUDIUM (ROK 6404 ERY GALAKTYCZNEJ)

Wróciłem do biura dwa tygodnie później, po krótkiej wizycie w mieszkaniu. Zarówno biuro, jak i mieszkanie wydały mi się obce. Poleciałem komputerowi odświeżyć powietrze i nieco ochłodzić pokój, a gdy to nie pomogło, poleciłem zwiększyć przejrzystość ścian i blask słońca zalał pokój.

Wziąłem suchy prysznic i zmieniłem ubranie, zamówiłem dwa ciastka i kawę na śniadanie i usiadłem w swoim fotelu.

- Komputer?

- Tak, Duncanie Rojas?

- Proszę wprowadzić odnośnik w 409 wydaniu ziemskim Braxtona „Dokumentacja wielkiej zwierzyny”.

- Czekaam...

- Kły słonia Kilimandżaro nie istnieją. Znajdowały się na Bortai II w momencie, kiedy gwiazda stała się nową. Nie pozostał po nich żaden ślad.

- Wykonane.

- Wyślij informację do wszystkich bibliotek i muzeów.

- Wykonuję... wykonane.

Kilka następnych minut spędziłem przeglądając zaległą korespondencję i zapoznając się ze sprawozdaniami. Nagle drzwi otworzyły się i weszła Hilda Dorian.

- Słyszałam, że wróciłeś - powiedziała.

- Tak, wczoraj wieczorem.

- Dziękuję za wiadomość - powiedziała ironicznie.

- Byłem zmęczony.

Spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

- Czy mogę usiąść?

- Siadaj - powiedziałem obojętnie.

Poleciła, żeby fotel zbliżył się do niej, a następnie usiadła, unosząc się tuż nad podłogą.

- Gdzie twój mentor? - spytała.

- Mentor?

- Mandaka.

- Nie żyje.

- Na ziemi?

Skinąłem twierdząco.

- Zawiadomiłeś władzę?

- Nie.

- Na co umarł?

- Na serce.

- Przywiozłeś ciało dla dokonania autopsji?

- Nie - powiedziałem. - Nie miał rodziny i jego ostatnim życzeniem było zostać pochowanym na Ziemi.

Hilda znowu popatrzyła na mnie z niedowierzaniem i zamyśliła się.

- Wyglądasz na zmienionego - powiedziała.

- Tak?

- Jesteś jeszcze bardziej zamknięty w sobie niż zwykle.

- Nie zauważyłem.

- I powściągliwy.

- Pytaj, o co chcesz.

- Po co? I tak będziesz kłamał.

- Dlaczego tak mówisz? - spytałem, nie starając się zaprzeczyć.

- Duncan, dowiedziałam się, że wróciłeś, bo zobaczyłam twoje

polecenia dla komputera.

- Odświeżyć powietrze? - spytałem.

- Stwierdzenie, że kły zostały zniszczone, kiedy Bortai zamieniła się w nową.

- Tak?

- Przecież mówiłeś, że kły były na Skyblue.

- Myliłem się.

- I pojechaliście na Ziemię bez kłów, bo twój przyjaciel Mandaka chciał odwiedzić stare miejsca? - zapytała kwaśno.

- Kły przepadły. Nie chcę, żeby ktoś znowu zaczął ich szukać.

- Czy to twoja decyzja?

- Nie ma nikogo innego, kto by ją podjął.

- Mandaka rzeczywiście nie żyje?

- Tak.

- Nie zabiłeś go? - spytała ostro.

- Nie zabiłem go, ale byłem gotów to zrobić.

- Nie rozumiem.

- Wiem, że nie rozumiesz.
- Myślałam, że był twoim przyjacielem.
- Był - odparłem szczerze.

Patrzyła na mnie przez chwilę, a potem odezwała się ze współczuciem:

- Żal mi ciebie, Duncan. Wiem, jak trudno ci nawiązać bliższe stosunki z kimkolwiek. Mam nadzieję, że znajdziesz innego przyjaciela.

- Ja też - skłamałem.

Rozmawialiśmy jeszcze przez kilka minut i przypomniałem jej, że byłem winien jej i Haroldowi kolację na mieście. Wróciła do siebie, a ja zostałem sam, patrząc na poranną mgiełkę za oknem i analizując uczucia.

Uczucia jednak to nie fakty i im bardziej starałem się je uporządkować, tym mniej poddawały się mojej woli. Wreszcie doszedłem do wniosku, że uczucie sympatii było bardziej odpowiednie dla osób takich jak Hilda, które uznawały je za cnotę. Gdy sam go spróbowałem, stwierdziłem, że jest zdecydowanie zbyt kłopotliwe i postanowiłem nie poddawać się mu nigdy więcej.

Po południu zacząłem znowu czuć się sobą. Wieczorem zabrałem Hildę i Harolda do „Dawnych Czasów”, gdzie zjedliśmy kolację i obejrzel widowisko. Później, kiedy już wypełniłem swoje zobowiązanie, wróciłem do biura i zacząłem sprawdzać rozpiętość skrzydeł ostatnio upolowanej diabelskiej sowy. Zanim zacząłem weryfikować sprzeczne zeznania świadków, wszystkie myśli o Mandace i kłach wyleciały mi z głowy na zawsze.

Był już prawie świt, kiedy w końcu zasnąłem.

ROZDZIAŁ 12

KŁY (ROK 6304 ERY GALAKTYCZNEJ)

Patrzyłem, jak kły, moje kły zsuwają się po stoku potężnej Kilimandżaro, żeby połączyć się ze mną pod warstwami błota i ziemi. Moje czekanie skończyło się wreszcie.

Jestem bardzo stary i wiele widziałem. Widziałem mroczne wnętrza jaskini na Belamone XI i wstrząsającą planetą burze szalejące na odległej Atenii. Podchodzili mnie łowcy, podkradali się złodzieje, fanatycy religijni, ludzie źli i dobrzy.

Nawet teraz, kiedy mój wzrok staje się mętny, dostrzegam splot wydarzeń, które doprowadziły Bukoba Mandakę do świętej góry. Widzę Tembo Laibona robiącego zakłady i zbierającego odsetki; widzę Amina Rashida XIV krocącego przez uśpione ulice Plantagenet II, nie zdającego sobie sprawy z niebezpieczeństwa; widzę Hannibala Sloane oglądającego mnie z dala i rozcierającego grudki ziemi między palcami dla sprawdzenia kierunku wiatru. Czuję jeszcze macki Ognistych Oczu, rzeźbiące historię swej rasy na powierzchni kłów i kamień Rankanja o postrzępionych brzegach wyrąbujący kły u nasady.

Minęło wiele tysiącleci i wciąż czekałem tu, na szczycie mojej góry. Wyszepiałem mój niepokój do ucha Sendeyo, potem Maasai Laibonowi i Leeyo Nelionowi, i wreszcie Bukoba Mandace, który umarł dumny i milczący, tak jak mu było pisanie. Wzrastały i upadały imperia, odkrywano, kolonizowano i opuszczano planety, przemijały ludzkie pokolenia, a ja przetrwałem.

Widziałem narodziny gwiazd, widziałem śmierć planet. Patrzyłem, jak ostatni z mego rodu umiera samotną śmiercią

niewolnika. Przez cały ten czas czekałem, aż ta odyseja znajdzie swój kres.

Teraz, na koniec, niepokój minął, opuściło mnie uczucie samotności, cierpienie zniknęło. Galaktyka trwa nadal i trwać będzie, ale już beze mnie, bo już tracę jasność widzenia, dźwięki docierają do mnie słabiej, nadchodzi zapomnienie.

Jestem znów jednością.

OD AUTORA

On istniał naprawdę. Wymieniony jest w Rowland Ward's Records of Big Game. Jego kły spoczywają w podziemiach British Muzeum of Natural History. Istnieją także dwie fotografie wspaniałych kłów, z czasów gdy były zarejestrowane i sprzedane na aukcji w Zanzibarze w 1898 roku. Chociaż żaden z nich się na niego nie natknął, wspominają go w swych pamiętnikach tak sławni myśliwi, jak Karamajo Bell, Denis D. Lyell, T. Murray Smith i komandor David Enderby Blunt.

Podczas dwóch ostatnich wypraw do Afryki stwierdziłem, że prawie wszyscy poznani przeze mnie starzy myśliwi i koloniści o nim słyszeli i spędziłem wiele uroczych wieczorów, słuchając niezmiernie różnorodnych domysłów na temat, gdzie żył i jak zginął.

Z takich opowiadań rodzą się legendy.